

Nowy zupełnie inny bestseller autora CHEMII ŚMIERCI

**SIMON BECKETT**

**RANNY**



**KAMIENI**

  
AMBER

# *Rany kamieni*

Simon Beckett

Amber (2013)

---

Autor bestsellera CHEMIA ŚMIERCI

„Tonący w deszczu krajobraz pozbawiony zarówno życia, jak i konkretnych kształtów. Płaskie wrzosowiska, upstrzone kępami drzew, mokradła” – to pejzaż Chemii śmierci, pierwszego bestsellera Simona Becketta z genialnym antropologiem sądowym doktorem Davidem Hunterem.

„Wszędzie wokół leżały ludzkie ciała w różnym stanie rozkładu” – to Trupia Farma, sceneria Szeptów zmarłych.

„Targana sztormem, odcięta od świata i sparaliżowana śmiertelnym strachem wysepka” – to Zapisane w kościach.

I znowu W wołaniu z grobu: ponure torfowiska i wrzosowiska, i mgła...

I teraz Rany kamieni. I słońce, pola, pszeniczne łany, strumyk, zagajnik... Wszystko zastygłe w bezruchu. Obezwładnia nas upał. I osacza cisza. W ten idylliczny krajobraz wjeżdża luksusowym audi na oparach benzyny narrator. Ale to nie doktor Hunter. Nie wiemy – i prawie do końca się nie dowiemy – kim jest. Wiemy, że ucieka. I że się boi. Panicznie się boi. A my razem z nim. I o niego. Choć wcale nie wiemy – i prawie do końca się nie dowiemy – czy jest ofiarą, czy może mordercą...

Rany kamieni - tu wszystko jest inne: bohater, sceneria, tylko Beckett jest taki sam:

Mistrz wyrafinowanej prozy, oszczędnych środków, bogatego języka, plastycznych opisów. Mistrz emocji, mistrz nastroju, strachu i tajemnicy.

Ale tym razem poszedł dalej i inną drogą. Tu sam narrator, wszyscy i wszystko jest tajemnicą. Każda scena rodzi zagadkę. Każde wyjaśnienie rodzi jeszcze trudniejsze pytania. Tajemnice osaczają. Napięcie i niepewność rośnie. I strach, który chwycił za gardło w pierwszej scenie, zacieśnia swój uścisk i dławi.

To głęboka, mądra, pełna zadumy nad losem i naturą ludzką powieść ubrana w formę literackiego thrillera psychologicznego.

Ktoś ucieka... przez pola gdzieś we Francji. W zagajniku parkuje luksusowe audi. W strumieniu usiłuje zmyć krew z fotela, z pasa i rąk... Zacierza wszelkie ślady. Zabiera plecak i odchodzi. I zabiera coś jeszcze...

W nieznośnym upale wśród obezwładniającej ciszy i w paraliżującym słońcu idzie przed siebie. Tylko dokąd? Tego nie wie. Nie ma pieniędzy, żadnych planów, za to ma siniaki na twarzy. Dowiadujemy się, że jest Anglikiem. Widzimy, że jest inteligentny i wrażliwy. Domyślamy się, że jest młody. Wiemy, że musi się ukrywać...

W desperacji wchodzi do ogrodzonego drutem kolczastym lasu i dociera do wyglądającej na opuszczoną farmy. Prosi o wodę młodą tajemniczą kobietę z dzieckiem na ręku...

Nie spodziewa się, jak szybko i w jakich dramatycznych okolicznościach będzie mu dane tu wrócić. I w jak deliryczno-surrealistycznej scenerii, przywodzącej na myśl scenerię największych XIX i XX-wiecznych mistrzów prozy, będzie uwięziony - a może ocalony.

To brzydki-piękne odcięte od świata miejsce i jego zagadkowi mieszkańcy są wielką mroczną tajemnicą. Choć w tej nieodgadnionej dziwności wszystko i wszyscy są aż do bólu prawdziwi – w swoich słabościach, porywach szlachetności, w swoich zbrodniach i karach...

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Redakcja stylistyczna

Dorota Kielczyk

Korekta

Renata Kuk

Halina Lisińska

Projekt graficzny okładki

Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce

© Mario Savoia/Shutterstock

Zdjęcie autora

Copyright © Peter Dench

Tytuł oryginału

Stone Bruises

Copyright © Hunter Publications Ltd. 2014

All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2013 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-4919-3

Warszawa 2013. Wydanie I

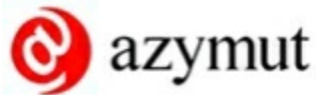
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63

tel. (22) 620 40 13, 620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

Publikację elektroniczną przygotował:







# Rozdział 1

Samochód jedzie na oparach. Od kilku godzin ani śladu stacji benzynowej, a wskaźnik poziomu paliwa schodzi na czerwone. Muszę zjechać z drogi, ale pola, których końca nie widać, zawzięły się, żeby wsysać mnie do ostatniego tchnienia silnika. Pora jeszcze wczesna, ale dzień jest suchy i gorący. Lekki wiaterek, który wpada przez otwarte okna, tylko miesza powietrze, nie chłodzi.

Jadę zgarbiony nad kierownicą, w każdej chwili spodziewam się, że samochód stanie, wreszcie widzę przerwę w barierze zieleni. Po mojej lewej ścieżka wrzyna się, jak okiem sięgnąć, w łany pszenicy. Skręcam, podskakuję na porzniętej koleinami ziemi, wszystko mi jedno, dokąd dojadę, byle tylko zniknąć z pola widzenia. Ścieżka zanurza się w zagajniku. Gałęzie drapią o szyby, kiedy audi wdziera się do lasu. Wyłączam silnik. W cieniu drzew jest chłodniej. W dźwięczącej ciszy słyszę płynącą wodę. Zamykam oczy, odchylam głowę do tyłu, ale nie ma czasu na odpoczynek.

Muszę iść.

Sprawdzam schowek w desce rozdzielczej. Nie ma tam niczego, co by mnie wydało, tylko śmieci i prawie pełna paczka papierosów. Camele, moja ulubiona marka. Kiedy sięgam po nie nad fotelem pasażera, dociera do mnie zapach. Słaby, ale nieprzyjemny, jakby mięsa zostawionego na słońcu.

Jest coś rozmazanego na luksusowej skórze fotela pasażera, jest też na rozwiniętym pasie bezpieczeństwa, który wala się po podłodze. Twardy materiał w jednym miejscu jest niemal całkowicie przecięty i kiedy go dotykam, palce robią mi się lepkie i ciemne.

W głowie mi się kręci na myśl, że cały czas jechałem z tym na widoku. Chcę odejść jak najdalej od samochodu, ale nie mogę tego tak zostawić. Wsiadam, gałęzie napierają na drzwi. Przez zagajnik płynie strumyk, ręce mi drżą, kiedy moczę w nim ścierkę ze schowka. Fotel daje się wytrzeć dość łatwo, ale krew wgryzła się w tkaninę pasa bezpieczeństwa. Szoruję z całej siły, potem płuczę ścierkę w strumyku. Woda obejmuje nadgarstki jak kajdanki ze szkła. Myję ręce, szoruję je piaskiem z dna. Nawet wtedy wydają mi się brudne.

Ochlapuję sobie twarz, krzywię się — zapiekły mnie zadrapania na policzku — i wracam do samochodu. Pokryty jest kurzem dróg maskującym czarny lakier. Kamieniem zrywam brytyjskie tablice rejestracyjne, potem wydaję plecak z

bagażnika. Kiedy go podnoszę, zaczepia o matę przykrywającą koło zapasowe. Pod spodem zabłysło coś białego. Odsuwam matę na bok i żołądek mi się skręca na widok paczki owiniętej w plastik.

Opieram się o samochód, nogi nagle robią się jak z waty.

Paczka ma wielkość torebki cukru, ale biały proszek, który ją wypełnia, jest znacznie mniej niewinny. Szybko się rozglądam, tak jakby tu ktoś mógł być i mnie widzieć. Ale są tylko drzewa i brzęczenie owadów w tle. Gapię się na paczkę, jestem zbyt zmęczony, żeby przetrwać tę nową komplikację. Nie chcę brać paczki ze sobą, ale nie mogę jej tutaj zostawić. Chwytam ją, upycham głęboko do plecaka, zatrzaskuję bagażnik i odchodzę.

Kiedy wychodzę z zagajnika, na polach pszenicy nadal nie ma żywej duszy. Rzucam tablice rejestracyjne i kluczyki w wysokie łany pszenicy, potem wydaję telefon. Jest zepsuty, nie ma mowy o naprawie. Idąc, wydaję kartę SIM, łamię ją na pół, na jedno pole ciskam kawałki karty, na drugie telefon.

I tak nie ma nikogo, do kogo mógłbym zadzwonić.

Szary asfalt szosy faluje i drga, bo słońce wspięło się wyżej. Te parę samochodów na drodze, uwięzionych w upale, niby ledwie się rusza, dopóki nie przemknie nagłym rozbłyskiem koloru. Plecak siedzi mi wysoko na plecach, jak moja własna, prywatna małpka. Idę prawie godzinę, dopóki nie uznaję, że wystarczająco oddaliłem się od samochodu. Wtedy wystawiam kciuk i zaczynam łapać okazję.

Moje rude włosy to zarazem zaleta i wada, od razu przyciągają uwagę i obwieszczają, że jestem cudzoziemcem. Pierwsze podwozi mnie młode małżeństwo w starym peugeocie.

— *Où allez vous?* — pyta on, papieros ledwie się porusza.

Z trudem przerzucam językowe biegi. Ostatnio więcej słuchałem, niż mówiłem po francusku, ale nie dlatego milczę. „Dokąd jadę?”

Nie mam pojęcia.

— Wszystko jedno. Po prostu podróżuję.

Siedzę z przodu, na fotelu pasażera, dziewczyna bez skargi przeniosła się do tyłu. Cieszę się, że kierowca nosi okulary przeciwsłoneczne, bo to daje mi pretekst, żeby nie zdejmować swoich. Zakrywają najgorsze sińce na twarzy.

Zerka na moje rude włosy.

— Anglik?

— Tak.

— Mówisz całkiem dobrze po francusku. Długo tu jesteś?

Przez sekundę zmagam się z odpowiedzią. Mam wrażenie, jakby to trwało całe życie.

— Niespecjalnie.

— Więc gdzie się nauczyłeś? — To pytanie dziewczyny. Nachyliła się między fotelami. Ciemnowłosa, pulchna, ma ujmującą, szczerą twarz.

— Często przyjeżdżałem, kiedy byłem młodszy. I jestem... lubię francuskie filmy.

Milknę, zdaję sobie sprawę, że powiedziałem więcej, niż chciałem. Na szczęście żadne z nich nie wygląda na zainteresowane.

— Ja wolę amerykańskie filmy. — On wzrusza ramionami. — Więc na długo przyjechałeś?

— Nie wiem — mówię.

Wysadzają mnie na przedmieściach miasteczka. Sięgam do swojego skromnego zasobu euro, żeby kupić chleb i ser, butelkę wody i jednorazową zapalniczkę. Na bazarze na placu kupuję też baseballówkę. To tania podróbka Nike, ale chroni przed słońcem i pozwala ukryć siniaki. Wiem, że wpadam w obsesję, ale nic na to nie mogę poradzić. Nie chcę przyciągać większej uwagi, niż muszę.

Z ulgą opuszczam miasteczko, znów wkraczam na otwartą przestrzeń. Słońce piecze mnie w odkryty kark. Po jakimś kilometrze zatrzymuję się pod rzędem topoli i próbuję zjeść kawałek bagietki i sera. Udaje mi się przełknąć parę kęsów, potem wszystko zwracam, rzygam na sucho, aż żołądek zaczyna mnie boleć. Kiedy skurcze przechodzą, opieram się bezwładnie o drzewo, jestem taki zmordowany, że chcę się tylko położyć i dać sobie spokój.

Ale nie mogę tego zrobić. Ręce mi się trzęsą, kiedy udaje mi się wykrzesać języczek płomienia z jednorazówki i zaciągam się papierosem. To pierwszy od dwóch lat, ale smakuje jak powrót do domu. Wydycham część napięcia razem z dymem, przez kilka chwil dzięki Bogu o niczym nie myślę.

Kończę papierosa, wstaję i znowu zaczynam iść. Mam raczej blade pojęcie, gdzie jestem, ale skoro nie mam żadnych planów, to jest bez znaczenia. Wystawiam kciuk za każdym razem, kiedy przejeżdża samochód, ale to rzadkie przypadki. Tutejsze drogi to drogi drugorzędne, spokojna prowincja omijana przez drogi główne i autostrady. Do wczesnego popołudnia, jednego citroëna i jedno renault później, pokonałem niespełna dwadzieścia kilometrów. Miejscowi, jadący do najbliższego miasteczka czy wsi, podrzucali mnie na krótkich odcinkach, ale teraz nawet to się skończyło. Droga jest taka spokojna, aż



ogarnia mnie wrażenie, jakby cały świat o mnie zapomniał. Jedyne dźwięki to szuranie moich buciorów i nieustanne brzęczenie owadów. Nigdzie skrawka cienia, i tak dobrze, że chroni mnie czapka.

Idę całe wieki, otwarte pola zastąpił gęsty las kasztanów. Ogrodzony jest pasmami drutu kolczastego, ale gałęzie z szerokimi liśćmi i tak dają jakąś osłonę przed słońcem.

Ostrożnie zdejmuję plecak z obolałych ramion i piję wodę. Zostało tylko kilka centymetrów. Ciepła jak krew, ledwie tłumi pragnienie i już jej nie ma. Trzeba było kupić jeszcze jedną butelkę. Ale przecież trzeba było zrobić tyle rzeczy. A teraz jest za późno, żeby cokolwiek zmienić.

Mrużę oczy, patrząc na drogę. Biegnie prosto jak strzała, drży w upale, jest pusta jak okiem sięgnąć. Zakręcam butelkę, wypatruję pojawienia się samochodu. Żaden się nie pojawia. Chryste, ależ upał. Znowu chce mi się pić. Zdejmuję czapkę, przeczesuję palcami wilgotne od potu włosy. Pamiętam, że kawałek wcześniej, przy drodze, przechodziłem obok bramy gospodarstwa. Przygryzam wargę, niechętnie bym zawracał. Ale wyschnięte gardło podejmuje decyzję za mnie. Nie mam pojęcia, kiedy dotrę do następnego miasteczka, jest za gorąco, żeby iść bez wody.

Podnoszę plecak, wracam drogą, którą przyszedłem.

Furtka jest oplątana tym samym zardzewiałym drutem kolczastym, który otacza las. Prowadzi od niej ścieżka niknąca między kasztanami. Do słupka furtki przymocowana jest skrzynka pocztowa, na której wyblakłe litery składają się na jedno słowo: „Arnaud”. Stara, ale solidna z wyglądu kłódka zwisa ze skobla na furtce, ale nie jest zamknięta.

Jeszcze raz patrzę na drogę, ale nadal niczego nie ma w zasięgu wzroku. Ostrożnie, bo uważam na drut kolczasty, popycham furtkę i wchodzę. Trakt wspina się łagodnie po zboczu wzgórza, potem skręca w dół i odsłania gromadę dachów między drzewami. Idę traktem i docieram do zakurzonego podwórza. Z przodu stoi nędzny, stary wiejski dom, do połowy pokryty jakimś marnym rusztowaniem. Za domem jest wielka stodoła, a z boku pusta stajnia, na której zawieszono wiekowy zegar z jedną wskazówką. Koni nie ma, ale w niezadaszonych sklepionych przejściach stoi kilka zakurzonych pojazdów w różnych stadiach zdezelowania.

Nikogo nie widać. Gdzieś w pobliżu beczy koza, kilka kur drapie ziemię. Poza tym miejsce wygląda na opuszczone. Zatrzymuję się na skraju podwórza, nie mam ochoty iść dalej. Drzwi do domu są uchylone. Podchodzę do

niemalowanych desek i pukam. Chwila ciszy, potem odpowiada kobiecie głos.

— *Qui est-ce?*

Popycham drzwi. Po jasnym podwórzu, w środku wydaje się ciemno choć oko wykol. Mija sekunda, dwie, zanim dostrzegam młodą kobietę siedzącą przy kuchennym stole, chwilę potem widzę, że trzyma niemowlę.

Podnoszę pustą butelkę, waham się, układając pytanie po francusku.

— Mógłbym dostać trochę wody?

Jeśli najście cudzoziemca krępuje ją, nie pokazuje tego po sobie.

— Jak się pan tutaj dostał? — pyta; niespieszny, łagodny głos.

— Furtka była otwarta.

Czuję się jak intruz, kiedy mi się przygląda. Sadza niemowlę na wysokim drewnianym krzeselku.

— Chciałby pan też szklanę wody?

— Byłoby wspaniale.

Bierze butelkę do zlewu, pod kranem najpierw napełnia ją, potem dużą szklanę. Piję z wdzięcznością. Woda jest lodowata, ma ziemisty posmak żelaza.

— Dziękuję. — Podaję jej pustą szklanę.

— Zamknie pan za sobą furtkę na kłódkę? — pyta. — Nie powinna być otwarta.

— Okej, jeszcze raz dzięki.

Czuję na sobie jej wzrok, kiedy idę z powrotem przez słoneczne podwórze.

Wracam traktem przez las do drogi. Jest pusta, tak jak była. Zamykam furtkę na kłódkę i idę dalej. Co chwilę będę spoglądał za siebie, żeby sprawdzić, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, ale widzę tylko spieczony słońcem asfalt. Zatykam zagięte kciuki pod pasy plecaka, żeby mi było trochę lżej. Plecak wydaje się cięższy, kiedy przypominam sobie, co w nim jest, więc oczyszczam umysł i koncentruję się na stawianiu stóp, jedna przed drugą.

Warkot silnika stopniowo odrywa się z przegrzanej ciszy. Odwracam się i widzę, że coś nadjeżdża, ciemna plamka zniekształcona przez upał. Z początku jakby unosiła się w bezruchu nad własnym odbiciem. Potem opony rozciągają się w dół, dotykają drogi i z plamki robi się niebieski samochód pędzący w moją stronę.

Już wychodzę z cienia drzew, kiedy dostrzegam, że na dachu coś jest. Chwilę później przychodzi zrozumienie. Przeskakuję płot z drutu kolczastego, rozdieram sobie dzinsy i ląduję niezgrabnie, przez ten plecak. Nie zatrzymuję się, zanurzam się w las, odgłos silnika narasta. Kiedy jest prawie na mojej

wysokości, przykucam za drzewem i patrzę na drogę.

Obok mnie śmiga samochód policyjny. Nasłuchuję, szukam jakichkolwiek oznak, że zwalnia, wskazówek, że mnie zauważyli. Ale odgłos silnika stopniowo cichnie i niknie. Opieram głowę o drzewo. Wiem, że reaguję przesadnie, że prawdopodobnie nie obchodzę francuskiej policji, ale nerwy mam zbyt napięte, żeby ryzykować. I nie odważę się narażać na przeszukanie plecaka.

W ustach mam gorzki smak. Krew; przygryzłem sobie wargę. Pluję, żeby ją oczyścić, i wydaję z plecaka butelkę wody. Ręce mi się trzęsą, kiedy płuczę usta. Potem próbuję się zorientować, gdzie jestem.

Las jest położony na łagodnym stoku, więc w oddali, między drzewami, mogę dostrzec migotanie jeziora. Po jednej jego stronie są dachy zabudowań farmy, małe i nieznaczące z tej odległości. Domyślałem się, że to tam prosiłem o wodę, więc pewnie nadal jestem na ich terenie.

Wstaję, strzepuję gałązki i ziemię z dzinsów. T-shirt lepi się do mnie od potu. Upał jest taki, że powietrze wydaje się ugotowane. Znów patrzę na jezioro, chciałbym w nim popływać. Ale nic z tego, muszę iść. Biorę jeszcze jeden łyk wody, robię krok od drzewa i wrzeszczę, bo coś łapie mnie za stopę.

Padam na kolana, ból przeszywa mi całą nogę. Lewą stopę trzyma para czarnych półkolistych szczęk. Próbuję się oswobodzić, ale ruch wywołuje nową falę piekącego bólu, która rozchodzi się aż do uda.

— Jezu!

Przestaję się ruszać, panicznie zasysam powietrze. Wdepnąłem w jakąś żelazną pułapkę myśliwską ukrytą w płataninie korzeni drzewa. Zatrzasnęła się na stopie, między podbiciem a miejscem nad kostką, wyszczerbione żelazne zęby przekłuły twardą skórę buta. Wbiły się tak głęboko w ciało, że czuję ich zimny dotyk na kości.

Zaciskam oczy, próbuję zaprzeczyć temu, co widzę.

— O kurwa! Kurwa!

Ale to nic mi nie daje. Zrzucam plecak, przyjmuję wygodniejszą pozycję, chwytam za szczęki pułapki. Ani drgną. Opieram wolną stopę o korzeń i próbuję raz jeszcze. Tym razem zostaję wynagrodzony, czuję, że odrobinę ustępują, ale znacznie za mało. Ramiona mi drżą z wysiłku, metalowe kanty wrzynają się w dłoń. Powoli pozwalam, żeby pułapka łagodnie się zamknęła, siadam i dyszę.

Ssę obolałe miejsca na dłoniach, dokładniej przyglądam się potrzaskowi. Jest prymitywnej roboty, lekko pokryty ochrą rdzy, ale za mało, żeby pomyśleć, że leży tutaj od dawna. Tak naprawdę, oliwa na zawiasach wygląda na świeżą. To

dość niepokojące, tak naprawdę. Próbuję nie myśleć, co to może znaczyć, przenoszę uwagę na łańcuch, który mocuje pułapkę w miejscu. Jest krótki, prowadzi do drewnianego palika zakopanego między korzeniami. Kilka szarpnięć wystarczy, żebym się przekonał, że marnuję czas, usiłując go wyciągnąć.

Siedzę z uwięzioną nogą wyciągniętą przed siebie, podpieram się dłońmi, żeby podciągnąć się i usiąść wygodniej, czuję coś mokrego. Butelka z wodą leży tam, gdzie ją rzuciłem, większość jej zawartości wsiąka w suchą ziemię. Chwytam butelkę, chociaż to, co się miało wylać, już się wylało. Ostrożnie pociągam łyk, zakręcam to, co zostało, próbuję myśleć.

Okej, spokojnie. Początkowy ból zmienił się w pulsowanie jak ból zęba, rozciąga się wzdłuż goleni. Krew zaczęła przesączać się przez skórę buta. Nie licząc brzęczenia owadów, cętkowany światłem las jest cichy. Patrzę na odległe dachy zabudowań farmy. Są za daleko, żeby ktoś usłyszał mój krzyk, ale i tak nie zmiernam krzyczeć. Chyba że będę musiał.

Grzebię w plecaku, żeby znaleźć scyzoryk. Wiem, że gdzieś tam jest, ale kiedy szukam, moje palce trafiają na coś innego. Wyciągam to, przechodzi mnie silna fala wstrząsu.

Zdjęcie ma ośle uszy i jest wyblakłe. Nie miałem pojęcia, że leży w plecaku; zapomniałem, że w ogóle je mam. Twarz dziewczyny jest prawie całkiem przesłonięta zagięciem, które zniekształca jej uśmiech. Za nią widać biel mola w Brighton, jaskrawą na tle błękitnego nieba. Dziewczyna ma blond włosy, wypłowiałe od słońca, twarz opaloną i zdrową. Szczęśliwą.

Kręci mi się w głowie. Kiedy odkładam zdjęcie, drzewa jakby się pochylają. Robię głębokie wdechy, nie chcę zgubić zdjęcia. Przeszłość odeszła. Nic nie poradzę, nie zmienię jej, a teraźniejszość wystarczy za wszystkie kłopoty. Znajduję scyzoryk i sadowię się wygodniej. Nóż ma ostrze długości kilku centymetrów, otwieracz do butelek i korkociąg, ale niczego do rozbrajania żelaznych pułapek. Wciskam ostrze w szczęki, próbuję je podważyć i otworzyć, upadam na plecy, kiedy ostrze trzaska.

Rzucam na ziemię złamany nóż i rozglądam się za czymś innym. Niedaleko leży uschnięta gałąź. Jest poza moim zasięgiem, ale używam mniejszej, żeby ją przyciągnąć, potem wklinowuję ją grubszym końcem między zęby szczęki. Metal wrzyna się w drewno, ale pułapka powoli zaczyna się otwierać. Naciskam mocniej, zgrzytam własnymi zębami, kiedy te żelazne zaczynają wychodzić z ciała.

— Tak! No, dalej!

Kijek się łamie. Szczęki znów się zatrząskują.

Krzyczę.

Kiedy ból ustępuje, leżę płasko na plecach. Podciągam się i bezradnie ciskam patykiem w pułapkę.

— Cholerstwo!

Już nie mogę udawać, że to nic poważnego. Nawet gdybym uwolnił stopę, wątpię, żebym daleko tak zaszedł. Ale chcę zmierzyć się z tym problemem, bo nie móc się uwolnić to rzecz znacznie bardziej przerażająca.

„Zadowolony? Sam się w to wpakowałeś”. Wygłaszając te myśli, próbuję się skupić na bardziej nagłym problemie. Korkociągiem scyzoryka zaczynam kopać wokół kołka, do którego uwiązana jest pułapka. To daremny trud, ale dźganie ziemi i korzeni pozwala mi rozładować emocje. W końcu wypuszczam scyzoryk i opadam plecami na pień.

Słońce zeszło znacznie niżej. Jeszcze przez wiele godzin się nie ściemni, jednak wizja, że trzeba tu będzie leżeć całą noc, jest przerażająca. Przeczesuję umysł, poszukując pomysłów, ale zostało mi tylko jedno.

Głęboko nabieram tchu i wrzeszczę.

Mój krzyk zamiera bez echa. Wątpię, żeby dotarł do farmy, w której byłem. Wrzeszczę głośniejsze, po angielsku i francusku, wydzieram się, aż chrypnę i boli mnie gardło.

— Ktokolwiek! — prawie szlocham, potem ciszej: — Proszę! — Słowa wchłania popołudniowy upał, giną między drzewami. Po nich znów zapada cisza.

I już wiem, że nigdzie nie pójde.

Następnego dnia rano gorączkuję. Z plecaka wyjąłem śpiwór i zarzuciłem go na siebie na noc, ale i tak prawie cały czas strasznie się trzęsę. Stopa dudni mi tęnym bólem, pulsuje w rytm bicia serca. Opuchlizna sięga powyżej kostki. Chociaż rozluźniłem sznurowadła, jak tylko się dało, skóra buta, teraz czarna i lepka, jest napięta jak na bębnie. Wygląda jak wielki czyrak, który zaraz pęknie.

Z pierwszym światłem znów próbuję krzyczeć, ale suchość w gardle sprowadza to do ochrypłego krakania. Wkrótce nawet krzyk wymaga zbyt wiele wysiłku. Próbuję wymyślić inne sposoby, żeby przyciągnąć uwagę, i przez jakiś czas pobudza mnie myśl, żeby podpalić drzewo, pod którym leżę. Zaczynam nawet obmacywać kieszenie, szukając zapalniczki, zanim wraca mi rozsądek.

Przeraża mnie, że myślałem o tym na poważnie.

Ale chwile przytomności nie trwają długo. Kiedy słońce się podnosi,



podsycając poranny skwar, zrzucam z siebie śpiwór. Płonę, ulegam klasycznej sztuczce gorączki: człowieka jednocześnie oblewa pot i wstrząsają nim dreszcze. Z nienawiścią patrzę na stopę, żałuję, że nie mogę jej odgryźć jak schwytane w potrzask zwierzę. Przez chwilę myślę, że mogę, czuję smak swojej skóry, krwi i kości, kiedy wgryzam się we własną nogę. Potem znowu siedzę oparty o drzewo i jedyne, co wgryza mi się w stopę, to żelazny półksiężyc.

Co raz odpływam i wracam do siebie, zanurzam się w pokrętne, rozgorączkowane wizje. W pewnej chwili otwieram oczy i widzę wpatrzoną we mnie twarz. To twarz dziewczyny, jest piękna i przypomina oblicze Madonny. Zlewa się z twarzą ze zdjęcia, dręczy mnie poczuciem winy i smutkiem.

— Przepraszam — mówię albo wydaje mi się, że mówię. — Przepraszam.

Gapię się w tę twarz, czekam z nadzieją na znak przebaczenia. Ale kiedy tak patrzę, kształt czaszki pod twarzą zaczyna przeświecać, powierzchowne piękno łuszczy się, ukazuje gnicie i rozkład pod spodem.

Czuję nową eksplozję bólu, świeża męka unosi mnie na swój szczyt. Z dala dochodzi czyjś krzyk. Kiedy słabnie, słyszę głosy mówiące w języku, który rozpoznaję, ale którego nie potrafię rozszyfrować. Zanim wszystko się ze sobą zleje i zatrze, kilka słów dociera do mnie z wyrazistością kościelnego dzwonu.

— *Doucement. Essayez d'être calme.*

Spokojnie, to zrozumiałem. Ale zachodzę w głowę, dlaczego chcą, żebym był cicho.

Potem zmiata mnie fala bólu i przestaję być.

## Londyn

Światlik w suficie jest zaparowany. Deszcz przetacza się po nim z odgłosem werbla. Nasze rozmazane odbicia wiszą nad nami, kiedy leżymy w łóżku, zamglone sobowtóry uwięzione w szkle.

Chloe znów odpłynęła. Na tyle dobrze znam jej nastroje, żeby nie naciskać, żeby zostawić ją jej samej, aż wróci z własnej woli. Patrzy w górę, przez okno w dachu, blond włosy odbijają blask lampy z muszli, którą kupiła na pchlim targu. Oczy ma niebieskie, nie mruga. Myślę, jak zawsze, że mógłbym przejechać przed nimi dłonią i nie zareagowałyby. Chcę zapytać, o czym myśli, ale nie pytam. Boję się, że mogłaby powiedzieć.

Powietrze w pokoju jest zimne i wilgotne, czuję je na gołej piersi. Po drugiej stronie mieszkania, na sztalugach Chloe, stoi nietknięte płótno. Jest puste już od

tygodni. Smród oleju i terpentyny, który od dawna kojarzyłem z tym małym mieszkankiem, tak zwietrzał, że ledwie można go wychwycić.

Czuję jej ruch obok siebie.

— Myślałeś kiedyś o umieraniu? — pyta.

# Rozdział 2

Z góry patrzy na mnie oko. Jest czarne, ale w środku przesłonięte kataraktą, szarą mgłą odbijającą ciemne kształty. Seria linii rozchodzi się od niego jak kręgi na wodzie. W pewnym miejscu zmieniają się w teksturę kawałka drewna. Oko staje się sękiem, mgła pajęczą siecią, która rozciąga się na nim jak zakurzony koc. Jest zaśmiecona łuskami po od dawna martwych owadach. Mimo to ani śladu pająka.

Nie wiem, jak długo się tak gapię w górę, ale w końcu rozpoznaję, że to drewniana belka, surowa, poczerniała od starości. Wkrótce zdaję sobie sprawę, że jestem na jawie. Nie czuję przymusu, żeby się ruszyć; jest mi ciepło i wygodnie, na teraz wystarczy. Mój umysł jest pusty, zadowolony z tego wpatrywania się w pajęczynę. Ale ledwie zaczynam myśleć, zadowolenie pryska. Wraz ze świadomością przychodzą pytania i poryw paniki: kto, co, kiedy.

Gdzie?

Podnoszę głowę i się rozglądam.

Leżę w łóżku, w miejscu, którego nie rozpoznaję. To nie szpital ani więzienna cela. Słońce wpada z ukosa przez jedno małe okno. Belka, na którą patrzyłem, to krokiew, część trójkątnego drewnianego żebrowania schodzącego po obu stronach do podłogi. Srebro światła dziennego prześwieca przez szpary między nachodzącymi na siebie gontami dachu. A zatem — strych. Jakaś stodoła, sądząc po wyglądzie. Jest długa, z nagimi deskami na podłodze i dwuspadowymi szczytami po obu skrajach. Do jednego z nich stoi przysunięte moje łóżko. Graty i meble, większość połamana, są składowane pod nieotynkowanymi kamiennymi ścianami. Zapach stęchlizny mówi o starości, wiekowym drewnie i kamieniu. Jest gorąco, ale można wytrzymać.

Światło wpadające przez zakurzoną szybę ma w sobie świeżość poranka. Na rękę nadal mam zegarek, pokazuje siódmą. Jakby na potwierdzenie, że to ranek, gdzieś z zewnątrz dochodzi ochryple pianie koguta.

Nie mam pojęcia, gdzie jestem ani co tu robię. Potem poruszam się i nagły ból na końcu nogi skutecznie pobudza moją pamięć krótkotrwałą. Odrzucam okrywające mnie prześcieradło i z ulgą widzę, że wciąż mam stopę. Jest owinięta białym bandażem, z którego wystają palce jak rzodkiewki. Poruszam nimi nieśmiało. Boli, ale nie tak bardzo jak przedtem.

Dopiero wtedy zdaję sobie sprawę, że jestem nagi. Moje dżinsy i T-shirt są na drewnianym krześle przy łóżku. Złożone i wyglądają na świeżo wyprane. Obok, na deskach podłogi stoją moje buty, ktoś próbował wyczyścić ten zniszczony. Ale skóra pociemniała od plam krwi, a rozdarcia od zębów pułapki nie nadają się do naprawy.

Okrywając się prześcieradłem, próbuję sobie przypomnieć, co się ze mną działo między tym, jak wlałem w pułapkę, a tym, jak obudziłem się tutaj. Nie ma nic, ale pojawiają się inne wspomnienia. Pułapka w lesie, jazda autostopem, porzucenie samochodu. I już pamiętam te najważniejsze wydarzenia, które doprowadziły mnie tutaj.

O Jezu, myślę, przejeżdżam dłonią po twarzy, kiedy to wszystko wraca.

Widok plecaka opartego o starego czarnego konia na biegunach wyrzywa mnie ze wspomnień. Przypominam sobie, co w nim jest, siadam. Za szybko: zamykam oczy, walczę z falą nudności, pokój wiruje. Ledwie to znika, kiedy słyszę kroki zbliżające się z dołu. Potem kawałek podłogi głośno skrzypi i uchyla się na bok.

Czyjeś ramię pchnięciem otwiera włącz, potem na strych wchodzi dziewczyna. Tak, już ją widziałem; w wiejskim domu, z niemowlęciem. To odpowiedź na pytanie, gdzie jestem, a może i dlaczego. Patrząc na mnie, waha się.

— Nie śpisz — mówi.

Mija chwila, zanim rejestruję, że powiedziała to po angielsku. Z mocnym akcentem, trochę niepewnie, ale całkiem płynnie. Czuję za sobą nagie kamienie, zdaję sobie sprawę, że oparłem się o ścianę. Jedna ręka chwyciła prześcieradło, aż zrobił się przesiąknięty potem węzeł. Kobieta zatrzymuje się kilka kroków od łóżka — uświadamiam sobie, że to tylko materac na dechach podłogi.

— Jak się czujesz? — pyta niskim i spokojnym głosem.

Ubrana jest w koszulę bez rękawów i mocno znoszone dżinsy. Nie ma w niej niczego groźnego, ale spowolniony komputer mojego mózgu teraz jakby się zawiesił. Boli mnie gardło, kiedy próbuję odpowiedzieć. Przełykam, znowu próbuję.

— Moja stopa...

— Była paskudnie poraniona. Ale nie martw się, już w porządku.

Nie martwić się? Patrzą wkoło.

— Gdzie jestem?

Nie odpowiada od razu; albo usiłuje zrozumieć pytanie, albo sformułować odpowiedź. Powtarzam, tym razem po francusku.

— Jesteś na farmie. Tu, gdzie przyszedłeś po wodę. — Głos ma bardziej płynny we własnym języku, ale nadal pobrzmiwa w nim wahanie, jakby weryfikowała swoje słowa, zanim je wypowie.

— Czy to jest... czy to stodoła?

— W domu nie ma miejsca. — Jej szare oczy są spokojne. — Moja siostra znalazła cię w lesie. Sprowadziła mnie i przyniosłyśmy cię tutaj.

Przelotnie widzę twarz dziewczyny, potem obraz znika. To wszystko nie ma sensu. Ciągłe tak mąci mi się w głowie, że nie wiem, ile z tego, co pamiętam, jest prawdą, a ile majaczeniem.

— Jak długo tu jestem?

— Znalazłyśmy cię trzy dni temu.

Trzy dni? Są jakieś niejasne wrażenia: ból i pot, chłodne dłonie i pocieszające słowa, ale to mogą być tylko urojenia z gorączki. Czuję, że znowu wzbiera we mnie panika. Patrzę z niepokojem, jak dziewczyna wyjmuje z kieszeni jakąś zmiętą chusteczkę i rozwija dużą białą tabletkę.

— Co to?

— Tylko antybiotyk. Dawaliśmy ci go, kiedy byłeś nieprzytomny. Miałeś gorączkę, a w ranę wdało się zakażenie.

Zerkam na namiot utworzony przez stopy pod prześcieradłem, wszystkie inne obawy nagle tracą na znaczeniu.

— Z tą nogą to bardzo źle?

Podnosi butelkę stojącą obok łóżka i nalewa wody do szklanki.

— Goi się. Ale przez jakiś czas nie będziesz mógł chodzić.

Jeśli kłamie, nie potrafię tego rozpoznać.

— Co się stało? Tam była pułapka...

— Później. Musisz odpocząć. Proszę.

Podsuwa mi szklankę i tabletkę. Biorę je, jestem zbyt zmieszany, żeby myśleć jasno. Ale atmosfera cichej powściągliwości, która ją otacza, dziwnie uspokaja. Może być rok, dwa przed trzydziestką albo po trzydziestce, jest szczupła, ale ma pełne piersi i biodra. Ciemne włosy przycięte są tuż nad karkiem, co chwila zakłada je z jednej strony za ucho gestem, który wygląda raczej na nawyk niż pozę. Jedyнным uderzającym rysem są jej oczy, podkrążone ze zmęczenia, ciemne i szare jak dym.

Teraz, kiedy łykam tabletkę, czuję na sobie ich spojrzenie, poważne, nieodgadnione. Popijam wodą, najpierw biorę tylko łyček, potem pociągam łyk za łykiem, kiedy zdaję sobie sprawę, jak mi się chce pić.



— Więcej? — pyta, kiedy kończę. Kiwam głową i podaję jej szklanę. — W butelkach przy łóżku jest świeża woda. Staraj się pić jak najwięcej. A jak będzie bardzo bolało, weź dwie z tych.

Podnosi buteleczkę z tabletkami. Jak na dany znak stopa zaczyna mi pulsować, ból jest tylko cieniem swojej przeszłej chwały, ale i tak jest. Staram się tego nie pokazywać po sobie, ale w jej łagodnych szarych oczach jest coś takiego, że wiem, że jej nie oszukam.

— Skąd wiedziałaś, że jestem Anglikiem?

Odpowiada bez wahania.

— Zajrzałam do twojego paszportu.

W ustach nagle robi mi się sucho, chociaż wypilem wodę.

— Przeszukałaś mój plecak?

— Tylko po to, żeby zobaczyć, kim jesteś.

Ma poważny wyraz twarzy, bez cienia skruchy. Próbuję nie patrzeć na plecak, ale serce bije mi mocniej.

— Teraz muszę iść — mówi. — Spróbuj jeszcze odpocząć. Niedługo przyniosę ci coś do jedzenia.

Tylko kiwam głową, nagle zniecierpliwiony, chcę, żeby sobie poszła. Czekam, aż wyjdzie, aż zamknie się za nią kłapa w podłodze, potem przyciągam plecak. Koń na biegunach, uwolniony od jego ciężaru, buja się w tył i w przód. Otwieram plecak, zanurzam rękę do środka, nie wyczuwam niczego poza ubraniami. Potem, kiedy już myślę, że tego nie ma, moje palce natrafiają na fałdy plastiku.

Nie wiem, czy mi ulżyło, czy zrobiło się smutno.

Wygląda na to, że nikt nie ruszał paczki. Czuję jej ciężar w swojej dłoni, jej solidna waga jest jak oskarżenie. Powinienem się jej pozbyć, kiedy miałem okazję. Teraz już za późno. Owijam ją T-shirtem, wpycham z powrotem na dno plecaka i przykrywam resztą ciuchów. Sprawdzam, czy paszport i pieniądze też tam są nadal. Są, ale kiedy je wkładam z powrotem, dotykam kwadratu błyszczącego kartonika.

To zdjęcie. Nie chcę tego robić, ale nie mogę się powstrzymać, znów je wydaję. Czuję ból pod mostkiem, kiedy patrzę na twarz dziewczyny uśmiechającej się w słońcu. Pod wpływem impulsu chwytam zdjęcie za krawędź, żeby przedrzeć je na pół. Ale nie potrafię tego zniszczyć. Wyglądam zagięcie i wsuwam fotografię z powrotem do kieszeni.

Nagle czuję się potwornie zmęczony. I jeszcze bardziej zdezorientowany. Ta dziewczyna właściwie niczego mi nie powiedziała, przede wszystkim dlaczego

jestem w stodole, a nie w szpitalu. Z opóźnieniem dociera do mnie coś jeszcze. Kiedy zamknęła klapę w podłodze, rozległ się inny odgłos — mocne, głuche stuknięcie metalu o drewno.

Odgłos zamykanej zasuw.

Zabandażowana stopa pulsuje, kiedy spuszczam nogi z materaca. Nie zwracam na to uwagi, wstaję i mało nie upadam. Opieram się o kamienną ścianę, czekam, aż strych przestanie wirować, potem próbuję zrobić krok. Stopa wrzeszczy z bólu pod moim ciężarem, rzucam się do przodu, chwytam krzesło, coś przy nim grzechocze. Nocnik, rozpoznaję; po raz pierwszy czuję parcie na pęcherz.

Ale to musi poczekać. Jasne że daleko nie zajdę, ale nie wrócę do łóżka, dopóki się nie przekonam. Opierając się o sterty zakurzonych mebli pod ścianami, zataczam się w stronę klapy w podłodze. Jest na niej żelazne kółko. Przytrzymuję się starej komody, łapię za nie i ciągnę. Klapa lekko ustępuje, potem staje w miejscu.

Zaryglowana.

Chryste. Przewyciężam świeży przyływ paniki. Nie potrafię wyobrazić sobie powodu, żeby mnie tu zamykać, w każdym razie żadnego dobrego powodu. Próba sforsowania zasuw nie wchodzi w rachubę. Nawet gdybym znalazł coś, żeby siłą otworzyć klapę. Samo dojście tutaj całkowicie mnie wyczerpało. Korzystam z nocnika, zadowolony z tej małej ulgi, potem padam z powrotem na materac. Pokrywa mnie błyszczący tłusto pot, pulsuje mi i głowa, i stopa.

Biorę dwa proszki przeciwbólowe i znów się kładę, ale jestem zbyt niespokojny, żeby zasnąć. Stopa zaczyna się uciszać, kiedy rozlega się cichy dźwięk od strony klapy w podłodze. Chroboczący szmerek — zasuw jest odsuwana, potem klapa na zawiasach ze skrzypieniem otwiera się szeroko.

Tym razem to inna dziewczyna, młodsza od tej pierwszej. Nie widziałem jej wcześniej, ale kiedy opuszcza klapę, gra światła na jej twarzy potrąca fałszywą nutę pamięci. Niesie tacę i uśmiecha się wstydliwie, kiedy widzi, że siadam. Pospiesznie zakrywam przyrodzenie prześcieradłem, chroniąc swoją nagość jak w renesansowym akcie. Ona spuszcza oczy, stara się nie uśmiechać.

— Przyniosłam ci coś do jedzenia.

Wygląda na niespełna dwadzieścia lat, jest uderzająco piękna, nawet w spłowiałym T-shircie i dżinsach. Nosi różowe klapki, wydają się absurdalne i jednocześnie dziwnie uspokajające.

— Niewiele tego, tylko chleb i mleko. — Stawia tacę przy łóżku. — Mathilde mówi, że nie powinienesz jeszcze dostawać dużo.

— Mathilde?

— Moja siostra.

Rozumiem, że to ta druga. Nie są do siebie zbyt podobne. Ta tutaj ma jaśniejsze włosy, prawie blond, sięgają jej do ramion. Oczy są w bledszym odcieniu niż szarość oczu siostry, na mostku nosa jest lekkie zgrubienie w miejscu złamania; drobna niedoskonałość, która jakoś pasuje do całości.

Ciągle na mnie zerka, cały czas się uśmiecha. W policzkach robią się jej ujmujące dołeczki.

— Jestem Gretchen. — To nie jest francuskie imię, ale jak tylko je wypowiedziała, myślę, że pasuje. — Cieszę się, że nie śpisz. Parę dni byłeś chory.

Teraz rozumiem, dlaczego wygląda znajomo: oblicze Madonny z moich majaczeń wcale nie było halucynacją.

— To ty mnie znalazłaś?

— Tak. — Wygląda na zawstydzoną, ale zadowoloną. — Hm, tak naprawdę to Lulu.

— Lulu?

— Nasz pies. Zaczęła szczekać. Myślałam, że zobaczyła królika. Z początku wyglądałeś tak, jakbyś nie żył. Wszędzie po tobie łąziły muchy. Potem jęknąłeś, no i wiedziałam, że żyjesz. — Szybko obrzuca mnie wzrokiem. — Było strasznie trudno wyciągnąć cię z pułapki. Musiałyśmy podważyć ją łomem. Rzucałeś się i wywrzaskiwałeś różne rzeczy.

Staram się mówić równym głosem.

— Na przykład jakie?

— Och, takie tam bredzenie. — Przechodzi na drugą stronę łóżka i opiera się o konia na biegunach. — Majaczyłeś i większość mówiłeś po angielsku, więc nie rozumiałam, ale przestałeś, kiedy uwolniłyśmy ci stopę.

Ze sposobu, w jaki opowiada, wynika, że w tym zajściu nie ma niczego nadzwyczajnego.

— My, to znaczy kto?

— Ja i Mathilde.

— Tylko wy dwie? Przyniosłyście mnie tutaj same?

— Oczywiście. — Jej usta układają się w kpiący uśmieszek. — Nie jesteś taki ciężki.

— Nie, ale... Jak to się stało, że nie jestem w szpitalu? Nie dzwoniłyście po karetkę?

— Nie mamy telefonu. — Nie wygląda na to, żeby widziała w tym coś dziwnego. — Zresztą nie było potrzeby. Mathilde zna się na ranach i takich tam. Papa wyszedł z Georges'em, więc nie chciała... No, po prostu same dałyśmy sobie radę.

Nie wiem, co zamierzała powiedzieć ani kto to taki ten Georges, teraz jednak mam ważniejsze rzeczy do przemyślenia.

— Mathilde jest pielęgniarką?

— Och, nie. Ale opiekowała się *maman* przed jej śmiercią. I zajmuje się zwierzętami, kiedy się porania. Świniodziki ciągle ze sobą walczą albo rozcinają sobie skórę o płot.

Nie miałem pojęcia, co to jest świniodzik, i mało mnie to obchodziło.

— Nie wezwaliśmy nawet lekarza?

— Mówiłam ci, nie było potrzeby. — Wydaje się poirytowana. — Nie rozumiem, dlaczego tak się denerwujesz. Powinieneś być wdzięczny, że się tobą zaopiekowałyśmy.

Ta cała sytuacja robi się coraz bardziej surrealistyczna, ale w mojej sytuacji nie mogę nikogo do siebie zrażać.

— Jestem wdzięczny. To tylko... trochę pogmatwane.

Udobruchana siada na konia na biegunach. Jej wzrok wędruje do mojej twarzy.

— Co ci się stało w policzek? Upadłeś, kiedy wdepnąłeś w pułapkę?

— Och... chyba tak. — Zapomniałem o otarciu. Dotykam go i ból wywołuje wspomnienia; serce zaczyna mi walić. Opuszczam rękę i próbuję skupić się na teraźniejszości. — Ta pułapka nie wyglądała na bardzo starą. Wiesz może, co tam robiła?

Kiwa głową.

— To jedna z pułapek papy.

Nie wiem, co mnie bardziej szokuje: to, że tak swobodnie to powiedziała, czy to, że pułapek jest więcej.

— To znaczy, że o niej wiedziałaś?

— Oczywiście. Papa zastawił ich mnóstwo. Tylko on dokładnie się orientuje, gdzie są, ale powiedział nam, w których częściach lasu musimy uważać.

Wymawia to *p'pah*, dwie delikatne eksplozje głosek wypychają jej wargi. Zdrobnienie brzmi bardziej szacownie niż u dzieci, ale mam na głowie inne

sprawy.

— A co on próbuje złapać? Przecież tu w okolicy nie ma niedźwiedzi, prawda?

Coś mi się niewyraźnie kojarzy, że w Pirenejach jednak mogą być niedźwiedzie brunatne. To daleko stąd, ale żadne inne, w miarę niewinne wyjaśnienie nie przychodzi mi do głowy.

Śmiech Gretchen zabija nawet tę słabą nadzieję.

— Nie, oczywiście że nie ma. Pułapki są po to, żeby ludzie tędy nie przechodzili.

Mówi to tak, jakby ustawianie niemal śmiercionośnych sideł na ludzi było całkowicie normalne. Patrząc na stopę, nawet teraz nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

— Chyba nie mówisz poważnie?

— Las należy do nas. Jak ktoś do niego wejdzie, dobrze mu tak. — Stała się chłodna, wyniosła. — A tak w ogóle, co robiłeś na naszej ziemi?

Ukrywałem się przed samochodem policyjnym. To zaczyna wyglądać na mniejsze zło.

— Musiałem skorzystać z toalety.

Gretchen chichocze, zły humor jej mija.

— Pewnie żałujesz, że się nie wstrzymałeś.

Silę się na słaby uśmiech. Przypatruje mi się uważnie, muskając palcami szorstką grzywę konia na biegunach.

— Mathilde mówi, że jesteś turystą. Przyjechałeś tu na wakacje?

— Coś w tym stylu.

— Bardzo dobrze mówisz po francusku. Masz dziewczynę Francuzkę?

Kręcę głową.

— No to Angielkę?

— Nie. Kiedy mogę odejść?

Gretchen przestaje głaskać końską grzywę.

— A co? Śpieszy ci się?

— Ludzie na mnie czekają. Będą się martwić.

Kłamstwo brzmi nieprzekonująco nawet dla mnie.

Dziewczyna się odchyła, opiera z tyłu ręce na koniu tak, że piersi rozpychają jej T-shirt. Odwracam wzrok.

— Jeszcze nie możesz odejść — mówi. — Nie wydobrzałeś. Omal nie umarłeś, rozumiesz. Powinieneś być wdzięczny.



Powiedziała to po raz drugi: nie jestem pewien, czy to groźba. Kłapa w podłodze za nią nadal jest niezamknięta na zasuwę i przez chwilę zastanawiam się, czy nie rzucić się tam pędem. Ale zaraz brutalnie wyhamowuje mnie rzeczywistość: w tej chwili bieganie nie wchodzi w grę.

— Lepiej już wróćę — mówi Gretchen.

Koń na biegunach przytakuje gwałtownie, kiedy dziewczyna wstaje. Dżinsy mocno opinają jej pośladki i biodra, kiedy nachyla się, żeby podnieść ciężką kłapę. Bardziej się przy tym napręży, niż to bezwzględnie potrzebne, a szybkie spojrzenie, które rzuca w moją stronę, sprawia, że nie wydaje mi się to przypadkowe.

— Mogłabyś zostawić włącz otwarty? — pytam. — Tu nie ma powietrza.

Śmiech Gretchen jest lekki i dziewczęcy.

— Oczywiście, że jest tu powietrze, inaczej jak byś oddychał. Umarłbyś.

Chociaż się tego spodziewam, i tak wzdrygam się, kiedy słyszę, jak zasuwa wchodzi na swoje miejsce.

Nie pamiętam tego, jak zasypaim. Kiedy się budzę, na strychu zmierzcha, pełno tu cieni. Ustawiam zegarek pod kątem, żeby złapać światło, i widzę, że jest po dziewiątej. Nasłuchuję jakichkolwiek odgłosów życia na zewnątrz, ale niczego nie słychać. Ani szeptu, tylko ptaki i owady.

Czuję się jak ostatni człowiek na Ziemi.

Taca z jedzeniem, którą przyniosła Gretchen, nadal stoi przy łóżku. Jest butelka po winie napełniona wodą, miska z mlekiem i dwa kawałki czegoś, co wygląda na chleb domowego wypieku. Z zaskoczeniem uświadamiam sobie, że jestem głodny jak wilk. Mleko, chłodne i tłuste, ma wyrazisty smak, więc myślę, że to kozie. Moczę w nim chleb, przekonany, że to nawet powierzchownie nie drażni mojego głodu, ale ten, kto przygotował posiłek, wiedział o tym lepiej ode mnie. Po kilku kęsach mój apetyt więdnie i ginie. Odstawiam to, co zostało, i się kładę.

Nasycony na tę chwilę patrzę na ciemniejące belki dachu, a stopa pulsuje mi jak metronom. Nie mogę dojść, czy jestem więźniem, czy pacjentem. Dobrze się mną zaopiekowano, a jeśli w lesie na farmie nielegalnie poustawiali mnóstwo potrzasków, to wyjaśnia, dlaczego nie chcieli ryzykować i zabrać mnie do szpitala.

Ale potem moje rozważania zbaczą na mroczniejszą drogę. Nadal tkwię zamknięty w stodole i nikt nie wie, że tutaj jestem. Co się stanie, jeśli mi się pogorszy? I co się stanie, jak wyzdrowieję? Czy po prostu pozwolą, żebym stąd

wyszedł?

Spocony i niespokojny rzucam się i wiercę na nierównym materacu, próbuję wygodnie się ułożyć. W pewnej chwili ponownie odpływam w sen. Znow jestem w zagajniku, zeskrobuje plamy krwi z pasa bezpieczeństwa. Nie chcą zejść, pas głucho łomocze o fotel. Ten odgłos się nasila, a potem budzę się na strychu, dudnienie dochodzi spod podłogi.

W końcu załapuję, że ktoś wspina się po schodach, potem rozlega się zgrzyt odsuwanej zasuwki i kłapa zostaje otwarta.

Opada z trzaskiem. Jakiś mężczyzna, tupiąc, pokonuje ostatnie stopnie, trzyma w górze lampę. Jest po pięćdziesiątce, mocno zbudowany, baryłkowaty, ma szare jak żelazo włosy i pobrużdżoną, wysuszoną słońcem twarz. W tej chwili zmarszczki ułożyły się groźnie, wpatruje się we mnie. W dłoniach ściska karabin myśliwski, nie celuje we mnie, ale trzyma go tak, że rozumiem jego zamiary.

Siadam, opieram się plecami o ścianę; niezgrabnie idzie w moją stronę. Mathilde wbiega za nim po schodach.

— Nie! Proszę!

Nie zwraca na nią uwagi. Zatrzymuje się u stóp łóżka i patrzy na mnie z wściekłością. Żółta poświata lampy formuje wokół nas jaskinię światła, reszta pomieszczenia pozostaje w mroku.

— Wynoś się — warczy. Emanuje z niego tłumiona furia, ledwie wstrzymywana chęć, żeby wyciągnąć mnie z łóżka.

Mathilde chwyta go za ramię.

— Przynajmniej pozwól mu tu zostać do rana...

Odtrąca ją, nie spuszczając ze mnie wzroku.

— Wynoś się — powtarza.

Nie mam dużego wyboru. Odrzucam prześcieradło, próbuję udawać, że nie przejmuję się swoją nagością. Kuśtykam w stronę nocnika, siadam, żeby się ubrać, staram się nie krzywić, kiedy wciągam dżinsy przez zabandażowaną stopę. Nie mogę wbić jej w zniszczony but, więc wciskam go do plecaka razem z resztą swoich rzeczy. Kiedy już to zrobiłem, niepewnie wstaję.

Mężczyzna dźga kolbą w stronę klapy.

— Jazda — mówi bez potrzeby.

— W porządku, idę — odpowiadam, próbując zachować resztki godności.

I chcę iść; po prostu nie wiem, czy dam radę przejść przez strych. Zatrzymuję się, zbieram siły na długą przeprawę przez pomieszczenie. Twarz

Mathilde jest bez wyrazu, tak jakby dziewczyna odizolowała się od tego, co się dzieje.

Mężczyzna robi krok w moim kierunku.

— No, dalej.

W tym stanie trudno mi się spierać. Oburącz chwytam aluminiowy stelaż plecaka, stawiam go przed sobą jako podpórkę. Odległość do klapy pokonuję serią powolnych, chwiejnych skoków. Mathilde i jej ojciec ruszają za mną. W świetle jego lampy widzę Gretchen, stoi na schodach z niemowlęciem. Zdumiewające, dziecko nadal śpi, przewieszane bezwładnie przez jej ramię. Ona sama jednak oczy ma szeroko otwarte, wygląda na wystraszoną, kiedy schodzi mi z drogi.

Stawiam plecak dokładnie na krawędzi klapy. Gniew i upokorzenie doprowadziły mnie aż tutaj, ale nie wiem, jak zdołam iść dalej. Czyste ubranie już się do mnie lepi. Czuję zapach własnego ciała, smród choroby we własnym pocie. Ostrożnie się opuszczam, siadam na brzegu włazu i wsuwam ramiona pod pasy plecaka. Potem, ześlizgując się w przód, wymacuję zdrową stopą schodek i przenoszę na niego swoją masę. Trzymam się skraju klapy, ogarnia mnie uczucie triumfu, kiedy zeskakuję na następny schodek. Ledwie zdołałem zarejestrować szybkie kroki za sobą, kiedy coś wali mnie w plecy i zlatuję w ciemność.

Tracę oddech, koziółkując w dół schodów. Wpadam na butelki, roztrącam je po podłodze z niemelodyjnym brzękiem. Leżę tam, gdzie upadłem, ogłuszony, bez tchu. Przygniata mnie martwy ciężar plecaka, próbuję się dźwignąć na nogi, potem ktoś mi pomaga.

— Nic ci nie jest?

To Mathilde. Zanim zdążam odpowiedzieć, jej ojciec schodzi ze schodów, światło lampy odbija się blaskiem od porozwalanych butelek. Za nim, w cieniu, rozpoznaję Gretchen. Niemowlę obudziło się, zaczęło płakać, ale nikt jakby tego nie zauważa. Jesteśmy na drewnianym balkonie, platformie w połowie drogi między strychem a ziemią — jak się domyślam, bo w dole widzę tylko cienie. Wyrwam się z rąk Mathilde i chwytam butelkę za szyjkę, z trudem wstaję, żeby stawić mu czoło.

— Nie podchodź! — wrzeszczę po angielsku, francuski mnie zawiódł. Ostrzegawczo podnoszę butelkę, zraniona stopa protestuje, kiedy chwieję się, żeby złapać równowagę.

Mężczyzna dociera do podstawy schodów, jest w centrum żółtej aureoli

tworzonej przez lampę. Zaciska dłonie na karabinie i z pogardą spogląda na butelkę, potem zaczyna do mnie iść. Mathilde staje między nami.

— Nie. Proszę.

Nie jestem pewien, do którego z nas mówi. Ale jej ojciec zatrzymuje się, w milczeniu jadowniczo na mnie patrzy.

— Próbowałem odejść! — krzyczę.

Głos mi się trzęsie. Adrenalina sprawia, że słabnę, dygocę. Nagle zdaję sobie sprawę z chłodnego ciężaru butelki w swojej dłoni. Zataczam się, mam mdłości, przez moment jestem na ciemnej ulicy, w innej scenie z krwią i przemocą, która za chwilę znów się rozegra.

Puszczam butelkę. Toczy się powoli po zakurzonych deskach podłogi i ze stłumionym brzękiem uderza o inne butelki. Niemowlę nadal wyje, szarpie się w ramionach Gretchen, jednak nikt nic nie mówi, kiedy zataczam się w stronę kolejnego ciągu schodów. Niemal natychmiast nogi odmawiają mi posłuszeństwa i padam na kolana. Jestem na skraju płaczu z frustracji, ale nie mam siły, żeby się podnieść. Potem Mathilde znowu staje przy mnie, wsuwa ramię pod moje ramię.

— Sam sobie poradzę — mówię opryskliwie.

Nie zwraca na to uwagi. Opiera mnie o drewnianą belkę i odwraca się do ojca.

— On nie jest w stanie nigdzie pójść.

Światło lampy utwardza jego rysy.

— To nie mój problem. Nie chcę go tutaj.

Gdyby nie twoja pułapka, toby mnie tu nie było, chcę powiedzieć, ale słowa nie wydostają się z moich ust. Kręci mi się w głowie. Zamykam oczy, opieram głowę o belkę, pozwalam, żeby ich głosy wirowały wokół mnie.

— To obcy, przecież o niczym nie wie.

— Nic mnie to nie obchodzi, on tu nie zostanie.

— Wolisz, żeby zabrała go policja?

Wzmianka o policji sprawia, że podnoszę głowę, ale ostrzeżenie chyba nie ma ze mną nic wspólnego. Dla mnie, w tym rozgorączkowanym stanie, to wygląda tak, jakby toczyli jakiś sobie tylko znany spór, dorośli rozmawiający nad głową dziecka, które niczego nie rozumie. Prawdopodobnie nie chcą, żeby policja dowiedziała się o pułapkach, myślę, ale jestem zbyt wykończony, żeby długo się nad tym zastanawiać.

— Pozwól mu zostać chociaż parę dni — błaga głos Mathilde. — Aż odzyska

siły.

Ojciec długo nie odpowiada. Patrzy na mnie z wściekłością, potem odwraca się z pogardliwym warknięciem.

— Rób, co chcesz. Tylko żebym go nie widział. — Idzie do schodów.

— Lampa — mówi Mathilde, kiedy do nich dochodzi.

Zatrzymuje się i widzę, że zastanawia się, czy ją zabrać i zostawić nas bez światła. Po chwili stawia lampę i bez słowa znika w ciemności.

Mathilde przynosi lampę i kuca przy mnie.

— Możesz stanąć?

Nie reaguję, więc powtarza to po angielsku. Nadal nic nie mówię, zaczynam się jednak dźwigać z podłogi. Nie pytając, zdejmuje mi plecak z ramion.

— Oprzyj się o mnie.

Nie chcę, ale nie mam wyboru. Pod cienką bawełną jej ramię jest mocne i ciepłe. Dziewczyna obejmuje mnie w pasie. Sięga mi głową do podbródka.

Kiedy docieramy do schodów, z cienia wyłania się Gretchen. Niemowlę nadal ma zaczerwienioną twarz, płacze, ale teraz jest bardziej zaciekawione niż niespokojne.

— Mówiłam ci, żebyś została z Michele w domu. — W głosie Mathilde słychać lekkie podenerwowanie.

— Chciałam tylko pomóc.

— Dam sobie radę. Zabierz go stąd.

— Dlaczego ja mam się nim cały czas opiekować? To twoje dziecko.

— Proszę, po prostu zrób, co ci każę.

Twą Gretchen tężeje. Dziewczyna ociera się o nas, przechodząc, jej klapki trzaskają jakby ze złością o schody. Raczej czuję, niż słyszę, jak Mathilde wzdycha.

— Chodźmy — mówi ze zmęczeniem.

Wspiera prawie cały mój ciężar, kiedy wchodzimy po schodach i potem, kiedy idziemy w stronę łóżka. To trwa wieki, padam na materac, ledwie dociera do mnie, że ona znowu odchodzi. Za minutę wraca, niesie plecak i lampę. Stawia to przy łóżku.

— Twój ojciec nie wiedział, że tu jestem, prawda? — pytam. — Nie powiedziałaś mu.

Mathilde stoi poza kręgiem światła. Nie widzę jej twarzy, nie wiem, czy na mnie patrzy.

— Jutro porozmawiamy — odpowiada i zostawia mnie samego na strychu.



# Londyn

Plecak obija mi się o plecy, kiedy biegnę do samochodu, który czeka na zjeździe; silnik tyka jednostajnie. To żółty volkswagen garbus, poobijany, cętkowany od rdzy, ale teraz dla mnie to najpiękniejszy samochód na świecie. Ściemnia się, zdrętwiałem od sterczenia na zimnie przez ostatnie dwie godziny. Przeklinałem kierowców, którzy przemykali obok mnie na autostradę i nawet się nie obejrzeni...

Otwieram drzwi od strony pasażera zdziwiony, że za kierownicą siedzi dziewczyna. I jest sama.

— Dokąd? — pyta.

— Do Londynu, ale może być do najbliższej stacji przy autostradzie — mówię, rozpaczliwie pragnąc schronić się przed tym ostrym wiatrem.

— Jadę do Highgate, wystarczy?

— Dzięki, super. — Mieszkam w Kilburn, wynajmuję pokój w mieszkaniu, którego właściciel wyjechał na miesiąc. Nie wiem, co będzie dalej.

Ale to problem na inny dzień. Kładę plecak na siedzenie z tyłu, ostrożnie, bo leży tam jakieś portfolio, i siadam z przodu. Lekko opuściła szybę po swojej stronie, ale włączyła ogrzewanie na pełny regulator, żeby wyrównać temperaturę.

— Musiałam trochę uchylić, bo dostają się spaliny — wyjaśnia. — Trzeba to naprawić, ale... — Wymownie wzrusza ramionami, łącząc w tym „trudna sprawa” z „mało mnie to obchodzi”.

— Jestem Sean. — Muszę przekrzykiwać ryk z za uchylonej szyby i szum gorącego powietrza nadmuchiwanego z nagrzewnicy.

Obdarza mnie przelotnym uśmiechem.

— Chloe.

Jest może rok, dwa młodsza ode mnie, szczupła, ma jasnoblonde, krótko przycięte włosy i głębokie niebieskie oczy. Piękna.

— Nie za zimno ci? — pyta. — Kiedy nagrzewnica za długo działa na maksa, przegrzewa się.

„Jest w porządku”, mówię. Sięga do wihajstra i reguluje temperaturę. Ma długie, delikatne palce. Cienka srebrna bransoletka opasuje jej nadgarstek.

— Dziwne, że się zatrzymałaś. Rzadko trafiają się dziewczyny, które

ryzykują i podwożą autostopowicza. Ale nie narzekam — dodaję.

— Trzeba trochę ryzykować. Poza tym wyglądasz raczej nieszkodliwie.

— Dzięki — śmieję się.

Posyła mi uśmiech.

— Po co jedziesz do Londynu?

— Szukam pracy.

— Więc przeprowadzasz się na stałe?

— Tak, jeśli znajdę pracę. — Chociaż określenie „na stałe” sprawia, że czuję się nieswojo.

— Jakiej pracy szukasz? — pyta Chloe.

— Jakiegokolwiek. W barze, w fabryce. Wezmę wszystko, za co płacą.

Patrzy na mnie.

— Skończyłeś studia?

— Tak, już jakiś czas temu. Ale chciałem podróżować, więc trochę minęło. — „Trochę” jest rozmyślnie niejasne. Większość moich rówieśników do tej pory zdążyła znaleźć sobie porządne posady, a ja dryfowałem z jednej pracy do drugiej, bez jakiegokolwiek jasnego kierunku.

— Fajnie miałeś. Ja wybrałam się do w Tajlandii, na pół roku. Boże, cudowna przygoda! A ty gdzie byłeś?

— E... tylko we Francji.

— Aha.

— Mam zamiar tam wrócić — dodaję obronnym tonem. — Wiesz, jak ubieram dość pieniędzy.

Czyli nie tak prędko. Chociaż rzuciłem palenie, marnie płatne dorywcze prace, których się podejmowałem, nie pozwalały dużo zaoszczędzić. Kiwa głową, ale wcale nie słucha. Chwytam się fotela, kiedy gwałtownie zmienia pas ruchu, żeby wyprzedzić ciężarówkę, wyjeżdża tuż przed pędzącego jaguara, zmusza go do hamowania. Jaguar z oburzeniem błyska światłami, siada nam na tylnym zderzaku. Silnik volkswagena wydaje przenikliwy odgłos, ledwie wyciąga tyle, żeby wlec się obok terenówki, ale nie może jej wyprzedzić.

— No, dalej, fiucie — mamrocze Chloe, rzuca wściekłe spojrzenia kierowcy w samochodzie po mojej prawej stronie.

Z niepokojem patrzę, jak dociska gaz do dechy, dopóki nagłym zrywem nie wskakujemy z powrotem na pas. Terenówka trąbi i zostaje w tyle, zwiększa odległość między sobą a wariatką w volkswagenie. Puszczam fotel, ręce mnie bolą od ściskania fotela.

— Więc co studiowałaś? — ciągnie Chloe niewzruszona.

— Film.

— Robienie czy teorię?

— Teorię. — Zdaję sobie sprawę, że mój głos brzmi defensywnie.

Uśmiecha się pod nosem.

— A, teraz rozumiem. To dlatego pojechałaś do Francji. Nie mów mi... twoim idolem jest Truffaut. Nie, Goddard.

— Nie — obruszam się. — Cóż...

— Wiedziałam!

Nie mogę się powstrzymać, żeby też się nie uśmiechnąć, cieszę się, że mam się z kim spierać.

— Nie lubisz francuskiego kina?

— Nie żebym nie lubiła, po prostu według mnie ta cała Nowa Fala jest przeceniona. Nudy na pudy. Biorę wszystko, co amerykańskie. Scorsese. *Taksówkarz*. — Odwraca dłoń wnętrzem do góry. Gest ma oznaczać „proszę bardzo”. — I on nie musi robić filmów czarno-białych, żeby osiągnąć to, co chce.

— A co sądzisz o *Wściekłym byku*?

— To było celowe nawiązanie do filmów o bokserach z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. I krew w scenach walk lepiej wyglądała. Co takiego zrobił Truffaut, żeby się z tym równać?

— Och, daj spokój...!

Sprzeczka trwa, oboje się rozgrzewamy, póki nie musi się zatrzymać na stacji, żeby zatankować. Jestem zaskoczony, kiedy widzę na tablicy, że do Londynu już tylko trzydzieści dwa kilometry, podróż minęła za szybko. Chloe macha ręką na moją propozycję, że się dorzucę do paliwa, a kiedy ruszamy dalej, wydaje się roztargniona.

— A co z tobą? — pytam po jakimś czasie. Wskazuję na portfolio na tylnym siedzeniu. — Jesteś artystką?

— Tak sobie ciągle mówię. — Uśmiecha się, ale jest w tym jakiś smutek. — Na co dzień pracuję jako kelnerka i dorywczo próbuję sprzedawać ilustracje agencjom reklamowym. Właśnie wracam z prezentacji. Wielkookie kociątko dla producenta karmy dla kotów.

Nie bardzo wiem, co powiedzieć.

— Gratulacje.

— Nie spodobało im się. — Wzrusza ramieniem. — To i tak był śmieć.

Rozmowa zamiera. Wkrótce potem docieramy do końca M1. Skręca na

North Circular Road, stuka palcami o kierownicę poirytowana, że auta tak powoli jadą. Kiedy dojeżdżamy do Highgate, zatrzymuje się przy stacji metra, nie wyłącza silnika. Szukam pretekstu, żeby odłożyć tę chwilę, ale ona czeka, aż wysiądę.

— Hm... dzięki za podwiezienie.

— Nie ma problemu.

Postanowiłem poprosić ją o numer telefonu, ale ona wydaje się myślami już daleko stąd. Wsiadam i zaczynam wyciągać plecak z tylnego siedzenia.

— Znam trochę ludzi z prywatnej szkoły językowej — oznajmia nagle. — Brakuje im nauczyciela angielskiego. Mogę im powiedzieć o tobie, jeśli chcesz.

Propozycja mnie zaskakuje.

— Nie mam kwalifikacji nauczycielskich.

Wzrusza na to ramieniem.

— Bez trudu możesz prowadzić kurs TEFL. Mówisz po francusku?

— Tak, ale...

— No, to super. Chodzi tam mnóstwo uczniów z Francji.

Nigdy w życiu niczego nie uczyłem, nawet nie rozważałem takiej możliwości. Ale przecież nie mam innych planów.

— Dziękuję, byłoby nieźle. — Nabieram głęboko tchu. — A może, bo ja wiem... poszlibyśmy kiedyś na drinka?

# Rozdział 3

Kłęczę przy strumyku, gdzie zostawiłem samochód. Woda jest czysta, wartka, ale kiedy zanurzam ręce, nie czuję jej. Ciepła, ma temperaturę mojego ciała. Próbuję wymyć spod paznokci zakrzepłą krew, ale im bardziej się staram, to jej jakby przybywa. Barwi wodę — ciemna, lepka czerwień płynie teraz powyżej moich nadgarstków. Wiem, że i moja krew jest tam jakoś wsysana, ale to sprawia, że szoruję jeszcze mocniej. Kiedy wyjmuję dłonie ze strumyka, czerwień spływa z nich aż po łokcie.

Już mam z powrotem zanurzyć ręce, kiedy czuję ściskanie w stopie.

Odwracam się, żeby na nią spojrzeć — leżę w łóżku. Światło słońca wypełnia strych. Tym razem nie ma dziury w pamięci, dezorientacji. Od razu wiem, gdzie jestem. Leżę, gapiąc się na strop; czekam, aż resztki snu znikną, a bicie serca wróci do normy.

Sen owszem minął, stopa jednak nadal boli. A teraz wszędzie odzywają się nowe bóle, lista obecności obrażeń ciała. Wspomnienia wracają, patrzę na plecak.

Doskonale widać na nim odcisk buta.

Ten widok wyzwala potok myśli. O co tu chodziło? Czuję się bardziej skołowany niż do tej pory, ale pod gniewem i wstydem tli się poczucie ulgi.

Przynajmniej nie jestem więźniem.

Czarny koń na biegunach przygląda mi się perfidnie jednym rozkołysanym okiem, kiedy biorę poranną porcję środków przeciwbólowych i popijam je letnią wodą z jednej z butelek po winie stojących obok łóżka. Według mojego zegarka ósma, ale nie ma śladu śniadania. Znowu chce mi się jeść, biorę to za dobry znak. Nadal jestem osłabiony, ale to już nie to podkopujące wolę wczorajsze zmęczenie. Nie licząc kilku zadrapań i guza tam, gdzie uderzyłem się w głowę, upadek ze schodów niczego mi nie uszkodził. Oprócz dumy.

Odległy odgłos rozrywa ciszę poranka: strzał jak smagnięcie biczem, za nim szybko drugi. Pewnie ojciec Mathilde wyżywa się na okolicznej dzikiej zwierzynie, myślę, wspominając karabin myśliwski, który miał ze sobą. Patrzę w górę, na pokryty pajęczynami strop, próbuję zrozumieć to wszystko, co zaszło. Muszę się stąd wydostać, to jedno jest pewne. Ale kiedy zaczynam myśleć o czymś więcej niż najbliższa przyszłość, zalewa mnie fala rozpacz. Miałem dość

kłopotów, zanim wdepnąłem w tę pułapkę. Bez względu na to, co się tutaj dzieje, to niczego nie zmieni.

Ale nie mogę sobie pozwolić, żeby się teraz nad tym rozwodzić. Po kolei. Ból przeszywa zabandażowaną stopę, kiedy próbuję przenieść na nią ciężar ciała. To koniec wszelkiej nadziei, że gdzieś pójdę. Trzymając stopę nad podłogą, skaczę do okna. Szyba jest brudna i obwieszona pajęczynami przypominającymi zbutwiały muślin. Jedna z pajęczyn, zwisająca z belki stropu, niemal niezauważalnie muska moje oczy. Odgarniam ją i wyglądam na dwór. W dole rozciąga się zalane słońcem pole paskowane rzędami winorośli. Sięgają skraju lasu, za którym jest jeziorko. Widziałem je, zanim wlałem w pułapkę, przypominam sobie.

Z tej odległości ma powierzchnię gładką jak lustro, odbicie nieba nadaje mu barwę jasnego błękitu.

Rozlega się kolejny niewyraźny wystrzał, tym razem słyhać po nim zajadłe szczekanie psa. Nikogo nie widzę, ale na samą myśl o człowieku, którego spotkałem poprzedniego wieczoru, skręca mi się żołądek. Ostrożnie, żeby tym razem nie trafić na fotografię, przetrząsam plecak w poszukiwaniu paczki cameli, którą wziąłem z samochodu. Papieros smakuje obrzydliwie, ale potrzebuję czegoś, żeby uspokoić nerwy. Palę na łóżku, nogi mam wyciągnięte, plecami opieram się o ścianę. Paczka jest już do połowy pusta; trzeba racjonować sobie to, co zostało.

— Nie wiem, na jak długo będą musiały mi wystarczyć.

Skończyłem papierosa, wygrzebuje bokserki, psychologiczne wsparcie, gdyby papa znów wpadł z wizytą. Ledwie je wciągnąłem, gdy słyszę kogoś na schodach. Tężeję, ale zdaję sobie sprawę, że kroki są za lekkie, żeby to był on.

Kłapa otwiera się, ukazuje się Mathilde. Zerkam za nią, nerwowo, ale odprężam się, jest sama. Ma niezgłębiony wyraz twarzy, kiedy podchodzi do łóżka.

— Dzień dobry.

Niesie tacę ze śniadaniem dla mnie i miską wody. Obok tego leży też bandaż w rolce i stoi stara puszka, apteczka pierwszej pomocy. Mathilde ma przewieszony przez ramię wytarty ręcznik.

— Przyniosłam nowy opatrunek. Tamten trzeba zmienić. — Stawia tacę na materacu i przysiada na skraju łóżka. Zakłada włosy za ucho i skupia się na mojej nodze. — Jak stopa? — pyta, odwijając bandaż.

— Nie lepiej po tym, jak zostałem kopem zepchnięty ze schodów. — Nie

chciałem być zgryźliwy, ale nie mogłem się powstrzymać. Nerwy mam w strzępach. Mathilde nadal odwija zabrudzony bandaż. Pod nim stopę pokrywają zlepione poduszeczki opatrunków chirurgicznych, zakrzepnięta krew przykleiła je do ciała. Trzymają się, kiedy Mathilde próbuje je zdjąć; głośno wsysam powietrze.

— Przepraszam.

Wyjmuje z pudełka kłębek bawełnianej waty, moczy go w wodzie i zaczyna nasączać opatrunki. Odchodzi jeden po drugim, tylko lekko ciągną za skórę. Kiedy to robi, jej ramiona przesłaniają mi widok.

— Słyszałem, jak ktoś strzelał — mówię.

— Mój ojciec. Jest na polowaniu.

— Zakładam, że wczoraj wieczorem to był on?

— Tak. — Zatyka kosmyk za ucho. Zawsze z tej samej strony, z lewej. — Przepraszam. Ojciec chroni prywatność. Nie lubi obcych.

— Zauważyłem. — Ale nie ma sensu jej winić. Nie odpowiada za ojca i najwyraźniej narobiła sobie problemów przez to, że mi pomogła. — Dlaczego nie zabrałaś mnie do szpitala? Bo wiedziałaś, że będzie miał kłopoty z powodu tych pułapek?

Podnosi na mnie wzrok, szare oczy są poważne.

— Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak sama się tobą zajmę. Ale gdybyś potrzebował natychmiastowej pomocy, postarałabym się o nią.

Dziwna sprawa, ale jej wierzę. Patrzy na mnie chwilę dłużej, potem wraca do zdejmowania opatrunku.

— Więc mogę spokojnie odejść, kiedy zechcę?

— Oczywiście.

— To dlaczego klapa była zamknięta na zasuwę?

— Majaczyłeś. Bałam się, że spadniesz i zrobisz sobie krzywdę.

Tyle w tym ironii, że omal nie wybucham śmiechem.

— Albo że zobaczy mnie twój ojciec?

Jej milczenie to potwierdza. Nie wiem, jak długo chciała ukrywać moją obecność, ale po spotkaniu z tym człowiekiem rozumiem, dlaczego zależało jej, żeby się o mnie nie dowiedział. Po prostu cieszę się, że to jego córka natknęła się na mnie w lesie.

— Jak mnie wtargaliście tu, na górę, że tego nie zauważył? — pytam.

— Ojca bolą plecy, popołudniami zazwyczaj sypia. A z lasu przyniosłyśmy cię na kocu. I często odpoczywałyśmy. — Mathilde delikatnie zabiera się do



ostatniego opatrunku, który nie chce się odkleić. — Wiem, że w stodole są prymitywne warunki, ale tu jest sucho i wygodnie. Możesz zostać tak długo, jak zechcesz. Przynajmniej dopóki nie nabierzesz sił.

— Nie obawiasz się, że powiem policji, co się stało?

— To zależy od ciebie.

Znów czuję, że chcę jej wierzyć. Potem przypominam sobie o plastikowej paczce schowanej w plecaku. Może dziewczyna ma powód, żeby myśleć, że nie pójdę na policję, zastanawiam się i nagle oblewa mnie zimny pot. Ale wtedy Mathilde usuwa ostatni opatrunek i kiedy widzę to, co pod nim, zapominam o wszystkim.

— O cholera!

Cała stopa jest spuchnięta i ma nienaturalny kolor. Paznokcie wyglądają jak guziczki z macicy perłowej na tle fioletowej skóry, a zazębające się łuki ran kłutych biegną sponad kostki po śródstopie. Są obrzmiałe i zaognione; obrzydliwe usta pokryte zaschniętą krwią i żółtą ropą. Czarna szczecina szwów wystaje z nich niczym odnóża martwych pajaków.

— Jak z tą stopą? — pytam z niepokojem.

Mathilde ma twarz bez wyrazu, moczy kolejny kłębek waty i zaczyna obmywać rany.

— Goi się.

— Goi się? — Patrzę na nogę. Pulsowanie chyba się nasiliło, teraz je widzę.

— Nie sądzisz, że powinien to zobaczyć lekarz?

Dalej łagodnie ociera nakłucia.

— Mówiłam ci, wdało się zakażenie. Na to są antybiotyki. Ale jeśli wolisz, żebym sprowadziła lekarza...

Widok tego zdeformowanego czegoś na końcu mojej nogi sprawia, że kusi mnie ta myśl. Ale lekarz oznacza pytania, zarówno do mnie, jak i do nich. A w Mathilde jest coś, co budzi zaufanie.

— Skoro uważasz, że jest okej...

Kiwa głową, że tak. Bierze czysty kawałek waty i dalej delikatnie oczyszcza rany. Skórę dłoni ma szorstką, paznokcie przycięte krótko, kwadratowe. Nie nosi żadnych pierścionków, zauważam.

Kiedy ostatnia ranka zostaje oczyszczona, dziewczyna sięga po tubkę z maścią.

— Będzie piekło.

Piecze. Ale po zabiegu stopa nie wygląda już tak źle, bardziej przypomina

kończynę niż kawałek siekanego mięsa. Mathilde nakłada czyste opatrunki i owija je świeżym bandażem. Jej ruchy są szybkie i oszczędne. Koniuszek białego ucha wystaje jej spod ciemnych włosów. Cienie pod oczami wydają się wyraźniejsze niż wtedy, kiedy je wcześniej zauważyłem. Sprawia wrażenie osoby wrażliwej, a jednak też twardej, tworzy dystans, który trudno naruszyć. Chociaż nie było prawdziwych przeprosin za to, co się stało, jakoś czuję, że to ja zachowałem się nieracjonalnie.

Odchrząkuję, kiedy kończy bandażować moją stopę.

— Dziękuję.

Zaczyna wkładać przybory pierwszej pomocy z powrotem do puszeki.

— Później przyniosę gorącą wodę, żebyś się umył. Chciałbyś coś do czytania?

Gdybyś chciał, mogę wybrać parę książek.

Jestem zbyt niespokojny na czytanie.

— Nie, dzięki. Ile czasu minie, zanim będę mógł stąd wyjść?

— To zależy od tego, kiedy uznasz, że dasz radę chodzić. — Rozgląda się po gratach upchniętych pod ścianami strychu. — Tu gdzieś powinny być kule. Później postaram się je znaleźć.

— Do kogo należały? — pytam nagle pełen obaw, że może nie jestem pierwszą osobą uwięzioną tutaj.

— Do mojej matki. — Podnosi tacę, podchodzi do kłapy.

Patrzę, jak schodzi przez właz, trochę się spodziewam, że zamknie za sobą kłapę na zasuwę. Ale tym razem zostawia ją otwartą.

Dzisiejsze śniadanie jest bardziej pożywne, jajka na miękko z masłem i czarnym pieprzem, kawałek chleba, szklanka mleka. Jestem wygłodniały, ale jem powoli, żeby to trwało dłużej. Kiedy kończę, patrzę na zegarek. Odkąd ostatni raz sprawdzałem godzinę, upłynęło bardzo mało czasu. Na strychu już robi się gorąco. Zarost na brodzie — kilkundniowy — zaczyna swędzieć. Mam świadomość, że cuchnę — zjełczały smród choroby i potu. Nic dziwnego, że Mathilde chciała, żebym się umył. Przesuwam językiem po zębach i wiem również, że jedzie mi z ust. Ostatniego wieczoru nie potrzebowałem butelki: mogłem powalić papę samym oddechem.

Wyjmuję z plecaka szczoteczkę i pastę, szoruję zęby, aż zaczynają mnie boleć dziąsła. Potem znów kładę się do łóżka. Ale jestem zbyt nerwowo pobudzony, żeby spać, a w umyśle, który nie ma się czym zająć, zaczyna się roić.

Opierając się o ścianę, podskokami przemierzam strych do gmatwaniny starych mebli, żeby poszukać kul. Mathilde powiedziała, że je znajdzie, ale nie

widzę powodu, żeby czekać. Wszystko jest zdezelowane albo niekompletne, pokryte szarym kocem kurzu. Są tu krzesła na trzech nogach i spleśniałe walizki, kredensy z dziurami po szufladach jak po brakujących zębach. Za sekretarzykiem bez blatu natrafiam na kilka złożonych na kupę starych ram do obrazów, ozdobnych, ale bez płótna czy szkła. Nie myśląc, zaczynam przeglądać stos, zanim przypominam sobie, że nie ma już nikogo, kto mógłby je wykorzystać. Ta świadomość przynosi tępy ból winy.

Odpycham ramy poza pole widzenia i dalej szukam kul.

Jedną znajduję rzuconą pod płataninę połamanych krzesel, ale nie ma śladu drugiej. W końcu jedna lepsza niż żadna. Kula jest z porysowanego i poobijanego aluminium. Otarłem ją z pajęczyn i dopasowałem długość, zaczynam ćwiczyć człapanie po strychu. Ten wysiłek wkrótce mnie męczy, ale miło znów być na nogach.

Spocony, bez tchu, zabieram swoją zdobycz na materac. Ale ledwie się kładę, myśli znów zaczynają buzować. Potrzebuję czegoś, żeby je rozgonić. Większość mojej biblioteki muzycznej była w telefonie, ale w plecaku zatrzymałem starą empetrójkę. Mam w niej spory zbiór starszych ścieżek i na szczęście nie padła bateria. Wkładam słuchawki do uszu, nastawiam przypadkowy utwór, zamykam oczy, a muzyka otula mi głowę.

Nie wiem, czy to zmiana ciśnienia powietrza muskającego mi skórę, czy ruch na tle światła z okna, ale dociera do mnie, że w pomieszczeniu ktoś jest. Jednocześnie coś uderza w materac, zrywam się gwałtownie, widząc czyjąś postać obok.

— Jezu!

Gretchen podskakuje, niemal upuszcza wiadro, które niesie. W pośpiechu stawia je na podłodze, a ja wyłączam muzykę i wydaję słuchawki. Nagła cisza jest jak światło zapalające się w kinie w połowie filmu.

— Przepraszam. Myślałam, że śpisz — mamrocze, nie patrząc mi w oczy.

— Od dawna tu jesteś? — pytam. Wygląda tak, jakby nie zrozumiała, uświadamiam sobie, że mówiłem po angielsku. Powtarzam po francusku.

— Niedługo. — Odpowiedź jest taka cicha, że prawie jej nie słyszę. — Mathilde kazała przynieść ci wodę, żebyś się umył. — Ma spuszczoną głowę, jakby wstydziła się na mnie spojrzeć. Zacherwieniła się od dźwigania wiadra na strych, spociła się tak, że bawełniana sukienka przylega do niej. Spogląda na słuchawki zwisające mi z szyi. — Czego słuchasz?

To angielski zespół, popularny też w Europie, ale kiedy podaję jej nazwę,

rozumiem, że o nim nie słyszała. Podaję jej słuchawki.

— Proszę, zobaczymy, czy ci się spodoba.

Rozpromienia się, potem kręci głową.

— Lepiej nie. Mam z tobą nie rozmawiać.

— Tak mówi twój ojciec? — Wyraz jej twarzy wystarcza za odpowiedź. —

Rozmawiasz ze mną teraz.

— To co innego. Mathilde zajmuje się Michele. A papa jest z Georges'em.

To znaczy nie wie, że Gretchen jest tutaj. Odkładam słuchawki. Nie chcę już więcej kłopotów, ani dla niej, ani dla siebie.

— A Georges to kto? Mąż Mathilde?

Gretchen wspominała o nim już wcześniej, ale ta uwaga ją rozbawia.

— Nie, Georges jest stary! On tylko pomaga papie. — Nadal się uśmiecha, znów zerka na słuchawki. — Może tak raz-dwa bym posłuchała... — Przysiada na skraju materaca i wtyka słuchawki do uszu. Oczy robią się jej wielkie, kiedy włączam muzykę. — Ale głośno! — krzyczy.

Przykręcam głośność, Gretchen kręci głową.

— Nie, jest w porządku, fajne!

Krzywię się i przykładam palec do ust.

— Prze... — zaczyna na całe gardło, ale natychmiast ścisza głos: —

Przepraszam.

Słucha z wyrazem dziecięcego zachwytu, kiwa głową do rytmu. Twarz ma nieskazitelną, nie licząc lekkiego zgrubienia na nosie, ale bez tego jej piękno byłoby nijakie. Pozwalam, żeby odsłuchała kolejną ścieżkę. Kiedy muzyka się kończy, Gretchen nie potrafi ukryć rozczarowania. Znowu staje się nieśmiała, wyjmuje słuchawki.

— Dziękuję.

— Jak chcesz, możesz skopiować album.

Patrzy na kolana.

— Nie mogę. Nie mamy komputera. Nie mamy już nawet odtwarzacza CD, odkąd się zepsuł.

Jakby żyli w innej epoce. Niewiele ma tutaj z życia. Ani jej siostra, skoro o tym mowa. Mimo wszystko raczej mnie to nie martwi, że farma jest taka odcięta od świata.

— Więc co robisz, żeby się trochę rozerwać?

Wzrusza ramieniem.

— Jest telewizja. Albo zabieram Michela na spacer.

— Ile masz lat?

— Osiemnaście.

Jestem zaskoczony. Nie dlatego, że nie wygląda na swój wiek, ale ma w sobie jakąś niedojrzałość, która sugerowałaby, że jest młodsza.

— A przyjaciele?

— Jest paru miejscowych chłopaków... — Uśmiecha się, okręca sobie palec przewodem słuchawki. Uśmiech zamienia się w grymas niezadowolenia. — Ale papa nie chce, żebym się spotykała z kimś z miasta. Mówi, że to sami idioci i nie powinnam marnować czasu.

Jakoś mnie to nie dziwi.

— Nie nudzisz się?

— Czasem. Ale to farma papy. Jak tu mieszkasz, musisz trzymać się jego zasad. Prawie zawsze, w każdym razie. — Mówiąc to, rzuca w moją stronę ukradkowe spojrzenie.

Wiem, że dobrze byłoby zapytać, co to znaczy „prawie zawsze”, ale nie pytam.

— Dlatego był zły wczoraj wieczorem? Bo złamałyście jego zasady?

Piękne rysy układają się w cierpki wyraz.

— To wina Mathilde. Powinna mu o tobie powiedzieć. Nie miała prawa trzymać tego w tajemnicy.

— Więc postanowiłaś, że ty mu powiesz?

— Niby dlaczego nie? — Wyzywająco podnosi podbródek, przez chwilę wygląda niepokojąco jak ojciec. — Mathilde zawsze mną rządzi, mówi, co mi wolno, a czego nie wolno. Ale skoro już się obudziłaś, to chciałam być w porządku wobec papy. To jego farma, nie jej.

Nie zamierzam się sprzeczać. Mam dość problemów i bez wchodzenia w kłótnie rodzinne. Nagle uświadamiam sobie, że Gretchen siedzi bliżej mnie, niż siedziała. Na tyle blisko, że czuję gorąco bijące z jej nagich ramion.

— Lepiej wracaj, zanim zaczną cię szukać. — Zabieram jej słuchawki i odkładam, jednocześnie trochę się od niej odsuwając.

Wygląda na zaskoczoną, ale wstaje.

— Będę mogła jeszcze kiedyś posłuchać?

— A co z ojcem?

Wzrusza ramionami.

— Nie dowie się.

To tyle, jeśli chodzi o trzymanie się zasad papy. Ale coś mi się zdaje, że

Gretchen trzyma się tych zasad, których chce się trzymać. Całkiem świadoma kołyszącego ruchu swoich bioder, idzie do wjazdu. Odwracam wzrok, udaję, że coś robię przy słuchawkach. Kiedy odgłos jej kroków milknie w dole, z westchnieniem je odkładam. Żal mi dziewczyny, ale nie chcę jej zachęcać. Ostatnia rzecz, jakiej mi teraz trzeba, to znudzona nastolatka, która wywołuje zamieszanie, szczególnie jeśli ma psychotycznego ojca. Interesuje mnie wyłącznie, żeby wynieść się stąd, jak tylko to będzie możliwe.

I co wtedy?

Na strychu jest bardziej gorąco i duszno niż zazwyczaj. Zapalam papierosa i opieram się o kamienną ścianę, wydmuchuję dym pod pułap. Patrzę, jak niebieska mgiełka się rozwiewa i myślę o tym, co powiedziały Mathilde i Gretchen. W tej całej gadaninie o farmie żadna z nich nie wspomniała o jednej osobie.

O ojcu dziecka Mathilde.

# Rozdział 4

Następnego ranka po raz pierwszy wychodzę na dwór.

Po wizycie Gretchen przespałem większość dnia, tylko raz obudziłem się i znalazłem obok łóżka tacę z jedzeniem. Udało mi się nie zasnąć, dopóki nie sprzątnąłem do czysta bulionu z kurczaka z chlebem, potem znowu zapadłem w sen z myślą, żeby wstać i trochę poćwiczyć chodzenie o kuli.

Ale kiedy budzę się rano, jedzenie i odpoczynek zrobiły swoje. Czuję się znacznie lepiej. Strych jest jasno oświetlony, ale jeszcze nie panuje tu upał. Czuć błogosławioną świeżość. Wiem, że nie dotrwa do połowy dnia. Wczorajsza taca z kolacją została zastąpiona tacą ze śniadaniem — znowu jajka i masło. Nikogo nie słyszałem, ale przyzwyczałem się do tego, że ktoś przychodzi, kiedy śpię.

Jem łąpczywie, wycieram resztki żółtka chlebem i żałuję, że jest tego tylko tyle. Wiadro z wodą, które przyniosła Gretchen, nadal stoi przy materacu, więc najlepiej jak umiem, zmywam z siebie zaschnięty pot, a potem wyjmuję maszynkę, żeby się ogolić. Według mojego rozeznania mam do ścięcia tygodniowy zarost, w ostatniej chwili jednak zmieniam zdanie. Na strychu nie widzę lustra, nawet stłuczonego. Szczecina wydaje mi się dziwna pod palcami. Jeszcze nie broda, a już nie moja własna twarz. Nie jestem do siebie podobny.

Dochodzę do wniosku, że to dobrze.

Przez kilka minut czuję się rozkosznie czysty, potem znowu zaczynam się pocić. Małe okienko na strychu jest otwarte, ale daje tylko lekki ruch powietrza, nie chłodzi go. Upał narasta, a wraz z nim mój niepokój. Wstaję, zamierzam poćwiczyć z kulą, wtedy widzę, że kłapa w podłodze jest otwarta na oścież. Kuśtykam do niej i patrzę w dół, na stodołę.

Nikt nie nakazał mi tutaj zostawać.

Tym razem znacznie łatwiej mi pokonać stopnie. Wtykam kulę pod ramię i schodzę tyłem jak po drabinie. Co chwila stopa ostrzegawczo pulsuje, ale opieram kolano na kolejnych schodkach i zdejmuję z niej ciężar ciała.

Zatrzymuję się, żeby odpocząć na platformie, na którą spadłem, kiedy popchnął mnie ojciec Mathilde. Puste butelki, wczoraj poprzewracane, znowu zostały ustawione; w stodole nawet za dnia panuje mrok. W kamiennych ścianach nie ma okien, jedyne światło wpada przez wielkie otwarte wrota. Powietrze jest chłodniejsze. Kiedy pokonuję ostatnie kilka schodków, dociera do

mnie zapach skwaśniałego wina zmieszany z wonią zmurzałego kamienia i zbutwiałego drewna. Kiedyś, w przeszłości, stodoła była małą wytwórnią win. Stoi w niej pusta metalowa kadź, a na podłodze z kamieni brukowych widnieją blizny po innym sprzęcie, który usunięto. W pewnym miejscu kamienie wydarto i zastąpiono betonem. Wygląda na nowy, ale już zaczął pękać.

Z jednej ściany wystaje kurek. Woda rozpryskuje się na brukowcach, kiedy go odkręcam i nadstawiam garść, żeby wziąć parę łyków. Woda jest zimna, aż zęby cierpną, ale smakuje cudownie świeżo. Trochę ochlapuję nią sobie twarz, podchodzę do wysokich regałów na wino, stojących w pobliżu. Są do połowy wypełnione butelkami bez etykietek, ale spora część ma zabarwione korki, bo przesączyło się przez nie wino. Wącham jeden z nich, marszczę nos na kwaśny odór, idę w stronę wrót stodoły.

Promienie wlewają się przez nie do środka. Staję na chwilę, przyjmuję światło na siebie. Świat po drugiej stronie, obramowany wejściem, to jaskrawy obraz na tle ciemnych ścian. Tak jak ekran w kinie.

Mrużę oczy w słońcu, opieram się o kulę i wchodzę w jasność.

To jak wkroczenie w kolorowy blask. Oddycham głęboko, cieszę się aromatem kwiatów polnych i ziół. Nogi mi się trzęsą, ale po dusznym strychu cudownie jest czuć słońce na twarzy. Uważając na obandażowaną stopę, siadam na ubitej ziemi, żeby rozkoszować się widokiem.

Dokładnie naprzeciwko stodoły rozciąga się plantacja winorośli, którą widziałem z okna na strychu. Otacza ją las, a w głębi, między drzewami, mogę dojrzeć błękit jeziora. Jeszcze dalej widać jasnozłote okoliczne pola, biegnące po horyzont. Bez względu na to, co to za farma, na pewno jest spokojna. Powietrze wibruje od cykania świerszczy i od czasu do czasu beczenia niewidocznych kóz, ale poza tym nic nie zakłóca ciszy. Żadnych samochodów, maszyn, ludzi.

Zamykam oczy, chłonę to.

Stopniowo wyłania się inny dźwięk. Rytmiczne metaliczne skrzypienie. Podnoszę wzrok i widzę starego mężczyznę, idzie w moją stronę ścieżką między winoroślami. Ma krzywe nogi, jest stary i żyłasty; niesie galwanizowane wiadra, to one skrzypią, kołysząc się lekko na pałkach. Jego rzadkie włosy są prawie białe, twarz spieczona na kolor starego dębu. Okazuje się niewiele wyższy ode mnie, chociaż siedzę. Ale tkwi w nim jakaś szorstka siła, przedramiona poniżej podwiniętych rękawów koszuli są napęczniałe od węzlastych mięśni.

Domyślam się, że to Georges, o którym wspominała Gretchen. Kiwam mu



głową.

— Dzień dobry.

On mnie nie pozdrawia. Idzie niespiesznie w stronę stodoły, przechodzi tuż obok, jakby mnie nie było. Niezrażony odwracam się, żeby zobaczyć, co robi w środku. Rozlega się stukot stawianych wiader, a chwilę potem słyszę ciche bębnienie wody nalewanej do nich z kurka. Po paru minutach dudnienie urywa się i stary wychodzi ze stodoły. Nawet nie rzuca mi przelotnego spojrzenia, kiedy kroczy ścieżką z powrotem, przedramiona ma rozdęte od ciężaru wiader, jakby powpychał sobie tam kasztanów.

— Mnie też miło cię widzieć — mówię do jego pleców.

Patrzę, jak człapie z trudem przez winnicę i znika w lesie na drugim końcu. Zastanawiam się, po co mu tam wiadra z wodą. Na farmie zdaje się nie ma żywego inwentarza, nie licząc kur i kóz, których beczenie słyszałem; nie widać też upraw, poza winnicą.

Zastanawiam się, z czego oni tu żyją.

Już dość odpocząłem, a moja skóra, wystawiona na słońce, zaczyna czerwienić i piec. Gramolę się na nogi, wkładam kulę pod pachę i wlokę się za róg stodoły. Wchodzę na podwórze, które pamiętam z wcześniejszej wizyty. Tu jest jeszcze goręcej. Skwar połyskuje na brukowcach, a oszalowany rusztowaniem dom, gdzie prosiłem o wodę, wydaje się wybielony słońcem. Kurek w kształcie koguta stoi niepewnie na wklęsłym grzbiecie dachu, czeka na ruch powietrza.

Kilka kur leniwie dziobie ziemię, nikogo nie ma. Myślę o wodzie i znów chce mi się pić. W stodole jest kranik, ale obojętność starego sprawia, że pragnę zobaczyć jakąś inną ludzką twarz, choćby na krótko. Utykając, idę w stronę domu, kula ślizga się na gładkich kamieniach brukowych. Z boku, zepsuty zegar na stajni, nadal zamrożony w ruchu, odmierza jedyną wskazówką za dwadzieścia nicość. Pojazdów gospodarczych zaparkowanych pod nim chyba nikt nie ruszał, odkąd ostatnio tu byłem. Zakurzona furgonetka i przyczepa stoją przed stajnią, jakby tu umarły, chłodnica rozpadającego się traktora wystaje z jednego z lukowatych boksów jak pysk śpiącego psa. Inny boks jest zajęty przez stary piec kowalski. Ktoś oparł o niego paski żelaza, ale dopiero kiedy dostrzegam prymitywny trójkątny ząb na jednym z nich, zdaję sobie sprawę, co widzę.

Czując w stopie wspomnienie bólu, kuśtykam dalej do domu.

Jest w jeszcze gorszym stanie, niż zapamiętałem. Połowę domu pokrywa

rusztowanie, z okien zwisają niemalowane okiennice jak skrzydła martwych ciem. Na ziemi pod ścianami walają się kawałki odpadającej zaprawy, niewiele bardziej spoistej niż piasek. Ktoś bez przekonania próbował naprawić kruszący się mur, ale najwyraźniej porzucił robotę. I to dawno: rusztowanie miejscami jest zardzewiałe, tak jak dłuto, które leży na ziemi pod nim. Kiedy trącam je kulą, zostawia doskonały odcisk na bruku.

Drzwi do kuchni są otwarte. Ocieram pot z oczu, pukam.

— Halo?

Nie ma odpowiedzi. Kiedy się odwracam, zauważam dalej inne drzwi, niemalowane, wypaczone. Mozolę się o kuli, znowu pukam, potem niepewnie popycham drzwi. Skrzypią na nienaoliwionych zawiasach. W środku jest ciemno, nawet już w progu czuję wylewający się wilgotny chłód.

— Co robisz?

Obracam się, wykonując zawiły taniec na kuli i zdrowej stopie, żeby utrzymać równowagę. Zza stajni wyłonił się ojciec Mathilde. Przez ramię ma przewieszoną płócienną torbę, z której wystaje zakrwawiona królicza łapa. Bardziej niepokojący jest jego karabin, wycelowany prosto we mnie.

— Głuchy jesteś? Pytałem, co robisz.

W świetle dnia wygląda starzej, niż myślałem, bliżej sześćdziesiątki niż pięćdziesiątki, z brązowymi czerniakami od słońca i starczymi plamami na czole. Nie jest szczególnie wysoki, ma krótkie nogi, długi tułów, ale i tak kawał z niego byka.

Przez sekundę łapię równowagę, opierając się o kulę, staram się nie patrzeć na karabin.

— Nic.

Spogląda na otwarte drzwi za mną.

— Co tu myszkujesz?

— Chciałem napić się wody.

— W stodole jest kran.

— Wiem, ale potrzebowałem świeżego powietrza.

— Mówiłeś chyba, że chciałeś wody? — Jego wodniste oczy na tle zniszczonej przez pogodę skóry wyglądają jak kawałki brudnego lodu. Przenoszą się na kulę i jeszcze bardziej twardnieją. — Skąd to masz?

— Znalazłem na strychu.

— Kto ci pozwolił to ruszać?

— Nikt.

Nie wiem, dlaczego chronię Mathilde, ale byłoby nie w porządku zrzucać na nią winę. Świadomość, że mężczyzna ma broń, bardzo mi dokucza. Farmer agresywnie wysuwa podbródek.

— Więc myślałeś, że możesz to sobie po prostu wziąć? Co jeszcze zamierzałeś ukraść?

— Ja nie... — Nagle robię się zbyt zmęczony, żeby się kłócić. Słońce jakby mnie przygniatało, wyciskając ze mnie tę resztkę sił, która mi została. — Sądziłem, że nikomu to nie będzie przeszkadzać. Odstawię.

Chcę przejść obok niego z powrotem do stodoły, ale zagraża mi drogę. Nawet się nie rusza. Do tej pory przypuszczałem, że to tylko pozerstwo, ale patrząc w jego twarde oczy, ogarniają mnie nagle wątpliwości. Jest mi już jednak wszystko jedno. Wpatruję się w niego, czas mija, wraz z nim w ciszę stopniowo wbija się rytmiczne skrzypienie. Spoglądam przez podwórze, widzę Georges'a, wolno wlecze się w naszą stronę, zardzewiałe wiadro kołysze mu się w dłoni.

Jeśli zaskoczył go widok pracodawcy trzymającego mnie na muszce, nie okazał tego.

— Naprawiłem płot, najlepiej jak mogłem, m'sieur Arnaud. Na razie wytrzyma, ale i tak trzeba go wymienić.

Nic go nie obchodzi, równie dobrze mógłbym być niewidzialny. Arnaud — zdążyłem już zapomnieć nazwisko na skrzynce pocztowej na furtce — poczerwieniał jeszcze bardziej.

— W porządku.

To odprawa, ale starzec nie łapie aluzji.

— Przyjdzie pan zobaczyć?

Arnaud sapie ze złości.

— Tak, za chwilę.

Georges z zadowoleniem kiwa głową i wraca przez podwórze, nadal nie reaguje na moją obecność. Znowu muszę wesprzeć się na kuli, Arnaud bacznie mnie obserwuje. Rusza szczęką, jakby przeżuwał słowa.

Ale zanim je wypluwa, zza stajni wypada pies. Młody spaniel, język mu zwisa, uszy łopoczą. Biegnie do nas, zaczyna podskakiwać wokół Arnauda, brykać wokół mnie. Próbuję nie pokazać po sobie, jaki jestem roztrzęsiony, kiedy sięgam w dół, żeby poczochnąć go po głowie.

— Noga! — skrzeczy Arnaud.

Pies waha się, rozdarty między posłuszeństwem a radością z pieszczot.

— Chodź tutaj, do cholery!

Posłuszeństwo bierze górę. Spaniel pokornie podchodzi, skowyczy, kiedy dostaje klapsa. Kuli się, gdy pan znów podnosi rękę. Gorączkowo macha ogonem. Przywiązałby do niego białą flagę, gdyby mógł, ale zanim Arnaud uderza zwierzę, skurcz wykrzywia mu rysy. Sztywnieje, jedną dłonią chwyta się za plecy, prostuje się z bólu.

— Mathilde! Mathilde! — ryczy.

Córka wylania się z domu, na jednej ręce trzyma niemowlę, w drugiej kosz pokrytych ziemią warzyw. Jakiś błysk, chyba przerażenia, przebiega jej przez twarz, kiedy nas spostrzega, potem jej rysy znów są wyprane z emocji.

— Co on tu robi? — pyta Arnaud. — Mówiłem ci, żebyś trzymała go ode mnie z daleka!

Dziewczyna próbuje uspokoić dziecko, które zaczęło płakać, kiedy dziadek podniósł głos.

— Przepraszam, ja...

— To nie jej wina — przerywam Mathilde.

Arnaud znowu odwraca się do mnie, twarz ma posiniałą.

— Nie mówiłem do ciebie!

— Wyszedłem tylko po to, żeby zaczerpnąć trochę świeżego powietrza — tłumaczę ze zmęczeniem. — Wrócę na strych, okej?

Arnaud pociąga nosem. Patrzy na niemowlę, ciągle zanoszące się płaczem, potem sięga po nie.

— Daj mi go. — Wielkimi dłońmi zabiera dziecko Mathilde, trzyma je na wysokości oczu i łagodnie kołysze z boku na bok. Strzelbę nadal ma wetkniętą pod ramię. — He? Co jest, Michel? Nie płacz. Bądź dużym chłopcem dla swojego dziadka. — Jego głos brzmi szorstko, ale słychać w nim nutę zadowolenia.

Dziecko czka i posyła mężczyźnie bezzębny uśmiech. Nie spuszczając wzroku z wnuka, Arnaud odwraca głowę, żeby rzucić mi przez ramię:

— Zejdź mi z oczu.

Resztę dnia śpię. Albo raczej jestem w półśnie: na pozbawionym powietrza strychu dryfuję między świadomością a marzeniem sennym. W pewnej chwili budzę się i dostrzegam przy łóżku tacę z jedzeniem i wiadro ze świeżą wodą. To Mathilde, domyślam się: mimo że powiedziałem, że nie chcę książki, na tacy leży także stary egzemplarz *Madame Bovary* w twardej okładce.

Może to przeprosiny za kłótnię z jej ojcem?

Wieczór mija w oparach upału i potu. Leżę w bokserkach na materacu,

oszołomiony korzenno-tytoniową wonią strychu. Z braku czego innego do roboty próbuję czytać Flauberta. Ale archaiczna francuszczyzna jest hermetyczna i nie potrafię się skoncentrować. Słowa rozmazują się, książka co chwila wypada mi z rąk, aż wreszcie daję sobie spokój i ją odkładam. Wydaje mi się, że z tego upału nie usnę, ale kiedy zamykam oczy, zanurzam się w senność tak głęboko, jakbym tonął.

Budzę się z krzykiem, obrazy krwi w ciemnej uliczce tkwią mi mocno w głowie. Przez kilka sekund nie pamiętam, gdzie jestem. Strych spowijają ciemności, ale upiorne światło wlewa się przez otwarte okno. Dłonie mam gorące i lepkie, koszmar nadal jest żywy, spodziewam się, że są splamione krwią. Ale to tylko pot.

W jasnym świetle księżyca widzę cyferblat zegarka, nie włączając lampy. Tuż po północy. Drżącą ręką sięgam po papierosa. Zostały tylko trzy: zacząłem palić po pół. Przypalam peta, którego zhartowałem wcześniej, wciągam dym do płuc. Ciężar rozpachy nie chce ustąpić. Kiedy kończę papierosa, przeciągniętego aż do filtra, nie ma mowy, żebym znów zasnął.

Strych jest parny i mały, zalany zimnym blaskiem. Białe pasmo światła biegnie przez podłogę i zakrzywia się na skraju materaca. Wstaję z łóżka i skaczę wzdłuż srebrnej ścieżki do okna. Noc zmieniła krajobraz na czarno-biały. W cieniach lasu bliźniak księżyca lśni na czarnym zwierciadle jeziora. W powietrzu unosi się jakaś metaliczna wilgoć. Oddycham głęboko, wyobrażam sobie, że zanurzam się w ciemnej wodzie, czuję, jak jej chłód zdejmuje nawet ciężar włosów z mojej głowy.

Pohukuje sowa. Zdaję sobie sprawę, że wstrzymuję oddech, więc go uwalniam. Brakuje mi powietrza. Nagle czuję atak klaustrofobii, chwytam kulę i lampę i podchodzę do wjazdu. Na tę noc zostawiłem klapę otwartą na oścież, wygląda jak dziura wiodąca w czerń. W mdłej poświacie lampy schodzę po schodkach.

Nie myślę o tym, co robię. W stodole pode mną jest ciemno choć oko wykol, ale na zewnątrz księżyc w pełni świeci tak jasno, że już nie potrzebuję lampy. Nocne powietrze koi moją nagą skórę, pachnie drzewami i trawą. Teraz w ogóle nie czuję się zmęczony, gorączkowo pragnę tylko dostać się do jeziora.

Kuśtykam ścieżką, którą wcześniej szedł Georges, wzdłuż rzędów winorośli. Światło księżyca srebrzy wierzch liści, zmienia ich spód w czerń. To monochromatyczny świat, tylko światło i cienie. Zatrzymuję się na skraju lasu, żeby nabrać tchu. Drzewa tworzą ścianę ciemności na obrzeżu winnicy.

Powietrze jest tutaj chłodniejsze, tłumi wszelkie dźwięki. Smugi księżycowego światła przesączają się między gałęziami. Drzę, zastanawiam się, co ja robię. Wiem, że powinienem wrócić, ale powab jeziora jest zbyt silny.

Jeszcze nigdy nie zapuściłem się o kuli tak daleko, z trudem oddycham, idąc przez las. Wlokę się z opuszczoną głową, tak skupiony na każdym kroku, że nie zauważam bladej figury, dopóki nie staje na wprost mnie.

— Jezu!

Potykam się do tyłu. Teraz widzę ich więcej, nieruchome kształty między pniami. Serce mi łomocze, ale żadna z figur się nie rusza. Kiedy szok opada, zdaję sobie sprawę, dlaczego postacie tkwią nieruchomo.

Las jest pełen posągów.

Tłoczą się po obu stronach ścieżki, kamienni mężczyźni i kobiety cętkowane srebrem. Chryste. Rozluźniam się z ulgą, ale i tak muszę dotknąć jednej z rzeźb, żeby się upewnić, że pozbawione życia kończyny nie są jednak z krwi i kości. Moje palce natrafiają tylko na chropawe porosty i gładki twardy kamień.

Uśmiecham się zawstydzony i w tej samej chwili leśną ciszę przerywa wrzask. Wysoki, nieludzki, trwa, aż nagle się urywa. Spoglądam w ciemność, mocno chwytam cienką kulę. To tylko lis albo sowa, tłumaczę sobie. Ale czuję, że włoski na karku stoją mi dęba. Odwracam się i patrzę na posągi. Nie poruszyły się, ale teraz ich ślepe spojrzenie wytrąca mnie z równowagi. Potem wrzask powraca, nerwy mi puszczają.

Wszystkie myśli o jeziorze idą w niepamięć, gwałtownie zataczam się na ocienioną ścieżkę. Oddech chrypi mi w uszach, krew dudni, kiedy mozolę się o jednej kuli. Przed sobą, w oddali, widzę zalane światłem księżycyca pole. Jest nieprawdopodobnie odległe. Chryste, naprawdę tak daleko zaszedłem? Wreszcie wydostaję się na otwarty teren, gdzie równe rzędy winorośli zastępują ciemne drzewa. Wlokę się dalej, dyszę, żeby złapać oddech, wreszcie wracam do sanktuarium stodoły. Chwytam powietrze, zatrzymuję się, żeby wziąć lampę i obejrzeć się w stronę lasu. Ścieżka jest pusta, ale nie odpocznę, dopóki nie znajdę się z powrotem na strychu i nie zamknę za sobą klapy w podłodze.

Walę się na materac, pierś ciężko mi pracuje, nogi mam jak z galarety. Pot mnie oblewa, jestem mokry, jak gdybym rzeczywiście zanurzył się w jeziorze. Pomysł, żeby tam pójść — jakbym mógł pływać z zabandażowaną stopą — wydaje się teraz śmieszny. Nie wiem, co ja sobie myślałem. Nie wiesz? Naprawdę?

Chcę tylko zasnąć. Ale zanim zasnę, wracam nad klapy i wciągam na nią

szuflady.

Wreszcie czuję się bezpieczny, kładę się do łóżka i śpię jak zabity.

## Londyn

Callum nadal perorował, kiedy wróciłem od baru.

— Och, weź przestań! Czy my oglądaliśmy ten sam film? Powiedz, ten sam?

Ja oglądałem *Ostatni rozkaz*, a co ty oglądałeś?

— Mówię tylko, że film wzmacnia stereotypowe charaktery. Masz tam, hm, zatwardziałego zbira, poborowego bez doświadczenia, symbolicznego...

— To są archetypy, nie stereotypy! Nie wierzę, że nie zrozumiałeś całego przesłania tego...

— Zrozumiałem. Po prostu myślę, że to... że to, no nie wiem...

— Właśnie!

— Callum, może się zamkniesz i dasz Jezowi dokończyć? — wcina się Yasmin.

— Jasne, ale jak przestanie bredzić!

Stawiam drinki na stole. Piwo dla Calluma, Yasmin i dla mnie, wino dla Chloe, wódka dla Jeza. Chloe uśmiecha się do mnie i unosi oczy, kiedy siadam.

Yasmin zwraca się do mnie:

— Sean, wytłumacz Callumowi, że można mieć wątpliwości co do postaci filmu z Jackiem Nicholsonem i nie zostać za to spalonym na stosie.

— Sean zgadza się ze mną — rzuca Callum. — Nicholson to najwspanialszy aktor swojego pokolenia. Nikt inny, tylko on!

— To był aktor grywający dorywczo, któremu się poszczęściło — mówi Chloe. Zerka na mnie przelotnie, żeby pokazać, że celowo droczy się z Callumem. On, jak zawsze, się odgryza.

— Bzdura! Powiem ci tylko jedno, Chloe. *Lot nad kukułczym gniazdem*. I co?

— Rozsiada się, krzyżuje ręce na piersi, jakby tym argumentem wygrał.

— To była wymarzona rola. Każdy jako tako przyzwoity aktor dałby sobie z nią radę — mruczy Yasmin.

— E, daj spokój! A *Chinatown*? Albo *Infiltracja*?

— No niby co? — Chloe zaczyna strzelać palcami. — *Czarownice z Eastwick*. *Marsjanie atakują!* *Batman*. Najlepszy aktor swojego pokolenia? Jasne.

Jez marszczy czoło.

— *Batman* był w porządku. Chociaż nie taki dobry, jak *Mroczny rycerz*.

Nikt nie zwraca na niego uwagi. Pił cały wieczór i zaczął tracić wątek pół

godziny temu. Tak jak Callum jest nauczycielem w szkole językowej, w której pracuję od kilku miesięcy. Yasmin, jego dziewczyna i najlepsza przyjaciółka Chloe z akademii sztuk pięknych, też tam pracowała, dopóki nie dostała lepiej płatnej pracy na uniwersytecie.

Uwielbiam piątkowe wieczory. Zajęcia w szkole kończą się wcześnie, a potem nasza grupka idzie na drinka i coś do jedzenia, zanim wybierze się do jednego z kin studyjnych, które znajdują się w zasięgu jazdy metrem od szkoły. Callum pasjonuje się kinem, ale często zmienia zdanie na temat swoich ulubionych aktorów, scenarzystów, reżyserów. Zaledwie parę tygodni wcześniej entuzjasmował się Terrence'em Malickiem. Jednak ostatnio obejrzelismy ekranizację *Porozmawiajmy o kobietach*, więc na kolejne kilka tygodni Jack Nicholson został tym Kimś.

Piję piwo i pod stołem głaszczę Chloe po udzie. Ściska mnie za rękę i posyła mi uśmiech, potem przeciąga się i odpycha krzesło.

— Lepiej już wróćę.

Nachyla się i mnie całuje, jej krótkie włosy przez moment dotykają mojej twarzy, potem podchodzi do baru. Domino jest blisko jednego z kin, do których często chodzimy, ale wpadamy do tego baru głównie dlatego, że tutaj pracuje Chloe. Wnętrze jest ciemne i nowoczesne, chłodne niebieskie światła iluminują butelki na ścianie za barem. W piątki panuje tłok, a drinki są drogie, ale dzięki Chloe dostajemy je ze zniżką.

Patrzę, jak idzie za kontuar, śmieje się z czegoś, co szepnęła jej Tanja — jedna z pracownic — zaczyna obsługiwać.

— Chloe daje sobie radę, co? — zagaduje Yasmin.

Odwracam się i widzę, że też przypatruje się Chloe.

— Pewnie. Niby dlaczego miałyby nie dawać rady?

Uśmiecha się, wzrusza ramieniem.

— Tak tylko myślę na głos.

Dziwne słowa. Ale rozprasza mnie Callum, który zaczyna mieszać z błotem Kurosawę.

— Proszę, przyznaj, że nie mówiłeś tego na poważnie. — Odstawiam piwo.

Pięć minut później zapomniałem, co Yasmin powiedziała.

Ale przypominam sobie później, tego wieczoru. Muszę czekać do zamknięcia baru, aż Chloe wytrze blat ze stali nierdzewnej i poustawia wszystkie szklanki. Potem możemy wracać do domu.

— Dobranoc, Paul! — krzyczy do menedżera, który nadal liczy utarg.



Podnoszę rękę na pożegnanie i wychodzimy. Tanja czeka na taksówkę. Mówimy „dobranoc” i ruszamy do mieszkania. To niedaleko, tylko pół godziny spacerkiem, ale jest zimno. Na niebie księżyc w pełni, pierwszy mróz na chodniku lśni w jego świetle jak diamentowy żwir.

Rozpinam płaszcz, otulam nim nas dwoje. Chloe obejmuje mnie ramieniem, źródło ciepła przy mojej piersi. Chyba powinienem trochę się niepokoić, idąc tą częścią East Endu o tej porze nocy. Ale nigdy nie ogarnia mnie niepokój. Mieszkamy w pobliżu, Chloe pracuje w barze, jesteśmy tutejsi, nie mamy czego się bać.

Przechodzimy przez ulicę do naszego domu, śmiejemy się, po cichu, żeby nie obudzić sąsiadów. Zaparkowane samochody stoją wzdłuż jezdni, ciemne metaliczne zarysy promieniujące chłodem. Kątem oka widzę postać, odrywa się od cienia, zmierza w naszą stronę.

Idę dalej, ramieniem opiekuńczo otaczam Chloe. Mężczyzna to wysoki i masywny kształt w płaszczu z grubą podszewką. Nosi narciarską czapkę zsuniętą niemal na oczy.

— Która godzina? — pyta.

Dłonie trzyma w kieszeniach płaszcza, ale na lewym nadgarstku widzę błysk zegarka. Serce zaczyna mi pracować w przyspieszonym tempie. Powinniśmy wziąć taksówkę.

— Dziesięć po trzeciej — odpowiadam, ledwie zerknąłem na własny zegarek. Jest nowy, prezent urodzinowy od Chloe. Próbuje niby przypadkiem stanąć przed nią, kiedy nieznajomy się zbliża. Wyjmuje jedną rękę z kieszeni, ściska w niej coś metalicznego.

— Lenny?

Mężczyzna staje. Po tym, jak się kołysze, widać, że jest pijany albo coś z nim nie tak. Chloe wychodzi do przodu.

— Lenny, to ja, Chloe.

Przez chwilę na nią patrzy, potem leciutko kiwa głową.

— Kto to jest? — Pokazuje na mnie, nie spuszczając z niej oczu.

— Przyjaciel.

Uśmiecha się blado.

— Przyjaciel.

Chcę zapytać, co to za jeden, o co chodzi. Ale głos nie przedostaje się przez zaciśnięte gardło.

— No to... cześć, Lenny.

Chloe bierze mnie za rękę, szarpie, zaczyna mnie odciągać. Lenny nie rusza się z miejsca. Czuję, że nas obserwuje. Nogi mam sztywne. Kiedy dochodzimy na drugą stronę jezdni, odwracam się, ale ulica jest pusta.

W milczeniu idziemy dalej. Spoglądam raz na Chloe, ale ona na mnie nie patrzy. Jej twarz jest mała i blada, z zimna albo z jakiegoś innego powodu, nie wiem.

Mieszkanie znajduje się na najwyższym piętrze przysadzistego betonowego bloku. Idziemy na górę klatką schodową, która zawsze śmierdzi sikami, i otwieramy drzwi. Ledwie wchodzimy, opary terpentyny i farb olejnych osadzają mi się grubą warstwą na języku. Żadne z nas nie próbuje nawet zapalić światła. Jej płótna leżą złożone pod ścianami, na podłodze salonu, kwadraty o białych brzegach; obrazy są za ciemne, żeby je zobaczyć. Mój niedokończony portret stoi na sztalugach przy oknie. Mieszkanie tak mało ma wspólnego z pracownią artysty, jak tylko można sobie wyobrazić, ale przez świetliki osadzone w płaskim dachu jest jasne, jeśli nie zimne. Poza tym mało kosztuje.

Stoję w drzwiach do sypialni, patrzę, jak Chloe włącza elektryczny kominek. Dochodzi z niego lekkie buczenie, kiedy ogniwa zaczynają trzaskać i jarzyć się żółto.

— Powiesz mi, o co tam poszło?

Chloe, tyłem do mnie, zaczyna się rozbierać.

— To ktoś, kogo znałam.

Coś narasta mi w piersi i gardle. Mija chwila, zanim rozpoznaję, że to zazdrość.

— To znaczy, chodziłaś z nim?

— Z Lennym? — Jej zaskoczenie nie jest udawane. — Boże, nie.

— No... to co to było?

Podchodzi do mnie w bieliźnie.

— Sean... — Obejmuje mnie.

Odsuwam jej ramiona. Nie wiem, czy wkurzam się, bo na ulicy czułem się bezradny, czy dlatego, że nagle nie wiem, kim ona jest. Wzdycha.

— Był klientem baru, w którym pracowałam. Okej? Ma się do czynienia z bardzo różnymi typami. To wszystko. — Podnosi na mnie oczy, szeroko otwarte, szczerze.

— Okej — mówię.

Zrzucam ciuchy i idę do łóżka. Leżymy w ciemności, nie dotykając się, powietrze w sypialni jest lodowate mimo elektrycznego kominka. Chloe wierci

się, przysuwa do mnie, całuje, mruczy moje imię. Kochamy się, ale później nie śpię, wpatruję się w ciemność sufitu.

— Yasmin powiedziała dziś wieczorem coś dziwnego — odzywam się po chwili. — Ze dajesz sobie radę. Po co to mówiła?

— Nie wiem. To ty rozmawiałeś z Yasmin.

— Więc nie ma niczego, co powinienem wiedzieć?

W gęstym mroku nie widzę jej twarzy. Ale po odblasku światła rozpoznaję, że leży z otwartymi oczami.

— Oczywiście, że nie — odpowiada. — Niby co takiego miałbyś wiedzieć?

# Rozdział 5

Kiedy następnego dnia rano Mathilde przychodzi na strych, jestem spakowany i gotowy do odejścia. Wiem, że to ona, zanim się pojawia, potrafię już rozróżnić jej równy krok i plaskanie klapków Gretchen. Kieruje wzrok na zapięty plecak przy łóżku, ale jeśli wyciąga z tego jakieś wnioski, zachowuje je dla siebie. Trzyma tacę z posiłkiem i rolką czystego bandaża. Tego poranka dostaję także dodatkowy poczęstunek: czajniczek parującej kawy.

— Przyniosłam ci śniadanie — oznajmia, stawiając tacę. — Mogę zmienić opatrunek?

Siadam na materacu i podwijam nogawkę dżinsów. Bandaż jest postrzępiony i brudny po mojej nieudanej nocnej wycieczce. Gdyby nie to, prawie bym uwierzył, że ta wyprawa mi się przyśniła. Milcząca gromada posągów za dnia wydaje się nierealna, wmówiłem też sobie, że wrzask, który słyszałem, to w końcu tylko lis. Pewnie złapał się w jedną z pułapek Arnauda.

Współczuję.

— Podwieziesz mnie później do drogi? — pytam, kiedy Mathilde zaczyna odwijać bandaż. Nie robi uwag na temat jego wyglądu.

— Odchodzisz?

— Zaraz po śniadaniu. Chcę wcześniej wyruszyć.

Postanowienie było w pełni ukształtowane, kiedy się obudziłem. Skoro daję radę dojść do lasu i z powrotem, to jestem w wystarczająco dobrej formie, żeby podróżować. Mógłbym jakoś dokuśtykać do drogi o własnych siłach, ale nie ma sensu się męczyć już na samym początku. Nadal nie wiem, co będę robił ani dokąd pójdę, ale ostatnie zderzenie z Arnaudem przekonało mnie, że lepiej ryzykować na zewnątrz, niż zostawać tutaj dłużej.

Mathilde nadal odwiązuje bandaż.

— Jesteś pewien?

— Jeśli podrzucisz mnie aż do drogi, złapię tam okazję.

— Jak sobie życzysz.

Chociaż nie mam powodu, czuję się rozczarowany jej brakiem reakcji. Patrząc, jak zdejmuje bandaż i usuwa opatrunki. Kiedy odkleja się ostatni, ogarnia mnie ulga, że stopa nie jest w gorszym stanie. Właściwie wydaje się nawet w lepszym; opuchlizna trochę zeszała, rany nie są takie posiniałe.

— Nie wygląda źle, prawda? — mówię z nadzieją na potwierdzenie.

Mathilde nie odpowiada, delikatnie obraca stopę w różne strony, potem lekko dotyka brzegu jednej z ran.

— Czy to boli?

— Nie. — Przyglądam się jej uważnie, kiedy bada nogę. — Coś nie tak?

Znów nie odpowiada. Twarz ma opanowaną, kiedy kładzie dłoń na moim czole.

— Czujesz gorąco? Masz temperaturę?

— Nie. A co?

— Jesteś trochę zaczerwieniony.

Ponownie nachyla się nad stopą. Przykładam dłoń do czoła. Nie potrafię stwierdzić, czy jest gorętsze.

— Gorzej z tym zakażeniem?

Leciutkie wahanie przed odpowiedzią.

— Chyba nie.

Żółtawa otoczka otarcia wokół rany jakby nabrała bardziej złowrogiego odcienia. Patrzę z niepokojem, jak dziewczyna oczyszcza mi stopę i zaczyna owijać ją nowym bandażem.

— Coś nie tak? — powtarzam.

— Na pewno w porządku. — Głowę ma pochyloną, nie pozwala mi spojrzeć sobie w twarz. — Czasem trzeba uważać na takie rzeczy. Ale rozumiem, jeśli spieszy ci się, żeby odejść.

Patrzę na stopę, znowu owiniętą w nieskalaną biel. Nagle zdaję sobie sprawę, że bolą mnie mięśnie. Chyba po nocnym wysiłku, ale też przecież...

— Może powinienem poczekać jeszcze jeden dzień?.

— Jak uważasz. Możesz zostać tak długo, jak chcesz.

Gdy zbiera swoje rzeczy i wraca do schodów, jej wyraz twarzy niczego nie zdradza. Kiedy odeszła, wyginam stopę, sprawdzam ją. Nie czuję gorączki, ale ostatnia rzecz, której potrzebuję, to zachorować na jakiejś pustej francuskiej drodze. I właściwie nie mam dokąd pójść ani mnie nie pili, żeby dokądś dotrzeć. Już nie. Jeszcze jeden dzień nie robi różnicy.

Przebiega mi przez głowę, że może tak planowała Mathilde, ale odrzucam tę myśl. Mój pobyt tutaj sprawił jej tylko kłopoty. Ma nie więcej powodów niż ja, żebym tutaj został.

Przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Ale kiedy łykam antybiotyk i sięgam po śniadanie, zdaję sobie sprawę, że najbardziej pragnę ulgi.

W południe na strychu jest nieznośnie gorąco, od zbutwiałego zapachu starych mebli swędzi mnie skóra. Słucham muzyki, potem zapadam w drzemkę. Budzę się — lunch czeka obok otwartej klapy w podłodze. Przecieram oczy, postanawiam zjeść go na zewnątrz. Arnaud ostrzegł mnie, żebym trzymał się z dala od domu, jednak nawet on nie może oczekiwać, że cały dzień spędzę w stodole.

Schodzenie ze schodów z tacą jest niebezpieczne, ale jakoś udaje mi się nią balansować. Przed jedzeniem korzystam z wychodka i myję się pod kranem w stodole, pod którym Georges napełniał wiadra. Mały akt samowystarczalności podnosi mnie na duchu, niemal z zadowoleniem sadowię się pod kamienną ścianą. Nawet w cieniu stodoły jest duszno i gorąco. Przeżuwam chleb i ser, patrzę na jezioro za winnicą. Z miejsca, w którym siedzę, to tylko migotanie wody prześwitujące między drzewami. Głupia próba nocnej wyprawy do lasu nie przyniosła chyba złych skutków. Nie pojawiła się gorączka, stopa nie pulsuje, nie odnowiła się infekcja. Jest tylko narastające napięcie, które nie ma nic wspólnego z moją nogą. Bóg wie, gdzie znajdę się jutro o tej porze, ale miło byłoby przynajmniej popatrzeć na jezioro przed odejściem.

Taka szansa już się nie powtórzy.

Kończę jeść, opieram się na kuli i znowu ruszam ścieżką. W świetle dnia widzę, że winorośl obumiera. Liście są pokryte plamami, zwinięte na brzegach, a rzadkie kiście zwisają jak maleńkie, pozbawione powietrza baloniki. Nic dziwnego, że wino ma taki przykry zapach.

Słońce jest bezlitosne. Myślałem, że teraz, kiedy wszystko dobrze widzę, łatwiej będzie mi iść, ale w skwarze wędrówka trwa dłużej niż ostatniej nocy. Wyboistą ścieżkę przecinają głębokie koleiny, ślady opon są jak osadzone w niej betonowe odlewy. Kula przechyła się i ślizga; do lasu docieram zlany potem. Z ulgą wchodzę w cień. Teraz drzewa nie wyglądają groźnie. To kasztany, takie jak te przy drodze. Cieszę się, że trafiłem pod ich zielone sklepienie.

Idąc ścieżką między nimi, łapię się na tym, że nasłuchuję, czy nie powtórzy się wrzask, który rozległ się w nocy. Ale nie słychać niczego groźniejszego niż cykanie świerszczy. Posągi też straciły złowrogi wygląd. W świetle dnia nie ma w nich niczego, co mogłoby przerażać. W najgęstszej części lasu stoi kilkanaście kamiennych figur, najwyraźniej stłoczonych tu na chybił trafił. Wszystkie są zniszczone przez pogodę i stare; teraz widzę, że większość jest uszkodzona. Bożek Pan ze złamanym kopytem bryka obok nimfy bez twarzy, a mnich bez nosa, ustawiony obok, wstrząśnięty unosi oczy. Nieco z osobna tkwi postać

zawołowanej kobiety, kamień zasłaniający twarz jest zmyślnie wykuty, żeby przypominał załamania tkaniny. Ciemna oleista plama szpeci jedną z dłoni przyciśniętych do serca, znaczy ją jak zeschnięta krew.

Nie mam pojęcia, co tu robią ukryte między drzewami, ale efekt mi się podoba. Zostawiam je ich powolnemu rozkładowi i idę dalej ścieżką.

Jeziorko leży niedaleko. Światło słońca odbija się od niego oślepiająco jaskrawo. Brzegi są porośnięte trzcinami, woda wydaje się tak nieruchoma, że można by wykopać dziurę w jej powierzchni. Ślizgają się po niej kaczki, gęsi i ptactwo wodne, ciągnąc za sobą ukośne ślady. Oddycham wonnym powietrzem. Czuję, jak na ramionach rozluźniają mi się węzły napięcia. Dziś rano jestem na tyle rozsądny, żeby wiedzieć, że pływanie nie wchodzi w rachubę, ale myśl o kąpieli nie staje się przez to mniej kusząca.

Wchodzę na szczyt urwiska nad jeziorkiem. Stoi tu samotny kasztan, jego gałęzie rozpościerają się nad wodą. Tu jest chyba na tyle głęboko, żeby zanurkować, ale zaraz dostrzegam mroczny cień, który czai się kilka metrów dalej jak leniwy rekin. Podwodna skała. Czeka na kogoś nieostrożnego, żeby skoczył z urwiska. Powinienem się tego spodziewać, myślę rozczarowany. Nawet w jeziorku są pułapki.

Osuwam się na ziemię, opieram o drzewo i patrzę za wodę. Droga tutaj była męcząca, ale jestem zadowolony, że zdobyłem się na ten wysiłek. Nie dostanę drugiej szansy. Przynajmniej stopa nie wygląda gorzej. Bandaż, który założyła Mathilde, już jest brudny, ale nie ma na nim świeżych plam krwi, a ból zaczyna przechodzić w swędzenie. Ceną za niepokój był kolejny dzień, ale przynajmniej już nic mnie nie powstrzyma i jutro odejdę. I co potem?

Nie wiem.

Jeśli w tym, że wdepnąłem w pułapkę, jest coś pozytywnego, to tylko to, że moje myśli zostały odciągnięte od wszelkich innych spraw. Kiedy tutaj przebywałem, miałem za dużo na głowie, żeby martwić się o przeszłość albo przyszłość, ale to wkrótce się skończy. Jeszcze jedna noc i wrócę tam, gdzie zacząłem. Uciekinier w obcym kraju, bez pojęcia, co dalej robić.

Ręce mi się trzęsą, kiedy sięgam po papierosy, ale zanim zdążam zapalić, z lasu wyskakuje spaniel. Rzuca się na kaczki na brzegu jeziorka, ptaki rozpraszają się z kwakaniem. Arnaud, myślę, sztywniejąc. Ale to nie papa za nim podąża. To Gretchen z niemowlęciem.

Spaniel zauważa mnie pierwszy. Podbiega do drzewa, pod którym siedzę, młóci serdelkowatym ogonem.

— Dobry piesek. — Zadowolony z odmiany przymilam się do zwierzęcia, próbując powstrzymać go od deptania mi po stopie.

Gretchen zatrzymuje się na mój widok. Nosi bawełnianą sukienkę bez rękawów, jasnoniebieską, podkreślającą kolor skóry. Marne ubranie — cienka spłowiała kiecka, a na nogach tylko klapki. Ale dziewczyna i tak wywoływałaby zawroty głowy na ulicy dowolnego wielkiego miasta.

Niesie niemowlę, Michela, który siedzi jej na biodrze jak nierozwinięty bliźniak syjamski. Spłowiała czerwona tkanina, z węzłami na rogach, uformowana w torbę, zwisa jej z drugiego ramienia.

— Przepraszam, jeśli cię wystraszyłam — mówi. Zerka w stronę ścieżki, jakby zastanawiała się, czy nie powinna wrócić. Potem na ulotną chwilę pojawiają się jej dołeczki w policzkach.

— Nie wystraszyłaś.

Przesuwa niemowlę, żeby było jej wygodniej. Jest zarumieniona od dźwigania dzieciaka w upale. Zdejmuje czerwoną tkaninę.

— Przyszliśmy nakarmić kaczki.

— Myślałem, że tylko miastowi robią takie rzeczy.

— Michelowi to się podoba. Gdyby wiedziały, że będą karmione, zostałyby tutaj i od czasu do czasu moglibyśmy którąś wziąć.

„Wziąć” to oczywiście eufemizm na „zabić”. Tyle, jeśli chodzi o sentymenty. Gretchen rozwiązuje „torbę” i wysypuje chleb, ptaki jak szalone tłuką się w wodzie. Do ich hałaśliwego kwakania dołącza szczekanie psa podskakującego na brzegu.

— Lulu! Chodź tu!

Rzuca spanielowi kamień. Kiedy suczka za nim pędzi, Gretchen wchodzi na szczyt urwiska i siada niedaleko mnie, chłopczyka sadza obok siebie. Mały znajduje gałązkę i zaczyna się nią bawić.

Oglądam się na ścieżkę, chyba się spodziewam, że zobaczę Arnauda z karabinem myśliwskim. Ale w lesie oprócz nas nie ma nikogo. Trochę mi nieswojo, nie jestem pewien, czy w związku z ostrzeżeniem ze strony ojca Gretchen, czy w związku z jej obecnością. Nie spieszy się z odejściem. Słysząc tylko psa, jak gryzie kamień, i Michela robiącego bańki ze śliny. Nie licząc kaczek i gęsi, jesteśmy tutaj jedynymi żywymi istotami.

Z teatralnym westchnieniem Gretchen chwyta z przodu za sukienkę i zaczyna się nią wachlować.

— Strasznie gorąco. — Zerka, czy patrzę. — Myślałam, że nad jeziorkiem



będzie chłodniej.

Oczy mam utkwione w wodzie.

— Pływałaś tutaj kiedyś?

Przestaje się wachlować.

— Nie, papa mówi, że to niebezpieczne. Zresztą nie umiem pływać.

Zaczyna zrywać małe żółte kwiatki rosnące w trawie i splatać je w wianuszek. Cisza jej nie krępuje, nie mogę tego samego powiedzieć o sobie. Nagle rozlega się ten sam wrzask, który słyszałem w nocy. Dochodzi z lasu za nami, za dnia nie jest tak niepokojący, ale wyraża nie mniejszą udrękę.

— Co to było? — Spoglądam między drzewa.

Ani Gretchen, ani Michel nie wydają się zainteresowani. Nawet suczka ledwie unosi uszy i wraca do gryzienia.

— Świniodziki.

— Co takiego? — Przypominam sobie, że już o nich wspominała, ale nic mi to nie mówiło.

— Świniodziki — powtarza, jakbym był idiotą. — Krzyżówka dzików i świń. Papa je hoduje, ale brzydko pachną, więc trzymamy je w lesie. Zawsze kłócą się o jedzenie.

Ulżyło mi, że to tylko tyle.

— Więc to świńska farma?

— Nie, oczywiście, że nie! — Gretchen gromi mnie wzrokiem. — Świniodziki to jedynie hobby papy. I to nie jest farma, tylko rezydencja. Jeziorko i wszystkie lasy dookoła są nasze. Mamy prawie sto hektarów kasztanów, co zimą są zbiory.

Wypowiada to z taką dumą, że zakładam, że kasztanów musi być mnóstwo.

— Widziałem, że robicie też własne wino.

— Robiliśmy. Papa chciał je nazwać Chateaux Arnaud. Załatwił dobry kontrakt na wina i przekopał nasze pola buraków, ale winorośl była za słaba na naszą ziemię. Złapała jakąś śnieć, więc wyprodukowaliśmy tylko jeden rocznik. Zostały nam setki butelek, ale papa twierdzi, że da radę je sprzedać, jak tylko dojrzeją.

Myślę o kwaśnym zapachu w stodole i mam nadzieję, że Arnaud powstrzyma się jeszcze ze sprzedażą. Gretchen zrywa i wplata kolejny kwiatek. Spogląda na mnie sponad wianuszka.

— Mało o sobie mówisz, co?

— Mało jest do powiedzenia.

— Nie wierzę ci. Tylko próbujesz być tajemniczy. — Uśmiecha się. W policzkach znów pojawiają się dołeczki. — No, dalej, opowiedz coś. Skąd jesteś?

— Z Anglii.

Żartobliwie trzepie mnie po ramieniu. To boli.

— Chodziło mi o to, gdzie mieszkasz.

— Mieszkałem w Londynie.

— Co tutaj robisz? Musisz mieć jakąś pracę.

— Nic stałego. Bary, budowy... — Wzruszam ramieniem. — Trochę uczyłem w szkole.

Piorun nie uderza, ziemia się nie rozstępuje. Gretchen zrywa kolejny kwiatek i chyba chce jeszcze o coś zapytać, ale właśnie w tej chwili pies puszcza mi na kolana kamień, w który się wgryzał.

— Och, bardzo dziękuję. — Ostrożnie podnoszę obśliniony podarunek i rzucam go daleko.

Pies zjeżdża w dół urwiska, zwalnia i zatrzymuje się zdezorientowany, kiedy kamień z pluskiem wpada do wody. Patrzy za nim, potem na mnie, z rozpaczą.

Gretchen się śmieje.

— Ona jest taka głupia.

Znajduję inny kamień i wołam psa. Suka nadal jest zmieszana stratą poprzedniego, najwyraźniej to był jej ulubiony, ale orientuje się, kiedy rzucam ten drugi między drzewa. Pędzi za nim, znowu szczęśliwa.

— Gretchen to niemieckie imię, prawda? — pytam zadowolony, że mam okazję zmienić temat.

Dodaje kolejny kwiatek do splotu.

— Rodzina papy pochodzi z Alzacji. Dostałam imię po babci. A Michel to drugie imię papy. Trzeba podtrzymywać tradycje rodzinne, to ważne.

— A Mathilde po kim dostała imię?

Dziewczyna robi kamienną minę.

— Skąd mogę wiedzieć? — Tak mocno ciągnie za kwiatek, że wyrывa go z korzeniami. Wyrzuca go, zrywa kolejny.

Próbuję rozładować atmosferę.

— A ile miesięcy ma Michel?

— Na jesieni skończy roczek.

— Nie widziałem jego ojca. Jest gdzieś stąd?

Usiłuję tylko podtrzymać rozmowę, ale mina Gretchen robi się jeszcze bardziej surowa.

— Nie rozmawiamy o nim.

— Przepraszam, nie chciałem wtrącać się w wasze sprawy.

Po chwili wzrusza ramionami.

— Hm, to nie tajemnica. Odszedł, zanim Michel się urodził. Zawiódł nas wszystkich. Przyjęliśmy go do rodziny, a on nas zdradził.

To brzmi jak słowa jej ojca, ale wszelkie komentarze zostawiam dla siebie. Gretchen wplata ostatni kwiatek, łączy oba końce wianka i wiesza go Michelowi na szyję. Dziecko uśmiecha się, potem rozrywa ozdobę małymi rączkami.

Twarz dziewczyny staje się pusta, tak jakby ktoś złapał ją za skórę i naciągnął. Trzepie małego w ramię, mocniej niż mnie.

— Niedobry chłopiec! — Siostrzeniec zaczyna zawodzić. Nic dziwnego: jej dłoń zostawiła czerwony ślad na jego pulchnym ramieniu. — Niedobry, niedobry chłopiec!

— Zrobił to niechcący — rzucam zaniepokojony, że uderzy go jeszcze raz.

Przez chwilę myślę, że teraz zamiast niego ja dostanę. Ale zły humor mija jej równie nagle, jak się pojawił.

— Zawsze tak robi — mówi i ciska w bok rozerwaną girlandę. Podnosi siostrzeńca i go przytula. — No, Michel, nie płacz. Gretchen nie chciała.

Ja bym powiedział, że chciała, ale dziecko łatwiej przekonać. Zawodzenie zmienia się w czkawkę i wkrótce mały znów chichocze. Kiedy Gretchen wytarła mu oczy i nosek, incydent odchodzi w niepamięć.

— Lepiej zabiorę go z powrotem. — Wstaje. — Idziesz?

Waham się. Wolałbym zostać nad jeziorkiem i przecież muszę brać pod uwagę jej ojca.

— Nie, raczej nie.

— Co, boisz się papy? — Uśmiecha się.

Nie wiem, jak odpowiedzieć. Ten człowiek już groził mi bronią i skopał mnie ze schodów, więc to, żeby go nie prowokować, to kwestia zdrowego rozsądku. Ale oskarżenie i tak zabolowało.

— Myślę, że lepiej, żeby nie widział mnie z tobą, to wszystko.

Gretchen się uśmiecha.

— Nie martw się. Bolą go plecy i po lunchu kładzie się do łóżka. A Georges idzie jeść do domu, więc nikt nie powie.

Czeka, aż z nimi pójdę. Chyba nie mam dużego wyboru, więc ostatni raz rzucam okiem na jeziorko i niezgrabnie gramolę się na nogi.

Gretchen zwalnia, żebym za nią nadążył, kiedy wracamy przez las. Wysunęła

biodro, żeby łatwiej podtrzymać ciężar dziecka, jasnoniebieska sukienka tylko częściowo przesłania długie i opalone nogi. Dziewczyna skrobie klapkami po ścieżce, wybijając kontrapunkt do drapania mojej kuli. Panuje późna popołudniowa cisza. Staje się bardziej wymowna, gdy docieramy do posągów. Kamienne figury nadają ciszy spokój kościelnej nawy.

— Co to tutaj robi? — pytam i przystaję, żeby odetchnąć.

Gretchen ledwie rzuca na nie okiem.

— Papa ma je sprzedać. Wiele lat temu zaczął je zbierać. Zdziwiłbyś się, co stoi w ogrodach opuszczonych pałaców.

— Chcesz powiedzieć, że je ukradł?

— Też coś! Papa nie jest złodziejem! — odpowiada. — To tylko stare posągi, a pałace, z których zostały zabrane, są zupełnie puste. Jak mógł je ukraść, skoro tam nikt nie mieszka?

Wątpię, żeby właściciele mieli do tego taki sam stosunek, ale zdenerwowałem Gretchen już dosyć jak na jedno popołudnie. I spacer bardziej mnie wyczerpał, niż myślałem. Słońce nadal jest gorące, ale stoi już niżej i nasze cienie rozciągają się przed nami jak patykowate olbrzymy. Wlokę się z trudem z opuszczoną głową, zbyt zmęczony, żeby rozmawiać. Kiedy docieramy do stodoły, lepię się od potu, a mięśnie nóg drżą mi z wysiłku.

Kiedy stajemy przed wrotami stodoły, Gretchen zakłada włosy za ucho. Nieświadome naśladownictwo siostry.

— Cały jesteś spocony. — Pokazują się dołeczki uśmiechu. — Powinieneś więcej ćwiczyć chodzenie o kuli. Popołudniami zazwyczaj zabieram Michela na spacer. Jak chcesz, jutro znowu możemy spotkać się nad jeziorkiem.

— Nie będzie mnie tam — mówię. — Jutro odchodzę.

Wypowiedziane słowa czynią to bardziej realnym. Sama myśl o tym jest jak skok z urwiska.

Gretchen patrzy na mnie.

— Nie możesz odejść! Co z twoją stopą?

— Poradzę sobie.

Twarz jej tężeje.

— To przez Mathilde, prawda?

— Przez Mathilde? Nie, ależ skąd.

— Ona zawsze wszystko psuje. Nienawidzę jej!

Niespodziewana nienawiść mnie zaskakuje.

— To nie ma nic wspólnego z Mathilde. Muszę iść, i tyle.

— Świetnie. To idź.

Odchodzi, zostawia mnie pod wrotami. Wzdycham, patrzę w ciemne wnętrze stodoły. Czekam, dopóki oddech mi się nie wyrówna, potem zaczynam długą drogę po drewnianych schodach na górę.

Śpię kilka godzin, budzę się i widzę, że na strychu już nie ma słońca. Nadal jest gorąco i klaustrofobicznie, ale światło przygasło, co wskazuje, że zrobiło się późno. Patrzę na zegarek, po ósmej. Jeszcze ani śladu kolacji. Zastanawiam się, czy posiłek się opóźnia, czy tak zdenerwowałem Arnauda albo Gretchen, że nic nie dostanę.

Zresztą nie jestem pewien, czy zdołałbym coś przełknąć.

Schodzę i myję się pod kranem na dole. Lodowata woda odbiera mi dech, ale dzięki niej czuję się trochę lepiej. Potem siadam przed stodołą, żeby popatrzeć na powolny zachód słońca. Ognista kula zsuwa się za las kasztanów, zapalam papierosa. Ostatniego, ale jutro przede wszystkim poszukam supermarketu albo kiosku. Potem...

Nie mam pojęcia.

Rozżarzony koniuszek papierosa dociera prawie do moich palców, kiedy słyszę kroki na podwórzu. Pojawia się Mathilde, niesie tacę. Widok butelki wina i talerza z parującym jedzeniem mnie zaskakuje. Zaczynam niezdarnie się podnosić.

— Siedź. — Stawia tacę obok mnie. — Przepraszam, że kolacja trochę po czasie. Michel dostał kolki i nie można go uspokoić.

Chociaż powiedziałem sobie, że to nie ma znaczenia, cieszę się, że znalazła się prozaiczna przyczyna. Chociaż śmiem myśleć, że Michel jest mniej zadowolony.

— Wspaniale pachnie — mówię. I rzeczywiście: wieprzowina z kasztanami, ziemniaki sauté, zielona sałata. Szkoda że nie jestem głodny.

— Pomyślałam, że chciałbyś dziś wieczorem napić się trochę wina. To tylko nasze, domowej roboty, ale do obiadu ujdzie.

— Co to za okazja? — Zastanawiam się, czy nie chodzi o podkreślenie mojego odejścia.

— Żadna. Tak po prostu. — Szklanekę do wody napełnia do połowy ciemnym płynem. — Nadal zamierzasz jutro odejść?

Zastanawiam się, co Gretchen jej powiedziała. Może nic i tylko sobie pochlebiam.

— Tak.

— Jakie masz plany?

— Nic konkretnego. — Brzmi nieźle, kiedy ot tak sobie to mówię.

Mathilde zakłada włosy za ucho.

— Zawsze możesz tutaj zostać. Przydałaby się nam pomoc na farmie.

Ta propozycja jest tak odległa od wszelkich moich oczekiwań, że jakoś do mnie nie dociera.

— Przepraszam, co?

— Jeśli nie musisz natychmiast odchodzić, to tutaj jest sporo do zrobienia. O ile byłbyś zainteresowany.

— Proponujesz mi pracę?

— Poza Georges'em, jest nas tylko troje. Przydałaby się nam dodatkowa para rąk, a Gretchen napomknęła coś, że zajmowałaś się budowlanką. — Znów unosi rękę, żeby zatknąć kosmyk za ucho. — Trudno nie zauważyć, w jakim stanie jest dom. Ściany wymagają pilnego remontu.

— Pracowałem na budowach, ale to nie to samo. Dlaczego po prostu nie wynajmiecie miejscowego budowlańca?

— Nie stać nas — odpowiada po prostu. — Nie damy rady dobrze ci zapłacić, ale będziesz tutaj mieszkał za darmo. Dostaniesz posiłki. I nie musisz zaczynać od zaraz. Możesz poczekać, aż nabierzesz sił, a potem będziesz pracował we własnym tempie. Zrobisz tyle, ile uznasz, że zdołasz.

Przejechałem dłonią po twarzy, próbując myśleć.

— A co z waszym ojcem?

— Nim się nie przejmuj.

Oczywiście.

— On o tym wie, prawda?

Szare oczy są nieprzeniknione.

— Nie prosiłabym cię, gdyby nie wiedział. Mój ojciec potrafi być uparty, ale jest realistą. Tę robotę trzeba wykonać, a skoro opatrność cię tutaj zesłała... Nam wszystkim wyjdzie to na dobre.

Opatrność. Więc żadnego związku z pułapkami Arnauda.

— Bo ja wiem...

— Nie musisz teraz decydować. Nie śpiesz się. Po prostu chciałam, żebyś wiedział, że jutro nie musisz odchodzić.

Wstaje z wdziękiem. O zmierzchu jej rysy są poważne i bardziej nieodgadnione niż kiedykolwiek.

— Dobranoc. Spotkamy się rano.

Patrzę, jak odchodzi i znika za rogiem stodoły. Oślepiały upijam trochę wina i się krzywię.

— Boże...

Nie dostałoby żadnej nagrody, ale jest mocne. Ryzykuję kolejny łyk, usiłuję zebrać myśli. Nagle wszystko się zmieniło. Odejść stąd bez jasnego planu, bez celu podróży, to jak prosić się o kłopoty, ale nie sądziłem, żebym miał wybór. Teraz mam, więc może chwila przerwy na oddech nie jest takim złym pomysłem. Pobyć tutaj niczego nie zmieni, ale da mi czas na zastanowienie. Zanim podejmę jakieś ważne decyzje, przynajmniej poczekam, aż zagoi się stopa.

Bóg wie, że ostatnia rzecz, jakiej mi potrzeba, to wpakować się w inne tarapaty.

Słońce prawie zaszło, zostawiło tylko ostatni odblask, pogłos na horyzoncie. Nadziewam na widelec kawałek wieprzowiny. Jest ostra, z zapaszkiem, przyrządzona z czosnkiem i taka krucha, że się rozpada. Upijam jeszcze wina i ponownie napełniam szklanę. Mathilde miała rację: jest lepsze z jedzeniem, chociaż to niewiele znaczy. Ale i tak alkohol i wyrazisty smak wywołują przyjemny rausz.

W pewnej chwili zdaję sobie sprawę, że depresja, która nade mną wisiała, uleciała wyżej. Słyszać tylko wieczorny chór świerszczy. Nie ma samochodów, nie ma ludzi. Panuje absolutny spokój.

To doskonałe miejsce na kryjówkę.

## Londyn

Jedziemy do Brighton za pieniądze zarobione przez Chloe na obrazach. Nabywcą jest marszand, który otwiera galerię w Notting Hill. Chce tego obrazu dla siebie, zimnej abstrakcji błękitów i fioletów — którą po cichu uważam za zbyt ponurą — i zamawia kolejnych sześć płócien, żeby zawiesić je w galerii, kiedy ta już ruszy.

— To się dzieje! — pieje z zachwytu Chloe po tym, jak odebrała od niego telefon. Rzuca mi się na szyję, obejmuje mnie rękami i nogami. — To się dzieje naprawdę!

Tego wieczoru świętujemy w Domino. Chloe znalazła kogoś, żeby ją zastąpił za barem, a Paul, menedżer, sprzedał nam szampana bez marży.

— Co za sknera — zrzędzi Yasmin. — Nie zbiedniałby, gdyby postawił nam

na koszt firmy.

Chloe jest w euforii nawet bez alkoholu, buzuje od planów i podekscytowania.

— Boże, nie mogę uwierzyć! On zna ludzi z Paryża i Nowego Jorku, mówi, że przyjeżdżają na otwarcie! I ma być krytyk sztuki z „Daily Mail”!

— Nie wiedziałem, że w „Daily Mail” mają krytyka sztuki — mruczy Jez.

Yasmin szturcha go łokciem i obrzuca wymownym spojrzeniem.

Chloe albo nie słyszy, albo nic sobie z tego nie robi. Ciągnie szampana jak wodę.

— Jezuu, wreszcie będę mogła się stąd wynieść! Zająć się tylko malowaniem i powiedzieć wszystkim agencjom reklamowym, żeby się wypchały!

Callum kupił gram koki jako swój wkład w przyjęcie. Na naszym stole, w przyciemnionej wnęce, za pomocą karty kredytowej dzieli kreski na okładce czasopisma.

— Co ty, kurwa, wyprawiasz? — syczy Yasmin.

— Nic takiego, to tylko mała działka. Nikt nie zauważy. Sean, chcesz trochę?

— Nie, dzięki.

Nigdy nie wchodziłem w kokę. O ile wiem, Chloe też nie brała, więc spodziewam się, że tak jak ja odmówi. Ku mojemu zaskoczeniu nie odmawia.

— Jesteś pewna? — pytam.

— Czemu nie? — Uśmiecha się. — Przecież świętujemy, prawda?

— Chloe... — zaczyna ostrzegawczo Yasmin.

— Spokojnie, nie martw się — przerywa jej i przyjmuje od Calluma drugą kreskę. — To tylko teraz.

Yasmin pochyla się do mnie i znów napełnia mi kieliszek z butelki.

— Nie pozwól, żeby wzięła więcej.

— Po prostu się bawi — mówię. Yasmin jest w porządku, ale czasem za bardzo się przejmuje. — Niby dlaczego ma nie wziąć? Zasłużyła sobie.

— A jak się nie powiedzie? Nie radzi sobie dobrze z rozczarowaniami.

— Och, Yasmin, daj spokój. Wyluzuj.

Patrzy na mnie z wściekłością.

— Naprawdę jesteś taki głupi?

Gapię się na nią zaskoczony i urażony, kiedy odsuwa krzesło i odchodzi. Hm, kogoś tu zżera zazdrość, myślę.

Brighton to pomysł Chloe. Jest tak zdenerwowana w ciągu tygodnia przed otwarciem galerii, że obgryzła sobie paznokcie do żywego mięsa. Pracuje nad



obrazami cały dzień, dosłownie, dopóki nie musi wybiec z domu, żeby zdążyć na zmianę w Domino.

— Wyjedźmy — proponuje pewnego wieczoru, gdy obrazy zostały już przewiezione do galerii.

— Pasuje mi. Po otwarciu możemy...

— Nie, teraz. To czekanie doprowadza mnie do szaleństwa. Natychmiast muszę się stąd wynieść.

Po ponurej londyńskiej aglomeracji uzdrowisko jest oślepiająco białe, skąpane w słońcu i jasności. Łapiemy okazję, bo nie ufamy samochodowi Chloe, którym można jeździć na coraz krótszych dystansach. Kiedy z jej obrazami wszystko pójdzie dobrze, zakup nowego auta będzie priorytetem. Jest pełna planów i pomysłów, przekonana, że osiągnęła punkt zwrotny w karierze. W co bardziej szalonych chwilach przypominam sobie ostrzeżenie Yasmin, ale nowy optymizm Chloe okazuje się zaraźliwy i zmiata na bok wątpliwości.

Zatrzymujemy się w pubie na nadmorskim bulwarze i płacimy absurdalną cenę za piwa, bo staliśmy się lekkomyślni po obietnicy sukcesu Chloe i dlatego, że jesteśmy na wakacjach. Potem przeczesujemy sklepy z używanymi rzeczami w poszukiwaniu ram do obrazów, których mogłaby użyć do swoich prac. Niczego nie znajdujemy, ale kupujemy stary polaroid z kilkoma zestawami klisz. Pstrykamy fotki na bulwarze, odliczamy na głos, czekając, aż klisze się wywołają, ale pod spodem znajdujemy puste kwadraty emulsji. Wychodzi tylko jedno zdjęcie — Chloe stoi przed mołem, uśmiechnięta, upozowana jak modelka. Nie podoba się sobie, ale trzymam kartonik poza jej zasięgiem, kiedy ze śmiechem próbuje mi wyrwać go i podrzeć. Nalega, żebyśmy zarezerwowali pokój ze śniadaniem, co znacznie wykracza ponad nasz zwykły budżet, i zjedli nafaszerowaną czosnkiem kolację we włoskiej restauracji... Jesteśmy bardziej niż podpici, kiedy wracamy do hotelu. Uciszamy się nawzajem w napadzie chichotów, otwierając drzwi do naszego pokoju, a potem jeszcze bardziej hałasujemy, kiedy się kochamy.

Trzy dni później łapiemy pociąg z powrotem do Londynu, na tę przyjemność, twierdzi po wielkopańsku Chloe, możemy sobie teraz pozwolić. Przyjeżdżamy późnym popołudniem i zastaje nas wiadomość, że właściciel galerii zbankrutował, otwarcie galerii odwołano, a cały majątek został zajęty. Łącznie z obrazami Chloe.

— Nie mogą tego zrobić! Dranie, po prostu nie mogą tego zrobić!

Próbuję jej wytłumaczyć, że w końcu odzyska obrazy, ale wiem, że nie tylko

o nie chodzi. Chodzi o szansę, jaką dawały.

— Zostaw mnie — żąda kategorycznie, kiedy próbuję ją pocieszać.

— Chloe...

— Mówię poważnie! Po prostu... mnie zostaw!

Tak też robię. Cieszę się, że mam pretekst, żeby wyjść. Potrzebuję trochę czasu, żeby samemu się z tym pogodzić, nie tyle z rozczarowaniem, co z wstydliwym uczuciem ulgi, które ogarnęło mnie, kiedy usłyszałem o porażce marszanda. Przynajmniej nic się nie zmieni.

Zastanawiam się, czy zadzwonić do Calluma, ale właściwie to nie chcę z nikim rozmawiać. W jednym z kin studyjnych puszczają filmy retrospekcyjne. Razem z paroma osobami oglądam jedną po drugiej ekranizacje Alaina Resnais: *Muriel* i *Hiroszima, moja miłość*. Potem zapalają się światła i znów jestem tu i teraz, w świecie znacznie mniej barwnym niż monochromatyczne filmy, które dopiero co obejrzałem.

Kiedy wracam, w mieszkaniu jest ciemno. Włączam światło. Chloe siedzi na podłodze, wokół niej leżą podarte i połamane obrazy jej autorstwa. Tubki z farbą olejną wyciśnięte i porozrzucane, wszystko wysmarowane w szaleństwa tęczy. Sztalugi z niedokończonym portretem przewrócone, obraz podeptany.

Chloe nie reaguje na mój widok. Twarz ma pokrytą smugami w miejscach, w których przejechała po niej palcami w farbie olejnej. Ostrożnie toruję sobie drogę między rozrzuconymi płótnami, ślizgam się na plamie farby. Kiedy siadam obok Chloe i przyciągam ją do siebie, nie protestuje.

— Będzie dobrze — mówię bez wyrazu.

— Tak — odpowiada. W wymazanym farbą pokoju tylko jej głos jest bezbarwny. — Oczywiście, że będzie dobrze.

# Rozdział 6

Rusztowanie trzeszczy i chwieje się jak strudzony statek. Wchodzę po drabinie szczebel po szczeblu, opieram kolano na drewnianych poprzeczkach, żeby nie obciążać zranionej stopy. To nie jest trudniejsze, niż wspinanie się na strych. Na szczycie sprawdzam rozklekotaną platformę, zanim ostrożnie na niej stoję, łapiąc za poziome pręty rusztowania, żeby znaleźć podporę.

Konstrukcja wydaje się oszałamiająco wysoka. Ale widok stąd jest jeszcze lepszy niż z okna na strychu. Odpoczywam, łapię oddech. W dole, w lesie, widzę niewielkie jezioro, a za nim okoliczne pola i pagórki. Nigdy wcześniej nie zdawałem sobie aż tak sprawy, jak bardzo farma jest odcięta od świata. Parę minut rozkoszuję się tym faktem, potem odwracam się, żeby zobaczyć, w co się wrobiłem.

Większa część frontowej ściany i jeden z boków domu są pokryte rusztowaniem. Zaprawa została skuta spomiędzy kamieni, a niektóre z nich wyjęto i zostawiono na platformie. Obok leżą młot kamieniarski i dłuto. Oba narzędzia są zardzewiałe, a młot — ciężki jak cegła — ma drewnianą rękojeść, wyrobioną na gładko od używania. Wygięte dłuto nie ma płaskiego ostrza jak to, które leży na brukowcach na dole. Kiedy dźgam nim ścianę, zaprawa łatwo się kruszy. Jeśli cały dom jest taki, to cud, że jeszcze stoi.

Nagle dochodzę do wniosku, że popełniam błąd. Wiem, jak mieszać zaprawę, i próbowałem sił przy kładzeniu cegieł, ale to było wiele lat temu. Te kilka miesięcy, które spędziłem jako robotnik na budowie, raczej nie przygotowało mnie do czegoś takiego jak tutaj.

Nie patrząc za siebie, odsuwam się od ściany i zahaczam kulą o jeden z kamieni rozwalonych po platformie. Padam na poprzeczny pręt służący za poręcz i przez chwilę chwieję się nad przepaścią. Między mną a podwórzem jest tylko dziewięć metrów pustki. Wciągam się z powrotem, wieża protestuje, trzeszcząc i chwiejąc się.

Powoli rusztowanie się uspokaja. Opieram głowę o słupek.

— Co się stało?

Zerkam w dół. Z domu wyszła Gretchen, stoi na podwórzu z Michelelem.

— Nic. Ja tylko... sprawdzam rusztowanie.

Oślania oczy dłonią i przechyla głowę, żeby na mnie spojrzeć.

— A trzask był taki, jakby się waliło.

Wycieram wilgotne dłonie w dżinsy.

— Jeszcze nie.

Uśmiecha się. Prawie ze mną nie rozmawiała od popołudnia, kiedy jej powiedziałem, że odchodzę, ale chyba w końcu postanowiła mi wybaczyć. Czekam, aż wróci do domu, potem opadam na platformę, nogi mi drżą. Chryste, co ja robię?

Minęły dwa dni, odkąd Mathilde zaproponowała mi pracę. Na początku byłem zadowolony tylko z tego, że mogę odpocząć i nabrać sił, poczułem ulgę, że niespodziewanie znalazłem schronienie. Prawie cały wczorajszy dzień spędziłem nad jeziorkiem, bez przekonania próbując czytać *Madame Bovary* pod kasztanem na urwisku. Czasem udawało mi się zapomnieć, dlaczego tutaj jestem. Potem przypominałem sobie i to było jak spadanie. Wkrótce znów zaczęły mnie zżerać myśli. Ostatnia noc była najgorsza. Kiedy parę razy udało mi się zasnąć, budziłem się zdyszany, serce biło mi jak młotem. Dziś rano, patrząc, jak okienko na strychu stopniowo szarzeje i się rozjaśnia, wiedziałem, że nie wytrzymam kolejnego dnia bez zajęcia.

Miałem nadzieję, że praca fizyczna mi pomoże. Ale teraz, kiedy jestem tutaj, na wysokości, sama skala zadania przeraża mnie. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Daj spokój, poradzisz sobie. To tylko ściana.

Wstałem i znowu spojrzałem na dom. Dwa okna obok wychodzą na platformę. Jedno jest zasłonięte drewnianymi okiennicami, ale drugie jest odsłonięte. Przez zakurzoną szybę widać pustą sypialnię. Podłoga z nagich desek i odłóżająca tapeta. Pod tylną ścianą kredens, a na nim zdjęcie w ramce. Wygląda jak ślubna fotografia; mężczyzna w ciemnym garniturze, kobieta w bieli. Z tej odległości nie rozpoznaję szczegółów, ale domyślam się, że to Arnaud z żoną. Czasy chyba się zgadzają, a zamykanie swojej fotografii ślubnej w nieużywanej sypialni to coś, czego bym się po nim spodziewał.

Ostrożnie odkładam kulę i człapię po rusztowaniu, żeby zobaczyć boczną ścianę domu. Jest niedokończona tak samo jak frontowa, jakby przerwano tu prace. W połowie platformy, na złożonym tabloidzie stoi duży kubek, pusty, nie licząc martwej muchy przyklejonej do wyschniętego brązowego osadu na dnie. Kiedy podnoszę tabloid, papier kruszy się jak pergamin. Data sprzed półtora roku. Zastanawiam się, czy ktoś wchodził na platformę, odkąd nieznanymi budowlaniec wypił kawę z kubka, postawił go na gazecie i odszedł. Może miał rację, myślę, patrząc, ile tu jeszcze roboty.

Za domem jakieś poruszenie. Kuśtykam do końca rusztowania i patrzę na ogród od strony kuchni. Proste rzędkie warzyw i namioty z tyczek dla pnącego groszku tworzą oazę porządku, za którą znajduje się ogrodzony kawałek ziemi z drzewami owocowymi i kurnikiem.

Mathilde karmi kurczęta. Przyglądam się, jak sypie im ostatnią garść ziarna, jak przepychają się i gdaczą, a ona stawia puste wiadro. Nie wie, że ją obserwuję, nie kontroluje wyrazu twarzy — smutnej, zmęczonej. Idzie w róg ogrodu, do ukrytej tam maleńkiej grządki kwiatów — jasnej plamy koloru wśród bardziej praktycznych warzyw. Klęka, zaczyna wyrywać chwasty. Dolatuje mnie łagodny dźwięk, rozpoznaję, że to Mathilde nuci pod nosem. Coś powolnego i melodyjnego; nie znam tej melodii.

Po cichu się wycofuję. Za rogiem domu słońce jest oślepiające. O tej porze dnia na rusztowaniu nie ma cienia, w odkrytych miejscach już czerwienieje mi podrażniona skóra. Patrzę na zegarek, minęło południe; jak tu jeszcze zostanę, to się usmażę. Metalowe rury rusztowania parzą mi dłonie, kiedy przemieszczam się do drabiny. Schodzę powoli. Już jestem na dole, kiedy zza rogu domu wychodzi Mathilde, wyciera ręce w szmatę.

— Przyjrzałeś się? — pyta. Smutek, który widziałem na jej twarzy w ogrodzie, przepadł ukryty pod zwykłym dla niej spokojem. — No i co o tym sądzisz?

— To, hm, większa robota niż myślałem.

Podnosi wzrok na rusztowanie, osłania oczy przed blaskiem promieni, tak jak wcześniej robiła to Gretchen. W słońcu jej włosy nie są dużo ciemniejsze od włosów siostry. Wyglądają tylko tak, jakby zniknął z nich cały połysk.

— Nie musisz od razu zaczynać. Jeśli nie czujesz się jeszcze na siłach.

To nie stan mojego zdrowia mnie martwi. Niełatwo nie obciążać stopy ciężarem ciała, a po schodzeniu noga znów zaczęła pulsować. Ale to da się wytrzymać, a wszystko lepsze niż bezczynność.

Wzruszam ramieniem.

— Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać, czy dam radę.

— Pokażę ci, gdzie są rzeczy. — Idzie do wypaczonych drzwi, w których kilka dni wcześniej stał się ze mną Arnaud. Skrzypią na zawiasach, gdy je otwiera.

Teraz, kiedy wpuściła do środka światło, orientuję się, że to mały składzik bez okien. Wydobywa się z niego fala chłodnego, wilgotnego powietrza. Moje oczy przyzwyczajają się do ciemności, dostrzegam porozwalane na podłodze narzędzia murarskie, worki z piaskiem i cementem. Tak jak na górze, na

platformie. W tym, jak to zostało porzucone, jest coś ze statku widma „Marie Celeste”. Ścieżka cementu rozsypuje się z rozdarcia w papierowym worku, gdzie nadal tkwi kielnia. Z kopca twardej jak skała zaprawy wystaje szpadel, Ekskalibur murarza. Sądząc po pajęczynach, które ten cały bałagan oplotły, niczego tu nie ruszано od miesiący.

Rozlega się jęk zawiasów — drzwi zaczynają się za nami zamykać, odcinając światło. Odwracam się, żeby je zatrzymać, i podskakuję, kiedy widzę czyjąś sylwetkę. Ale to tylko kombinezon wisi na gwoździu. Dobrze, że Mathilde nie zauważyła, jak nerwowo reaguję. Stoi przy ścianie, tuż za progiem, jakby nie chciała wchodzić dalej.

— Tu wszystko powinno być. Jest cement i piasek, i kran z wodą. Korzystaj, z czego chcesz.

Ogarniam wzrokiem nieporządek w małym pomieszczeniu.

— To twój ojciec zajmował się tym wcześniej?

— Nie, człowiek stąd.

Kimkolwiek był, oszedł w pośpiechu. Pociągam za drewniany uchwyt szpadla. Wibruje jak kamerton, mocno tkwi w skamieniałej zaprawie.

— Dlaczego nie skończył?

— Nastąpiło nieporozumienie. — Nie rozwodzi się nad tym.

Idę obejrzeć cement. Wilgoć sprawiła, że szary proszek z rozprutego worka skleił się, a kiedy szturczę nieotwarte opakowania, są twarde jak skała.

— Będę potrzebował więcej cementu. Ten zawilgotniał.

Mathilde stoi, obejmując się mocno ramionami.

— Już teraz ci potrzebny? Nie możesz wziąć się do czegoś innego?

— Chyba mogę dalej skuwać starą zaprawę — odpowiadam z powątpiewaniem.

— Więc zacznij od tego — mówi i wychodzi.

Ostatni raz rzucam okiem na ciemne pomieszczenie z porzuconymi narzędziami, potem wychodzę za nią na słońce. Mathilde czeka na podwórzu i chociaż wyraz jej twarzy jak zwykle jest nieprzenikniony, wygląda blado.

— Wszystko w porządku? — pytam.

— Oczywiście. — Podnosi rękę do włosów, z roztargnieniem zgarnia je do tyłu. — Czegoś jeszcze będziesz teraz potrzebował?

— Cóż, skończyły mi się papierosy. Mógłbym je kupić gdzieś w pobliżu?

Zastanawia się nad tą nową komplikacją.

— Jest stacja benzynowa, ale za daleko, żeby...

Otwierają się drzwi frontowe i pojawia się Gretchen.

Niesie na biodrze Michela, na nasz widok ściąga wargi. Na mnie nie zwraca uwagi, pośepnie patrzy na siostrę.

— Papa chce go zobaczyć. — Unosi podbródek ze złośliwą satysfakcją. — Samego.

Po raz pierwszy, odkąd prosiłem o wodę, jestem w środku, w ciemnej kuchni z niskim sufitem. Ściany są grube, okna małe, żeby zatrzymać chłód w letnie upały.

Czuć zapach pszczelego wosku, gotowanego mięsa i kawy. Jedną ścianę zajmuje stary piec, a ciężkie drewniane meble wyglądają tak, jakby tu stały od pokoleń. Obdrapane białe pudła lodówki i zamrażarki stanowią nowoczesny zgrzyt w tym otoczeniu.

Arnaud czyści karabin przy porysowanym drewnianym stole. Półksiężycowate okulary tkwiące na nosie nadają mu niepasujący do niego wygląd mola książkowego, trudny do pogodzenia z człowiekiem, który skopał mnie ze schodów. Nie podnosi wzroku, nadal zajmuje się karabinem, jakby mnie tu nie było. Dociera do mnie zapach oliwy do czyszczenia broni i chyba kordytu, kiedy wkłada w lufę długi druciak, taką miniaturową szczotkę kominiarza. Przyrząd wydaje cichy zgrzyt, kiedy go przeciąga.

Przenoszę ciężar ciała na kulę.

— Chciał mnie pan zobaczyć — przerywam ciszę.

Niespiesznie zagląda w otwór lufy, potem ją opuszcza.

Składa okulary, wsuwa je do kieszonki na piersi, rozsiada się w krześle.

Dopiero teraz podnosi na mnie wzrok.

— Mathilde mówi, że szukasz pracy.

Nie tak to zapamiętałem, ale nie mam ochoty go poprawiać.

— Jeśli jakaś jest pod ręką?

— Dobre pytanie, co? — Arnaud zaciska zęby, jakby chciał zgryźć orzech.

Niżej skóra na gardle obwisła z wiekiem jak u podstarzałego ciężarowca.

— Córka może ci gadać, co chce, ale to ja decyduję o tym, kto tutaj pracuje.

Robiłeś kiedyś na farmie?

— Nie.

— Jakieś doświadczenie w murarce?

— Nie za duże.

— To niby dlaczego mam cię najmować? Po co mi to ryzyko?

Nie potrafię wymyślić powodu. Więc milczę, próbując nie patrzeć na

karabin. Arnaud pociąga nosem.

— Dlaczego tu jesteś?

Mam na końcu języka, że przez te jego pułapki, ale to by go tylko sprowokowało. Chociaż już tak się nie boję, że mnie zastrzeli, uwiera mnie świadomość, że jakakolwiek oferta pracy zależy od jego łaski.

— To znaczy?

— To znaczy, co robisz, dlaczego łazisz po obcym kraju jak włóczęga? Jesteś za stary na studenta. Z czego żyjesz?

Poznaję po jego zachowaniu, że Gretchen mu powiedziała.

— Miałem parę prac.

— Tylko parę? Mało wydajesz, co? Masz coś do ukrycia?

W tej chwili czuję się tak, jakbym nic nie ważył. Wiem, że zdradza mnie rumieniec, krew napływa mi do policzków, ale zmuszam się, żeby wytrzymać spojrzenie Arnauda.

— Nie. Niby dlaczego?

Porusza ustami, coś rozważa albo przeżuwa jakieś kawałki jedzenia, które znalazł między zębami.

— Oczekuję od ludzi, że będą szanować moją prywatność — odzywa się wreszcie. — Mieszkać musisz w stodole. Posiłki możesz jadać tutaj. Nie chcę cię widywać więcej niż to konieczne. Zapłacę ci pięćdziesiąt euro za tydzień, jeśli uznasz, że je zarobiłeś. Bierzesz albo nie bierzesz.

— Okej.

To nędzne grosze, ale nie zależy mi na pieniądzach. A jednak błysk w oku Arnauda sprawia, że żałuję, iż tak łatwo dałem się wyrolować. Okazywanie przed nim słabości to błąd.

Krytycznie obrzuca mnie wzrokiem od stóp do głów.

— To pomysł Mathilde, nie mój. Nie podoba mi się to, ale jest robota do zrobienia, więc skoro myśli, że powinniśmy wynająć jakiegoś angielskiego próżniaka, niech jej będzie. Ale nie spuszczę cię z oka. Raz mi się narazisz i pożałujesz tego. Jasne?

Jasne. Wpatruje się we mnie jeszcze przez chwilę, czeka, żeby słowa do mnie dotarły, potem sięga po karabin.

— Jazda, wynoś się. — Zaczyna wycierać broń naoliwioną szmatą.

Kulejąc, idę do drzwi zły i upokorzony.

— Jeszcze jedno. — Oczy Arnauda są lodowate, kiedy patrzy na mnie znad karabinu. — Trzymaj się z dala od moich córek.



# Rozdział 7

Jest za duży upał, żeby nawet myśleć o powrocie na rusztowanie po audiencji u Arnauda. Poza tym to pora lunchu, więc kiedy Mathilde wraca, czekam przed kuchnią, dopóki nie przygotuje jedzenia, potem zabieram talerz w cień stodoły. Muszę ochłonać, w każdym znaczeniu. Nadal czuję się urażony, zastanawiam się, czy jednak nie lepiej zaryzykować i ruszyć w drogę. Ale wobec tej perspektywy ogarnia mnie niechęć i to jest odpowiedź, której szukałem. Jedyne, co mnie czeka poza granicami farmy, to niepewność. Potrzebuję czasu, żeby obmyślić, co dalej, a jeśli wiąże się to z przestrzeganiem zasad Arnauda, jakoś przeżyję.

Radziłem sobie z gorszymi rzeczami.

Na lunch dostaję dzisiaj chleb i pomidory z kawałkiem ciemnej, mocno przyprawionej kiełbasy, przypuszczam, że domowej roboty. Jest też coś, co po sprawdzeniu okazuje się marynowanymi kasztanami, a na deser mała żółta morela. Od początku mojego pobytu tutaj chyba nie jadłem niczego, co nie byłoby wyhodowane albo wyprodukowane na tej farmie.

Zmiotam wszystko, do ogonka i pestki moreli, potem rozsiadam się i tęsknię za papierosem. Po pikantnym jedzeniu chce mi się pić, idę do kranu w stodole. Lekko słodkawe powietrze wokół nieużywanych kadzi na wino pachnie lepiej niż samo wino. Przechodząc przez kwadratową łatę betonu między kamieniami brukowymi, zahaczam kulą o przebiegające przez nią głębokie pęknięcia. Za mało cementu, myślę, szturchając kruszące się brzegi swoją aluminiową podporą. Jeśli to robił ten sam murarz, który pracował przy domu, tutaj też zawalił robotę.

Odkręcam kran i ze złożonych dłoni piję zimną, czystą wodę. Potem ochlapuję sobie twarz i szyję. Ocieram strugi z oczu, wychodzę na zewnątrz i omal nie wpadam na Gretchen.

— Przepraszam, nie zauważyłem cię — mówię.

Uśmiecha się. Nosi kusi T-shirt i przycięte dżinsowe szorty, jestem zaskoczony, że Arnaud jej na to pozwala. Niesie wiadro, plastikowe, nie metalowe jak te, których używał Georges. Towarzyszy jej spaniel, skacze wokół mnie, merdając ogonem. Drapię go za uszami.

— Niosę resztki świniodzikom. Ale chyba za dużo wzięłam do wiadra. —

Trzyma je oburącz, udaje, że to ogromny wysiłek. — Mógłbyś mi pomóc, jeśli akurat niczego innego nie robisz.

Próbuję wymyślić jakąś wymówkę. Ostrzeżenie jej ojca mam na świeżo w głowie i nie wiem, jak o kuli doniosę wiadro tak daleko. Gretchen szerzej się uśmiecha, dołeczki w policzkach stają się wyraźniejsze.

— Proszę. To jest naprawdę ciężkie — nalega, więc zaczynamy razem nieść wiadro. Każde trzyma za pałak. Brniemy tak kilka metrów, Gretchen cały czas chichocze, tracę cierpliwość, niosę je sam. Wcale nie jest takie ciężkie, ale już za późno, żeby zmieniać zdanie. Przy odrobinie szczęścia nawet Arnaud nie będzie miał pretensji, że pomagam karmić jego świnię.

— Zapuszczasz brodę? — pyta Gretchen, kiedy idziemy ścieżką przez winnicę.

Z zażenowaniem przesuwam dłonią po szczecinie na twarzy.

— Nie, skąd. Po prostu się nie ogoliłem.

Dziewczyna przechyliła głowę, uśmiecha się, przygląda.

— Mogę dotknąć?

Zanim zdążam coś powiedzieć, sięga, żeby pogłaskać mnie po brodzie. Rozgrzana słońcem skóra jej nagiego ramienia pachnie palonym karmelem. Dołeczki w policzkach ma głębsze niż kiedykolwiek, kiedy opuszcza rękę.

— Pasuje do ciebie. Podoba mi się.

Pies hasa przed nami, kiedy idziemy przez las kasztanów. Gretchen skręca na ścieżkę odchodzącą od głównej dróżki. Ścieżka wiedzie między drzewami na polanę, na której z drutu i nieheblowanych desek sklecono zagrodę. Z boku stoi brzydki domek z pustaków, ale Gretchen mija go bez słowa i zmierza do zagrody.

Polanę wypełnia brzęczenie much. Smród amoniaku jest tak silny, że bolą mnie zatoki. Kilkanaście zwierząt leży bezwładnie na zrytej ziemi, jedyna oznaka życia, to że od czasu do czasu zachrzękają basowo albo zatrzepoczą uchem. Nie wyglądają jak świnię, które już widywałem. Są ogromne, w ciemne cętki, mają szorstką szczeciniastą skórę. Rozwalone w cieniu osłon z blachy falistej wyglądają jak zrzucone w błoto bomby, które nie wybuchły.

Gretchen otwiera furtkę w ogrodzeniu i wchodzi.

— Gdzie jest Georges? — pytam, niespokojnie obserwując wygrzewające się stwory. Starego świniopasa ani śladu.

— Popołudniami idzie do domu na lunch. — Gretchen przytrzymuje dla mnie furtkę. — Nie wchodzisz?

— Raczej zaczekam tutaj.

Śmieje się.

— Nie zrobią ci krzywdy.

— Jednak zaczekam tutaj.

Nadal jestem trochę skrępowany swoją obecnością w tym miejscu, ale przejście tej całej drogi o kuli, z wiadrem, wyczerpało mnie. Muszę złapać oddech, zanim wrócę ścieżką. Gretchen bierze wiadro — teraz już nie za ciężkie — odgania psa, który próbuje wemknąć się za nią, i podchodzi do koryta.

Parę świń unosi łby i pytająco chrząka, kiedy dziewczyna opróżnia wiadro, ale tylko jedna czy dwie raczą wstać i podejść. Znów uderza mnie to, jakie są wielkie, wory mięsa kołyszące się niebezpiecznie na śmiesznie filigranowych nóżkach, tułów konia na słomkach koktajlowych.

Gretchen znów wychodzi, zamykając za sobą furtkę.

— Mówiłaś, że jak się nazywają? — pytam.

— Świniodziki. Dziki skrzyżowane z czarnymi świniami. Papa hoduje je od lat, a Georges sprzedaje ich mięso w mieście. Ludzie bardzo je lubią. Smakuje znacznie lepiej niż zwyczajna wieprzowina.

Jedno ze sworzeń sunie powoli do ogrodzenia. Gretchen podnosi pomarszczoną rzepę, która potoczyła się pod deski, i wrzuca ją z powrotem do środka. Świnia bez trudu miażdży warzywo zębami. Na sam ten widok stopa znów zaczyna mnie boleć.

Ale na Gretchen to nie robi wrażenia. Drapie świniodzika za uszami. Zwierzę trąca ją nosem z nadzieją, że dostanie więcej. Ma wygięte ku górze wargi, wygląda, jakby się uśmiechało.

— Nie martwi cię to? — pytam. — To znaczy, że zostaną zabite?

— Niby dlaczego miałyby mnie martwić? — Wydaje się naprawdę rozbawiona. Przejeżdża ręką po grubej szczecinie, pociera świnie po głowie. — Możesz pogłaskać, jak chcesz.

— Nie, dziękuję.

— Nie ugryzie.

— Wierzę ci na słowo. — Zauważam mniejszy, oddzielony kawałek z boku głównej zagrody. Chyba pusty, też osłonięty blachą falistą. — Co tam jest?

Gretchen prostuje się, wyciera dłoń o dłoń, podchodzi do ogrodzenia. Niektóre sztachety zdają się nowe, drewno jest jasne i świeże w porównaniu do starszych fragmentów.

— Tutaj papa trzyma swojego dzika.

— Mówisz tak, jakby to było zwierzątko domowe.

Gretchen się krzywi.

— To nie zwierzątko domowe. Jest koszmar. Nienawidzę go.

— Dlaczego?

— Ma złe usposobienie. Tylko Georges jakoś sobie z nim radzi. Raz ten dzik mnie ugryzł. — Podnosi opaloną nogę, obracając ją lekko, żeby odsłonić miejsce, gdzie gładką skórę łydki szpeci biała blizna. Uśmiecha się. — Dotknij. Jest zgrubiała.

— Tak, tak, widzę. — Nie nie zamierzam z nią flirtować. Nawet gdyby nie była młodszą córką Arnauda, jest w niej coś, co sprawia, że chcę zachować dystans. — Skoro to takie wstrętne zwierzę, dlaczego twój ojciec go nie zabił?

Opuszcza nogę.

— Potrzebuje go do hodowli.

— Nie może kupić innego?

— Są drogie. Poza tym papa go lubi. Bo robi to, co powinien.

Jak na dany znak, z zagrody wydobywa się nagle hałas. Gretchen odwraca się w tamtą stronę.

— Usłyszał nas.

Przez sekundę myślę, że mówi o Arnaudzie, ale szybko orientuję się, że chodzi jej o dzika. Za osłoną coś się rusza, przesuwiają się cienie. Wyłania się czubek ryja. Gretchen podnosi garść ziemi i ciska ją przed siebie, kamyki stukoczą o dach z blachy.

— Świnio! Wyjdź, świnio!

Nic dziwnego, że zwierzę ma zły charakter, myślę. Leci kolejna seria kamyków. W środku rozlega się gniewne chrząknięcie, potem wybiega dzik.

Jest większy od świń. I brzydszy. Małe kły wystają mu z zuchwy, a uszy jak liście szczawiu opadają na oczy, kiedy rozgląda się krótkowzrocznie, próbując nas zobaczyć. Potem szarżuje.

— Chryste! — Odskakuję w tył, gdy dzik wali w deski. Kula mi się wyślizguje, twardo ląduję na skrawku wyschniętego błota. Ogrodzenie drży, ja gramolę się, żeby znowu stanąć. Gretchen ani drgnęła. Znalazła kawałek patyka i kiedy samiec uderza o dechy, ona dźga go z góry.

— Dalej, świnio! Świnio!! No, dawaj!

Rozwścieczony odyniec chrząka. Spaniel dołącza się do zamieszania, a Gretchen chłoczce grzbiet świni patykiem. Uderzenia są solidne, ale nieznaczące w stosunku do masy stworzenia.

— Lepiej przestań — radzę.

— Ja się z nim tylko drocę.

— On chyba nie uważa tego za żart. — Dzik wali w płot, próbując dopaść szczekającego psa, ogrodzenie trzeszczy i się trzęsie. Teraz już jasne, dlaczego Georges musiał je naprawiać.

— Chodźmy, zostawmy go.

Gretchen posyła mi wyniosłe spojrzenie, brakuje jej tchu.

— Co ci do tego? To nie twoja świnia.

— Nie moja, ale twój ojciec chyba nie chciałby, żeby bić jego cennego dzika.

Patrzy na mnie z wściekłością, nadal ściskając kijek. Przez chwilę obawiam się, że może mi nim dołożyć, ale wtedy na polanę wjeżdża zardzewiały stary 2cv. Zatrzymuje się przy zagrodzie, wysiada z niego Georges. Nie wygląda na wyższego teraz, kiedy stoi, niż kiedy siedział w samochodzie. Podchodzi, minę ma pełną dezaprobaty.

Spogląda na dzika, który ciągle szarżuje na płot. Tym razem zasłużyłem sobie na rzut okiem. Potem zwraca się do Gretchen.

— Co tu się dzieje?

Dziewczyna wbija ponury wzrok w ziemię.

— Nic.

— To dlaczego dzik jest wściekły? Co pies robi przy zagrodzie?

Gretchen wzrusza ramieniem.

— Tylko się bawi.

Georges zaciska usta.

— Nie powinnaś tutaj przyprowadzać psa.

— Nie przyprowadziliśmy. Sam przybiegł.

Georges tylko na nią patrzy. Nie jestem zadowolony, że Gretchen robi ze mnie współnika kłamstwa, ale nie zaprzeczam. Stary i tak się mną nie interesuje.

— Nie powinnaś tutaj przyprowadzać psa — powtarza. Przechodzi obok nas do zagrody. Dzik prychnie, kiedy Georges sięga nad deskami, ale potem się ucisza i pozwala podrapać po łbie. Mężczyzna mówi coś do odyńca, uspokajająco, ale nie słyszę co.

Gretchen robi minę za jego plecami.

— Chodź. Nie wolno denerwować kochanych świń Georges'a.

Gniewnie macha wielkim kijkiem, gdy opuszczamy polanę.

— Z niego to taka stara baba! Interesują go tylko te głupie świnie. Nawet

śmierdzi jak one, zauważyłeś?

— Wcale nie. — Zauważyłem, ale nie chcę brać jej strony. Po pierwsze, wycieczka tutaj to był zły pomysł: muszę teraz wracać, zanim Arnaud zobaczy nas razem.

— Naciera je octem — ciągnie Gretchen jakby nigdy nic. — Mówi, że to uodparnia im skórę na słońce, ale przez to śmierdzi tak jak one.

Nie tylko Georges. Kiedy zbliżamy się do stodoły, staje się jasne, że od zagrody ciągnie się za nami nieprzyjemny zapach.

— Co to za smród? — Gretchen pociąga nosem.

Patrzę na błotniste ślady na swoich dżinsach i rękach.

— O, kurczę...

— Cuchniesz gorzej niż Georges! — Śmieje się i cofa.

Ma rację, ale przynajmniej już nie będzie się wokół mnie kręciła. Czekam, aż zniknie w domu, potem zdejmuję T-shirt. Krzywiąc się, wchodzę do stodoły, żeby się umyć.

Kiedy idę przez podwórze do rusztowania, w nosie nadal mam odór świniodzików. Słońce nie przypieka już tak ostro, odkąd wróciliśmy z Gretchen, jednak kamienie brukowe nadal migoczą od skwaru. Ale to nie ma wpływu na wilgotne zimno składziku. Po oślepiającej jasności podwórza czuję, jakbym wkraczał do krypty. Blokuję otwarte drzwi workiem piasku, czekam, aż cienie nabiorą kształtów, i dopiero wtedy wchodzę dalej.

Coś niesamowitego jest w tym, jak to wszystko zostało porzucone. Szpadel w skamieniałej zaprawie, leżące w nieładzie narzędzia i materiały; ten widok kojarzy mi się z zachowanym stanowiskiem archeologicznym. Kiedy wzrok mi się przyzwyczaja, macam za drzwiami i zdejmuję to, czego szukam.

Kombinezon jest czerwony, albo raczej kiedyś taki był. Teraz pokrywa go skorupa zaschniętej zaprawy, brudu i oliwy. Zapamiętałem, że tu wisi, a Mathilde powiedziała, żebym brał, czego tylko potrzebuję. Skóra mi cierpnie na myśl, że będę nosił ten ciuch, ale przynajmniej ochroni mnie przed słońcem. I chociaż brudny, nie śmierdzi świńskim gównem.

Opieram kulę o ścianę, rozbieram się do bokserek i wkładam na siebie kombinezon. Wilgotna bawełna jest nieprzyjemnie lepka i wydziela stęchły zapach starego potu. Ale i tak, mimo że trochę za duży, kombinezon nieźle pasuje, więc domyślam się, że nosił go poprzedni budowlaniec. Ma za długie nogawki, żeby należał do Arnauda, a Georges by się w nim utopił.

Przeszukuję kieszenie, kiedy wychodzę. W bocznej jest para skórzanych

rękawic roboczych, tak sztywnych i pozaginanych, że wyglądają jak amputowane dłonie. Wyrzucam je razem z małym notesikiem zabazgranym rysunkami i pomiarami. To chyba wszystko, ale kiedy oklepuję resztę kieszeni, trafiam na coś jeszcze.

Prezerwatywa, w nadal nierozdartym opakowaniu.

Czegoś takiego nie spodziewałem się znaleźć w kombinezonie roboczym. Oglądam się na składzik i coś przychodzi mi do głowy. Niewiele o tym myślałem, ale teraz zastanawiam się, czy istnieje jakiś związek między niedokończonym remontem domu a nieobecny ojcem Michela. To wyjaśniałoby wcześniejsze dziwne zachowanie Mathilde, a także reakcję Gretchen nad jeziorkiem. Powiedziała, że ojciec małego zdradził ich i zawiódł.

Może na różne sposoby.

Zostawiam prezerwatywę w kącie składziku, wkładam kulę pod pachę i wspinam się na rusztowanie. Szczeble drabiny są takie rozgrzane, że parzą mnie w dłonie, a na platformie, na szczycie, jest jak w piecu. Brakuje cienia i już się cieszę, że kombinezon ma długie rękawy. Wątpliwości powracają, kiedy zastanawiam się nad kuciem ściany, więc chwytam za młot i dłuto, zanim zdążę przemyśleć sprawę.

— No, dobra — mówię do siebie i robię pierwszy zamach.

W skuwaniu starej zaprawy jest coś z zen. Praca ciężka i monotonna, ale hipnotyzująca. Każde uderzenie stali o stal daje czysty dźwięk. Dłuto śpiewa w miarowym tempie, nowa nuta rozbrzmiewa, zanim milknie poprzednia.

Właściwie to się relaksuję.

Muszę ciągle przerywać, żeby odpocząć, ale wkrótce wpadam w rytm, który mi odpowiada. Rozwiązuję problem zranionej stopy — dwa czy trzy duże kwadratowe kamienie leżące na platformie układam jeden na drugim i używam ich jako podpórki pod kolano. Czasem, dla odmiany, siadam na nich i w tej pozycji wykonuję robotę. Bandaż i tak się zabrudzi, ale na to nie ma rady.

Pierwszego dnia nie zamierzam długo pracować, tracę jednak poczucie czasu. Dopiero kiedy przerywam, żeby pozbyć się kawałka zaprawy z oka, zauważam, że słońce stoi nisko. Popołudnie minęło zupełnie niepostrzeżenie.

Gdy przerywam, różne dolegliwości dają o sobie znać. Ręce i ramiona mam obolałe i zmęczone, od ściskania młota zebrałem wspaniałą kolekcję pęcherzy. Na grzbiecie dłoni tworzy się sine obrzmienie, dowód, że parę razy nie wcelowałem w dłuto.

Nie przejmuję się tym: to uczciwy ból. Ale musiałem trafić też w zegarek, bo

przez cyferblat biegnie pęknięcie. Ten widok burzy mój nastrój jak wymierzony policzek. Zegarek nadal chodzi, ale zdejmuję go i wkładam do kieszeni. Nie chcę go zniszczyć do końca, poza tym jest nieprzyjemnym przypomnieniem spraw, o których wolałbym zapomnieć.

Zresztą nie muszę wiedzieć, która godzina, kiedy jestem tutaj: farma żyje własnym rytmem. Zdejmuję czapkę z wilgotnych od potu włosów, patrzę na swoje dzieło. Miejsca, gdzie teraz skułem zaprawę, są jaśniejsze niż starsze obszary, jednak też jest ich zniechęcająco mało w porównaniu z ogromem ściany. Ale przecież dopiero zacząłem, ta myśl działa na mnie zdumiewająco dobrze.

Zostawiam młot i dłuto na platformie, powoli schodzę po drabinie. Szczęble nadal są gorące, pieką mnie w pęcherze, a każdy krok wymaga wysiłku. Chyba zabiłbym za piwo, myślę, kuśtykając do składziku, żeby zabrać ubranie. Butelka... nie, szklanka. Wysoka, bursztynowa, oszroniona. Niemal czuję smak.

Dreńcząc się tym wyobrażeniem, wracam na podwórze. Nie zauważam Mathilde, dopóki nie słyszę ostrego brzęku tłukących się naczyń. Spoglądam przez ramię i widzę ją w drzwiach z Michele na ręku. U jej stóp leży rozbita miska z jajkami, jaskrawożółte żółtka są rozmazane na bruku.

Patrzy na mnie poblądła.

— Przepraszam, wystraszyłem cię? — pytam.

— Nie, ja... nie wiedziałam, że tutaj jesteś.

Przenosi wzrok na czerwony kombinezon i nagle myślę, że chyba rozumiem.

— Tam na górze nie ma cienia, więc włożyłem to na siebie. Ale to nic złego, prawda?

— Oczywiście — odpowiada, za szybko.

Nie chciałem jej zaszokować, ale nie mogłem wiedzieć, że widok mnie w tym kombinezonie wywrze taki skutek. Z jej reakcji wnioskuję, że się nie mylę co do ojca Michela, ale już się opanowała. Niemowlę z zadowoleniem przeżuwa kawałek chleba, Mathilde podsadza je, żeby było jej wygodniej.

— Jak poszła praca?

— Dobrze. Hm, nieźle. — Wzruszam ramieniem, próbuję zobaczyć, ile skułem. Z dołu ledwie widać. — W każdym razie zacząłem.

Mathilde wyciąga rękę po zwitek moich ubrań.

— Daj, to ci wypiorę.

— Dziękuję. — Nie spieram się. Lodowata woda w stodole nie usunie odorów świniodzików, a myśl, żeby samemu to pracować, nie wzbudza we mnie entuzjazmu.



Kusi mnie, żeby zapytać, czy mógłbym wziąć prysznic albo się wykąpać, ale wyobrażam sobie, co Arnaud by na to powiedział. Ale skoro gorąca kąpiel albo zimne piwo są poza moim zasięgiem, to przynajmniej chciałbym dostać jedną rzecz. — Wspominałaś coś o stacji benzynowej, gdzie można kupić papierosy. Jak to daleko?

— Parę kilometrów. Za daleko, żebyś poszedł.

— Nie szkodzi. Nie spieszy mi się.

Nie mam niczego innego do roboty. Teraz, kiedy skończyłem pracę, poziom endorfin zaczyna opadać i nerwy już mi grają. Będzie gorzej, jeśli nie ukoję ich papierosem.

Mathilde odwraca wzrok na dom, jakby coś rozważała. Zakłada kosmyk włosów za ucho.

— Daj mi pół godziny.

# Rozdział 8

Żółty kurz kłębi się wokół furgonetki podskakującej na dziurawej nawierzchni. Mathilde jedzie z otwartymi oknami, próbując pozbyć się upału, który nagrzał kabinę w ciągu dnia. Winyłowe fotele są podarte, miejscami wyłaziła biała wyściółka. Mój fotel naprawiono, jeśli tak to można określić, czarną taśmą izolacyjną. Mimo przewiewu w samochodzie czuć ropą do diesla, psem i stęchłym tytoniem fajkowym.

Umyłem się, zmieniłem ubranie i wróciłem pod dom. Mathilde i Gretchen kłóciły się w drzwiach. Przystanąłem na rogu podwórza, wolałem się nie wcinać.

— Ale tego nie trzeba robić! — upierała się Gretchen.

— Właśnie że trzeba.

— Georges wczoraj posprzątał! To tylko śwynie, im wszystko jedno, co jedzą!

— Zrób, o co cię proszę.

— Papa nie mówił, że muszę. Dlaczego zawsze mam słuchać twoich rozkazów? Po prostu chcesz mnie spławić, żebyś mogła pojechać z nim do miasta...

— Zrób to!

Pierwszy raz usłyszałem, żeby Mathilde podniosła głos. Gretchen odeszła wzburzona, ale nie na tyle, żeby się nie zatrzymać na mój widok po drugiej stronie podwórza.

— Mam nadzieję, że dobrze się bawisz! — parsknęła, jej klapki stukały o kamienie brukowe, kiedy przechodziła obok.

Przyglądałem się, jak zamasyście kroczy ścieżką w stronę lasu, potem znów spojrzałem na Mathilde. Stała ze wzrokiem wbitym w bruk, widać po niej było, że jest zmęczona. Potem zauważyła, że tu jestem, wyprostowała się. Bez słowa podeszła do furgonetki, sam się domyśliłem, że mam iść za nią.

Nie odzywa się słowem, jadąc traktem do drogi. Kiedy docieramy do zamkniętej bramy, hamuje, nie wyłącza silnika, wysiada.

— Ja to zrobię — proponuję.

— Dam radę.

Kłódka najwyraźniej trudno się otwiera, ale w końcu ustępuje. Mathilde odsuwa skrzydło, pod koniec je unosi, żeby nie zaryło się w ziemi. Wraca do samochodu, wyjeżdża na drogę, potem znów wysiada zamknąć bramę. W

lusterku bocznym widzę, jak ponownie zatrzaskuje kłódkę, chroni farmę, którą zostawiliśmy za sobą.

— Dlaczego cały czas jest zamknięta? — pytam, kiedy wsiada. Pamiętam, że brama była otwarta, kiedy przyszedłem po wodę.

— Mój ojciec tak woli.

Chyba uważa, że to tłumaczenie wystarczy. Może i tak, ale kiedy rusza, zastanawiam się, kto wcześniej zostawił bramę niezamkniętą.

Wydostanie się na zewnątrz to jakby wejście w świat, o którego istnieniu zapomniałem. Czuję się odsłonięty. Nie jestem na to przygotowany, tak się przyzwyczaiłem do odizolowanego wszechświata farmy. Ale wkrótce, ukołysany ciepłym wieczorem i monotonną nutą silnika furgonetki, zaczynam oddychać swobodnie, opieram ramię na otwartym oknie i pozwalam, żeby wietrzyk owiewał mi twarz. W powietrzu unosi się zapach lata, pyłków i asfaltu. Ale Mathilde jest mniej odprężona. I spieszy się, żeby wrócić, sądząc po tym, że jedzie szybko.

Stara furgonetka trzęsie się od długo utrzymującej się szybkości. Przed nami biegnie szary pas szosy. Pola pszenicy dochodzą do samej drogi, przerywane wysokimi, pierzastymi topolami i grubszymi drzewami, które wyglądają jak różyczki brokułów.

Mathilde zmienia biegi, kiedy auto zaczyna narzekać na pochyłości, jej ręka ociera się o moje ramię. To przypadek, ale nagle zaczynam przyglądać się Mathilde, a nie okolicy. Jest ubrana w białą koszulę, bawełniane rękawy ma podwinięte prawie do łokci. Jej dłonie na kierownicy są zniszczone, kostki — wyraźnie widoczne, kiedy chwyta za dźwignię zmiany biegów — posiekane. Na tle brązowej skóry, połamane paznokcie mają zdrowy, różowy kolor.

Milczenie, którego wcześniej nie zauważałem, zaczyna być krępujące.

— Gdzie nauczyłaś się angielskiego? — pytam, żeby przerwać ciszę.

Mruga, jakby myślami była gdzie indziej.

— Słucham?

— Mówiłaś po angielsku, kiedy ocknąłem się wtedy na strychu. Uczyłaś się w szkole?

— Matka mnie nauczyła. Była nauczycielką, zanim wyszła za mąż. Języków. Angielskiego, niemieckiego i włoskiego.

— Więc umiesz porozumiewać się we wszystkich tych językach?

— Wcale nie. Trochę po włosku, ale do tej pory mnóstwo zapomniałam.

— A Gretchen? — Przypominam sobie zaskoczoną minę jej siostry, kiedy

przez nieuwagę przeszedłem na angielski.

— Nie zna żadnego. Matka umarła, zanim Gretchen na tyle podrosła, żeby się uczyć — odpowiada, bez emocji, i dodaje: — Jesteśmy na miejscu. — Zajeżdża na parking przed stacją benzynową. To zaledwie pomalowana na biało buda i dwa dystrybutory przed nią. Ale na zewnątrz wisi też spłowiała reklama „Stella Artois”, a pod daszkiem z blachy falistej stoi kilka poobijanych stolików — znak, że to jest również bar.

Mathilde zatrzymuje się przy jednym z dystrybutorów. Wydaje się dość spokojna, ale przy rozpiętym kołnierzu jej koszuli widać lekkie pulsowanie, trzepocące, jakby miała problemy z tętnem. Jakoś robi mi się jej żal i to, co mówię, zaskakuje mnie równie mocno jak ją.

— Wejdiesz czegoś się napić?

Patrzy na mnie, przez sekundę widzę rozbłysk czegoś, co wygląda na popłoch. Potem to znika.

— Nie, dziękuję. Ale muszę zatankować paliwo, więc spokojnie zdążysz sam się napić.

Twarz mam czerwoną, kiedy odpinam pas — przesuwa się po mnie i nagle wraca scena z przeszłości: poplamiony krwią pas w audi. Szybko wysiadam. Wkładam pod ramię kulę i idę po zakurzonym betonie do baru, słyszę za sobą, jak dystrybutor zaczyna szumieć.

W środku jest ciemno, nie ma światła, nie licząc tego od okna i otwartych drzwi. Klientów niewielu: trzech, czterech mężczyzn przy stolikach, jeden przy barze. Jak zwykle reklamy stelli, pernoda i oranginy, do tego ostry tytoniowy zaduch.

Kiedy wchodzę, barman nalewa piwo, z wprawą pstryka kurkiem, żeby zatrzymać strumień, potem drewnianą szpatułką zbiera z wierzchu pianę. Stawia szklankę przed starym siedzącym przy kontuarze, mężczyzna nie podnosi wzroku znad gazety. Zerkają na mnie raz czy dwa razy, kiedy kuśtykam przez pomieszczenie, ale tak dobrze znowu być w barze, wrócić do ludzi, że nieomal popełniam niewybaczalny grzech i prawie się uśmiecham.

Udaje mi się jednak utrzymać odpowiedni śmiertelnie poważny wyraz twarzy, podchodzę do baru i przysiadam na jednym z wysokich stołków.

— Sześć paczek cameli i piwo — mówię w odpowiedzi na pytającą minę barmana.

To chudy mężczyzna po pięćdziesiątce, rzadziejące włosy ma szesane na bok, żeby ukryć łysiejący czubek głowy. Teraz wiem, jak się czuł John Mills w

*Ice Cold in Alex*, kiedy przyglądam się, jak barman nalewa piwo, nachylając oszronioną szklankę, żeby piana nie była za gruba. Pracowałem już w tylu barach, że doceniam fachowość, z jaką to robi, ale skojarzenia towarzyszące wspomnieniom nie są miłe. Wyrzucam je z głowy, kiedy stawia przede mną złocisty płyn.

Szklanka jest zimna, zroszona. Powoli podnoszę ją do ust i piję. Piwo jest lodowate i czyste, ze słabym posmakiem chmielu. Zmuszam się, żeby przerwać, zanim opróżnię szklankę do dna; opuszczam ją, wzdycham.

Barman patrzy na mnie.

— Dobrze?

— Bardzo.

— Jeszcze jedno?

Kusi mnie, ale nie chcę, żeby Mathilde czekała. Ze swojego miejsca widzę przez okno furgonetkę, ale dziewczyny nie widać, jest po drugiej stronie wozu.

— Raczej nie.

Mężczyzna wyciera bar.

— Daleko jedziesz?

— Nie, zostaję w okolicy.

— A konkretnie?

Już żałuję, że cokolwiek powiedziałem. Ale on na mnie patrzy, czeka.

— Na farmie, niedaleko, przy drodze.

— U Dubreuilów?

— Nie. — Tłumaczę sobie, że to przecież bez znaczenia; nikt mnie tu nie zna.

— U Arnaudów.

Barman przestaje wycierać i gapi się na mnie. Potem woła do kogoś za mną, przy stoliku.

— Hej, Jean-Claude, ten facet mieszka na farmie Arnauda!

Rozmowy powoli zamierają. Słysząc szelest, kiedy stary opuszcza gazetę, którą czytał. Rozglądam się zdumiony. Wszyscy wlepiają wzrok w tęgiego typa w zakurzonej fartuchu i kombinezonie na szelkach. Ma koło czterdziestki; na twarzy ciemny zarost, czarne brwi ułożone w linię nad grzbietem nosa. Odstawia kubek z kawą, patrzy na mnie, przygląda się moim rudym włosom, zabandażowanej stopie i kuli.

— Anglik? — Głos szorstki, ale nie agresywny.

Mam nadzieję, że to dobry znak.

— Zgadza się.

— Więc pracujesz dla Arnauda?

Wzruszam ramieniem, staram się, żeby to wypadło nonszalancko.

— Po prostu jestem przejazdem.

— Chciałeś powiedzieć: przejazdem przez jego córki — komentuje ktoś przy innym stoliku, młodszy ode mnie, w dzinsach poplamionych olejem. Uśmiecha się nieprzyjemnie. Wszyscy w jego grupce chichoczą, ale ten tęgi nie przyłącza się do nich.

— Uważaj, co mówisz, Didier.

Śmiech ustaje. Kończę piwo, nie czując jego smaku. Zerkam na dwór, czy Mathilde już zatankowała. Nie widzę jej.

— Co ci się stało w stopę? — pyta mężczyzna.

— Nadepnałem na gwóźdź. — Pierwsze, co mi przychodzi do głowy.

— To musiał być duży gwóźdź.

— Był duży.

Barman kładzie papierosy na kontuarze. Twarz mi płonie, kiedy upycham je w kieszeni i gmeram, żeby znaleźć pieniądze. Barman prawie rzuca resztę, monety toczą się po gładkim blacie. Kiedy je zbieram, w drzwiach ktoś się pojawia.

Mathilde.

Jej kroki to jedyny odgłos, kiedy podchodzi do baru. Twarz ma opanowaną, ale szyję i policzki zaczerwienione.

— Chciałabym zapłacić za paliwo.

Barman spogląda na tęgiego mężczyznę w fartuchu i kombinezonie na szelkach, potem z cichym brzęknięciem nabija rachunek na kasie. Dopiero wtedy Mathilde przyjmuje do wiadomości obecność mężczyzny, chociaż po sposobie, w jaki się odwraca, żeby stanąć z nim twarzą w twarz, domyślam się, że cały czas wiedziała, że on tu jest.

— Jean-Claude.

— Mathilde.

To jest do bólu oficjalne. Nic innego nie zostaje powiedziane, barman wręcza jej resztę. Zauważam, że uprzejmiej niż mnie. Nawet lekko pochyła głowę, kiedy dziewczyna bierze pieniądze.

— Dziękuję.

Cisza nie zostaje przerwana, kiedy idziemy do drzwi. Puszczam Mathilde przodem, więc nie wiem, czy usłyszała szybkie świńskie pochrząkiwanie ze strony tego jakiegoś Didiera albo przytłumiony śmiech, który potem nastąpił.

Zamykam drzwi, nie oglądając się za siebie, i jak najszybciej kuśtykam za nią. Nic nie mówimy, kiedy wsiadamy do furgonetki. Czekam, aż coś powie, ale ona włącza silnik i wyjeżdża bez słowa.

— Mili sąsiedzi — odzywam się wreszcie.

Patrzy przez upstrzoną owadami przednią szybę.

— Nie są przyzwyczajeni do obcych.

Nie sędzę, żebym to ja, cudzoziemiec, był tu problemem. Chcę zapytać, dlaczego nazwisko „Arnaud” wywołało taką reakcję i kim jest Jean-Claude. Ale Mathilde swoim zachowaniem jasno daje mi do zrozumienia, że nie zamierza o tym rozmawiać.

Kiedy w milczeniu wracamy na farmę, zastanawiam się, czy właśnie nie spotkaliśmy ojca Michela.

To ulga znaleźć się znowu w granicach farmy. Kruche poczucie bezpieczeństwa wraca, kiedy Mathilde zakłada z powrotem kłódkę. Napełniła paliwem także kanistry, nie tylko bak furgonetki, ale odmawia, kiedy proponuję, że pomogę je wyładować.

— Później przyniosę ci kolację — mówi tylko.

I już po pięknym wieczorze, myślę, wracając do stodoły. Zdaję sobie sprawę, że nie mogę ukrywać się na farmie bez końca, ale żałuję, że w ogóle poprosiłem Mathilde, żeby zabrała mnie na stację benzynową. Niepotrzebnie zwróciłem na siebie uwagę, a wszystko dla piwa i paru paczek papierosów. Ale dlaczego tak zareagowali? Nie dziwię się, że Arnaud i jego sąsiedzi się nie kochają — Bóg wie, jak trudno sobie wyobrazić, że ten człowiek z kimkolwiek się przyjaźni. Mimo wszystko atmosfera w barze była zbyt napięta jak na małomiasteczkową waśń.

Naprawdę musiał komuś dopiec.

Zabieram papierosy na strych. Coraz lepiej mi idzie wspinanie się po schodach i kiedy zatrzymuję się w połowie drogi na podeście, to nie dlatego, że brakuje mi tchu.

Kłapa otwarta.

Zamknąłem ją, wychodząc. Zatrzymuję się, nadstawiam uszu, ale ze środka nie dochodzi żaden odgłos. Najciszej jak się da, pokonuję resztę schodów, chociaż ktoś, kto tam jest, na pewno do tej pory mnie usłyszał. Potem zaglądam przez właz.

Na łóżku siedzi Gretchen. Tyłem do mnie, mój plecak stoi obok niej, połowa jego zawartości leży rozsypana na materacu. Nie widzę plastikowej paczki, ale

ona jest głęboko zagrzebana. Gretchen najwyraźniej znalazła to, czego szukała, zanim dotarła do dna. Rytmicznie porusza głową, jej gęste włosy niemal całkowicie zasłaniają słuchawki. Dobiega mnie cichutki szept muzyki, kiedy pokonuję resztę stopni i podchodzę do Gretchen. Już nie usiłuję zachowywać się cicho.

Otwiera oczy zaskoczona, kiedy nachylam się i wyłączam empetrójkę.

— Och! Nie słyszałam cię.

— Co ty robisz?

Próbuję nie wyglądać na rozgniewanego, ale moje słowa i tak brzmią jak oskarżenie. Gretchen natychmiast przybiera postawę winnej.

— Nic. Tylko trochę słuchałam muzyki.

Chwytam garść ubrań i zaczynam upychać je z powrotem do plecaka. Kiedy to robię, sprawdzam, czy paczka nadal jest na swoim miejscu. Napięcie trochę mi opada, kiedy dotykam plastikowego opakowania, ale ręce nadal mi się trzęsą.

— Powinnaś poprosić.

— Prosiłam! Powiedziałaś, że mogę!

Coś sobie niejasno przypominam. Tak, zgodziłem się, jednak to było wtedy, kiedy myślałem, że następnego dnia odejdę, i zapomniałem o tym. Gretchen najwyraźniej nie zapomniała.

— Owszem, ale przy mnie — mówię już z mniejszym zapalem.

— To nasza stodoła. Nie potrzebuję twojego pozwolenia.

— To nie znaczy, że wolno ci szperać w moich rzeczach.

— Myślisz, że interesują mnie twoje stare skarpety i T-shirty? — Sama robi się zła. — I tak nie lubię tej głupiej muzyki! A gdyby papa dowiedział się, że tutaj jestem, miałbyś problemy!

W jej logice jest skaza, ale brakuje mi energii na kłótnię.

— Słuchaj, przepraszam, że podniosłem na ciebie głos. Po prostu nie spodziewałem się, że kogoś tutaj zastanę.

Wygląda na udobruchaną. Najwyraźniej nie zamierza wyjść, opiera się o konia na biegunach, głaszcze go po grzywie, kiedy wyjmuję z kieszeni papierosy i zapalniczkę i rzucam to na materac.

— Dasz mi spróbować jednego?

— Palisz?

— Nie.

— To nie powinnaś zaczynać.

Wiem, że jestem hipokrytą, ale nie mogę się powstrzymać. Gretchen się



dąsa.

— Dlaczego masz taki zły humor?

— Po prostu padam ze zmęczenia. To był pracowity dzień.

Rozważa coś, palcami skręca pukiel czarnego końskiego włosia.

— Jak długo zostaniesz? Aż skończysz cały dom?

— Trudno powiedzieć. — Ze wszystkich sił próbuję nie myśleć z takim wyprzedzeniem.

— Papa mówi, że przed czymś uciekasz.

— Papa nie wie wszystkiego.

— Wie więcej niż ty. Nawet nie jestem pewna, czy cię lubi. Ale jak będziesz dla mnie miły, to mu szepnę o tobie coś dobrego.

Nie reaguję na te słowa. Z nadzieją, że zrozumie aluzję i pójdzie sobie, podnoszę z łóżka inny T-shirt. Coś z niego wypada.

Zdjęcie.

— Co to takiego? — zaciekawia się.

— Nic.

Chcę to podnieść, ale pierwsza wysuwa rękę. Trzyma zdjęcie z daleka ode mnie, drażni się.

— Kto to? Myślałam, że nie masz dziewczyny.

— Bo nie mam.

— To po co to z sobą nosisz?

— Zapomniałem wyrzucić.

— Więc ci wszystko jedno, co się stanie z tą fotografią. — Uśmiechając się, podnosi zapalniczkę z materaca i podkłada ją pod zdjęcie.

— Nie rób tego. — Sięgam po fotografię.

Odwraca się ode mnie, nadal trzyma zdjęcie nad zapalniczką.

— Aha, sądziłam, że ci nie zależy.

— Słuchaj, po prostu mi to oddaj.

— Nie oddam, dopóki mi nie powiesz, kto to jest. — Pstryka zapalniczką, pojawia się ogień. — Musisz się pospieszyć...

Rzucam się, żeby zabrać jej fotografię. Gretchen śmieje się radośnie i wyrywa, wtedy jeden róg zdjęcia zanurza się w płomieniu. Rozkwita żółte światło, połyskliwa kartka w mgnieniu oka chwyta ogień. Gretchen piszczy i ją puszcza. Strącam płonącą fotografię z materaca, próbuję ją ugasić, kiedy obraz czernieje i się zwija. Już cały płonie, a strych to beczka prochu pełna suchego drewna. Łapię butelkę wody z łóżka i szybko gaszę płomień.

Rozlega się syk.

Zapach spalenizny wypełnia strych. Patrzę na kałużę z popiołem na podłodze.

— Przez ciebie poparzyłam sobie palce. — Gretchen robi obrażoną minę.

Odstawiam butelkę.

— Idź już sobie.

— To nie moja wina. Nie trzeba było mi tego wyrywać.

— Twój ojciec będzie się zastanawiał, gdzie jesteś. Waha się, ale wzmianka o

Arnaudzie robi swoje. Nie oglądam się, gdy schodzi przez właz. Kiedy kroki zamarły, schylam się i grzebię w mokrym popiele. Z fotografii nic nie zostało, nie licząc kawałeczka białego obróbka poczerniałego na brzegach.

Upuszczam go na podłogę i idę poszukać czegoś do sprzątnięcia.

## Londyn

Pewnego wieczoru po pracy Chloe znika. Po lekcjach wyszliśmy na miasto z Callumem i paroma studentami. Ale nie do Domino; już nie tam. Kiedyś cieszyło mnie, że jak podniosę wzrok, zobaczę Chloe pracującą za barem, lubiłem czekać na spokojniejsze chwile, gdy mogła, do nas dołączała, teraz nie sprawia mi to już przyjemności.

— Uważasz, że powinieneś mnie sprawdzać? — zapytała pewnego razu, kiedy zaproponowałem, że spotkam się z nią w Domino później.

— Nie — odparłem zaskoczony. — Jeśli nie życzysz sobie, żebym przychodził, po prostu powiedz.

Wzruszyła ramieniem i się odwróciła.

— Rób, jak chcesz.

Parę minut po pierwszej zostawiam Calluma i wracam do mieszkania. Zapach farb olejnych i terpentyny jest teraz mniej intensywny. Chloe nie maluje od naszego wyjazdu do Brighton, ale nie rozmawiamy o tym.

Nie skończy pracy w barze co najmniej do drugiej, więc parzę sobie kawę i szukam jakiegoś filmu na DVD. Wybieram *Mordercze lato*, które, jak wszystko w swojej kolekcji, oglądałem już kilka razy. Chloe twierdzi, że lubię ten film, bo Isabelle Adjani występuje praktycznie cały czas nago. Ma rację, ale zdjęcia są piękne nawet bez tego.

Oglądam cykl namiętności, przemocy i tragedii biegnący nieuniknionym kursem. Dopiero kiedy film się kończy, zdaję sobie sprawę, jak już późno: Chloe powinna wrócić przed godziną.

Dzwonię do baru. Nikt nie odpowiada. Czekam pół godziny, potem zostawiam kartkę, na wypadek gdyby wróciła, i wyruszam do Domino. Ulice są puste. Idę tą samą trasą, którą poszłaby Chloe, gdyby wybrała się na piechotę, chociaż odkąd przestałem się z nią spotykać w barze, zazwyczaj bierze taksówkę. Drzwi lokalu są zamknięte, w środku nie świeci się światło, ale i tak się dobijam. Echo zamiera, budynek pozostaje ciemny i milczący.

Nie wiem, co robić. Stoję na chodniku i rozglądam się po opustoszałej ulicy, tak jakbym się spodziewał, że zobaczę Chloe idącą w moją stronę. Nie mam pojęcia, gdzie mieszka Paul, menedżer baru, ale kiedyś poszedłem z Chloe na imprezę do Tanji. Nawet nie wiem, czy Tanja pracowała dziś wieczorem, ale niczego innego nie potrafię wymyślić.

Jest prawie piąta rano, kiedy docieram do jej mieszkania. Wejście do bloku nieoświetlone, muszę użyć komórki, żeby odczytać nazwiska przy domofonie. Naciskam przycisk przy jej nazwisku i czekam. Panuje przenikliwy chłód, ale drzę nie tylko dlatego. Kiedy nie odpowiada, naciskam ponownie, tym razem nie puszczam guzika.

— Dobra, dobra, kto tam? — Głos trzeszczy w domofonie, zły i zniekształcony.

— Tanja, tu Sean. — Przerywam, przysuwam usta bliżej do kratki głośnika. — Wiesz, gdzie...

— Jaki Sean?

— Chłopak Chloe. Ona...

— Jezu, wiesz, która godzina?

— Wiem, przepraszam, ale Chloe nie wróciła z pracy do domu. Wiesz, gdzie jest?

— Nie, niby skąd? — Słysząc, że jest zmęczona i poirytowana.

Upadam na duchu. Miałem nadzieję, że powie, że Chloe jest u niej, że przyszła na jakąś małą imprezkę. Cokolwiek.

— Widziałaś, jak wychodziła?

— Tak... A nie, zaraz, dziś się zmyłam przed nią. Ona nadal gadała z facetem, który przyszedł do baru. Powiedziała, żebym nie czekała.

— Z facetem? Z jakim facetem? Kto to był?

— Po prostu jakiś facet. Słuchaj, jutro muszę wcześniej wstać...

— Widziałaś go już kiedyś?

— Nie, mówiłam ci: to po prostu jakiś facet! Szpaner, ale Chloe chyba go znała. Mogę już wrócić do łóżka?

Idę z powrotem do mieszkania. Kartka nadal leży na stole w kuchni, tam gdzie ją zostawiłem. Na wszelki wypadek zaglądam do sypialni, ale łóżko jest puste.

O ósmej wykręcam numer do Yasmin. Nie spodziewam się, żeby Chloe tam była. I jej nie ma.

— Dzwoniłeś na policję? — Yasmin od razu przechodzi do konkretów.

— Nie, jeszcze nie. — To ostateczność, którą odkładam na później. — Myślisz, że powinienem?

— Poczekaj do południa — mówi wreszcie.

Jest prawie jedenasta, kiedy słyszę, jak ktoś otwiera drzwi kluczem. Siedzę przy stole w kuchni, z ust czuć mi kawą i zmęczeniem. Wchodzi Chloe, a ja czuję zapierającą dech ulgę. Potem zastępuje ją coś innego.

Chloe przystaje na mój widok, potem zamyka drzwi.

— Gdzie byłaś? — pytam cicho.

— Zostałam u przyjaciela. — Nie patrzy na mnie.

— Nie mogłaś zadzwonić?

Robi jakiś nieokreślony gest. Twarz ma bladą, niebieskie cienie znaczą jej skórę pod oczami.

— Zrobiło się późno. Nie chciałam ci przeszkadzać.

— Jasne. — Kiwam głową, jakby to było całkowicie racjonalne zachowanie. — Co to za przyjaciel?

— Nikt, kogo znasz. — Zaczyna iść w stronę łazienki. — Muszę...

— Co to za przyjaciel?

Chloe zatrzymuje się, plecami do mnie.

— Dawny znajomy, to wszystko.

— To ten, z którym rozmawiałaś wczoraj wieczorem w barze przed zamknięciem? Tanja mi mówiła.

Gwałtownie odrzuca głowę do tyłu. Potem szybko przytakuje.

— Były chłopak?

Znów kiwnięcie głową. Tracę oddech. Nie mogę uwierzyć w to, co się dzieje.

— Spałaś z nim?

Teraz odwraca się do mnie, twarz ma ściągniętą.

— Proszę, nie...

— Spałaś?

— Nie! — krzyczy, nagle rozzłoszczona. — Do niczego między nami nie doszło, w porządku? Teraz mnie zostaw!

— Zostawić cię? Umierałem ze zmartwienia! Myślałem, że miałaś wypadek albo ktoś cię... napadł! Teraz przychodzisz sobie ot, tak, oświadczasz, że spędziłaś noc z innym mężczyzną, i myślisz, że nic nie powiem?

— To nie twój zasrany interes, jasne?

Patrzę na nią osłupiały. Rozsadza mnie gniew, ale wystarcza mi rozsądku, żeby wiedzieć, że jak dam mu się ponieść, nie będzie odwrotu.

— Naprawdę tak uważasz?

— Nie. Nie wiem. — Zaczyna cicho płakać. — Przepraszam. — Wbiega do łazienki i zamyka drzwi. Siedzę w kuchni, nic nie czuję, absolutnie nic.

# Rozdział 9

Następnego dnia rano jestem już na nogach, kiedy Mathilde przynosi mi śniadanie. Obudził mnie kac i monotonne pianie koguta na podwórzu. Do kolacji wypilem jeszcze jedną butelkę wina, a cokolwiek by mówić o Chateau Arnaud, jest mocne. Idę na dół i wsadzam głowę pod kran, żeby zmyć pozostałości snu. Siedzę przed stodołą w bokserkach, woda kapie mi z włosów, cieszę się porannym chłodem.

Poranek jest piękny, tak jak wszystkie poranki, odkąd tu przybyłem. Niebo to nieskazitelny błękit, jeszcze nieprzypalony na białą upałem — to nadejdzie później. Na horyzoncie widać ciemny pas chmury, ale jest za daleko, żeby był groźny.

Tupię na rdzawą kurę pochłoniętą dziobaniem wokół stopy i podnoszę wzrok, gdy nadchodzi Mathilde.

— Dzień dobry — mówi. Jej twarz, jak zwykle, niewiele wyraża.

Stawia tacę ze śniadaniem na ziemi obok mnie. Prawie niewidoczny obłok pary unosi się z kawy, a chleb pachnie świeżością. Dwa obrane jajka leżą obok siebie na talerzu, przypominają białe pośladki.

— Zrobiłam to — oznajmia Mathilde, wyjmując coś, co niosła pod pachą. — Na twoją stopę.

To podeszwa gumiaaka, od którego odcięto prawie całą górną część poza piętą. Z dziur przebitych po obu stronach zwisają sznurowadła.

— Aha. — Nie wiem, co powiedzieć. — Dziękuję.

— Żeby chronić bandaż. Pomyślałam, że ci się przyda, jak będziesz pracował. — Odgarnia włosy do tyłu. Jak się zorientowałem, ten ruch najbardziej wyraża zdenerwowanie i jej niepokój mi się udziela. — Chcę poprosić cię o przysługę. Gretchen mówiła mi, że uczyłeś angielskiego.

— Tylko na kursach — odpowiadam ostrożnie. — Nie w prawdziwej szkole.

— Uczyłbyś ją?

— Hm, nie wiem, czy to...

— Sama bym ci zapłaciła — ciągnie szybko dalej. — Niedużo. Ale nie musiałbyś dawać regularnych lekcji. Tylko... kiedy z nią rozmawiasz.

Chcę powiedzieć „nie”. Po wczorajszym wieczorze doszedłem do wniosku, że im mniej mam do czynienia z jej siostrą, tym lepiej.

— Nie możesz jej uczyć sama?

— Mój angielski jest za słaby. — Przepraszająco wzrusza ramieniem. — A ona nie lubi, kiedy jej mówię, co ma robić.

— A co na to twój ojciec?

— Z nim nie będzie problemu.

To nie to samo, co stwierdzić, że ojciec to pochwała, ale Mathilde zna go lepiej niż ja. Czeka na odpowiedź i chociaż się staram, nie potrafię wymyślić dobrego pretekstu, żeby odmówić.

— Chyba mógłbym dać jej kilka lekcji...

Uśmiech Mathilde jest dojrzały niż uśmiech siostry, ale odmładza ją o całe lata.

— Dziękuję.

Patrząc, jak idzie przez podwórze, potem oglądam but. Śmierdzi starą gumą, pewnie poświęciła nie więcej niż parę minut na tę robotę. Ale i tak jestem wzruszony: nie pamiętam, kiedy ostatnio ktoś coś dla mnie zrobił. Istotnie, przerobiony but ułatwia mi życie. Kiedy go wkładam po śniadaniu, odkrywam, że mogę postawić stopę, nawet oprzeć się na niej i bez kuli chwiejnie przejść parę kroków.

Na rusztowaniu zapewnia poczucie stabilności i przywraca mi pewność siebie. Podnoszę młot i bardzo staram się zapomnieć o bólu głowy, pulsowanie w skroniach układa się w synkopę z uderzeniami. Mam nadzieję, że dzięki wysiłkowi wypocę kaca. Pęcherze na dłoniach bolą, ale nie potrafię zmusić się, żeby włożyć przepocone rękawice, które były w kieszeni kombinezonu.

Stopniowo ustępuje sztywność mięśni. Kończę jeden kawałek i zabieram się do ściany przy nieosłoniętym okiennicami oknie sypialni. Kilka kamieni pod rynną obluzowało się, nie ma rady, trzeba je zupełnie usunąć. Zanim się orientuję, w ścianie powstaje tak duża dziura, że można by się w nią wcisnąć. Odslania chropawe kamienne elementy elewacji. Szkody, jakie wyrządziłem, lekko mnie przerażają, czuję się nieswojo, bo tak naprawdę nie bardzo wiem, co robię. Ale jest coś satysfakcjonującego w zogniskowanym impecie młota i dłuta. Uderzam raz za razem, kawałki zaprawy rozpryskują się i kłują mnie w twarz jak szrapnele. Kiedy trafiam w dłoń, już nawet tak nie boli. Ciało i kość zmartwiały, przestały być wrażliwe na powtarzające się ciosy. Czuję ból dopiero, kiedy przestaję na dłużej, żeby odpocząć.

Wkrótce zatracam się w rytmie młota. Mój świat kurczy się do wąskiego pasa ściany nad oknem sypialni, więc reaguję z opóźnieniem, kiedy coś w środku

się pokazuje. Znow się pojawia, drgnienie wychwycone kątem oka. Przenoszę wzrok i widzę twarz po drugiej stronie zakurzonej szyby.

— Jezu!

Dłuto stuka o deski, obija się między ścianą a rusztowaniem i spada z brzękiem na kamienie brukowe. Gretchen otwiera okno, śmieje się.

— Przestraszyłam cię?

— Nie — mówię, ale serce nadal mi łomocze. — No, może trochę.

— Przyniosłam ci kawę. — Podaje mi duży kubek. Wygląda na zadowoloną z siebie. — Pomyślałam, że oszczędzę ci schodzenia.

— Dzięki.

I tak będę musiał zejść po dłuto, ale nie robię jej wymówek. Nie spotkałem się z Gretchen, odkąd poprzedniego wieczoru podpaliła fotografię, ale widać, że wcale się nie przejmuję tym, co zaszło. Zostaje w sypialni, wychyla się przez otwarte okno, ja siadam na krawędzi.

— Mathilde powiedziała, że będziesz mnie uczył angielskiego. — Mówi to łobuzerskim tonem.

— Jeśli chcesz.

— To jej pomysł. — Twarz ciemnieje jej na chwilę. Potem się rozjaśnia. — Możesz mnie uczyć popołudniami. Papa wtedy śpi, a Mathilde opiekuje się Michelem. Nie będą nam przeszkadzać. — Uśmiecha się, czeka na moją reakcję.

Popijam kawę z udawaną nonszalancją. Jest mocna i czarna, parzy mnie w język.

— Jak chcesz — powtarzam.

— Co masz na stopie? — pyta, bo zauważyła zaimprovizowany gumowy but.

— To Mathilde dla mnie zrobiła.

— Mathilde? — Uśmiech znika. — Głupio to wygląda.

Puszczam ten komentarz mimo uszu. Z otwartego okna dochodzi zapach stęchlizny, nawet nie taki bardzo nieprzyjemny. Bez welonu brudnej szyby obłaząca tapeta i popękany tynk sypialni są lepiej widoczne. Żelazne łóżko z nierównym materacem i zagłówkiem wygląda tak, jakby miało się zawalić na gołe deski podłogi.

— Czyj to był pokój? — pytam.

— Mojej *maman*.

Zauważam, że nie powiedziała, że również Arnauda. Wskazuję na fotografię na komodzie.



— To ona z twoim ojcem?

Przytakuje.

— Ślubne.

— Ile miałaś lat, jak umarła?

— Byłam niemowlęciem. W ogóle jej nie pamiętam. — W jej głosie brzmi znudzenie. — Później bawiłam się, jeżdżąc jej wózkiem inwalidzkim. Ale w końcu spadłam i się potłukłam, więc papa go rozwalił.

Pewnie kucyka też nie miała, myślę. Ale zachowuję to dla siebie, jak większość rzeczy dotyczących Gretchen. Milknie, mogę przysiąc, że wiem, co teraz powie.

— Wejdiesz do środka?

— Nie, dzięki.

Odsunęła się, robi dla mnie miejsce, żebym jednak wszedł.

— Nie bój się, już nikt nie zagląda do tego pokoju.

Kawa nadal jest za gorąca, ale mimo to pociągam łyk.

— Zostanę na zewnątrz.

— Co jest nie tak?

— Nic.

— To dlaczego nie wejdiesz? Nie chcesz?

— Pracuję.

— Nie pracujesz. Pijesz kawę.

Jej uśmiech jest kuszący i jednocześnie wyraża pewność siebie. Coś w Gretchen przywodzi mi na myśl kota: łasi się, mruczy, żeby go pogłaskać, ale potrafi drapać, jeśli zmieni mu się nastrój.

Zawsze miałem problem z kotami.

— Nadal pracuję — odpowiadam. W głowie mi huczy, kac wraca z pełną siłą.

Podchodzi do łóżka, siada, buja nogą.

— Jesteś gejem?

— Nie.

— Na pewno? Odmawiasz pięknej dziewczynie, chyba jednak jesteś gejem.

— Okej, jestem gejem.

Zdaje się, że zapomniała o scenie z fotografią na strychu. Ale nie zamierzam wracać do tej sprawy, skoro sama o tym nie wspomina. Uśmiecha się figlarnie, kładzie się na łóżku, zgina kolano i opiera się na łokciach.

— Nie wierzę ci. Myślę, że jesteś po prostu nieśmiały i potrzebujesz czegoś, co pozwoli ci się odprężyć. — Jeszcze bardziej rozkłada się na łóżku. Unosi

brew, nadal się uśmiecha. — No to jak?

— Hej, ty tam, na górze!

Uśmiech Gretchen znika, kiedy z podwórza dobiega głos Arnauda. Z nadzieją że będzie miała na tyle rozsądku, żeby cicho siedzieć, spoglądam z rusztowania w dół. Arnaud patrzy na mnie z wściekłością z brukowanego podwórza. Przy jego nogach siedzi spaniel, nastawił uszy, też zadziera głowę.

— Co robisz?

Nie wiem, ile widzi i słyszy z miejsca, gdzie stoi. Opieram się pokusie, żeby się obejrzeć.

— Odpoczywam trochę.

— Dopiero co zacząłeś. — Mierzy mnie nieprzyjaznym wzrokiem i pokazuje głową. — Złaź na dół.

— Po co?

— Mam dla ciebie inną robotę.

Nie wiem, czy powinienem poczuć ulgę.

— Jaką robotę?

— Świniobicie. Chyba że jesteś za delikatny?

Mam nadzieję, że żartuje. Ale jego spojrzenie, przenikliwe i czujne, zniechęca mnie do odmowy. I nie chcę zostawać tutaj dłużej niż muszę: nie ufam Gretchen, jeszcze zrobi jakieś głupstwo.

— Dogonię cię.

Odwracam się, zanim zdąży jeszcze coś powiedzieć. Przez chwilę, kiedy zaglądam do sypialni, mam przed oczami obraz Gretchen nadal leżącej na łóżku, tak żywy, że prawie widzę jej opaloną skórę na tle wyblakłych niebieskich pasów materaca.

Łóżko jest puste. Pokój też. Na deskach podłogi widać delikatne ślady tam, gdzie jej stopy poruszyły kurz, w drodze do drzwi i z powrotem.

Zamykam okno tak starannie, jak tylko się da, i idę do drabiny.

Arnaud i Georges wybrali już jednego świniodzika. Podążając ścieżką do zagrody, słyszę kwiczenie i chrypliwe krzyki. Kiedy wychodzę na polanę, Georges w świńskiej koszarze zagania skazane zwierzę w stronę furtki, którą przytrzymuje Arnaud. Reszta świń, całkiem rozsądnie, uciekła. Stoją w odległym kącie zagrody, trzymają się jak najdalej od obu mężczyzn. W mniejszej zagrodzie obok ciemny kształt dzika chodzi w tę i z powrotem wzdłuż płotu, chrząka pobudzony.

Świnia zaganiana przez Georges'a w stronę furtki jest względnie mała,

niewiele większa od labradora, ale i tak wystarczająco duża, żeby przewrócić niedużego mężczyznę. Widać jednak, że Georges wie, co robi. Pogania ją bez przerwy, trzepie cienkim kijkiem, kieruje nią, trzymając jej przy głowie kwadratową drewnianą deskę. Ani on, ani Arnaud nie zwracają na mnie uwagi, kiedy wyganiają świnie z zagrody. Arnaud idzie tuż za Georges'em, a ten pędzi zwierzę w stronę małego domku z pustaków, stojącego — co się teraz zdaje złowrogie — z boku.

— Zamknij. — Arnaud wskazuje otwartą furtkę.

Odchodzi, nie patrząc, czy wykonuję polecenie. Pozostałe świnie zaczynają podchodzić do furtki, więc zamykam ją szybko i zabezpieczam drucianą pętlą zwisającą z palika w płocie. Arnaud klnie. Spoglądam przez ramię i widzę, jak kopniakiem odpędza spaniela, który za bardzo się zbliżył. Pies ze skowytaniem ucieka ścieżką.

Zanim świniodzik się narowi, doprowadzają go do wejścia do domku. Zaczyna kwiczeć jak oszalały, tak jakby coś, co wiąże się z tym miejscem, wywoływało w nim panikę. Georges napiera całym ciałem na deskę, popycha wystraszone zwierzę, Arnaud próbuje zablokować mu drogę ucieczki.

— Będziesz tylko tak się gapił? — wrzeszczy na mnie.

Podchodzę, staję naprzeciwko Arnauda. Georges jest z tyłu, świniodzik nie ma dokąd uciec. Kładę rękę na jego grzbiecie i popycham. Skórę ma chropawą, szczeciniastą. Twardą jak skórzany wór z piaskiem. Georges chłoszcze świnie kijkiem, zwierzę wpada przez drzwi.

Kwiki w środku są głośniejsze, odbijają się od twardych ścian i betonowej posadzki. Stoję w wejściu, ani mi się śni wchodzić dalej.

— Włącz i zamknij drzwi — parska ponagłajaco Arnaud. — Górę zostaw otwartą.

Robię, co każe. To drzwi do stajni, podzielone poziomo na pół. W małym domku nie ma okien, otwarta górna część jest jedynym źródłem światła. Pobudzone muchy brzęczą, próbuję nie wymiotować od smrodu zaschniętej krwi i odchodów. Pośrodku domku znajduje się sięgająca pasa kamienna płyta. Do sufitu nad nią jest przymocowana poręcz, z której zwisa krążek z łańcuchem i hakiem. Staję blisko drzwi, kiedy Georges podnosi z płyty młot na długim trzonku. Jest większy od tego, którego ja używam, ale stary podnosi go bez trudu; na jego przerośniętych ramionach uwypuklają się żyły i ścięgna.

Świnia miota się w rogu, chyba zdaje sobie sprawę, że nie ma ucieczki. Georges podchodzi do niej i wyjmuje coś z kieszeni. Kawalki warzyw. Rozrzuca

je na posadzce przed świnia, drapie ją za uszami i pomrukuje uspokajająco. Po chwili zwierzę opanowuje się na tyle, żeby wyczuć zapach jedzenia. Nadal rozjątrzone obwąchuje je. Georges czeka, aż świnia pochyli łeb, żeby jeść, i wtedy wali ją młotem między oczy. Wzdragam się, słysząc głuchy łomot. Świnia pada, drga na posadzce jak śpiący pies ścigający królika. Georges łapie ją za tylne nogi, a Arnaud opuszcza łańcuch, który z szybkim grzechotaniem rozwija się z kółka. Owija go wokół pęcin świni i przekłada przez najwyższe ogniwo, żeby dobrze się trzymał. Prostuje się, krzywi i pociera plecy.

— Pomóż mi.

Nie ruszam się.

— No dalej, nie stój tam!

Zmuszam się i robię kilka kroków w przód. Wkłada mi kawał łańcucha w rękę. Podchodzi Georges i razem ze mną go naciąga. Nadal trzymam kulę pod pachą. Waham się, nie wiem, co z nią zrobić, potem pozwalam, żeby poleciała na ścianę. Arnaud odsuwa się na sztywnych nogach.

— Ciągnij.

Łańcuch jest zimny i szorstki. Kilkanaście centymetrów idzie łatwo, potem zatrzymuje się, kiedy bierze na siebie ciężar świni. Rozchodzi się smród, świnia wypróżnia jelita. Łańcuch ciągnie mnie za ramię, Georges wieszka się na nim. Robię to samo. Opuściła mnie cała wola. Kiedy on ciągnie, ciągnę i ja. Czuję, jak naprężają mi się plecy, ramiona. Tył świni unosi się nad posadzką, potem zwierzę zawisa w powietrzu. Jeszcze drga, jeszcze żyje. Podciągamy ją wyżej.

— Starczy.

Arnaud zakłada hamulec, żeby łańcuch się nie rozwinął. Puszczamy. Kółko z piskiem przesuwają się po poręczy, Arnaud ciągnie za nie, dopóki świnia nie wisi nad kamienną płytą. Kołysze się jak wahadło. Georges założył skórzany rzeźniczy fartuch z haka na ścianie, sztywny, pokryty czarnymi plamami. Zawiązuje go, tymczasem Arnaud przynosi z kąta szerokie aluminiowe wiadro. Stawia je pod łbem świni, jedną ręką przytrzymuje ją, żeby się nie bujała. Georges znów podchodzi do płyty, tym razem wyjmuję nóż rzeźniczy z długim łukowatym ostrzem. Przyglądam się temu wszystkiemu, jakby tak naprawdę mnie tu nie było, a gdy Georges zbliża się do świni, Arnaud odwraca się do mnie z chytrym uśmieszkiem.

— Chcesz to zrobić?

Chwytam kulę, kiedy stary przykłada ofierze nóż do gardła. Zza pleców dobiega mnie odgłos, coś bryzga do aluminiowej wanienki, potem jestem na

zewnątrz. Idę, zginam się wpół. Jajka, które zjadłem, unoszą mi się w gardle na fali żółci. W uszach mi szumi, jasna polana ciemnieje. Znow słyszę pusty łomot młota, widzę krew tryskającą ze świńskiego łba.

Pokrywają to inne obrazy, jedno padające ciało niewyraźnie łączy się z drugim: ktoś krzyczy, krew błyszczy czernią pod chorobliwie białym blaskiem ulicznych latarni...

Szum w głowie zamienia się w obojętne brzęczenie much. Polana wokół mnie formuje się na nowo, przywraca mnie do tu i teraz. Ktoś wychodzi z domku.

— Za słaby żołądek, co?

W głosie Arnauda pobrzmiewa zadowolenie. Prostuję się, kolejny oddech uspokaja mnie.

— Nic mi nie jest.

— A nie wyglądasz na to. Co, przestraszyłeś się paru kropli krwi?

Podnosi ręce. Lśnią wilgocią, panika znow we mnie trzepocze. Przemagam ją.

— Wydawało mi się, że do uboju zwierząt trzeba mieć jakąś licencję. Że są normy unijne, coś takiego?

— Nikt nie będzie mi mówił, co mogę robić na własnej farmie. A już na pewno nie zgraja biurokratów w garniturach. — Arnaud przygląda mi się z kwaśną miną, wyjmuję z kieszeni szmatę i wyciera ręce. — Przypomnij mi jeszcze raz, dlaczego tu jesteś?

Kac wrócił. Próbuję oczyścić umysł, kiedy Arnaud odkłada zakrwawioną szmatę.

— O co ci chodzi?

— Musi być jakiś dobry powód, że chłopak z wielkiego miasta, taki jak ty, ukrywa się. Nikt się nie zastanawia, gdzie się podziewasz?

— Nie.

— Nie masz przyjaciół?

— Żadnego, który by nie mógł zasnąć, bo nie wie, gdzie jestem.

— No to rodzina.

— Matka odeszła, kiedy byłem dzieckiem, a ojciec zmarł.

— Na co? Ze wstydu? — Uśmiecha się grubiańsko. — Nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego chcesz się zaszyć na odludziu.

— To moja sprawa.

— A jeśli uznam, że moja też? Króciutki telefon na policję?

Dziwne, ale ta groźba w ogóle mnie nie rusza.

— Wtedy na pewno zainteresują ich posągi i pułapki w lesie.

Uśmiech znika. Jasnoszare oczy robią się twarde, potem Arnaud znów się uśmiecha.

— Więc jednak masz jaja. W samą porę, bo już się zaczynałem zastanawiać.

Od zagrody, po drugiej stronie domku, dobiega łomotanie. Arnaud, nadal się uśmiechając, kieruje głowę w tamtą stronę.

— Stary Bayard wyczuł krew — mówi, prawie z zadowoleniem.

— Bayard?

— Dzik. — Rozlega się odgłos łamanego drewna. Wyraz twarzy Arnauda się zmienia. — Wyrzywa się.

Może bolą go plecy, ale ledwo za nim nadążam, kiedy idzie dookoła domku do zagrody dzika. Płot wyraźnie się nagina — dzik taranuje go, kwicząc wściekle. Jedna z desek jest pęknięta i postrzępiona. Kiedy docieramy, rozlega się kolejny trzask i pęknięcie pogłębia się, pokazując świeże białe drewno.

Arnaud ryczy na odyńca, klaszcze w dłonie, podchodząc do ogrodzenia. Zwierzę odpowiada kwikiem, nasila atak. Arnaud łapie kij, dźga potężnego samca między sztachetami.

— Dalej, jazda, łajdaku! Precz stąd!

Zwierzę jest wściekle. Szybciej, niż zdołałbym uwierzyć przy jego rozmiarach, dzik chwyta kij zębami. Arnaud go wyszarpuje i znów dźga, rozlega się trzask, kij pęka.

Arnaud go wyrzuca.

— Georges! — krzyczy przez ramię. — Prawie się wydostał! Przynieś jakieś deski!

Stary już nadbiega z domku, zrzuca rzeźnicki fartuch. Ale Bayard jeszcze bardziej się wścieka, wietrząc zapach świeżej krwi na fartuchu. Złamany słupek ustępuje, Arnaud musi odskoczyć, kiedy świnia wbija łeb w dziurę. Ogromny blok cielska wali w kolejny słupek, wygina go na zewnątrz.

— Deska! Szybko! — mówi do mnie Arnaud, pokazuje ją.

W pobliżu leży gruby kwadrat sklejki, podobny do tego, którym Georges posłużył się przy zaganianiu mniejszej świni. Podaję go Arnaudowi, ale on niecierpliwie macha ręką.

— Dawaj kulę!

— Co?

— Dawaj tę cholerną kulę! No, szybciej!

Waham się, ale kolejny trzask płotu przekonuje mnie. Podaję ją, wtedy on

wbijają wyściełany koniec w pysk dzika. Zwierzę kwiczy i rzuca się na kulę, jednym kłębem oddziera wyściółkę. Arnaud obraca kulę, dźga jej czubkiem. Gumowa końcówka wali świnie w pysk. Arnaud napiera na kulę z całej siły i pcha.

— Przygotuj deskę! — warczy, kiedy dzik się cofa. Dźga jeszcze raz. — Teraz!

Wpycham deskę w dziurę w ogrodzeniu. Chwilę później omal się nie przewracam, kiedy świnia w nią uderza. Trzymam się resztką sił, ale dzik i tak mnie odpycha, dopóki Arnaud nie staje obok mnie. Stawia nogę przy desce, obok mojej nogi i wali przez płot kulą. Mimo wszystko to wygląda tak, jakby próbował zatrzymać buldożer.

Znów pojawia się Georges, w jednej ręce niesie długą deskę, w drugiej wiadro. Nie zatrzymuje się, rzuca deskę na ziemię i podchodzi do płotu ze dwa metry dalej. Przechyla się przez sztachety, klepie w nie dłońmi i woła na dzika, kląska językiem. Zwierzę przez chwilę jest zbyt rozjuszone, żeby to zauważyć, ale potem szarżuje na nowego przeciwnika, który go drażni. Zanim do niego dociera, Georges wylewa część zawartości wiadra do zagrody. Rozchodzi się słodkawy smród odpadków. Dzik zwalnia, niepewnie wacha podarowane resztki. Potem, nadal cicho pochrzając ze złością, zanurza w nich ryj.

Arnaud wzdycha z ulgą i cofa się od deski. Też zaczynam się odsuwać.

— Przytrzymaj ją!

Sztywnym krokiem podchodzi do Georges'a. Stary, nie spuszczając odyńca z oka, wyjmuje z kieszeni spodni młotek i kilka gwoździ, podaje Arnaudowi.

— Potrzebny jest nowy płot — mówi.

— Na razie ten wystarczy.

Słysząc w tym od dawna toczony spór. Milczenie Georges'a jasno wyraża dezaprobatę.

— Weź go stąd — nakazuje Arnaud.

Georges podnosi wiadro i znowu kląska. Dzik truchta za nim wokół zagrody jak pies. Kiedy stary przechodzi na drugą stronę, znów wylewa trochę pomyj. Świnia zaczyna ochoczo zajadać.

Arnaud podnosi deskę, którą rzucił Georges, schyla się z widocznym wysiłkiem.

— Dobra, możesz odejść.

Nogi mi się trzęsą. Odskakuję na bok i opieram się o płot z nadzieją, że nie zauważy. Kula leży na ziemi. Arnaud kopie ją i się uśmiecha.

— Nie na wiele się teraz nada, co?

Ma rację. Wyściółka w strzępach, metalowy trzonek pogięty i spaczony. Opieram się na niej na próbę. Bezużyteczna. Zaskakuje mnie, że czuję się taki bezradny, ale nie zamierzam tego okazywać.

— Czym on się żywi, kiedy nie ma aluminium? — pytam.

Arnaud chichocze. Zdarzenie najwyraźniej wprawiło go w dobry humor.

— Świnie jedzą wszystko. A stary Bayard zeżre, co mu podłeci. Uważaj się za szczęśliwca, że nie wziął cię na ząb. Wtedy miałbyś jedną stopę mniej.

Niepewnie zerkam na świnie, a Arnaud przykłada deskę do dziury i wbija w nią gwoździe. Ale dzik nadal je zadowolony, że Georges drapie go szczotką na długiej rączce. Zwierzę wydaje się teraz spokojne, zauważam jednak, że stary trzyma się z drugiej strony płotu. Patrzę, jak z butelki leje coś na szczeciniasty grzbiet i znów naciera Bayarda. Domyślam się, że to ocet, bo przypominam sobie, co mówiła Gretchen.

— Zawsze wpada w szal, kiedy zabijacie inną świnie? — pytam.

Arnaud odpowiada z ustami pełnymi gwoździ.

— Jak wiatr przywieje do niego zapach krwi.

— Dlaczego nie sprawisz sobie mniej agresywnego?

Patrzy na mnie kwaśno, wbija gwóźdź do samego łebka i idzie do drugiego końca deski.

— To dobry dzik. Raz czy dwa razy musi pokryć większość świń i sprawa załatwiona. — W jego głosie słychać dumę. Wyjmuje z ust kolejny gwóźdź i wbija go trzema uderzeniami. — Nie rezygnuje się z pierwszorzędnego stada rozplodowego, dlatego że jest trochę nerwowe.

— A świnia, którą właśnie zaszlachtowaliście?

— Była nieplodna. Podstawiałem ją Bayardowi tyle razy, że wiem. Jeśli nie mają miotu, są dla mnie bezużyteczne.

— Nic dziwnego, że się wścieka, kiedy zabijasz jego świnie.

Arnaud się śmieje.

— Bayardowi to obojętne. Po prostu nie może się doczekać odpadków. — Wstaje, krzywi się. Masując sobie plecy, rzuca młotek i gwoździe w moją stronę. — Masz. Pokaż, że się do czegoś nadajesz.

Zostawia mnie, żebym dokończył robotę, i odchodzi z polany, nawet się nie oglądając.



# Londyn

Przez jakiś czas, po całonocnym zniknięciu Chloe, sprawy znów toczyły się niemal normalnym rytmem. Pamięć o tym, co się stało, nie rozplynęła się, ale oboje unikaliśmy rozmów na ten temat. Postanowiłem uznać, że Chloe nie kłamie, kiedy mówi, że do niczego nie doszło, a ona starała się zapomnieć o swoim chwilowym upadku. Kiedy o tym nie myślę, prawie mogę udawać, że między nami nic się nie zmieniło.

Ale się zmieniło.

Znowu przychodzę po nią do baru, kiedy kończy pracę. Żadne z nas nie przyjmuje do wiadomości ukrytej sugestii, że już jej nie ufam. To tylko część niewypowiedzianego układu, który zawarliśmy.

Pewnego wieczoru, kiedy się zjawiam, Chloe jest przy barze z jakimś mężczyzną. Stoi obok niego, on siedzi na wysokim stołku. Z początku myślę, że to klient. Potem widzę, jak się do siebie nachylają, jak posępną minę ma Chloe, kiedy słucha tego, co facet mówi. Muszę przystanąć, żeby się uspokoić, potem podchodzę.

Chloe podnosi wzrok, widzi, że się zbliżam. Trochę szerzej otwiera oczy, w szoku albo ze strachu. Mężczyzna teraz patrzy przez ramię, ale nie zwracam na niego uwagi. Zmuszam się do udawanego uśmiechu.

— Cześć. Gotowa do wyjścia?

Nerwowość ożywia twarz Chloe.

— Wcześniej przyszedłeś.

Zerka na faceta. On przygląda mi się, odwracam się do niego. Chloe denerwuje się jeszcze bardziej.

— Sean, to... to jest Jules.

— Cześć Sean — mówi Jules.

Wygląda na jakąś trzydziestkę. Przystojny, z zarostem na brodzie, mięśniami wyhodowanymi na siłowni, tak jakby tym chciał skompensować prawie kobiece oczy z długimi rzęsami. Skórzana kurtka i starannie postrzępione džinsy są zbyt ewidentnie drogie, żeby osiągnąć zamierzony wygląd ulicznika.

Z miejsca wiem, kto to taki. Przygląda mi się z chytrze protekcyjnym uśmiechem, jakby i on wiedział, kim jestem.

Odwracam się do Chloe.

— Jak długo tu jeszcze będziesz?

Nie potrafi na mnie spojrzeć.

— Dziesięć minut.

Z opuszczoną głową spieszy kogoś obsłużyć. Czuję, że ten cały Jules mi się przygląda. W tej chwili żałuję, że przestałem palić: miałbym czym zająć ręce.

— Więc jesteś nauczycielem — zagaduje.

— Tymczasowo. — Nie znoszę myśli, że Chloe rozmawia z nim o mnie.

Uśmiecha się do kieliszka wódki.

— Tymczasowo? To brzmi tak, jakbyś miał wielkie plany.

Nie silę się na odpowiedź. Siedzi rozluźniony na wysokim stołku, pozwala, żeby drogie ciuchy mówiły same za siebie. Nie pytam, co robi: nie chcę wiedzieć.

— Więc ty i Chloe...

— Co ja i Chloe? — przerywam mu zniecierpliwiony.

— Nic. — Znowu wydaje się rozbawiony. Zaczynam podejrzewać, że coś wypił, a może nawet zażył. — Słyszałem, że jakiś czas temu spotkałeś jednego z moich przyjaciół.

— To dla mnie nowina. — Udaję brak zainteresowania, ale jestem ciekaw wbrew sobie.

— Facet ma na imię Lenny.

Najpierw jakoś nie kojarzę. Ale potem już zaskakuję. Oprych, który zatrzymał nas tamtego wieczoru na ulicy, żeby zapytać o godzinę, chociaż miał zegarek. Chloe zwracała się do niego „Lenny”.

Jules ześlizguje się ze stołka barowego.

— Muszę iść. Przekaż Chloe, że się z nią skontaktuję.

Nie ufam sobie, więc nie odpowiadam. Jestem zatopiony w myślach, kiedy czekam, aż Chloe skończy. Wychodzimy, idziemy ulicą. Mam nadzieję, że coś powie, ale nie mówi. Ani słowa.

— Kto to był? — pytam wreszcie.

— Kto?

— Jules.

— Och, po prostu klient.

Staję. Chloe robi jeszcze kilka kroków, stukając wysokimi obcasami o chodnik, zanim dociera do niej, że się zatrzymałem. Odwraca się. Odkąd wszedłem do baru, to pierwszy raz, kiedy patrzy mi w oczy.

— Chloe, nie.

— Co „nie”?

— Nie traktuj mnie jak idiotę. To był on, prawda?

Odwraca się i idzie dalej. Biegnę za nią.

— Czego chciał?

— Niczego.

— Więc co tam robił?

— Wpadł na drinka. Ludzie czasami chcą się trochę napić i zrelaksować, wiesz?

— Znowu się z nim spotkasz?

— Nie! Nie mam wpływu na to, kto przychodzi do tego pieprzonego baru, rozumiesz?

Szybkim krokiem oddala się ode mnie. Doganiam ją i zastępuję jej drogę.

Para z naszych oddechów lśni w świetle latarni.

— Chloe... — Słowa więzną mi w gardle. — Co się dzieje? Dlaczego taka jesteś?

— A ty dlaczego ciągle się mnie czepiasz? Nie jestem twoją własnością!

— Moją własnością? Odnoszę wrażenie, jakbym w ogóle cię nie znał!

— Może nie znasz.

Oczy skrzą się jej złością. Czuję się oszołomiony, ale sam też jestem zły.

— Chcesz, żebym się wyprowadził? Jeśli tego chcesz, to po prostu powiedz.

Następuje długa, długa przerwa. Potem ramiona Chloe opadają.

— Nie, nie chcę — odpowiada cicho.

Odczuwam tak wielką ulgę, że to mnie aż przeraża.

— Nie zniósłbym tego, gdybyś spotykała się z kimś innym — wykrztuszam z siebie ochryplym głosem. — Jeśli się spotykasz, powiedz teraz. Tylko nie rób mi wody z mózgu.

Obejmuje mnie ramionami, kładzie mi głowę na piersi.

— Nie będę — szepcze. — Przepraszam. Nie będę, obiecuję.

Dotyk jej ciała wtulonego we mnie jest ciepły i miły.

Wpatruję się ponad jej głowę w błądzący łańcuch żółtych świateł znikający na drugim końcu ulicy. Lodowate powietrze niesie cierpki posmak znad niewidocznej rzeki. Głaszczę znajomy kontur pleców Chloe, czuję chłód i odosobnienie, jestem pewien, że kłamię.

# Rozdział 10

Potrzebuję cementu.

Mathilde podnosi na mnie wzrok znad grządki kwiatów. Kuchnia była pusta, kiedy odniosłem tacę po śniadaniu, więc domyśliłem się, że dziewczyna powinna być w ogrodzie warzywnym.

Obok niej stoi plastikowa miska ze świeżo zerwanymi strączkami, ale w tej chwili Mathilde klęczy przy rabatce. Znow się do niej odwraca, wyrywa chwast wijący się między roślinami.

— Nie możesz zająć się czymś innym?

— Nie mogę. Skułem tyle, ile się dało, i nie chcę zaczynać w innym miejscu, zanim nie obłożę muru zaprawą.

W minionym tygodniu robota poszła mi szybko. Ale wyjąłem tyle luźnych kamieni, że górne piętro domu wygląda, jakby groziło zawaleniem. Mam nadzieję, że tak jest tylko z wierzchu. Rozbiórka była konieczna, jeśli chce się przyzwoicie naprawić ścianę. Ale wolę nie zostawiać jej w takim stanie na dłużej.

Już od paru dni wiedziałem, że lada moment zabraknie cementu, ale odwlekałem rozmowę na ten temat. Po tym, co się stało na stacji benzynowej, nie spieszy mi się z ponownym wyjazdem poza farmę, a Mathilde też chyba tego nie chce.

Ale cokolwiek sobie myśli, zachowuje to dla siebie. Wyrywa z ziemi kolejny chwast.

— Kiedy chcesz jechać?

Okazało się łatwiej, niż się spodziewałem. Wzruszam ramionami.

— Muszę zrobić listę niezbędnych rzeczy. To nie potrwa długo.

Nie podnosi wzroku znad rabatki.

— Zajdź do domu, jak skończysz.

Zaczynam rozumieć, na co liczyłem: że znajdzie wymówkę, żeby nie jechać. Ale już nie da się niczego powiedzieć. Zostawiam ją z jej chwastami. Kulejąc, wychodzę za róg na podwórze, opieram się na starej lasce, którą dała mi Mathilde, żeby zastąpić kulę poszarpaną przez dzika. Na ciemnym drewnie laski widnieją ślady zębów w miejscach, w których pogryźli ją poprzednicy Lulu, ale jest gruba i solidna, ze zmatowiałą srebrną skuwką i pasującymi do niej

ozdobami na rączce.

Wyglądam zupełnie jak dandys.

Próbuję lekceważyć zdenerwowanie, kiedy otwieram i podpieram drzwi do składziku, żeby zobaczyć, co trzeba kupić. Na początek cement, ale piasku jest w bród. I jeszcze jedno wiadro, i kielnię — żeby zastąpić zardzewiałe narzędzia, oblepione starą zaprawą. I szpadel, myślę, trącając ten zastygły w skamielinie w worku. Wibruje, brzęczy jak ogromny kamerton. Szukam wokół, dopóki nie znajduję brudnego notatnika i ogryzka ołówka, które wyrzuciłem z kieszeni kombinezonu. Kartkuję go, żeby znaleźć czystą kartkę na listę zakupów. Pełno w nim nabazgranych pomiarów starego budynku, ale jedna strona przykuwa moją uwagę. To prymitywny rysunek nagiej kobiety. Ale artysta, bez talentu, przedstawił na nim jeden znaczący szczegół.

Kobieta ma włosy założone za jedno ucho.

Pierwsza myśl, że to Mathilde, a rysunek to potwierdzenie, kim jest ojciec Michela. Patrzą jeszcze raz i nie jestem już taki pewien. Na twarzy widnieje kropka, to może być dołek w policzku, poza tym czasem widziałem, jak Gretchen zakłada tak włosy, nieświadomie naśladować siostrę. Z nieporadnego szkicu nie sposób jednak odgadnąć, kto to może być. Jeśli w ogóle ktoś: to mogą być przypadkowe gryzmoły.

Z poczuciem winy zamykam notatnik, kiedy z zewnątrz dochodzi mnie hałas. Ale to tylko Georges. Stary wlecze się z drugiej strony podwórza, w każdej ręce niesie po szczękającym wiadrze. Odprężam się, uśmiecham smutno na swoją reakcję. To ci da nauczkę. Znajduję czystą kartkę, zaczynam spisywać, czego potrzebuję.

Kiedy kończę, wracam do domu. Drzwi są otwarte, Mathilde oprawia odartego ze skóry królika. Miska świeżo zerwanych strączków stoi obok. Mathilde tnie, wykręca staw w nodze.

— Mogę już jechać po cement — oznajmiam.

Z drugiej strony pomieszczenia, ukrytej za otwartym skrzydłem drzwi, rozlega się parsknięcie.

— Wreszcie. Zabrało ci to sporo czasu.

Nie wiedziałem, że Arnaud tutaj jest. Popycham drzwi dalej, żeby go zobaczyć. Siedzi przy odrapanym stole z wielkim kubkiem kawy i Michele na kolanie. Dziecko żuje skórę od chleba.

— To duży dom — mówię, urażony wbrew sobie.

— Nie taki znowu duży. Aż zastanawiam się, co robisz na górze całymi

dniami.

— Och, wiesz, opalam się, czytam. Oglądam telewizję.

— Nie zdziwiłbym się. Na pewno niewiele pracujesz.

W wymianie zdań nie ma nienawiści. Nasze sprzeczki przeszły prawie w rutynę. To nie znaczy, że się lubimy.

Arnaud daje Michelowi namoczoną w kawie skórkę chleba.

— Nie powinien tego jeść — mówi Mathilde.

Jej ojciec śmieje się pod nosem, kiedy wnuk wpycha sobie mokrą papkę do ust.

— Smakuje mu. Wie, co dobre.

— Jest za mały.

Arnaud właśnie moczy kolejny kawałek.

— To tylko kawa.

— Nie chcę...

Wielka dłoń z trzaskiem wali w stół.

— Głucha jesteś?

Mały podskakuje i krzyczy, twarzyczka mu się wykrzywia. Arnaud rzuca Mathilde ostatnie wściekłe spojrzenie.

— No i zobacz, co narobiłaś! — Podrzuca niemowlę na kolanie. — Óóó, dostaniesz tyle, ile chcesz.

Głos i mina łagodnieją mu, kiedy znowu zwraca się do wnuka. Dziecko chwyta mokry kawałek chleba, podetknięty przez dziadka, i smaruje się nim wokół ust. Mathilde w milczeniu kończy rozbierać królika. Sztywna linia pleców i zaczerwieniona szyja to jedyny przejaw jej sprzeciwu.

Otwierają się drzwi po przeciwnej stronie kuchni i wchodzi Gretchen. Uśmiecha się na mój widok. To wystarcza, żeby zepsuć humor ojcu.

— Co się szczerzysz? — pyta, gdy dziewczyna idzie powoli przez kuchnię.

— Nic, tak się uśmiecham.

— Coś mi się widzi, że to nie jest nic.

— Mogę się śmiać, kiedy mi się podoba, prawda?

— Zależy z czego. — Przenosi wzrok z młodszej córki na mnie, ostry, podejrzliwy.

Ocean dzieli udawaną zrzędlivość sprzed chwili od wrogości, na którą teraz się natykam. Atmosfera nagle robi się zapalna; nawet dzieciak milknie, kiedy spogląda na dziadka.

Wtedy Mathilde podchodzi i staje między nami. Robi to tak swobodnie, że

mógł to być przypadek.

— Zaczekaj przy furgonetce, wezmę kluczyki — mówi.

Wychodzę bez żalu. Zamykam za sobą drzwi, ale ledwie robię kilka kroków, rozlega się stłumiony trzask rozbijanych naczyń, a po nim syrena płaczu Michela. Idę dalej przez podwórze do samochodu.

Ot, kolejny dzień u Arnauda.

Mathilde wychodzi z domu, jej twarz nie zdradza uczuć. Podaje mi kluczyki.

— Ten duży jest do kłódki na bramie. Zamknij ją za sobą.

— Nie jedziesz?

— Nie. — W jej zwyczajnej nieprzenikliwości jest jakieś napięcie. — Umiesz prowadzić?

— Tak, ale... — Nie spodziewałem się tego. Nie czekałem z niecierpliwością na wyjazd, ale myślałem, że przynajmniej Mathilde zabierze się ze mną. — Nie wiem, jak dojechać.

— Plac z materiałami budowlanymi jest niedaleko stacji benzynowej, gdzie kupowałeś papierosy. Trzymaj się drogi, aż dotrzesz do rynku. To po prawej, zaraz za nim.

Nadal stoi z wyciągniętą ręką. Biorę kluczyki z ociąganiem, gorączkowo szukam przeszkód.

— A moja stopa?

— Pedaly są szeroko rozstawione. Poradzisz sobie. — Otwiera portfel podobny do torebki i wyjmuję kilka banknotów. — To powinno wystarczyć na cement i co tam ci jeszcze potrzebne. Dałabym ci część zapłaty za pracę, zaliczkę, ale mój ojciec...

— Dobra, nieważne.

Jestem zbyt zaskoczony tym, co się stało, żeby się przejmować pieniędzmi. Mathilde też wygląda na speszoną. Odwracając się, zakłada włosy za ucho. Przypomina mi się rysunek, ale tylko przelotnie. Mam większe powody do zmartwień niż prywatne życie Mathilde.

Chociaż jeszcze wcześniej, w furgonetce panuje upalna duchota. Opieram łaskę o fotel pasażera, siadam za kierownicą i próbuję zabandażowaną stopą nacisnąć pedał. Jeśli o nic nie zaczepię butem ręcznej roboty, będzie w porządku. Zapinam pasy, to wywołuje krótki rozbłysk wspomnień, ale terażniejszość zbyt mocno mnie pochłania, żebym długo o tym myślał. Tracę jeszcze trochę czasu na sprawdzenie kontrolki i odpowiednie ustawienie fotela, zanim przyznaję sam przed sobą, że próbuję tylko odwlec sprawę.

Przekręcą kluczyk.

Silnik zaskakuje za trzecim razem, grzechocze i ryczy, kiedy wciskam gaz, żeby nie zdechł. W końcu zaczyna miarowo mrużyć, opuszczam szybę i powoli wyjeżdżam z podwórza. Biegi wchodzi twardo. Jadę na jedynce, podskakując na nierównej nawierzchni. Przy bramie powtarzam czasochłonną operację otwierania, przejeżdżania, ponownego wysiadania z furgonetki i zamykania kłódki za sobą. Znowu wsiadam, silnik cały czas pracuje, patrzę na otwartą przestrzeń. No to w drogę, mówię do siebie.

Mijam samochody, ale niedużo ich. Stare renault z trudem wchodzi na dwójkę. Silnik ryczy, kiedy wrzucam trójkę z suchym jękiem przekładni, a potem podwyższam na czwórkę. Piątego biegu nie ma, mimo to leciwa furgonetka mknie wesoło ze stałą prędkością, kiedy już przyzwyczała się do tej zabawy. Sunę prosto szarym pasem asfaltu, w stronę wzniesionej przez upał mgiełki, która cofa się w takim tempie, w jakim ku niej podążam. Teraz nie rozumiem, dlaczego tak się niepokoiłem. Odprężam się na fotelu, zaczyna mi się to podobać.

Okulary przeciwsłoneczne nadają krajobrazowi po obu stronach niebieski odcień, niebo robi się nieprawdopodobnie szafirowe. Wystawiam łokieć za okno, cieszę się wietrzykiem, polami pszenicy śmigającymi w tył, aż dociera do mnie, jak szybko jadę. Niechętnie zwalniam: ostatnie, czego mi potrzeba, to żeby mnie zatrzymali za przekroczenie dozwolonej prędkości.

Napięcie trochę wraca, kiedy zbliżam się do stacji benzynowej, gdzie zatrzymaliśmy się z Mathilde. Ale przed budą nikogo nie ma, mijam ją w sekundę. Trudno mi winić Mathilde, że nie chciała wybrać się ze mną do miasta, skoro między jej ojcem a sąsiadami są jakieś oczywiste tarcia. Chociaż kiedy wjeżdżam, widzę, że słowo „miasto” to ewidentne pochlebstwo. To niewiele więcej niż wieś. Parę domów i sklepów wychodzących wprost na wąskie chodniki... i już jestem na głównym placu — małym, ale dość ładnym, z mnóstwem cienistych drzew i fontanną przed placzykiem do gry w bule. Dwóch starych mężczyzn właśnie rzuca stalowymi bulami w plastikową kuleczkę.

Bez trudu znajduję skład z materiałami budowlanymi. Podwórze, otwarte od przodu, jest przy bocznej ulicy, ale i tak widać je z drogi. Zatrzymuję się przy stosach piasku, cegieł i drewna budowlanego, przed podobnym do hangaru budynkiem z blachy falistej. Wchodzę do środka. Pod ścianami stoją ułożone na wysokość głowy palety z cementem i gipsem. Kupuję wszystko, czego mi potrzeba, potem niezgrabnie ładuję ciężkie worki na tył furgonetki. To trudne,



bo nie mogę skorzystać z łaski, a nikt z tutejszych pracowników nie spieszy się z pomocą. Ale mnie to nie przeszkadza. Wcześniejszy niepokój zniknął. Po nim napłynął zrodzony z ulgi żar pewności siebie. Kiedy znów jadę na rynek, właściwie żałuję, że już trzeba wracać na farmę. Widzę przed sobą miejsce do zaparkowania i przychodzi mi do głowy, że jednak wcale nie muszę pędzić z powrotem.

Pod wpływem impulsu podjeżdżam i się zatrzymuję.

Plac ożywił się w czasie, gdy kupowałem zapasy. Siadam przed jedną z kafejek, cieszę się smakiem wolności. Metalowy stolik chwieje się lekko na nierównym bruku, kiedy wieszam łaskę na jego brzegu. Po chwili wychodzi kelner z notesikiem.

— Kawę i croissanta.

Rozsiadam się i rozkoszuję oczekiwaniem. Ulica jest jeszcze mokra po porannym polewaniu. Krople wody zebrały się na aluminiowych nogach krzesel. Panuje tu świeża, poranna atmosfera, która zniknie za godzinę. Zadowolony, że się na nią załapałem, patrzę na wąską uliczkę, oddzielającą sklepy od rynku. Ozdobna fontanna jest najwspanialszą budowlą na placu, wskazuje na zapomniane teraz przedwojenne bogactwo. Stukot kul na placyku do gry w bule niesie się nad jękiem z rzadka przejeżdżających skuterów i głębszym odgłosem samochodowych silników. Do dwóch starych graczy dołączył trzeci, równie zniedołężniały. Na razie tylko się przygląda. Wszyscy trzej noszą berety i bezrękawniki na koszulach, mimo zapowiadającego się upału. Śmieją się i palą, wykrzykują przy złych rzutach, poklepują się po plecach przy dobrych.

Jeden z nich widzi, że się przyglądam, i podnosi rękę w swobodnym pozdrowieniu. W odpowiedzi kiwam głową, czuję się absurdalnie zadowolony z akceptacji.

Po tygodniach samych jajek na śniadanie, croissant smakuje wspaniale. Kawa jest mocna i czarna, zwieńczona brązową pianką. Nie spieszę się z jedzeniem i piciem, aż na talerzyku zostają same okruchy. Rozsiadam się z westchnieniem, zamawiam kolejną kawę i zapalam papierosa.

Kiedy palę, obok przechodzi dwóch chłopaków, przed dwudziestką albo tuż po. Obaj są w dżinsach i trampkach. Nie zwracam na nich uwagi, dopóki nie czuję, że jeden z nich gapi się na mnie. Odwraca się, gdy podnoszę wzrok, ale mały rozbłysk niepokoju narasta, bo przyłapuję ich, jak znów na mnie zerkają, schodząc z placu.

Mówię sobie, że to nic takiego, obca twarz w małym miasteczku i te moje

rude włosy, piętnujące mnie jako cudzoziemca. Ale to kwasi mi nastrój, a kiedy widzę żółtego volkswagena garbusa parkującego niedaleko, nie chcę już dłużej siedzieć w kafejce. Zostawiam pieniądze na spodku i idę do sklepu z tytoniem po drugiej stronie, żeby zaopatrzyć się w papierosy. Obok otwarta jest piekarnia. Wychodzę do niej, słodki gorący zapach wypieków to za dużo, żeby się oprzeć. Dziewczyna za wysoką szklaną ladą ma rubensowskie kształty. I zeza w jednym oku. Ale kiedy kończy obsługiwać starszą kobietę i zwraca się do mnie, uśmiecha się z takim ciepłem, jakie bije od pachnącego świeżego chleba.

— Poproszę sześć croissantów.

Bierze sierpowate kawałki ciasta ze stojącej za nią tacy i wrzuca do papierowej torby. Płacę za nie własnymi pieniędzmi. Bezczelnie myślę, że Mathilde i Gretchen, tak jak ja, docenią odmianę od jajek. Arnaud niech sobie sam kupuje pieczywo.

— Wyglądasz na cudzoziemca — zagaduje dziewczyna, wręczając mi resztę. Zaczynam się czuć nieswojo, ale to dość niewinna uwaga.

— Jestem Anglikiem.

— Mieszkasz gdzieś w okolicy?

— Zatrzymałem się tu tylko przejazdem — odpowiadam i opuszczam sklep, zanim ona zdąży jeszcze o coś zapytać.

Czas się zbierać. Przycinam plac, idę do furgonetki. Teraz już wszyscy trzej starzy grają w bule, trzymają srebrne kule w odsuniętych do tyłu dłoniach i wymyślnie nimi rzucają. Kule ledwie się toczą po żwirze. Jednemu z graczy, temu który doszedł, udaje się odepchnąć inną kulę od małej drewnianej kulki. Śmieją się i dogadują sobie. Przyglądam się im i nie słyszę za sobą kroków, dopóki nie dociera do mnie głośne wołanie.

— Ty, zaczekaj!

Odwracam się. W moją stronę przez plac idą trzej mężczyźni. Dwaj to ci młodzi, którzy wcześniej przechodzili obok mojego stolika. Trzeciego też znam, czuję, jak mi się skręca żołądek, kiedy go rozpoznaję.

To ten pyskacz z baru na stacji benzynowej.

Opieram się pokusie, żeby zerknąć na furgonetkę, wiem, że nie dotrę do niej w porę. Ściskam laskę, przesuwam się do fontanny. Wodna mgiełka łaskocze mnie lodowatymi drobinkami w kark, ci trzej stają naprzeciwko mnie, pyskacz trochę bardziej z przodu.

— Jak leci? Nadal u Arnauda?

Tylko kiwam głową. Przypominam sobie teraz jego imię: Didier. Uśmiecha

się, ale to raczej grymas łobuza. Jest tuż po dwudziestce, umięśniony, nosi poplamione olejem dżinsy i T-shirt. Zdartym butom roboczym brakuje tylko stalowych okuć.

— No, to co cię sprowadza do miasta?

— Musiałem kupić parę rzeczy.

— Chłopak na posyłki, co? — Szacuje mnie wzrokiem: nie wiadomo, na ile go stać, ale ma chorą nogę. Pokazuje torbę z piekarni. — Co tam niesiesz?

— Croissanty.

Uśmiecha się.

— Córki Arnauda potaniały? Chociaż Gretchen nigdy nie każe mi płacić za pieprzenie.

Pozostali dwaj rechoczą. Zaczynam się odwracać, ale Didier zachodzi mi drogę.

— O co chodzi, obrażasz się za dowcip?

— Robota czeka.

— Dla Arnauda? — Już nie udaje, że się uśmiecha. — Jaka robota? Uprzątasz świńskie gówno? Czy jesteś za bardzo zajęty bzykaniem jego córek?

Jeden z dwóch pozostałych zaczyna kwiczeć jak świnia. Patrzą nad nimi, ale na rynku żywej duszy, poza starymi graczami w bule. Dzień nagle robi się zbyt jasny. Łagodne pluskanie wody w fontannie jest czyste jak kryształ, kropelki lśnią w słońcu.

— Coś nie tak? Świnia odgryzła ci język? — Didier robi obrzydliwą minę. — Przekaż Arnaudowi, że jak chce czegoś stąd, to niech sam przyjedzie, a nie wysługuje się jakimś cholernym Anglikiem. Zastrany tchórz. Myśli, że jest tam bezpieczny, za drutem kolczastym?

— Ja nie...

— Stul pysk, kurwa!

Wyrywa mi z ręki torbę z croissantami, wkopuje ją do wody. Mocniej ściskam laskę, kiedy tamci dwaj podchodzą z obu stron i popychają mnie w stronę fontanny. Gracze w bule wreszcie zauważyli, co się dzieje. Rozlegają się krzyki starych:

— Hej, hej, hej! Przestańcie.

Chuligani nie zwracają na to uwagi.

— Znam cię, Didierze Marchancie, wiem, kim jesteś! — krzyczy jeden ze starych, drugi pospiesznie odchodzi.

— Odwal się i idź zdychać — odwrzaskuje Didier, nie odwracając się.

Napala się, przygotowuje, żeby zacząć rozróbę. Nagle wyprowadza cios, wali pięścią i cofa ją w ostatniej sekundzie. Dziko rzą, kiedy robię krok do tyłu, zatrzymuję się na brzegu fontanny. Instynktownie podnoszę laskę, ale ramiona mam nieudolne i ociężałe.

— Tak? Chcesz mnie tym uderzyć? — prycha z pogardą Didier. — No to dalej!

Nie wierzy, że to zrobię, i przez moment miałbym szansę. Koniec laski jest wyważony i gruby, mogę sobie wyobrazić skutek, gdybym rąbnął kolesia w głowę. Znowu słyszę trzask kości, kiedy Georges opuszcza młot na łeb świni, łoskot walącej się tuszy. Przez mgnienie oka znów jestem na ciemnej ulicy, widzę krew, czarną i lepłą w świetle latarni. Dlatego się waham, ale Didier nie ma oporów.

Uderza mnie w twarz.

Błyska światło. Zataczam się w bok, na oślep wymachuję laską. Wytrąca mi ją z ręki — ze stukotem upada na ziemię. Coś wbija mi się w brzuch, tracę oddech. Zginam się wpół, unoszę ręce, na próżno próbując chronić głowę.

— Co tu się dzieje?

Głos jest głębszy i władczy. Dysząc, podnoszę wzrok. Ktoś ramieniem odpycha ode mnie napastnika. Nadal jestem zgięty, widzę tylko fartuch i kombinezon na szelkach. Unoszę głowę i dostrzegam tęgiego mężczyznę z baru przy drodze, Mathilde zwracała się do niego Jean-Claude. Za nim stoi gracz w bule, ten który wcześniej szybko odszedł. Łapie oddech, trzyma się z dala, kiedy Jean-Claude staje naprzeciwko trzech chłopaków.

— Pytałem: co tu się dzieje?

— Nic — odpowiada ponuro Didier.

— To jest nic, co? A Philippe wie, że jeden z jego mechaników bumeluje w pracy i robi takie „nic” na rynku?

— Nie wtrącaj się, Jean-Claude.

— Dlaczego? Żebyście wy, głupi gówniarze, pobili kogoś w środku miasta?

— To nie twoja sprawa.

— Nie moja? To czyja, jak nie moja? Twoja?

— On pracuje u Arnauda. Nie ma prawa tu być.

— A ty masz prawo? — Zarośnięta twarz mężczyzny ciemnieje. — Okej, jak zamierzasz kogoś pobić, zacznij ode mnie.

— Jean-Calude...

— Na co czekasz? — Rozkłada ręce, wygląda tak, jakby mógł złamać

wszystkich trzech na pół. — No, jazda, bohaterze, śmiało.

Didier opuszcza wzrok na stopy.

— Nie? Odeszła ci ochota? — Mężczyzna kręci głową zniesmaczony. —

Wynocha, spieprzać stąd, wszyscy.

Nie ruszają się.

— Powiedziałem: wynocha!

Niechętnie zaczynają odchodzić. Didier zatrzymuje się tylko po to, żeby pokazać na mnie.

— Nie myśl, że to koniec.

Jean-Claude przygląda się, jak odmaszerowują sztywnym krokiem, i odwraca się do mnie.

— W porządku?

Przytakuję, muszę się jednak oprzeć o fontannę, żeby ukryć, że drzę. Policzek boli mnie od ciosu Didiera, brzuch mam poobijany, ale to raczej nic poważnego.

Podnoszę rękę, dziękując, kiedy stary gracz w bule wraca do gry. Potem biorę laskę i prostuję się, stając twarzą w twarz z mężczyzną, który właśnie mnie uratował. Nie dziwię się napastnikom, że się wycofali. Nie jest szczególnie wysoki, ale widać po nim, że twardy jak skała, a grube dłonie pokrywa tak zrogowaciała skóra, że nie dałoby się z nich wytoczyć krwi.

— Dzięki.

— Daj spokój. To ja powinienem cię przeprosić. — Znow kręci głową z niesmakiem. — Didier to mój kuzyn. Jak coś spieprzy, zawsze pada to na rodzinę.

— Hm, i tak dziękuję. — Wyciągam z fontanny ociekającą torbę croissantów. Z nasiąkniętych rogalików woda leje się strumieniem, kiedy wrzucam ją do kosza na śmieci. — O co chodzi z tym Arnaudem?

Olbrzym zerka na mój kombinezon. Odnoszę wrażenie, że usilnie się stara, żeby tego nie robić.

— Pracujesz przy domu?

Kiwam głową.

— Właśnie przyjechałem dokupić materiałów budowlanych.

Zauważam, że uniknął odpowiedzi na moje pytanie. Pierwszy raz przychodzi mi do głowy, że jeśli się nie mylę i jest ojcem Michela, to mogłem zabrać mu pracę. Ale jego następne słowa to wykluczają.

— Więc musieliśmy się minąć. Zarządzam składem materiałów budowlanych.

— Znów patrzy na mój kombinezon. — Jak się dostałeś do Arnauda?

— Jechałem autostopem, potem zraniłem się w stopę w ich lesie. Mathilde mnie połatała.

— Chyba mówiłeś, że nadepnąłeś na gwóźdź?

Moja kolej na uniki. Nie zamierzam go okłamywać, ale nie chcę też narobić nikomu kłopotów.

— Dlaczego wszyscy tak się wściekają na Arnauda? Co on zrobił? — pytam zamiast odpowiedzieć.

Jean-Claude pochmurnieje.

— Nic, co by cię dotyczyło.

— Didier myślał inaczej.

— Didier to dureń. Ale jeśli chcesz mojej rady, trzymaj się od miasta z daleka. Albo jeszcze lepiej znajdź sobie pracę u kogoś innego.

— Dlaczego? — I dodaję szybko, bo zbiera się do odejścia: — No, przecież możesz powiedzieć.

Przez sekundę, dwie widzę, jak się łamie. Pociera sobie podbródek, coś rozważa. Potem kręci głową, raczej do siebie niż do mnie.

— Powiedz Mathilde, że Jean-Claude pyta o swojego bratanka.

Zostawia mnie przy fontannie i odchodzi z placu.

# Rozdział 11

W słonecznym upale schnąca zaprawa wydziela zapach, który przypomina aromat świeżo upieczonego chleba. W metalowej waniencie mieszam piasek z cementem, potem taszcze pełne wiadro na rusztowanie. Przenoszę mały stosik na drewnianą deskę o wymiarach trzydzieści na trzydzieści centymetrów, znaną w składziku, potem rzucam zaprawę kielnią w bruzdy, które wykułem między kamieniami.

Tynkowanie ściany to praca powolna, ale dziwnie kojąca. Jest coś przyjemnego w miękkim syku wydawanym przez kielnię, kiedy prowadzę jej płaską powierzchnię po wilgotnym tynku, żeby go wyrównać. Kawałek po kawałku ściana się zmienia. Kiedy dochodzę do luźno leżących kamieni, wkładam je z powrotem na miejsce, wpasowuję ciężkie bloki w dziury, potem kładę wokół zaprawę, aż nie można ich odróżnić od pozostałych. W dniach, które upłynęły od mojej wizyty w miasteczku, górne piętro domu zaczęło wyglądać solidnie i przyzwoicie, to już nie jest sypiąca się ruina. Co wieczór, kiedy kończę pracę, z pewną dumą patrzę na swoje osiągnięcia. Tyle czasu minęło, odkąd zrobiłem coś twórczego.

Jeszcze więcej, odkąd zrobiłem coś, z czego byłbym dumny.

Zużywam ostatki zaprawy i zanoszę wiadro do składziku, żeby ponownie je napełnić. Popołudniowe słońce świeci oślepiająco, wybiela błękit nieba nużącym upałem. Aż nie sposób wyobrazić sobie tego samego krajobrazu zimą, brązowego, kruchego albo ukrytego pod warstwą śniegu. Ale wiem, że mimo wszystko i to nadejdzie.

Ta resztką zaprawy, która została w galwanizowanej waniencie, zaschła. Zeskrobuję ją na kupkę przed składzikiem i dochodzę do wniosku, że zasłużyłem sobie na odpoczynek, zanim zmieszam kolejną porcję. Siadam w cieniu stodoły i zapalam papierosa. Stąd, z dołu, wyraźnie widać, jak dużo jest jeszcze do zrobienia. Ta świadomość jakoś mnie pociesza. Zaciągam się papierosem, przypatruję mu się.

— Nie płacę ci za to, żebyś siedział na dupie.

Za rogu stodoły wyszedł Arnaud. Niespiesznie znów zaciągam się papierosem.

— Jeszcze za nic mi nie zapłaciłeś.

— A co powiesz o trzech posiłkach dziennie i dachu nad głową? Resztę dostaniesz, jak sobie zasłużysz. — Mruży oczy i patrzy w górę, na dom. Ukończony kawałek wydaje się jeszcze mniejszy niż przed chwilą. — Niewiele zrobiłeś, co?

— Chcę to zrobić porządnie.

— Porządnie? To ściana, nie Wenus z Milo.

Już mam na końcu języka, że może zamiast mnie wziąć kogoś z miasteczka, ale się powstrzymuję. Chociaż nie rozmawialiśmy o tym, co wydarzyło się w mieście z Didierem i jego kumplami, jestem pewien, że Arnaud usłyszał o tym od Mathilde albo od Gretchen. Mathilde pytała o siniaka na twarzy, tam gdzie uderzył mnie Didier. Jak mogłem się spodziewać, ani słowem tego nie skomentowała, chociaż wyglądała na wstrząśniętą, kiedy przekazałem jej słowa Jeana-Claude'a. Równie łatwo mogłem przewidzieć, że Gretchen będzie zachwycona, że uczestniczyłem w bójce, szczególnie kiedy się dowiedziała z kim.

— Co mówił Didier? Wspominał o mnie?

— Wcale. — Mina by jej trochę zrzędała, gdyby wiedziała, czym się chwalił. — Kto to, były chłopak?

— E tam. Po prostu ktoś, z kim czasem się spotykam. — Figlarnie wzrusza ramieniem. — Ale już długo się z nim nie widziałam. Pewnie jest zazdrosny. Dlatego zaczął się z tobą bić.

Wątpię, ale już zaczynam się domyślać, dlaczego brama była otwarta, kiedy po raz pierwszy przyszedłem na farmę. Gretchen pewnie niełatwo wymykać się na randki z którymś z miejscowych chłopaków, gdy Arnaud ciągle ma na nią oko. I raczej nie zareagowałyby dobrze, gdyby to odkrył.

— Odniosłem wrażenie, że to zajście wiązało się jakoś z twoim ojcem — wyprowadzam ją z błędu. — Co on zrobił, że wszystkich tak zdenerwował?

— Papa nic nie zrobił. To oni. — Nadąsana wydyma wargi.

Od tamtej pory już nie wspominaliśmy o tym, co się stało; gdyby nie świeży siniak na mojej twarzy, można by powiedzieć, że w ogóle do niczego nie doszło. Ale zacząłem rozumieć, że farma na swój sposób wchłania wydarzenia, zamyka się nad nimi jak woda nad kamieniami, które wrzucam do jeziora.

Parę zmarszczek na tafli to znak, że wpadły, potem małe kręgi nikną.

Arnaud przez chwilę przypatruje się ścianie, potem gwałtownie odwraca głowę w moją stronę.

— To może trochę poczekać. Chodź.



— Dokąd?

Ale on już odchodzi. Przez chwilę zostaję tam, gdzie jestem, potem łamię się i idę za nim. Przechodzi przez podwórze do stajni i znika za traktorem zajmującym jedno z łukowato sklepionych przejść. Zanim zdołałem się precyzyjnie obok maszyny, już zdejmował coś z tylnej ściany.

— Czy to w ogóle chodzi? — Masuję łokieć w miejscu, w którym otarłem go o nadwozie traktora.

Głos Arnauda dobiega z tyłu stajni.

— Nie, odkąd ktoś nasypał cukru do zbiornika.

— Kto?

— Nie zostawił wizytówki.

Myślę o Didierze, zastanawiam się, czy to nie dlatego rozstawiono pułapki.

— A nie możesz tego wyczyścić?

Znow się pojawia. Coś dźwiga, ale jest za ciemno, żeby zobaczyć co.

— Znasz się cokolwiek na silnikach?

— Ani trochę.

— To nie zadawaj głupich pytań.

Podchodzi bliżej i widzę, że niesie piłę łańcuchową. Jest duża, z długim ostrzem, umazana olejem i najeżona haczykowatymi zębami. Cofam się o krok, ale Arnaud idzie tylko po kanister z benzyną. Odkręca korek wlewu na pile i zaczyna napełniać zbiornik.

— Co zamierzasz z tym zrobić? — pytam, kiedy rozchodzi się słodki zapach benzyny.

— Musimy naciąć drewna na opał.

— Latem?

— Świeże drewno długo schnie.

Zerkam przez wejście do stajni na dom.

— A co ze ścianą?

— Będzie tam stała, jak wrócisz. — Dodaje oleju z innego pojemnika, potem zakręca korek i podnosi piłę jedną ręką. — Daj tu taczkę.

Taczka stoi przy warsztacie. Prowadzę ją niezdarnie obok traktora, potem stawiam. Arnaud bezceremonialnie wrzuca do niej piłę. Mam złe przeczucia co do tego, co będzie dalej, i Arnaud mnie nie zaskakuje.

— Weź to ze sobą. — I tyle, wychodzi ze stajni, mam iść za nim.

Kładę laskę na taczkę, chwytam rączki. Ciężka piła łańcuchowa chwieje taczka, kiedy ją podnoszę, prawie wywraca ją do góry nogami. Szybko znowu

stawiam taczkę i przesuwam piłę na środek. Potem, kuśtykając niezdarnie, podążam za Arnaudem.

Idzie przede mną przez podwórze i winnicę do lasu. Doganiam go dopiero, kiedy zatrzymuje się na częściowo oczyszczonym terenie blisko posągów, gdzie mniejsze pniaki stoją wśród wielkich pni, wyglądają jak połamane zęby. Arnaud, masując się po krzyżu, podchodzi do drzewa. Stawiam taczkę.

— Tutaj. — Klepie drzewo. — To.

To młoda brzoza, która znalazła sobie miejsce między potężniejszymi kasztanami. Patrzę bezmyślnie na Arnauda, kiedy ten wyjmuje z kieszeni fajkę i zaczyna ją nabijać.

— Co mam zrobić?

— Ściąć, a jak myślisz?

— Chcesz, żebym ja to zrobił?

— Nie przyprowadziłem cię tutaj, żebyś się przyglądał. Co jest nie tak? Nie mów mi, że nigdy nie używałeś piły łańcuchowej.

— Tak. To znaczy nie, nie używałem.

— No to teraz masz okazję się nauczyć. Tylko pamiętaj, żeby piłować długim skrajem ostrza. Jeśli o coś zawadzisz końcem, wykręci się i cię potnie. — Uśmiecha się złośliwie. — Jeśli uważasz, że wsadzenie stopy w pułapkę jest nieprzyjemne, to tym bardziej to ci się nie spodoba.

Chwytam się pierwszej wymówki, jaka przychodzi mi do głowy.

— Nie jesteśmy za blisko posągów?

— Nic w nie do tej pory nie trafiło. I teraz nie trafi, jak zrobisz to właściwie. — Kopie w pień jakieś pół metra nad ziemią. — Piłuj gdzieś tutaj. Dwa nacięcia, żeby zrobić widełki. Ale nie przecinaj od razu, bo upadnie Bóg wie gdzie.

Odchodzi i siada na kikucie pnia. Piła łańcuchowa leży na ziemi między nami, czeka. Spoglądam na swoją laskę. Cóż, jeśli miałem wykorzystać chorą stopę jako pretekst, powinienem zrobić to wcześniej, zanim dopchałem tutaj taczkę.

Arnaud zdenerwowany macha ręką.

— No, na co czekasz? To nie gryzie.

Najchętniej w ogóle nie zbliżałbym się do tego narzędzia, ale duma nie pozwala mi odmówić. Schylam się i podnoszę piłę. Jest ciężka, tak jak na to wygląda, tłusta i poplamiona olejem. Trzymam ją ostrożnie, trochę się spodziewam, że sama z rykiem obudzi się do życia. Zakładam, że to sznur zapłonowy dynda przy maszynie. Wiem, że Arnaud na mnie patrzy, biorę się w garść i pociągam. Nic się nie dzieje.

— Spróbuj włączyć — prycha Arnaud. To go bawi.

Z boku piły znajduję przełącznik. Pstrykam nim, potem znów łapię za sznur.

Tym razem, kiedy ciągnę, silnik rechocze i gaśnie.

— To na pewno działa? — pytam.

— Działa.

Mocno chwytam sznur, szarpię z całej siły. Piła wibruje, silnik ożywa, potem ryk robi się równomierny.

Hałas mnie ogłusza. Piła dygoce mi w rękach, ostrze furkocze. Podchodzę do brzozy. Drzewko jest smukłe, delikatne listki są jak przeświecające zielone monety na tle srebrnej kory. Opuszczam piłę do miejsca, które wskazał Arnaud, ale nie potrafię się zmusić, żeby ciąć.

— Ruszaj z tym! — Arnaud przekrzykuje jazgot.

Ustawiam się tak, żeby utrzymać równowagę, za bardzo nie obciążając chorej stopy, biorę głęboki wdech i przykładam metalowe zęby do drzewa.

Brzęczenie piły urasta do wycia. Kawałki żywego białego drewna i kory rozpryskują się na wszystkie strony, instynktownie wyciągam piłę. Ryk opada do pomruku. Wyobrażam sobie uśmiech Arnauda i znowu przykładam ostrze do drzewa.

Piła wibruje, wdzierając się w drewno. Zbieram się w sobie, mrużę oczy przed drzazgami i wiórami, którymi brzoza pluje mi w twarz. Kiedy zrobiłem skośne nacięcie na trzy czwarte pnia, zaczynam robić kolejne, idące w górę, na spotkanie z tamtym. To trwa krótko. Wystukuję drewniany klin i zaczynam pogłębiać widełki. Nie wiem, czy robię to prawidłowo, ale nie zapytam Arnauda. Właśnie zacząłem kolejne nacięcie do góry, kiedy drzewo trzeszczy i się pochyla.

Szybko się cofam. Trzask, potem srebrna brzoza przechyla się i upada, odbija się raz i nieruchomieje wśród chrzęstu łamiących się gałęzi. Tak jak Arnaud przewidział, posągi pozostają bezpieczne, są w wystarczająco dużej odległości. Wbrew sobie jestem zafascynowany.

Arnaud pokazuje na przełącznik. Uderzam w pstryczek i piła zwalnia, hałas silnika opada, maszyna pracuje na luzie.

— No widzisz. — Arnaud uśmiecha się ironicznie. — Nie było tak źle, co?

Odcinam gałęzie, potem biorę się do piłowania pnia na kawałki nadające się do obróbki. Polanka wkrótce wygląda jak tartak, odłamki białego drewna są rozsiane wokół niczym confetti. Kiedy zmagam się z pniem, Arnaud zbiera obcięte gałęzie, układa je z grubsza według rozmiarów — wszystkie, poza

najmniejszymi, pójdą na podpałkę.

Robota rozgrzewa. Wkrótce jestem rozebrany do połowy, kombinezon mam zwinięty do pasa, rękawy obwiązane wokół bioder. Nawet Arnaud musiał rozpiąć koszulę, obnażyć tors, bezwłosy i biały jak mleko w porównaniu z kasztanowym brązem twarzy i szyi. Zalatuje od niego woń kwaśnego potu. Cały kontakt między nami ogranicza się do gestów i znaków. Zawodzenie piły łańcuchowej wypełnia las, kiedy bierzemy się do ćwiartowania klocków.

Wreszcie koniec. Przerzucam piłę na luz, potem wyłączam ją zupełnie. Silnik krztusi się i staje.

Nagła cisza jest za ciężka dla lasu, żeby ją uniósł. Odkładam piłę. W ciszy każdy odgłos wydaje się wzmocniony.

— Odpocznijmy — rzuca Arnaud.

Osuwam się na ziemię, plecami opieram się o cokół posągu. Skórę mam upstrzoną olejem i wiórami. Arnaud krzywi się z bólu, siadając na tym samym pniaku co poprzednio.

— Co ci się stało w plecy? — pytam.

— Spadłem ze schodów. — Uśmiecha się ponuro. — Tak jak ty.

Mam nadzieję, że bolało, myślę, sięgając po papierosy. On wystukuje fajkę i zaczyna ją ponownie napełniać, kiedy szukam zapalniczki. Trudno mi dostać się do kieszeni zwiniętego kombinezonu.

— Ognia? — Rzuca mi pudełko zapalek. Łapię je zaskoczony.

— Dzięki.

Zapalam, rozkoszuję się uderzeniem nikotyny, mięśnie powoli mi się odprężają. Słyszę lekkie cmokanie ust Arnauda na cybuchu, lekki pogwizd powietrza w główce. Pierwszy ptak zaryzykował i zaświergotał niepewnie. Życie lasu stopniowo wraca do normy. Znowu powoli się zaciągam, odchyłam głowę.

Słyszę, jak Arnaud chichocze.

— Co? — pytam.

— Właśnie podziwiałem twój wybór. — Wskazuje to, na czym się opieram.

Odwracam się, widzę, że to posąg Pana. Krocze greckiego bożka znajduje się dokładnie nad moją głową.

Znowu siadam prosto.

— Jeśli jemu nie przeszkadza, to mnie też.

Arnaud parska, chyba rozbawiony. Wyjmuje fajkę z ust i mocno tłucze główką o obcas, żeby ją opróżnić. Wgniata popiół w ziemię, ale nie odkłada fajki.

— Ile są warte, jak myślisz? — pyta nagle.

Przez chwilę wydaje mi się, że chodzi mu o drzewa, ale dociera do mnie, że mówi o posągach.

— Nie mam pojęcia.

— Nie? Jesteś taki sprytny, sądziłem, że wiesz wszystko.

— O kradzionych posągach nie wiem nic.

Wyjmuje scyzoryk z krótkim ostrzem. Zaczyna czyścić główkę fajki.

— Kto powiedział, że są kradzione?

— Nie ukrywałbyś ich tutaj, gdyby nie były. — Nie chcę zdradzać, że rozmawiałem na ten temat z Gretchen. — Dlaczego ich nie sprzedałeś?

— Dlaczego nie pilnujesz własnego nosa? — Skrobie nożem w fajce, ale odstawia go znowu, a po chwili opuszcza fajkę. — To nie takie proste. Trzeba uważać, z kim się ma do czynienia.

I to bardzo uważać, dodaję w myślach. Sądząc po trawie, która wyrosła wokół rzeźb, muszą tu już stać od dłuższego czasu.

— Skoro nie miałeś chętnych na kupno, to dlaczego tyle ich zebrałeś?

— Miałem... współnika. Twierdził, że zna kogoś, kto odebrałby je od nas.

Gaszę papierosa.

— Co się stało?

Gniewnie zaciska usta.

— Zawiódł mnie. Nadużył mojego zaufania.

Prawie to samo powiedziała Gretchen o ojcu Michela. Założyłbym się, że on i ten „wspólnik” to jedna i ta sama osoba: człowiek, którego brudny kombinezon teraz noszę. Jakkolwiek na to patrzeć, bezimienny brat Jeana-Claude’a zostawił po sobie zamęt. Nic dziwnego, że nie chcą o nim rozmawiać.

— To dlaczego po prostu się ich nie pozbędziesz? — ciągnę.

Prycha.

— Jak chcesz je podnieść, proszę bardzo.

— Udało ci się ustawić je tutaj.

— Mielśmy dźwig.

— To znaczy: twój współnik miał.

Ze złością kiwa głową. Znów przypatruje się główce fajki.

— Myślałem, że może masz jakieś pomysły. Znajomości.

— Jakie znajomości?

— Takie, żeby nikt za bardzo się nie interesował, skąd są te posągi. Na pewno mnóstwo bogatych sukinsynów z Anglii chętnie zapłaciłoby za coś takiego. — Patrzy na mnie z przebiegłym błyskiem w oku. — Zarobiłbyś na tym.

— Przykro mi, ale nikogo takiego nie znam.

Świdruje mnie wzrokiem z jeszcze większym niezadowoleniem.

— Tak jak przypuszczałem, żadnego z ciebie pożytku.

Nie mogę się powstrzymać.

— Ten „wspólnik”. To on poradził ci, żebyś też robił własne wino?

Mina Arnauda wystarcza za odpowiedź. Z trzaskiem zamyka nóż, wciska go wściekle do kieszeni i niezdarnie wstaje.

— Możesz zacząć zwozić drewno.

— Sam? Jak? — Gapię się na stos szczap. Już przytoczenie tutaj taczki z piłą łańcuchową było trudne.

Uśmiecha się do mnie ponuro.

— Taki z ciebie mędrak, to coś wydumasz.

Dopiero pod wieczór kończę zwożenie pociętego drewna do domu. Robię rundę za rundą, kuśtykam po ścieżce, aż wszystko mnie boli. Za każdym razem powtarzam sobie, że to ostatni kurs i niech Arnaud sam sobie zwozi resztę. Ale nie chcę dawać mu satysfakcji i powodów do kpin, że nie daję rady. A tak zostawić brzozę, żeby zaśmiecała las, to za duże marnotrawstwo, niewiele lepsze od wandalizmu, skoro sam ją ściąłem.

Więc pracuję dalej, aż wszystkie kłody leżą w stosie pod przybudówką na tyłach domu. Dopiero kiedy odstawiam taczkę, przypominam sobie, że w lesie została laska. Właściwie to nie chce mi się po nią wracać: dałem sobie bez niej radę przez całe popołudnie, a rany na stopie ładnie się goją. Jednak sama myśl o nich sprawia, że znowu zaczynają rwać.

Poza tym zacząłem się już przyzwyczajać, że mam się na czym oprzeć.

Zdjąłem kombinezon i próbuję się umyć pod kranem w stodole. Strugi płyną między brukowcami, zbierają się na chropawym betonowym zagłębieniu i ściekają w poszerzające się pęknięcie na powierzchni. Szorując się, zapamiętuję, żeby przynieść tu trochę zaprawy i to załatać. Zimna woda zapiera mi dech w piersi, ale nawet mydło kaustyczne domowej roboty nie może się przegryźć przez warstwę oleju i kory.

Wytrzymuję, aż skóra robi mi się czerwona i pomarszczona, wreszcie z niesmakiem rzucam mydło na ziemię. Zakręcam kran, wkładam kombinezon i biorę czyste ubranie ze strychu. Potem idę do domu i pukam do kuchennych drzwi.

Otwiera Mathilde.

— Naprawdę potrzebuję kąpieli — mówię zmęczonym tonem.

Jestem przygotowany na kłótnię i jeśli Arnaud kręci się tutaj, pewnie do niej dojdzie. Ale z głębi pomieszczenia nie słyhać protestu. Mathilde patrzy tylko na moją skórę ubabraną smarem i się cofa.

— Wejdz.

Kuchnię wypełniają zapachy potraw. Na piecu bulgoczą rondle, ale poza Mathilde nie ma nikogo.

— Gdzie są wszyscy?

— Ojciec z Georges'em i Gretchen zabrali Michela na spacer. Mały znowu ząbkuje. Łazienka jest tam.

Prowadzi mnie przez drzwi z tyłu kuchni. W korytarzu za nimi jest ciemno, o tej porze dnia nie oświetla go ani światło naturalne, ani elektryczne. Schody są strome i wąskie, zaśniedziałe pręty z brązu przytrzymują wytarty chodnik. Idę na górę, dla pewności przytrzymuję się pomalowanej drewnianej balustrady, wzrok mam utkwiony w schodach, żeby nie patrzeć na nogi Mathilde.

Po raz pierwszy dotarłem dalej niż do kuchni. Dziwnie się czuję. Dom jest w marnym stanie, ale czysty. Schody prowadzą do długiego korytarza biegnącego w obie strony. Po obu stronach są drzwi, pozamykane. Domyślałam się, że któreś z mojej lewej to te do nieużywanej sypialni, do której zajrzałem z rusztowania. Ale nie wiem które i nie sposób się dowiedzieć, co znajduje się za nimi wszystkimi.

Mathilde idzie korytarzem i pchnięciem otwiera drzwi na końcu.

— Proszę.

Łazienka okazuje się tak wielka, że wiekowa wanna i umywalka niemal w niej giną. Na podłodze nagie deski, nie licząc małej maty obok wanny. Pomieszczenie jest jednak jasne i przewiewne, mimo że ma tylko jedno okno, a o tej porze, po południu nie zagląda w nie słońce.

— Najpierw musisz nalać gorącej wody, potem dodać zimnej — wyjaśnia Mathilde. — Rury źle pracują, kiedy puszcza się obie naraz. Uważaj, bo może polecieć wrzątek. — Zakłada włosy za ucho, nie patrząc na mnie. — Przyniosę ci czysty ręcznik.

— Ten wystarczy.

— To nie kłopot.

Wychodzi, cicho zamykając za sobą drzwi. Może mi się wydaje, ale w jej zachowaniu jest chyba jakaś ledwie uchwytna zmiana, odkąd przekazałem jej słowa Jeana-Claude'a. Minimalna powściągliwość w stosunku do mnie. Trudno się dziwić: na Boga, sam nie chciałbym, żeby obcy wiedzieli o moim życiu

prywatnym. Ale i tak żałuję.

Wanna to głęboka żeliwna balia, z popękaną emalią odbarwioną bliźniaczymi żelazistymi strużkami tam, gdzie kapło z kranów. Kurki skrzypią, kiedy je odkręcam, przez chwilę nic nie leci, jest tylko głośne bulgotanie i drzenie wychodzące jakby z samych wnętrzości domu. Potem ciurka strumyczek wody, a za nim tryska potężny strumień. Wkładam korek, czuję buchający ukrop, tak jak ostrzegała Mathilde.

Łazienka szybko wypełnia się parą. Kiedy zakręcam kran, metal parzy mnie w palce. Dokręcam pokrętło, starając się jak najmniej go dotykać, i puszczam zimną wodę. Wanna jest głęboka, ale musi się napełnić prawie do trzech czwartych, zanim woda na tyle się ochłodzi, żebym mógł w niej wytrzymać.

Idę zamknąć drzwi, nie chcę, żeby wpadł mi tu Arnaud — albo Gretchen, uchowaj, Boże. Ale są tylko dziury po śrubach zasuw, więc nie ma szans, żeby się na dobre odizolować. Liczę na to, że Mathilde nie pozwoli, żeby mi przeszkadzali. Rozbieram się i wchodzę do wanny. Gorąco przenika moje obolałe mięśnie i stawy. Opieram stopę na krawędzi, żeby nie zamoczyć bandaża, i opadam powoli, dopóki woda nie sięga mi do podbródka.

Błogość.

Odpywam, kiedy słyszę stukanie do drzwi. Dochodzi zza nich stłumiony głos Mathilde:

— Przyniosłam ci ręcznik.

Siadam. Po wodzie pływa wapienna szumowina, nic pod nią nie widać.

— Możesz wejść.

Mija chwila, zanim Mathilde otwiera drzwi. Ręcznik trzyma przewieszony przez ramię. Nie patrząc na wannę, kładzie go na starym krześle z giętego drewna, stojącym pod ścianą.

— Dosięgniesz?

— Jasne, dziękuję.

Krępująca chwila. Dziewczyna odwraca się, żeby odejść.

— Zastanawiałem się, czy nie zdjąć bandaża — wypalam. — Umyłbym rany.

— Dobrze.

Patrzy na moją stopę. Czekam, wiem, co będzie dalej.

— Poczekaj — mówi. — Ja to zrobię.

Przysiada na brzegu wanny, unoszę nogę, żeby odwinęła bandaż. Słysząc tylko lekki szmer bawełny i od czasu do czasu kapnięcie z kranu. Naga stopa jest biała i chuda, obca, jakby należała do kogoś innego. Rany po szczękach



pułapki zamknęły się, przypominają pokryte strupami, pomarszczone usta. Nadal wyglądają obrzydliwie, ale nie są zaognione. Już dawno przestałem brać antybiotyki, a ostatni środek przeciwbólowy łyknąłem na kaca.

Mathilde ma delikatne dłonie, pochyla się, żeby obejrzyć rany. Jej bawełniana sukienka ociera się o moje palce u stopy.

— Można już wyjąć szwy? — pytam.

— Jeszcze nie.

Według mnie można, jednak przyjmuję wyrok.

— Jak długo jeszcze?

— Niedługo, ale już zdejmuj bandaż na noc. Dobrze zrobi na rany, jak będą miały trochę powietrza.

Opuszczam stopę do wody, Mathilde wstaje. Jestem świadom, że stoi tuż obok mnie. Trzymam ramię na krawędzi wanny zaledwie kilkanaście centymetrów od jej nogi. Nie patrzymy na siebie, ale nagle dociera do mnie absolutna pewność, że ona odczuwa moją obecność równie intensywnie jak ja jej.

— Muszę przypilnować obiadu — mówi, ale nie rusza się z miejsca. Para jakby zamykała się wokół nas i oddziela welonem od reszty domu. Wystarczy, że lekko wyciągnę rękę i dotknę Mathilde. Nadal ma odwróconą głowę, ale dostrzegam uchylone usta, policzki zaczerwienione nie tylko od gorąca. Zaczynam podnosić ramię, jakby między nami była niewidzialna więź. Mathilde natychmiast na to reaguje.

Odsuwa się.

— Jutro założę ci czysty bandaż — wyrzuca z siebie.

Ściskam skraj wanny i odrobinę się podnoszę, jakby cały czas chodziło mi tylko o to, żeby usiąść wygodniej.

— Okej. Dziękuję.

Para kłębi się poruszona otwieraniem i zamykaniem drzwi, kiedy Mathilde wychodzi. Już jej nie ma, ale nadal czuć jej zapach. Ześlizguję się niżej i zanurzam głowę. Ciszę domu zastępuje podwodne echo uderzeń i stuknięć. Z zaciśniętymi oczami myślę, że Mathilde wróciła. Wyobrażam ją sobie, jak nade mną stoi. Albo Gretchen.

Albo Arnaud.

Zrywam się, ociekam wodą. Łazienka nadal pusta, nie licząc demonów pary wirujących w niewidzialnych prądach. Nie tylko woda jest przegrzana, karcę się w duchu.

Biorę mydło i zaczynam się myć.

# Londyn

**K**to to jest Jules?

Jez zamiera z filiżanką kawy przy ustach. Rzuca mi szybkie, ukradkowe spojrzenie, potem odstawia filiżankę na stół.

— Jaki Jules?

Jesteśmy w kawiarni obok szkoły językowej, która właściwie składa się tylko z paru salek na piętrze nad brokerem ubezpieczeniowym. Mała knajpka znajduje się przy głównej drodze, szerokiej, hałaśliwej; jezdnia biegnie tuż przed witryną. Ale wygodnie tu się gawędzi przed rozpoczęciem lekcji, a jeśli chodzi o estetykę, to Jezowi wszystko jedno, byleby przekąski były tanie.

— Jules, ten od Chloe — dodaję.

Próbuje zrobić coś na kształt zaskoczony miny.

— Hm... nie, ja nie sądzę...

Nadal miałem trochę nadziei, że mogłem się mylić, ale teraz nadzieja umarła.

— Słaby z ciebie kłamca. Kto to jest?

— Skąd mam wiedzieć?

— Stąd, że mieszkasz z Yasmin, a Yasmin to najlepsza przyjaciółka Chloe.

— Powinieneś zapytać Chloe.

— Ona nic mi nie powie. No, Jez.

Pociera się po karku niezadowolony.

— Yasmin kazała mi obiecać, że niczego nie wygadam.

— Nie powtórzę jej. To zostanie między nami — zapewniam, jednak Jez nie wydaje się przekonany. — Proszę.

Wzdycha.

— To były chłopak Chloe. Totalny gnojek, ale ona zerwała z nim dwa albo trzy lata temu, więc teraz to historia.

Spuszczam wzrok na swoją kawę.

— Podejrzewam, że znowu się z nim spotyka.

Jez się krzywi.

— Cholera. Przykro mi, stary.

— Yasmin wie?

— Że Chloe znowu się z nim widuje? Wątpię. A jeśli nawet, to nic mi o tym

nie wspominała. I serdecznie nie znosi Julesa.

Przechodzi paru uczniów z zajęć, które mnie czekają, machają zza szyby. Podnoszę rękę zadowolony, że nie weszli.

— Powiedz, co się stało — nalegam.

Jez bawi się filizanką, wyraźnie skrępowany.

— Ten koleś to prawdziwy sukinsyn. Ostatnie, co o nim słyszałem, to że ma jakąś wypasioną siłownię w Docklands, ale utrzymuje, że jest przedsiębiorcą. Taki niby bogaty elegancik, ale ostry twardziel, rozumiesz?

Kiwam głową.

— Spotkałem go.

— Więc nie muszę ci mówić. Dał Chloe nieźle w kość. Była dla niego czymś w rodzaju trofeum. Wiesz, ładna, artystka. Inna niż te z jego kręgu. Kupił parę jej obrazów, tak się spotkali. Ale miał świra na punkcie panowania nad innymi, jeden z tych, co to dobrze się czują, jak zdołują ludzi, wiesz? To przez niego wpadła w kokę i wyrzucili ją z akademii sztuk pięknych.

— W co wpadła?

Jez wygląda na przygnębionego.

— Cholera. Myślałem, że wiesz.

Wszystko jest dla mnie nowe. Bo ja akurat słyszałem, że Chloe skończyła studia razem z Yasmin. Ale koka? Jakbym wszedł w jakiś równoległy świat.

— Mów dalej.

— Och, człowieku, Yasmin mnie zabije. — Wzdycha, pociera dłonią twarz. — Jules zajmował się prochami. Ekskluzywne bary dla VIP-ów, kluby, przyjęcia. I to nie były tylko sterydy, które mogłeś kupić w jego siłowni, kapujesz? Taki jeden wielki facet zaopatrywał go w towar. Wyjątkowy drań, nie chciałbyś mieć z nim do czynienia.

Chyba chodzi o Lenny'ego. Zdrętwiałem. Jez patrzy na mnie z niepokojem.

— Na pewno chcesz o tym słuchać?

— Po prostu powiedz.

— Yasmin próbowała pomóc, ale Chloe była... hm, wiesz. Kiedyś, pewnego wieczoru, przedawkowała jakieś świństwo, które dał jej Jules. Yas znalazła ją i zawiozła do szpitala, potem na odwyk. Zmusiła Chloe, żeby zmieniła numer telefonu i przeprowadziła się do innego mieszkania. Całkowicie odcięła Julesa, a to cholernie go wkurzyło. Odgrażał się, próbował znaleźć Chloe, ale Yas nie ustąpiła. Chloe wyszła na prostą, kiedy od niego odeszła. Znowu zaczęła malować, spotkała ciebie. — Wzruszył ramionami. — Tyle.

Jakby mówił o kimś innym. Teraz zrozumiałem, dlaczego Yasmin była taka zła, kiedy Connor przyniósł kokę na imprezę. Dlaczego nie chciała, żeby Chloe wiązała nadzieje z tą galerią. Malowanie było dla Chloe podporą, nowym uzależnieniem w miejsce starego. I ta podpora została jej odebrana.

Krzesło drapie po płytkach posadzki, wstaję.

— Sean? Dokąd idziesz? Sean! — krzyczy za mną Jez, kiedy wychodzę.

Nie zwracam na to uwagi. Boję się, że już za późno, kiedy łapię metro do domu. Chloe nie ma, więc przeszukuję jej pokój, rozrzucam ubrania, książki, kompakty. Znajduję to pod luźną płytką w łazience. Niewinnie wyglądające plastikowe pudełko z hermetycznym wieczkiem.

A w środku torebeczka białego proszku, żyletka i lusterko do makijażu.

Siedzę przy kuchennym stole, kiedy wraca do domu z pracy. Zatrzymuje się, gdy widzi przede mną pudełko, potem zamyka drzwi i zdejmuje płaszcz.

— Nic mi nie powiesz? — pytam.

— Co mam ci powiedzieć?

— Cokolwiek.

— Jestem zmęczona. Możemy to przełożyć na później?

— Na kiedy? Kiedy znowu trafisz na odwyk?

Wzdycha, ramiona jej opadają.

— Kto ci powiedział? Yasmin!

— Nieważne, kto mi powiedział, dlaczego ty nie powiedziałaś?

— To nie twoja sprawa.

— A to? — Popycham plastikowe pudełko w jej stronę. — To też nie moja sprawa?

Odwraca się i zaczyna nalewać wody do czajnika.

— Jestem dużą dziewczynką, mogę robić, co chcę.

— Skąd to masz?

— Czy to istotne? Dostałam od kogoś w pracy.

— Od kogo?

— A jak myślisz?

Chociaż od początku znam odpowiedź, i tak czuję się, jakbym dostał pięścią. Imię „Jules” nie przechodzi mi przez gardło.

— Na litość boską, Chloe, dlaczego?

— Dlaczego? — Z trzaskiem odstawia czajnik. — Bo nie mogę wytrzymać tego gówna wokół siebie! Bo nienawidzę się za to, że jestem takim nieudacznikiem! Rzygać mi się chce od udawania, że nie jestem! Co my w ogóle

tu robimy? Ja pracuję w barze, a ty w ogóle nie żyjesz w prawdziwym świecie.

— Co ty wygadujesz?

— Nawet nie przyszło ci to do głowy, prawda? Myślisz, że oglądanie filmów to prawdziwe życie? Nie zrobiłeś żadnego własnego, jedynie oglądasz to, co nakręcili inni! Filmy innych, życie innych, tylko na tym się znasz! Chryste, zachwycasz się francuskim kinem i pieprzoną Francją, a nigdy tam nie jeździsz! No, kiedy ostatnio się gdziekolwiek ruszyłeś?

Stoję, chociaż nie pamiętam, kiedy wstałem. Krew pulsuje mi w twarzy.

— No, dalej! — krzyczy. — Zrób coś chociaż raz w życiu!

Ale ja właśnie przechodzę obok niej. Idę na oślep, zostawiam za sobą szloch Chloe.

# Rozdział 12

Nudzi mnie to. — Gretchen rzuca to, co zostało z małego żółtego kwiatka, któremu miarowo obrywała płatki.

Powstrzymuję się, żeby nie westchnąć.

— Ojej, postaraj się zapamiętać. — Unoszę widelec. — Jak to się nazywa po angielsku?

— Nie wiem.

— Owszem, wiesz. Dopiero co to mieliśmy.

Nawet nie podnosi wzroku.

— Nóż.

Odkładam widelec na talerz. Jeśli chodzi o uczenie Gretchen angielskiego, nie udało mi się lepiej niż Mathilde, chociaż przyznaję, że robię to z nie większym niż ona entuzjazmem. Rozmowa z młodszą córką Arnauda może być trudna nawet w sprzyjających okolicznościach, a kiedy naciskam na nią za mocno, ucieka w dąsy, jak to ona. Ale obiecałem Mathilde, że spróbuję.

Przecież nie planowałem, że będę ją uczył dzisiaj. Wstąpiłem do stodoły, żeby się umyć, zanim pójdę po lunch do domu. Przez cały rano myślałem o tym, co wczoraj wydarzyło się w łazience, czy źle odczytałem napięcie między Mathilde a mną. Czy może je sobie wyobraziłem. Zastanawiałem się, czy dzisiaj wykryję w niej jakąś zmianę, ale jak dotąd nie było okazji, żeby się przekonać. Śniadanie znów stało na schodach na strych, a w kuchni, kiedy odniosłem naczynia, nie zastałem Mathilde. Liczyłem na to, że przynajmniej się z nią spotkam, jak pójdę po lunch.

Ale kiedy wychodziłem ze stodoły, pojawiła się Gretchen z jedzeniem. Mathilde prosiła, żeby je przyniosła, powiedziała mi ze skromnym uśmiechem, a ja już wiedziałem, że wszelkie nadzieje na spokojny lunch się rozwiały. Przynajmniej próba nauczania jej angielskiego pokryje niezręczne milczenie. Chociaż to akurat nigdy nie przeszkadzało Gretchen.

Leży na brzuchu, swobodnie macha nogami, zrywa kolejny kwiatek spomiędzy zarośniętych brukowców. Ubrana jest w żółty podkoszulek i spłowiełe, obcięte na krótko spodnie, różowe klapki zwisają z jej brudnych stóp. Rysuję palcem kółko na ziemi, potem dodaję dwie linie wskazujące na dwunastą i dziewiątą.

— Która to godzina?

— Nudna godzina.

— Nawet nie próbujesz.

— Po co? To nudne.

— No, wysił się trochę. — Zdaję sobie sprawę, że mówię jak tacy nauczyciele, których zawsze nie znośłem, ale Gretchen wydobywa ze mnie to, co najgorsze.

Obrzuca mnie naburmuszonym spojrzeniem.

— Po co? Nigdy nie pojedę do Anglii.

— Mogłabyś pojechać.

— A co, zabierzesz mnie?

Myślę — mam nadzieję — że żartuje. Jeśli nawet, to wspomnienie o powrocie sprawia, że coś ściska mnie w piersi.

— Twój ojciec chyba by się nie zgodził.

Wzmianka o Arnaudzie działa na nią trzeźwiąco, tak jak zawsze.

— I dobrze. Bo wcale nie chcę jechać.

— Może i nie, ale uczenie się nie boli. Chyba nie zamierzasz całe życie mieszkać na farmie, prawda?

— A niby dlaczego nie? — W jej głosie jest ostrzeżenie.

— Tak tylko mówię. Nie chcesz się w końcu wyprowadzić i wyjść za mąż?

— Skąd wiesz, czego chcę? A jak już wyjdę za mąż, to na pewno nie za żadnego Angola, więc po co się uczyć tego głupiego języka? Dookoła jest mnóstwo chłopaków, którzy chętnie by się ze mną ożenili.

No proszę, jak dobrze idzie, myślę. Ale czas się wycofać.

— Okej. Skoro to cię nudzi...

— Bo mnie nudzi. — Opiera się na łokciach, spogląda na mnie. — Ale znam ciekawsze zajęcia.

Jem, udaję, że nie słyszę. Dziś dostałem gruby kawał chleba i miskę cassoulet z białą fasolą i kawałkami kiełbasy. Jest prawie czarna, z plamkami białego tłuszczu w środku. Gretchen krzywi się, kiedy nadziewam kawałek na widelec.

— Nie rozumiem, jak możesz jeść coś takiego.

— A co z tym nie tak?

— Nic nie tak. Po prostu nie lubię krwawej kiszki.

— Krwawej kiszki?

Uśmiecha się, widząc moją minę.

— Nie wiedziałeś?

— Nie, nie wiedziałem. — Patrzę na ciemną papkę i globulki tłuszczu. W głowie pojawia mi się obraz ogłuszonej świni wiszącej za tylne nogi i Georges'a, który przykłada jej nóż do gardła. Pamiętam odgłos krwi chlustającej do metalowego wiadra. A za tym idą inne obrazy, jeszcze mniej przyjemne.

Odkładam kiszkę i odstawiam talerz.

— Zniechęciłam cię? — pyta Gretchen.

— Nie byłem głodny.

Piję wodę, żeby spłukać smak. Coś mnie łaskocze w ramię i rozprasza. Mrówka dociekliwie szuka czegoś na mojej skórze. Strzepuję ją i zauważam, że jest ich mnóstwo, kłębią się w trawie, niosą okruszki chleba do dziury pod korzeniami drzewa.

Gretchen wyciąga szyję, żeby zobaczyć, co odciągnęło moją uwagę.

— Co tam jest?

— Tylko mrówki.

Przysuwa się, żeby im się przyjrzeć. Bierze garść piasku i sypie go na ich ścieżkę. Mrówki zaczynają krążyć, machają czułkami, potem tworzą nowy szereg, obchodzą przeszkodę.

— Przestań.

— Dlaczego? To tylko mrówki. — Nie przestaje sypać piasku wzdłuż ich trasy.

Odwracam się zirytowany tym takim ot, po prostu okrucieństwem. Chyba dlatego mówię to, co mówię.

— Kto był współnikiem twojego ojca?

Piasek nadal leci pomiędzy palców zaciśniętej dłoni i spada na mrówki.

— Papa nie miał współnika.

— Twierdzi, że miał. Tego, który pomagał mu z posągami.

— Louis pracował u nas, nie był żadnym współnikiem.

Po raz pierwszy usłyszałem jego imię.

— Okej. Ale jest ojcem Michela, prawda?

— A co cię to obchodzi?

— Nic. Zapomnij, że pytałem.

Nabiera następną garść piasku i sypie go na wejście do mrowiska.

— To przez Mathilde.

— Co takiego?

— Wszystko. Zaszła w ciążę i wywołała kłótnię, dlatego Louis odszedł. Zostałby, gdyby nie ona.



— Chyba mówiłaś, że was zdradził?

— Tak, ale to była nie tylko jego wina. — Wzrusza ramionami. Patrzy nieobecny wzrokiem, jakby coś się w niej wyłączyło. — Był przystojny. I zabawny. Zawsze drażnił się z Georges'em, pytał go, czy ożenił się z którąś ze świń, takie rzeczy.

— Fajny żart.

Gretchen bierze ten komentarz za dobrą monetę.

— No nie? Raz wziął prosię i ubrał je w starą chusteczkę tak jak w pieluszkę. Georges się wściekł, kiedy potem to zobaczył, bo Louis upuścił świnkę i złamał jej nogę. Georges chciał naskarżyć papie, ale Mathilde poprosiła, żeby powiedział, że to był przypadek. Papa tylko by się rozzłościł. A w ogóle to świniodziki nie są Georges'a, więc nie miał prawa robić szumu.

— Co się stało ze świnką?

— Georges musiał ją zaszlachtować. Ale to był mały prosiaczek, więc dostaliśmy dobrą cenę.

Im więcej dowiaduję się o tym Louisie, tym mniej mi się on podoba. Nie mogę sobie wyobrazić Mathilde z kimś takim, ale ledwie ta myśl przychodzi mi do głowy, zdaję sobie sprawę, jakie to niedorzeczne. Przecież tak naprawdę nic o niej nie wiem.

— I gdzie się teraz podziewa Louis?

— Mathilde kazała mu odejść.

— Ale dalej mieszka w miasteczku?

Rysy Gretchen stwardniały, wygląda jak wykapany ojciec. Rzuca resztę piasku na mrówki.

— Dlaczego tak się tym interesujesz?

— Tylko zastanawiałem się, czy Mathilde...

— Przestań mówić w kółko o Mathilde! Dlaczego zawsze o nią pytasz?

— Ja nie...

— Tak, pytasz! Mathilde, Mathilde, Mathilde! Nienawidzę jej! Wszystko psuje! Zazdrości mi, bo sama jest już stara i sflaczała i wie, że mężczyźni wolą mnie!

Podnoszę ręce, próbuję ją udobruchać.

— Okej, uspokój się.

Ale Gretchen daleko do spokoju. Skóra wokół nosa jej pobieliała.

— Chcesz ją pieprzyć, co? A może już ją posuwasz?

Sprawa wymyka się spod kontroli. Wstaję.

— A ty dokąd?

— Wracam do pracy.

— To znaczy: do Mathilde, tak?

Nie fatyguję się, żeby odpowiedzieć. Nachylam się, żeby podnieść talerz, ale wyrywa mi go z rąk.

— Nie lekceważ mnie! Powiedziałam: nie lekceważ mnie! — Chwyta widelec i dźga nim na oślep.

Uskakuję, ale zęby kłują mnie w ramię, rozdzierają ciało.

— Jezu...!

Przyciskam rany ręką, patrzę na nią. Ciemna strużka krwi spływa mi między palcami. Gretchen rzuca widelec, mruga, jakby dopiero co się obudziła.

— Przepraszam. Ja... ja nie chciałam...

Ramię zaczyna mi pulsować, ale jestem tak zszokowany, że niewiele czuję.

— Idź lepiej. — Głos mi się trzęsie.

— No przepraszam.

Nie ufam własnym słowom. Po chwili Gretchen ze skrucną podnosi talerz i sztucce, włosy opadają jej na twarz jak zasłona. W milczeniu zabiera naczynia na podwórze i znika.

Stoję tam, gdzie jestem, czekam, aż serce mi się uspokoi. Widelec zostawił rząd czterech ranek na bicepsie. Krwawią, ale nie są głębokie. Znowu przyciskam je dłonią. U moich stóp mrówki szaleją wokół rozlanej krwi. Te zabite przez Gretchen zostały już zapomniane: liczy się tylko przetrwanie.

Zostawiam je przy uczcie i wchodzę do stodoły, żeby umyć ramię.

Zachód słońca jest imponujący. Ważki, pszczoły i osy patrolujące jezioro za dnia ustąpiły miejsca muszkom i komarom. Siedzę oparty plecami o kasztan, wydmuchuję w powietrze dym z papierosa. Gdzieś czytałem, że owady nie lubią tego zapachu, one jednak chyba o tym nie wiedzą. Już mnie pokąsały, ale naprawdę poczuję to dopiero rano. A „jutrzejszy dzień sam o siebie troszczyć się będzie”<sup>1</sup>. Przyniosłem ze sobą tomik od Mathilde. Spokój jest absolutny, ale dziś wieczorem nie mam głowy do *Madame Bovary*. Książka leży obok mnie ani r a z u nieotwarta, a ja patrzę, jak ostatnie promienie słońca zamieniają powierzchnię jeziora w ciemne zwierciadło.

Boli mnie ramię, tam gdzie wbił się widelec, ale ranki nie są zbyt dolegliwe. Umyłem je pod kranem, żeby lodowata woda spłukała krew. Popłynęła różowym strumykiem po kamieniach brukowych, wsiąkła w poszerzające się pęknięcie w betonowej łacie.

Jeszcze jedna pozostałość po moim poprzedniku. Mathilde powiedziałem, że skaleczyłem się na rusztowaniu, i poprosiłem o watę i plaster. Pomyślałem, że najlepiej, jak sam to opatrzę, zamiast tłumaczyć, skąd wzięły się nacięcia.

„Twoja siostra dźgnęła mnie, bo nie wybaczyła ci, że zerwałaś z ojcem Michela. Którego chyba lubiła trochę za bardzo”. Nie, takiej rozmowy wolałbym uniknąć. Ale, jeśli Gretchen miała pociąg do Louisa, to trochę by tłumaczyło napięcie między nią a Mathilde. I niewykluczone że to było coś więcej niż pociąg, myślę, przypominając sobie nieudolny rysunek, który znalazłem w jego notesie. Naga kobieta mogła być każdą z nich, a Louis nie wydawał mi się kimś, kto miałby skrupuły, że sypia z obiema siostrami.

No i kto tu komu zazdrości? Na kasztanie jest pełno kolczastych kulek. Jeszcze nie dojrzały, ale jedna spadła przedwcześnie i leży w trawie obok. Podnoszę ją, czuję ukłucia kolców na dłoni. Słońce zaszło już za drzewa, nad jeziorem zapadł półmrok. Podnoszę się i staję na skraju urwiska. Rzucam kasztan, z cichym pluskiem wpada do wody. Płynie jak miniaturowa mina, kołysze się nad ciemniejszym odcieniem znaczącym zatopioną skałę.

Nie mogę znaleźć sobie miejsca, więc schodzę ze skarpy i snuję się wzdłuż brzegu jeziora. Tak daleko jeszcze się nie zapuszczałem, nigdy nie czułem takiej potrzeby. Ale teraz mam ochotę przemierzyć granice farmy.

Ścieżka kończy się przy urwisku i trochę dalej, pod lasem, schodzi prosto do wody. Idę nią na drugi brzeg. Jeszcze trochę i docieram do końca pól należących do farmy. Pasma zardzewiałego drutu kolczatego przeplatają się między drzewami, przybite do pni. Po drugiej stronie niewiele jest do oglądania, nie licząc łąnów zbóż. Nie ma tam tras ani ścieżek, nie widzę powodu, żeby zakładać drut kolczasty. Przez zboże raczej trudno przejść, ale nie w tym rzecz.

Arnaud znakuje swoje terytorium.

Gdybym potrzebował więcej dowodów, pojawiają się parę minut później. Zaczynam iść wzdłuż płotu i w ostatniej sekundzie zauważam kanciasty kształt leżący na kępie trawy. To jedna z pułapek Arnauda, szeroko rozdziawione szczęki czekają. Nigdy bym nie przypuszczał, że zada sobie trud, żeby porozkładać je aż tutaj, ale najwyraźniej nie chce ryzykować. Ja też: rozglądam się, znajduję kijek i rzucam go w szczęki pułapki. Zatrząskują się tak mocno, że rozłupują drewno.

Myśl, że w lesie ukryte są następne, gasi wszelką chęć dalszej wędrówki. Wracając nad jezioro, w ciemniejącym świetle używam laski, żeby sprawdzać drogę przed sobą. Wychodzę po drugiej stronie niż urwisko i zatrzymuję się na

chwilę, żeby przyjrzeć mu się z nowej perspektywy. Brzegi jeziora są zarośnięte trzcina i sitowiem, ale stąd widzę plamę kamyczków ukrytą za trawiastym wzgórkim. Idę tam, cienka warstwa kamyków chrzęści mi pod stopami. Płycizna kończy się tutaj szybko, na głębokości kolor przechodzi w intensywną zieleń. Kucam i zanurzam rękę. Woda jest zimna, a kiedy dotykam dna, unosi się mgiełka osadów.

Myślę, że to dobre miejsce, żeby stąd popływać. Większa część brzegów jeziora jest mulista, ale tu mogę brodzić. Dłonią bełtam wodę, posrebrzając zmaconą powierzchnię. Powietrze zatrzymało w sobie dzienny upał, wyobrażam sobie, jak się rozbieram i nurkuję w chłodną głębinę, płynę w milczeniu na środek jeziora. Kusząca wizja, gdyby nie ta zabandażowana stopa. Ale szwy już niedługo zostaną zdjęte i potem nic mnie nie powstrzyma przed pływaniem, jeśli tylko zachcę.

Jeśli jeszcze tutaj będę.

Wstaję i strzepuję krople z palców, małe falki rozchodzą się z drzeniem po spokojnej toni. Kiedy wracam na urwisko, żeby zabrać książkę Mathilde, wschodzi błądy księżyc. Potem maszeruję z powrotem między drzewami. Tego wieczoru świniodziki są spokojne, posągi milczą jak zawsze. To tylko mój nastrój sprawia, że wydają się czujne i groźne, ale i tak się cieszę, gdy już wydostaję się z lasu.

Powrót przez winnicę trwa jakby dłużej niż zazwyczaj. Gwiazdy rozsiane po ciemniejącym niebie wyglądają jak srebrzysty proszek, jaskrawe przypomnienie naszej znikomości. Docieram do stodoły, staję na zewnątrz, na razie nie jestem gotów, żeby wejść w duszne gorąco strychu. Właśnie rozważam, czy nie poczęstować się jeszcze jedną butelką wina Arnauda, kiedy z domu dochodzi dźwięk tłuczonego szkła.

Po nim następny. Rozlega się wrzaskliwy, histeryczny śmiech, biegnę na podwórze. Kiedy tam docieram, drzwi do kuchni otwierają się szeroko, wylewa się z nich światło i wypada Arnaud. Ma karabin, zatrzymuję się natychmiast, pewien, że będzie strzelał, jak tylko zobaczy jakikolwiek ruch w ciemności.

— Nie, nie rób tego! — Mathilde wybiega za nim.

Nie zwraca na nią uwagi, zamasyście kroczy w stronę traktu prowadzącego do drogi. Po kolejnym brzęku szkła następują hałaśliwe wiwaty, teraz zdaję sobie sprawę, że to zbita szyba. Mathilde próbuje powstrzymać ojca, ale odtrąca ją, potem oboje nikną. Zrywam się i lecę przez podwórze, w drzwiach pojawia się Gretchen. Trzyma Michela, twarz ma bladą, przestraszoną.

— Zostań tutaj — mówię.

Nie czekam, żeby zobaczyć, co zrobi, przemierzam bruk, podskakując i niezdarnie biegnąc za Mathilde i Arnaudem. Krzyki dochodzą zza ciemnego lasu za domem. Głosów jest kilka, wesołych i drwiących. Teraz słyszę, co mówią.

— Tutaj, świnko! Przyślij swoje córeczki, Arnaud!

— Tu jest jedno z twoich prosiątek, chodź, przywitaj się!

Rozlega się chrząkanie i pokwikiwanie, bucha wysoki hałaśliwy rechot. Przed sobą na tle jasnego szlaku widzę ciemne postacie Arnauda i Mathilde. Dziewczyna trzyma ojca za ramię, szarpie go.

— Nie! Zostaw ich, pójdą sobie!

— Wracaj do domu!

Odpycha ją, jednocześnie podnosi karabin i strzela. Wystrzał oświeśla mu twarz, gwizdy nagle cichną. Słysząc przekleństwa i przerażone wrzaski, potem trzask poszycia. Arnaud naprowadza długą lufę na czerń lasu i wypala raz za razem, tak szybko przesuwając rygiel zamka, że huk strzałów się zlewa. Przestaje, dopiero kiedy zamieszanie cichnie, i jakby trochę niechętnie opuszcza karabin.

W oddali wzbija się ryk silnika, oddala się szybko. Noc otula się ciszą jak kocem.

Arnaud nie rusza się z miejsca. Mathilde stoi tyłem do niego, z rękami na uszach. Są jak dwa nijakie czarne kształty, nie bardziej ludzkie w ciemnościach niż drzewa. Mathilde nadal tkwi jak skamieniała, kiedy Arnaud w końcu odwraca się w stronę domu. Jego kroki chrzęszczą na trawie. Przechodzi obok mnie, jakby mnie nie było. Czekam, obserwuję Mathilde. W końcu opuszcza rękę. Słyszę ciche chlipanie. Jedną dłoń podnosi do twarzy, coś ociera. Powoli zaczyna iść traktem.

— Już w porządku? — pytam.

Wzdryga się na mój głos. Teraz widzę jej twarz, bladą i wystraszoną w ciemnym obramowaniu włosów. Odwraca ją. Chyba przytakuje. Przechodzi z opuszczoną głową, tak blisko, że prawie się o mnie ociera. Znika za rogiem domu, a chwilę potem słyszę lekkie stuknięcie zamykanych drzwi do kuchni.

Stoję na trawie, oglądam się na cichy teraz las. Serce mocno mi bije. Stopniowo powraca cykanie świerszczy.

Przy akompaniamencie ich muzyki wracam do stodoły.

## Londyn

Światlik w suficie jest zaparowany. Deszcz przetacza się po nim z odgłosem werbla. Nasze rozmazane odbicia wiszą nad nami, kiedy leżymy w łóżku, zamglone sobowtóry uwiecznione w szkle.

Chloe znów odpłynęła. Na tyle dobrze znam jej nastroje, żeby nie naciskać, żeby zostawić ją jej samej, aż wróci z własnej woli. Patrzy w górę, przez okno w dachu, blond włosy odbijają blask lampy z muszli, którą kupiła na pchlim targu. Oczy ma niebieskie, nie mruga. Myślę, jak zawsze, że mógłbym przejechać przed nimi dłonią i nie zareagowałyby. Chcę zapytać, o czym myśli, ale nie pytam. Boję się, że mogłaby powiedzieć.

Powietrze w pokoju jest zimne i wilgotne, czuję je na gołej piersi. Po drugiej stronie mieszkania, na sztalugach Chloe, stoi nietknięte płótno. Jest puste już od tygodni. Smród oleju i terpentyny, który od dawna kojarzyłem z tym małym mieszkankiem, tak zwietrzał, że ledwie można go wychwycić.

Czuję jej ruch obok siebie.

— Myślałeś kiedyś o umieraniu? — pyta.

Nie wiem, co powiedzieć. Atmosfera między nami jest napięta, odkąd znalazłem kokę. Chloe zaklina się, że to jednorazowy błąd, którego nie powtórzy, a ja próbuję jej uwierzyć. Żadne z nas nie mówi o Julesie. Każdy dzień to akt delikatnej równowagi, można spaść i się roztrzaskać, jeśli jej nie utrzymamy.

Ale zauważyłem, że ostatnio jest bardziej zamknięta w sobie. Nie ma żadnych konkretnych powodów, ale parę dni temu znowu przeszukałem mieszkanie, kiedy jej nie było. Nic nie znalazłem i powiedziałem sobie, że to kwestia mojej wyobraźni. Ale może po prostu wymyśliła lepszą kryjówkę.

— Co to za pytanie?

— Przeraza cię to?

— Jezu, Chloe...

— Mnie to nie przeraża. Kiedyś przerażało, ale teraz już nie.

Mięśnie karku mam zawężłone i spięte. Podpieram się, żeby na nią popatrzeć.

— Do czego zmierzasz?

Patrzy w górę przez światlik, jej oczy to jasne punkty w ocienionej bladości twarzy. Już myślę, że nie odpowie, kiedy odpowiada.

— Jestem w ciąży.

Z początku nie wiem, co czuję. Wśród rzeczy, których się spodziewałem,

wśród scenariuszy, które sobie wyobrażałem, tego nie było. Potem wszystko zmiata euforia i ulga. Więc o to chodziło.

— Boże, Chloe, to cudownie! — Zaczynam ją obejmować.

Ale ona leży nieruchomo, nie reaguje. Nadal jest zapatrzona w świetlik, widzę, że jasność wylewa się z jej oczu i spływa po twarzy. Odsuwam się od niej, czuję, jak przenika mnie chłód.

— Co? — pytam, chociaż już wiem.

Chloe mówi spokojnym głosem, niezmiennym łzami.

— Nie jest twoje.

# Rozdział 13

Policja przyjeżdża rano. Właśnie schodzę z rusztowania, kiedy słyszę kroki na podwórzu. Zerkam dookoła, spodziewam się, że to Mathilde albo Gretchen, na widok dwóch umundurowanych żandarmów zamieram zszokowany. Nie spadam tylko dlatego, że jedno ramię przełożyłem przez szczebel.

O Jezu Chryste, myślę.

Ich białe koszule oślepiająco lśnią w słońcu. Ciemne szkła okularów pozbawiają ich twarze ekspresji, kiedy patrzą na mnie złapanego w połowie drabiny; jak mucha w pajęczynę. Niższy z nich, po którym widać, że jest wyższy stopniem, odzywa się pierwszy:

— Gdzie Arnaud?

Słowa nie trafiają do mnie. Gapię się na nich głupio.

— Szukamy Jacques'a Arnauda — powtarza zirytowany. — Gdzie on jest?

Wyższy z żandarmów zdejmuje czapkę z daszkiem i ociera pot z czoła. Na koszuli pod pachami ma duże wilgotne plamy. Nie wiem dlaczego, ale to rozluźnia mnie na tyle, że wydobywam z siebie odpowiedź.

— Zobaczcie w domu.

Nie dziękują, podchodzą do drzwi. Uświadamiam sobie, że nadal sterczę nieruchomo na drabinie, więc zmuszam się, żeby zejść. Nogi mam zdrętwiałe, jakbym zapomniał, jak się chodzi.

Arnaud mógł przecież wyjść na polowanie, ale drzwi otwierają się, zanim zdążają zapukać. Staje naprzeciwko nich z milczącą wojowniczością.

— M'sieur Arnaud? — pyta mniejszy żandarm, na co gospodarz ledwie raczy kiwnąć głową. Na policjancie to nie robi wrażenia. — Doniesiono nam, że ktoś tu strzelał ostatniego wieczoru. — Jego partner w poplamionej potem koszuli spostrzega, że się przyglądam. Szybko się odwracam i skręcam za dom. Jak tylko znikam z pola widzenia, opadam na ziemię.

Nie przyszli po mnie. Zwieszam głowę i oddycham głęboko. Pomruk głosów nadal dociera z podwórza przed domem, ale nie potrafię rozróżnić słów. Szybko wchodzę od środka na rusztowanie, jak na wielką konstrukcję z drabinek dla dzieci, prawie nie zwracam uwagi na to, że chwieje się i trzeszczy. Podciągam się na platformę i pełzną na jej koniec, najbliżej kuchni. Słowa znów stają się zrozumiałe.



— ...nie złożono oficjalnej skargi — mówi Arnaud na podwórzu. — Bronięm swojej posiadłości. Jeśli wiecie, kto to był, ich powinniście aresztować, nie mnie.

— Nikogo nie zamierzamy aresztować, my tylko...

— Więc powinniście. Ktoś napada na mój dom, ale to mnie nachodzicie, bo parę razy strzeliłem w powietrze, żeby wystraszyć intruzów? Gdzie tu sprawiedliwość?

— Podobno to nie były strzały w powietrze.

— Nie? Ktoś został zraniony?

— Nie, ale...

— Ano właśnie! Poza tym nie wiem, skąd wiedzieli, w co celuję, skoro tak szybko odjechali.

— Możemy porozmawiać w środku?

— Nie wydaje mi się, żeby było o czym.

— Nie zajmiemy panu dużo czasu. — W głosie żandarma słychać stalową nutę.

Nie dociera do mnie odpowiedź Arnauda, ale słyszę kroki niknące w środku. Drzwi się zamykają. Jestem w stanie myśleć tylko o owiniętej plastikiem paczce w swoim plecaku. To szaleństwo, że do tej pory nie pozbyłem się tego, trzeba było chociaż zagrzebać to pod starymi ciuchami.

Już za późno.

Zdaję sobie sprawę, że gryzę naderwany kawałek paznokcia, więc przestaję. Z miejsca, w którym przykucnąłem, widzę jeziorko nad szczytami drzew. Mógłbym się tam schować, aż policja odjedzie. Może nawet przeleźć nad drutem kolczastym i pójść przez zboże do innej drogi. Gdyby mi się poszczęściło, byłbym daleko stąd, zanim ktokolwiek by się zorientował, że mnie nie ma.

To panika przeze mnie przemawia. Żandarmi nie są mną zainteresowani; przyszli tylko po to, żeby upomnieć Arnauda za wieczorne strzelanie. Jeśli ucieknę, ściągnę na siebie uwagę.

Poza tym dokąd miałbym pójść?

Z niepokojem dźgam kielnią zaprawę wysychającą na desce. Nie myśląc, co robię, nabieram trochę i rzucam na ścianę. Potem znowu. Ciche drapanie kielni na kamieniu ma uspokajający wpływ, opanowuje drżenie rąk. Po chwili wstaję. Pracuję jak automat, bezmyślnie przenoszę kielnię z deski na ścianę i z powrotem. Z każdym maźnięciem zapominam o Arnaudzie, zapominam o policji. Zapominam o wszystkim.

Nawet nie słyszę, jak drzwi do kuchni znowu się otwierają.

— Jak tam idzie na górze?

Zatrzymuję się i spoglądam w dół. Duży żandarm stoi na podwórzu; mrużąc oczy, patrzy na mnie. Nie ma już okularów przeciwsłonecznych, widzę jego małe świńskie oczka.

— No, no, praca wre! — krzyczy.

Udaję, że jestem pochłonięty robotą.

— Taak.

Odciąga sobie wilgotną koszulę od ciała.

— Upał jak diabli. A jeszcze musieliśmy zostawić samochód i iść na piechotę od drogi. Bo brama zamknięta.

— Jasne.

— Już nie wytrzymuję tego słońca. Nigdy nie wytrzymałem. Od kwietnia do października, dla mnie to piekło.

— Rozumiem pana.

— Tak, przy pańskiej cerze pan też na pewno źle znosi taki żar.

Zaprawa ześlizguje się z kielni i spada na platformę. Żandarm przygląda się domowi, zdejmuje czapkę, przejeżdża palcami po włosach, znów ją zakłada. Gęste wąsy prawie zasłaniają mu usta.

— Od dawna pan to robi?

— Hm... gdzieś od dziewiętej.

Uśmiecha się.

— Nie chodzi mi o dzisiaj.

— Aha. Od paru tygodni.

Na desce nic mi nie zostało. Zaprawa, która została w wiadrze, jest za sucha, żeby jej użyć, ale i tak nabieram stosik. Albo to, albo trzeba zejść na dół. Słyszę, jak skrzypią skórzany pas i kabura, kiedy żandarma zmienia pozycję.

— Pan z Anglii, prawda?

Kiwam głową.

— Dobrze pan mówi po francusku. Gdzie się pan nauczył?

— Po prostu ze słuchu.

— Naprawdę? Musi pan mieć talent.

— Mam dobre podstawy ze szkoły.

— Mhm. No tak. — Wyjmuje chusteczkę i ociera twarz. — Jak się pan nazywa?

Kusi mnie, żeby coś wymyślić, ale to tylko pogorszy sprawę, gdyby chciał zobaczyć mój paszport. Nie reaguje, kiedy podaję mu imię i nazwisko.

— To co cię sprowadza do Francji, Sean? — pyta.

Przejeżdżam kielnią po ścianie, bez potrzeby wyglądam zaprawę.

— Tak sobie podróżuję.

— Skoro jesteś turystą, nie powinieneś pracować. — Krew napływa mi do twarzy, pieką mnie policzki. — Spokojnie, ja tylko żartuję. Więc byłeś tutaj wieczorem? Wiesz, co się działo?

— No, trochę.

— Trochę?

— Słyszałem zamieszanie. Ale tak naprawdę nic nie widziałem.

— Trudno czegoś takiego nie słyszeć. — Ociera kark chusteczką. — To jak było?

— Thukły się szyby. Były krzyki. Z lasu. Tak jakby kilku ludzi.

— Co krzyczeli?

— Coś na Arnauda i jego córki.

— Jakieś świństwa?

— No raczej nieprzyjemne rzeczy.

— To ile razy Arnaud strzelił?

— Hm... — Marszczę czoło, jak gdybym próbował sobie przypomnieć. — Nie wiem.

— Raz, dwa razy? Sześć razy?

— Nie jestem pewien. Wszystko się zmieszało.

— Celował w las?

— Nie wiem.

— Gdzie wtedy stałeś?

— Przy domu, z drugiej strony.

— I niczego nie widziałeś?

— Było ciemno. Zanim tam dotarłem, już się uspokoiło.

— Nie pobiegłeś od razu zobaczyć, co się dzieje?

Podnoszę stopę, żeby pokazać bandaż.

— Nie z tym. — Już kiedy to robię, wiem, że popełniam błąd.

Patrzy na moją nogę bez zdziwienia.

— Co ci się stało?

— Nadepnąłem na gwóźdź — mówię i żałuję, że nie trzymam gęby na kłódkę.

— Na gwóźdź? Musiał być duży.

— Był duży.

Powierzchnową życzliwość żandarma zastępuje teraz surowy wyraz twarzy.

Odwracam się, udaję, że obrzucam ścianę za suchą zaprawą.

— Wiecie, kto narozrabiał? — Staram się, żeby to brzmiało ot, tak, zwyczajnie. — To znaczy wczoraj, wieczorem?

— Prawdopodobnie miejscowe łebki — odpowiada obojętnym tonem. Mam wrażenie, że nikt nie aresztuje Didiera i jego koleżków za to, że rzucili parę kamieni. Żandarm zakłada okulary przeciwsłoneczne, ukrywając małe oczka. — Jak długo tu zostaniesz?

— Dopóki nie wykończę domu, tak sądzę.

— A potem idziesz dalej.

Nie jestem pewien, czy to pytanie.

— Chyba tak.

Okulary przeciwsłoneczne nadal wpatrują się we mnie. Myślę, że coś jeszcze powie, ale drzwi do kuchni znowu się otwierają i wychodzi drugi żandarm. Rozmawiają ze sobą, za cicho, żeby ich zrozumieć, ale mniejszy kręci głową z wyraźnym zdenerwowaniem. Potem duży coś mówi i obaj patrzą na mnie.

Znowu się odwracam. Po sekundzie słyszę, jak idą przez podwórze. Dalej udaję, że pracuję, rozmazuję całą, prawie suchą zaprawę na kamieniach, dopóki nie jestem pewien, że poszli.

Nogi mam jak z waty, opadam na platformę. Chowam głowę między kolanami i próbuję nie wymiotować.

— Jesteś na górze?

To Mathilde. Robię głęboki wdech i wstaję. Stoi pod rusztowaniem, trzyma talerz z jedzeniem. Spaniel obok niej zerka na nie z nadzieją.

— Przyniosłam ci lunch.

— Okej. Dzięki.

Nie mam apetytu, ale nie chcę dłużej zostawać na górze. Nie tu, gdzie każdy może mnie zobaczyć. Nie spieszę się, schodząc po drabinie, spodziewam się, że Mathilde jak zwykle zostawi talerz na parapecie. Ale kiedy docieram na dół, nadal tam stoi. Twarz blada, cienie pod oczami bardziej wyraziste niż zwykle.

— Policja tu była. W sprawie wczorajszego wieczoru.

— Wiem. Jeden pytał mnie o to.

Zerka na mnie szybko, potem odwraca wzrok. Podnosi rękę, żeby odgarnąć włosy. Zacząłem już rozpoznawać ten gest jako jej zwykły wyraz zdenerwowania.

— Wniosą oskarżenie? — pytam.

— Nie. Upomnieli ojca, żeby na przyszłość nie strzelał. To wszystko.

Próbuję mówić obojętnym tonem.

— Więc wróć?

— Nie powiedzieli. Nie sądzę.

Prawie mnie pociesza.

Kiedy poszła, ruszam przez podwórze. Z początku powoli, żeby to wyglądało zwyczajnie, ale już przy stodole prawie biegnę, dźgam laską ziemię jak trzecią nogą. Dopiero przy schodach uświadamiam sobie, że nadal trzymam talerz. Chleb i mięso spadają z niego, kiedy go odstawiam. Szybko wchodzę na strych. Rzucam plecak na łóżko i zaczynam szarpać sznurowanie. Zawiązuję go, odkąd Gretchen w nim grzebała, szukając empetrójki. Teraz klnę, usiłując rozwiązać supeł, nasłuchuję kroków, które mogą oznaczać powrót policji.

Sięgam i chwytam paczkę, w gardle czuję gorzki smak. Jej gładki ciężar przywołuje wszystko, o czym chętnie bym zapomniał. Było mnóstwo czasu, żeby się zastanowić, co z tym zrobić, ale wolałem wcale o tym nie myśleć. Teraz nie mam wyboru. Rozglądam się wariacko po stosach gratów na strychu, żeby znaleźć kryjówkę, ale wszędzie łatwo można to znaleźć. Potrzebuję miejsca, gdzie paczka będzie bezpieczna przy pobieżnym przeszukaniu, i nikt nie trafi na nią przypadkiem.

Mija trochę czasu, ale w końcu coś przychodzi mi do głowy.

Pszczoła brzęczy nad winoroślą, buczy jak uszkodzony samolot. W powietrzu prawie słyhać dudnienie, jakby słońce kazało wibrować nawet ciszy. Upał nabiera fizycznego ciężaru, wyczerpuje w tym samym stopniu wolę co siły.

Patrzę na słońce przez wrota stodoły. Siedzę na betonowej łacie oparty plecami o jedną ze starych beczek po winie. Tu, na dole, jest znacznie chłodniej niż na strychu, chociaż chłód to pojęcie względne. Kiedy wracam z poszukiwań kryjówki, mój lunch nadal stoi na schodach, tam gdzie go zostawiłem. A raczej talerz, Lulu odkryła jedzenie pod moją nieobecność.

I tak nie byłem głodny.

Spaniel rozkłada się obok mnie, trawi mój posiłek i cieszy się z cienia. Powinienem wrócić do pracy, ale nie potrafię wykrzesać z siebie motywacji. Poranne wydarzenia wydrążyły mnie. Wizyta żandarmów bardziej mnie zaniepokoiła niż bijatyka na placu. Wtedy mogłem przynajmniej znów ukryć się na farmie, zamknąć za jej bramami. Teraz świat zewnętrzny przyszedł za mną do środka, przypomniał, że wszelka myśl o schronieniu to tylko złuda. Nie mogę się tutaj chować w nieskończoność.

Pytanie: dokąd iść?

Otulony cieniem patrzę na słoneczne światło przez wrota stodoły, w roztargnieniu skubię pęknięcie w betonowej powierzchni. Wyszczerbiona krawędź łatwo się kruszy, w przesiewaniu drobin przez palce jest coś hipnotycznego, jakby to był piasek na plaży. Za mało zaprawy w mieszance. Pęknięcie poszerzyło się, powiększyłem je, wydeptując drogę do schodów i z powrotem. W najszerszym miejscu ma może ze trzy centymetry. Kiedy przejeżdżam czubkami palców wzdłuż szczeliny, dotykam czegoś szeleszczącego.

Zbyt ospały, by się przesunąć, tylko odwracam głowę, żeby popatrzeć. W słabym świetle stodoły nie widzę, co to jest, ale w dotyku to kawałek materiału. Prawdopodobnie coś, co zostało zmieszane z betonem: jeszcze jeden przykład niedoskonałości rzemiosła Louisa. Ciągnę bez przekonania, ale za mało tego, żeby dobrze chwycić.

Tracę zainteresowanie, otrzepuję pył z rąk i zostawiam skrawek tam, gdzie był. Przestronne wnętrze stodoły ostro pachnie starym drewnem i winogronowym piżmem. Nie pomyślałbym, że można poczuć znużenie po tym, co się stało, ale upał i potrzeba odreagowania to potężna mieszanka. Opieram głowę o chropawą kadejkę, gapię się na zalany słońcem dzień za wrotami, kwadrat światła w ciemności...

Coś uderza mnie w stopę i przez chwilę wydaje mi się, że znowu wpadłem w szczęki. Potem resztki snu opadają i widzę postać nieostro rysującą się nade mną.

— Co? — wyrzucam z siebie, gramoląc się na nogi.

Nie wiem, czy mi ulżyło, kiedy stwierdziłem, że to Arnaud. Wpatruje się we mnie chłodno, nogę trzyma uniesioną, gotów jeszcze raz mnie kopnąć. Lulu gorączkowo macha ogonem, jakoś tak, że jednocześnie wygląda na zahukaną i winną.

— Co robisz? — pyta Arnaud.

Przecieram zaspane oczy.

— To moja przerwa na lunch.

— Już po czwartej.

Patrzę za niego, światło na zewnątrz się zmieniło. Wysoko wisi mgiełka, jak muślin oblekła niebo w jednostajną biel — słońce stało się bezkształtnym blaskiem.

Ale nie jestem w nastroju do przeproszenia.

— Nie martw się, nadrobię.

Czekam, aż Arnaud zaraz rzuci jakiś komentarz, ale on właściwie nie słucha. Marszczy czoło pochłonięty myślami.

— Podobno żandarmi z tobą rozmawiali.

— Jeden z nich rozmawiał.

— O czym?

— O tym, co się stało wieczorem.

— I?

— Co i?

— Co mu powiedziałaś?

Kusi mnie, żeby go podręczyć, ale nie mam do tego serca.

— Że było za ciemno i nic nie widziałem.

Przygląda się uważnie mojej twarzy, szuka znaków, że kłamię.

— Tylko tyle chcieli wiedzieć?

— Pytał, co sobie zrobiłem w stopę.

Gorzki uśmiech.

— Więc nagadałeś mu o pułapkach, co?

— Wyjaśniłem, że wszedłem na gwóźdź.

— Uwierzył ci?

Wzruszam ramionami.

Rusza zuchwą, jakby to przeżuwał, potem odwraca się i odchodzi. Nie ma za co, dodaję w duchu, patrząc na jego plecy. Nie mniej niż Arnaud chcę, żeby policja tu węszyła, ale zwyczajne „dziękuję” by go nie zabiło. Po paru krokach zatrzymuje się jednak.

— Mathilde gotuje coś specjalnego na wieczór — mówi burkliwie. — Możesz zjeść z nami.

Zanim zdążam odpowiedzieć, jego już nie ma.

# Rozdział 14

Podwórze jest spowite cieniem, kiedy kuśtykam w stronę domu. Jakaś zabłąkana kura uparcie nie schodzi mi z drogi, więc odsuwam ją na bok laską. Gdacze, trzepocze skrzydłami, potem się uspokaja i znów bierze się do dziobania jakiejś niewidocznej plamki. Umyte włosy przylegają mi wilgocią do skóry, a broda, tymczasowa przez cały czas, jest mokra. Nawet ubrałem się odświeżnie, włożyłem świeży T-shirt i najczystsze dżinsy, jakie miałem. Czuję się nieswojo, ta okazja sprawia, że znajome kąty stają się obce.

Muszę ciągle sobie przypominać, że to tylko kolacja.

Lulu została zesłana na podwórze. Z nadzieją czai się pod kuchnią, przymila do mnie krótko, kiedy się zbliżam, ale bardziej interesuje ją powrót do środka. Okna są otwarte, dolatuje z nich zapach pieczonego mięsa. Podnoszę rękę, łapię się na wahaniu i pukam. Otwiera Gretchen. Cofa się, żeby mnie wpuścić, oschłym „nie, Lulu!” niweczy psie usiłowania, żeby przedrzeć się bokiem.

W kuchni jest ciepło i parno od gotowania. Rondle kipią na starym piecu. Mathilde energicznie miesza łyżką w jednym z nich. Uśmiecha się do mnie zdawkowo.

— Usiądź.

Podchodzę do stołu zastawionego na cztery osoby i wysuwam jedno z krzeseł nie do pary.

— To papy — informuje Gretchen.

Zwleka przy stole, kiedy wybieram kolejne krzesło. Nie licząc ostatniego wieczoru, kiedy powiedziałem, żeby została w domu, nie rozmawialiśmy od jej napadu hysterii — bo jak inaczej to nazwać — przed stodołą. W jej postawie nie ma niczego, co wskazywałoby na zakłopotanie albo wrogość. Zachowuje się tak, jakby nic się nie stało.

— Zapytaj, czy chciałby aperitif — prosi ją Mathilde.

— Wiem, miałam to zrobić — odszczekuje Gretchen. Niezdarnie zwraca się do mnie. — Chciałbyś aperitif?

— Niezły pomysł.

Potrzebuję drinka, pomoże mi przetrwać ten wieczór; już i tak jestem na skraju wytrzymałości nerwowej. Spodziewam się, że Gretchen powie mi, co mają, ale ona patrzy pytająco na siostrę. Mathilde nie odrywa wzroku od rondli.



— Jest pastis.

Czekam, ale to chyba wszystko.

— Pastis może być — mówię.

Kiedy Gretchen wyjmuje butelkę z kredensu, wchodzi Arnaud. Niesie Michela, zaspanego i marudnego.

— A to co? — pyta, świdrując córkę wzrokiem.

Gretchen przestaje odkręcać nakrętkę z butelki ricarda.

— Mathilde powiedziała, żebym dała mu aperitif.

Arnaud dopiero wtedy na mnie spogląda. Jestem pewien, że każe dziewczynie odstawić butelkę, ale on tylko wzrusza ramionami.

— Jak chce zniszczyć sobie żołądek tym towarem, to jego sprawa.

Gretchen nalewa dużą miarkę do małego kieliszka, a drugi napełnia wodą. Oba stawia przede mną. Uśmiecham się w podziękowaniu i dodaję trochę wody do klarownego bursztynowego trunku. Płyn wiruje, robi się nieprzezroczysty i mleczny. Upijam łyk, lukrecja pali mi gardło.

Arnaud patrzy, jak opróżniam kieliszek.

— Niszcz żołądek, niszcz — powtarza.

Wznoszę kieliszek w ironicznym toaście. Niszczy czy nie niszczy żołądka, smakuje lepiej niż jego wino. Michel zaczyna się wiercić. Arnaud podrzuca go w górę i łapie.

— Hej, hej, a ty nic nie dostaniesz, hę?

— Powinien być w łóżku. — Mathilde spogląda znad rondla, w którym miesza.

— Nie chciał iść.

— Jest zmęczony. Jak go położysz, to...

— Mówiłem, nie chciał iść.

Nagle w pomieszczeniu słychać tylko bulgocące garnki. Mathilde opuszcza głowę. Rumieniec na policzkach mógł być wywołany gorącym piecem, ale przed chwilą go nie było. Arnaud wpatruje się w nią, potem podaje Michela Gretchen.

— Masz, trzeba go przewinąć.

— Ale papo...!

— Rób, co ci mówią.

Mathilde odkłada łyżkę.

— Ja go wezmę.

— Ty gotujesz. Ona może to zrobić.

— Może lepiej ja...

Arnaud ucisza ją uniesionym palcem, potem celuje nim w nią jak z pistoletu, póki Mathilde nie pochyła głowy i nie wraca do swojego zajęcia. Kiwa na młodszą córkę.

— Weź go.

Oburzona Gretchen wymaszerowuje z dzieckiem z kuchni. Arnaud podchodzi do pieca i wacha parujące jedzenie. Bierze łyżkę od Mathilde i próbuje sosu.

— Więcej pieprzu.

Kiedy Mathilde posłusznie miele ziarna, Arnaud z westchnieniem podobnym do chrząknięcia zajmuje krzesło. Swoje krzesło, oczywiście.

— Widzę, że górna partia ściany prawie wykończona — mówi, rozsiadając się.

Upijam łyk ricarda.

— Tak, prawie.

— Jak myślisz, ile czasu zajmie reszta?

Odstawiam kieliszek. Nie chcę myśleć o przyszłości.

— Ta ściana? Bo ja wiem? Może parę tygodni. A co?

— Nic, tak pytam, dla orientacji.

Kiedy rozmawiamy, Mathilde zestawia z ognia naczynie, w którym mieszała, i po cichu się wymyka. Nawet jeśli Arnaud to widzi, nie protestuje. Sięga po otwartą butelkę wina i nalewa sobie do kieliszka. Moczy usta i się krzywi. Na środku stołu, obok butelki stoi koszyk z pieczywem. Odłamuje kawałek chleba i żuje go, popijając.

Siedzimy w milczeniu zakłócanym tylko przez odgłos bulgotania. Nadal nie wiem, dlaczego Arnaud mnie zaprosił. Zakładałem, że dlatego, że kryłem go przed policją, ale teraz zaczynam podejrzewać, że powód jest inny. Arnaud nie z tych, co się odwdzięczają.

Do kuchni wraca Gretchen. Bez awantur idzie prosto do pieca i z powrotem stawia rondel na ogniu. Ojciec nie oszczędza jej spojrzenia. Albo nie jest świadom subtelnej zмовy córek, albo woli patrzeć na to przez palce.

Mathilde i Gretchen widać potrafią współpracować, kiedy muszą, mimo napięć między nimi.

Wypiłem swój pastis. Arnaud widzi pusty kieliszek i przesuwa butelkę wina.

— Masz. Czuj się jak u siebie w domu.

Nie wiem, czy sobie żartuje.

„Coś specjalnego” to polędwica wieprzowa bez kości, zwinięta i natarta solą i rozmarynem, upieczona z nieobranymi ząbkami czosnku. Kiedy Mathilde

podnosi parujący rondel, kuchnia wypełnia się mocnym zapachem. Dzieli mięso przy piecu, odkrawa ociekające plastry, a Gretchen stawia je na stole. Talerze z szalotkami, purée z kasztanów, boćwina i ziemniaki sauté już są rozstawione, Arnaud częstuje się pierwszy.

Na końcu Gretchen przynosi swój talerz. Siadając, łapie moje spojrzenie i się uśmiecha. Udaję, że nie zauważam, mam nadzieję, że jej ojciec też tego nie widzi. Próżna nadzieja.

— Co się tak głupawo uśmiechasz?

— Nic.

Patrzy na nią wściekle.

— Coś mnie tu ominęło? Jakiś dowcip?

— Nie.

— To co się szczerzysz jak osioł?

— Nie szczerzę się.

— Myślisz, że ślepy jestem? — parska, twarz mu ciemnieje i już ma coś dodać, kiedy Mathilde, stawiając talerz na stole, przewraca wino.

— Och, przepraszam!

Szybko podnosi butelkę, ale za późno — purpurowa struga płynie po blacie. Arnaud odsuwa krzesło, żeby na niego nie kapało. Wino ścieka z krawędzi, Mathilde biegnie po ścierkę.

— Uważaj, co robisz — parska, kiedy dziewczyna ściera wino.

Ale to odwraca jego uwagę od Gretchen. Mathilde przynosi drugą butelkę, najpierw napełnia kieliszek mój i ojca, potem nalewa mniejsze porcje sobie i siostrze. Gretchen marszczy czoło.

— Tylko tyle?

— Na razie. — Mathilde odstawia butelkę.

— Papo! — protestuje Gretchen.

Arnaud krótko, pobłażliwie kiwa głową. Gretchen rzuca siostrze triumfalne spojrzenie i napełnia sobie kieliszek po brzegi.

Mathilde spokojnie zajmuje swoje miejsce.

Gospodarz siedzi u szczytu stołu, naprzeciwko mnie, jego córki po bokach. Arnaud już zaczął jeść, ale ja czekam na Mathilde. Sos to musztarda ze śmietaną, nie za gorący, ugotowany z mięsnym wywarem. Polędwica jest bardzo smaczna.

— Doskonałe — mówię.

Pochwałę kieruję do Mathilde, ale przechwytyuje ją Arnaud.

— No pewnie. Nie znajdziesz lepszej wieprzowiny. — Nadziewa kawałek mięsa. Przeżuwa: zuchwa mu pracuje, mięśnie naprężają się pod uszami. Przełyka, patrzy na mnie. — To ta. Nie poznajesz? Powinieneś; pomagałeś ją zabić.

Przerywam krojenie, ale tylko na sekundę. Nie dam mu satysfakcji.

— Tak właśnie myślałem, że wygląda znajomo.

— Dzięki temu lepiej smakuje, co? Kiedy wiesz, skąd jest, to ma specjalny smak. — Ponownie napełnia sobie kieliszek, innym nie proponując wina. — Mathilde oczywiście się nie zgodzi. Uważa, że wieprzowina jest nieczysta. Prawda, Mathilde?

Dopiero teraz widzę, że na jej talerzu są tylko warzywa. Wzrok ma spuszczone.

— Mnie to po prostu nie smakuje — odpowiada cicho.

— Jej to po prostu nie smakuje. — Arnaud jednym haustem wypija połowę trunku z kieliszka. Złośliwy grymas wykrzywia mu twarz. — Kurczak jest w porządku, albo kaczka, albo królik. Ale nie wieprzowina. Jak myślisz dlaczego, hę?

— Ludziom smakują różne rzeczy. — Nie zamierzałem jej bronić. Chcę tylko zjeść kolację i wrócić na strych.

Arnaud wpatruje się we mnie zamyślony.

— Zgadza się — mówi sucho i wychyla całą zawartość kieliszka. Reszta wina z butelki podziela ten sam los.

Arnaud je i pije w wojowniczym skupieniu, króluje za stołem, przypomina zbyt czuły spust, który tylko czeka, aż go ktoś naciśnie. Ale główne dania przechodzą bez wybuchu. Potem jest kozi ser, robiony przez Mathilde, jak zwykle mocno aromatyczny, nie za twardy. Ja odmawiam, ale Arnaud smaruje go grubo nożem na kawałkach chleba.

Na zewnątrz już zmierzcha. Kiedy Mathilde włącza wysoką lampę stojącą, blask natychmiast zamienia półmrok za oknem w pełną noc. Wstaję z talerzem, kiedy dziewczyny zaczynają sprzątać stół, Arnaud jednak macha na mnie, żebym usiadł.

— Dadzą sobie radę.

Pochłania ostatni kawałek chleba z serem, ociera usta koniuszkami palców. Ale mimo rozluźnionej pozy widać po nim jakiś niepokój. Nagle odsuwa krzesło.

— Chodź. Przejdziemy do salonu.

Zarówno Mathilde jak i Gretchen patrzą za nim zdumione, kiedy wychodzi z

kuchni. Co teraz? — zastanawiam się, niechętnie idąc za nim.

Arnaud wchodzi przez drzwi na końcu korytarza. To długi, wąski pokój, który wygląda tak, jakby biegł przez całą szerokość domu. Kiedy przekraczam próg, Arnaud klęczy przy kominku, trzyma zapalną przy zwiniętej w kulę gazecie pod na wpół spalonymi kłodami. Kiedy kartki zajmują się ogniem, rzuca zapalną na kratę i prostuje się, w kolanach strzela mu jak z karabinu.

Obcesowo wskazuje na jedno z krzeseł.

— Siadaj.

Siadam, ale nie tam, gdzie pokazał, gdzie stoi kanapa i parę krzeseł, ustawionych mniej więcej w stronę kominka. Wybieram stary drewniany fotel z wygiętymi poręczami, zwodniczo wygodny. Choć wieczór jest ciepły, w pokoju panuje chłód pachnący stęchlizną starych mebli. Telewizor w rogu wygląda tak antycznie, że może być czarno-biały. Zauważam, że jedno z okien jest zabite deskami: pamiątka po wizycie Didiera poprzedniego dnia.

Arnaud włącza lampę i idzie do sekretarzyka z dwoma kredensikami po obu stronach rolety. Otwiera drzwiczki, wyjmując butelkę i dwa kieliszki.

— Lubisz koniak.

Tłumię zaskoczenie chęcią, żeby powiedzieć „tak”. Nalewa trochę i odstawia flaszkę. Przynosi mi kieliszek, siada naprzeciwko mnie w fotelu z wysokim oparciem. Ostrożnie się na nim sadowi i upija łyk.

— Ach. — Rozsiada się z zadowoleniem.

Sam też piję. Jasnozłoty likwor jest łagodny, tak jakby parował, zanim dosięga gardła.

— Trzydziestoletni — wyjaśnia Arnaud.

— Bardzo dobry.

Przynajmniej lepszy niż jego wino. Ale nadal czuję się zbyt skrępowany, żeby się w koniaku rozsmakować, na pewno jeszcze nie wystawiono rachunku za to wszystko. Zapada niezręczna cisza. Nie jestem pewien, czy chcę się dowiedzieć, co Arnaud trzyma w zanadrzu. Pociągam kolejny łyk i rozglądam się po pokoju. Przy kominku, na małym rozkładanym stoliku, stoi kilka zdjęć w ramkach. Najnowsze ukazuje Gretchen, kiedy była mała. Największe — widać je, mimo że jest z tyłu — przedstawia ciemnowłosą kobietę i dziewczynkę.

Arnaud zauważa, że się przyglądam fotografii.

— Moja żona i Mathilde.

— Są podobne.

Kiwa głową, patrzy na zdjęcie.

— Gretchen wzięła więcej ze mnie.

— Twoja żona była nauczycielką, prawda?

W zamierzeniu pytanie jest niewinne, ale Arnaud świdruje mnie ostrym wzrokiem. Zastanawia się, skąd wiem, chociaż o to nie pyta. Wyjmuje fajkę z kieszeni koszuli i zaczyna ją napełniać.

— Tak, kiedy spotkałem Marie, była nauczycielką. Ale zrezygnowała. Miała mnóstwo pracy tutaj.

— Ale i tak uczyła Mathilde.

Zasługuję tym sobie na kolejne przenikliwe spojrzenie.

— Chciała. Angielski, niemiecki, włoski... Uważała, że Mathilde powinna znać te wszystkie języki. Szczególnie włoski. Ze względu na kulturę włoską. — Zapala fajkę, zaciąga się z pogardliwą miną. — Na farmie nie ma miejsca na kulturę. Ani w realnym świecie, skoro o tym mowa. Ale i tak ją uczyła.

Zaciska wargi na cybuchu. Ani śladu sympatii czy uczucia. Myślę o fotografii ślubnej porzuconej w nieużywanej sypialni i robi mi się żal tej kobiety.

Kiwam głową w stronę zdjęcia jego żony i córki.

— Ile lat miała wtedy Mathilde?

— Dziesięć albo jedenaście. Zdjęcie zostało zrobione, zanim Marie zachorowała. — Wyjmuje fajkę z ust i oskarżycielsko wskazuje na mnie cybuchem. Niebieski dym wznosi się meandrami, napełnia pokój mocnym słodkim zapachem. — O tym też słyszałeś, co?

— Wiem, że umarła.

— Och, umarła, zgadza się. Jakaś wyniszczająca choroba. Przez ostatnie pół roku nie mogła wstać z łóżka. Zostałem sam do roboty na farmie z chorą żoną i dwiema małymi córkami. Lekarze mówili: to może być to, może być tamto, ale nigdy nie powiedzieli co konkretnie. Nic dziwnego, że nie potrafili Marie wyleczyć. Natrętne dranie. — Ze złością dopija koniak i wstaje. Bez pytania bierze mój kieliszek i idzie do sekretarzyka. — Na świecie pełno ludzi, którzy myślą, że są mądrzejsi od ciebie. — Znów napełnia kieliszki. Podaje mi mój i wraca na fotel, butelkę zabiera ze sobą. Zasepiony wciska fajkę w usta. — Zawsze znajdzie się ktoś, kto uważa, że może ci mówić, co masz robić. Lekarze. Sąsiedzi. Policja. — Rzuca mi szybkie spojrzenie. — Wszyscy ci, co mieli ozorem o prawach i wolności, i o byciu częścią społeczeństwa. Społeczeństwo! Ha! W społeczeństwie nie chodzi o wolność, tylko o to, żeby robić, co ci każą! — Wypija łyk i tak mocno wali kieliszkiem o poręcz fotela, aż trochę trzydziestoletniego alkoholu wylewa się przez szklany brzeg. — Człowiek ma

prawo żyć tak, jak mu wygodnie. Weźmy ciebie. Nawet nie jesteś Francuzem. Jesteś cudzoziemcem, Anglikiem, i co z tego? Co wiem poza tym? Nic. Tylko tyle, że coś ukrywasz.

Próbuję zachować twarz pokerzysty, żałuję, że tyle wypilem. Arnaud uśmiecha się pod nosem.

— Nie przejmuj się. To twoja sprawa. Nic mi do tego. Trzymasz język na wodzy i to mi się podoba. Ale cokolwiek byś ukrywał, przed czym byś uciekał, tak samo jak ja nie jesteś częścią społeczeństwa. — Pociąga łyk, przez cały czas nie spuszcza ze mnie wzroku. — Dlaczego nakłamałeś policji?

Nagła zmiana zaskakuje mnie.

— Wolałbyś, żebym nie nakłamał?

— Nie w tym rzecz. Mogłeś wrzucić mnie w gówno po uszy za te pułapki, a nie wrzuciłeś. Dlaczego? — Kolejny kwaśny uśmiech. — Ty i ja jesteśmy do siebie podobni, bardziej niż ci się wydaje. Co wiesz o Louisie?

Piję łyk koniaku, nie mam pojęcia, do czego Arnaud zmierza.

— Niewiele.

— Ale myślałeś o tym, co? Dlaczego nie lubimy o nim mówić. I dlaczego to miasteczkowe bydlę tak nas traktuje.

Wzruszam ramionami, coraz mniej mi się to podoba.

— Nie martw się, nie gniewam się za to. — Arnaud wyjmując z ust fajkę, krzywi się, jakby zostawiła po sobie zły posmak. — Louis był złodziejem czasu. Zarabiał na życie dorywczo, w budowlance, ale snuł wielkie plany. Zawsze coś planował. Jak nie winorośle, bo potanieją, to posągi. Miał dźwig i pick-upa, ja miałem gdzie przechować te rzeźby, póki się ich nie sprzeda. Oczywiście, nawet nie podejrzewałem, że dobiera się do majtek mojej starszej córki. — Patrzy gniewnie na fajkę. — Nie mogę winić Mathilde. Louis to taki czaruś, że muchy z krowiego zadka by za nim poleciały. Powinna bardziej myśleć i nie zająć w ciążę, ale kiedy zaszła, Louis zobaczył szansę dla siebie. Poprosił ją o rękę. Nie, żeby chciał postąpić honorowo, rozumiesz. Po prostu widział w tym sposób, żeby położyć łapę na tym wszystkim... — Robi szeroki gest, obejmujący dom i ziemię wokół niego. — Nie wiedział, że jak umrę, cały majątek przejdzie na Michela. Oczywiście o Gretchen i Mathilde też pomyślałem, ale farmy nie dostaną. I nie dostanie jej nikt, za kogo wyjdą, już ja o to zadbałem. Mój wielki błąd, że wygadałem się z tym Louisowi. Och, wtedy wyszło szydło z worka, a jakże. Powiedział mi, że już umówił kupca na posągi i wie o kimś w Lyonie, kto ma ich więcej na sprzedaż. Zapewniał, że zysk będzie podwójny, a ja uwierzyłem mu

jak głupi. Więc wybuliłem gotówkę, do tego dołożyłem coś ekstra na jego koszt, i tyle go widziałem. Ukradł pieniądze i porzucił matkę swojego dziecka, jakby była jakimś śmieciem!

Biedna Mathilde, myślę. Oczywiście się zorientowałem, że Arnaud naszkicował tę historię z grubsza, ale nawet biorąc pod uwagę, że to prawdopodobnie stronicza wersja, i tak to musiało być dla Mathilde upokarzające przeżycie.

— Oczywiście, wtedy się zaczęło: to całe obgadywanie za plecami, te wszystkie plotki — ciągnie Arnaud z goryczą. — Nie mogłem nikomu powiedzieć o tych cholernych posągach, zresztą to niczego by nie zmieniło. Louisa lubiano w miasteczku, był jednym z nich. Więc skoro musiał wyjechać, to przecież nie z własnej winy, no jasne. Mniejsza, że pieprzył moją córkę, że zawiódł moje zaufanie. Och, przecież nie zwałą winy na niego! Nie, to nasza wina, że wyjechał, na pewno go do tego zmusiliśmy!

Butelka grzechocze o kieliszek, kiedy Arnaud nalewa sobie kolejną porcję koniaku. Pije, jakby gryzł.

— To dało tym bezmózgim draniom pretekst, na który czekali. Dokuczali moim córkom, nawet Gretchen, za każdym razem, jak pojawiały się w miasteczku. Kiedy przestaliśmy tam jeździć, oni przyjeżdżali tutaj. Dostawaliśmy sprośne telefony, pewnej nocy ktoś próbował podłożyć ogień pod stodołę. Dosypali cukru do baku traktora. Więc kazałem odłączyć telefon i otoczyłem swój teren drutem kolczastym. Nie robiłem tajemnicy, że porozkładałem pułapki, żeby te sukinsyny wiedziały, czego mogą się spodziewać, jak wejdą na moja ziemię.

I wszyscy inni, dodaję w duchu. Ale szkoda ironii na Arnauda.

— Po co mi o tym mówisz?

— Żebyś wiedział, jak jest. Bo trzymałeś język za zębami, kiedy policja cię wypytywała.

Nie wierzę mu. Tu chodzi o coś innego, ale cokolwiek to jest, nie będę teraz dociekał. Arnaud dźwiga się z fotela, daje znać, że audiencja skończona.

— Starczy rozmów na ten wieczór. Jutro wcześniej wstajemy.

— Co robimy?

— Zbieramy pułapki. Policja o nie pytała. Te skurczybyki, co tu wczoraj były, musiały coś wypaplać. — Patrzy na mnie z nagłą podejrzliwością. — Na pewno nikomu o tym nie wspomniałeś?

— Już mówiłem, że nie.



Jeanowi-Claude'owi powiedziałem, że zraniłem się w stopę w tutejszym lesie, ale to wszystko. Arnaudowi chyba nie przyszło do głowy, że sąsiedzi, którymi tak gardzi, mogli nie czuć się zobowiązani, żeby zachować jego tajemnicę, zwłaszcza że dopiero co do nich strzelał. Ale dla niego takie sprzeczności najwyraźniej niewiele znaczą.

— Ta tłusta świnia z żandarmerii pouczała mnie, że stawianie pułapek jest niezgodne z prawem. Niezgodne z prawem! Na mojej ziemi! — Głos drży mu z wściekłości. — Więc go poinformowałem, że to, co tutaj robię, to moja sprawa i nie chcę o tym więcej słyszeć, chyba że wrócą z nakazem.

To mnie zmroziło.

— Myślisz, że wrócą?

— Skąd mogę wiedzieć? Ale gdyby jednak wrócili, to nie dam tym draniom satysfakcji, niczego nie znajdą.

— I co? Ja mam ci pomóc?

— Zgadza się. — Odrzuca głowę, żeby wysączyć resztki koniaku, ścięgną naprężają mu się po obu stronach szyi, wyglądają jak drabina bez szczebli. Cmoka z zadowolenia, odstawia kieliszek od ust i się uśmiecha. W świetle ognia na kominku ten uśmiech nadaje mu przebiegły wyraz, ale oczy ma twarde jak zwykle. — Chyba że wolałbyś wyjaśnić policji, dlaczego im nakłamałeś?

Koniak Arnauda buzuje mi w żyłach, kiedy wracam na strych. Noc jest nienaturalnie jasna, kontrastuje z mrokiem w mojej głowie. Trochę się zataczam, idąc przez podwórze, laska ślizga się na okrągłych brukowcach. W głębi stodoły panują egipskie ciemności, a lampę zostawiłem na górze. Biorę pustą flaszkę po winie, przewracam kilka innych. Lodowate srebro wody chlapie na ziemię, kiedy napełniam butelkę pod kranem, potem składam dłonie i obryzguję sobie twarz.

Lepiej.

Człapię po schodach, z zadowoleniem witam znajome kąty. Zamknąć klapę w podłodze to za duży wysiłek, więc zostawiam ją otwartą. Laska upada, kiedy próbuję ją oprzeć o ścianę, ale nie chce mi się schylać. Udaje mi się ściągnąć T-shirt i walę się na łóżko, nadal w dzinsach. Próbuję je zdjąć, naprawdę próbuję, jednak obfity posiłek i alkohol są jak ołowiane ciężarki na powiekach. Zamykam oczy, tylko na kilka sekund. Za chwilę wstanę i skończę się rozbierać.

Za chwilę...

Jestem z powrotem w starym pokoju, na starym łóżku. Czuję ruch materaca, a potem jej ciepło obok mnie. Delikatne wargi muskają moje usta, laskoczą mnie

w policzek. Szczęście płonie mi w piersi, że ona tu jest, że wszystko wróciło do normalności. Ale nawet kiedy to sobie uświadamiam i zaczynam reagować na pieśczoły, wiem, że coś jest nie tak. To uczucie narasta, gdy ona przyciska się do mnie... zapachy i zarysy są inne. Włosy układają mi się na piersi, kiedy mnie głaszczę, i wtedy otwieram oczy, znów widzę strych, a tuż nad swoją twarzą — twarz Gretchen. Sekunda, dwie, instynkt niemal bierze górę. Potem budzę się zupełnie, nadchodzi wstrząs. Siadam, zrzucam ją z siebie na materac.

Chichocze.

— Przestraszyłam cię?

W głowie mi huczy, serce wali. Odsuwam się od niej jeszcze bardziej.

— Co ty robisz?

— A jak myślisz? — Jej zęby i oczy lśnią w ciemności. Ma na sobie krótki T-shirt i nic poza tym. — Nie cieszysz się, że przyszłam?

— Nie powinnaś tu być.

— Dlaczego? Wszyscy śpią. A ty jesteś zadowolony, czuję to.

Sięga do moich džinsów. Odpycham ją.

— Musisz iść.

— Mówisz poważnie?

— Jak najbardziej.

Spuszczam stopy z materaca i wstaję. Ostatnie, czego mi trzeba, to romans z Gretchen, ale łatwiej mi o tym pamiętać, kiedy nie leżę obok niej.

Nawet w świetle księżycy widzę jej zmieszanie.

— Dlaczego? O co chodzi? Nie podobam ci się?

— Słuchaj... — powstrzymuję się. — To nie tak. Ja tylko... myślę, że powinnaś iść.

Zapada cisza. Próbuję wymyślić, co powiedzieć, żeby stąd poszła i nie dostała napadu złości. Jeśli teraz zacznie mówić o Mathilde, sprawy mogą przybrać fatalny obrót. Potem widzę jej uśmiech, białe zęby w ciemności.

— Boisz się papy? Boisz się, co?

Stoję spokojnie, niech wyciąga własne wnioski. Lepiej pozwolić jej w to uwierzyć, zresztą jest w tym trochę prawdy. Klęka na łóżku.

— O czym chciał z tobą porozmawiać? Nie mógł być bardzo zły, skoro dał ci swój najlepszy koniak. Wiem, że dał, bo zmywałam kieliszki.

— Chodziło tylko o farmę.

— Kłamczuch. — Śmieje się. — Nie martw się, nie pozwolę, żeby cię skrzywdził. Chyba że będziesz dla mnie niedobry.

Trudno mi się zorientować, czy to żart.

— Prosił, żebym mu pomógł przy pułapkach. Za parę godzin muszę być na nogach...

— To mnóstwo czasu.

— Gretchen...

— W porządku, pójdę. Nie chcemy, żeby papa znów skopał cię ze schodów.

— Wrócił jej dobry humor.

Idę do klapy w podłodze, kiedy Gretchen wstaje z łóżka. W jej włosach odbija się światło księżyca, kusy T-shirt nie osłania długich, nagich nóg. Wygląda ślicznie i przez chwilę cieszę się, że zasnąłem w dzinsach.

Podchodzi do mnie, uśmiecha się kokieteryjnie, lekko głaszcząc mnie po ramieniu.

— Nie dostanę chociaż buziaka na dobranoc?

— Nie dziś.

— Nie umiesz się bawić. — Wydyma usta, nie jest jeszcze gotowa, żeby mi odpuścić.

Czuję, jak jej palce przesuwają się w górę mojego bicepsa i zatrzymują, gdy napotykają plaster. Widzę, jak marszczy czoło, kiedy mu się przygląda.

— Co sobie zrobiłeś w ramię? — pyta.

## Londyn

Myję szklanki za ladą w barze Zed, kiedy wchodzi klient. Wygląda jakoś znajomo, ale nie aż tak, żebym sobie tym zaprzętał głowę. Nie okazuje po sobie, że mnie rozpoznaje, kiedy Dee podaje mu piwo. Zabiera je do stolika po drugiej stronie baru.

Wkrótce o nim zapominam. W takim miejscu spotyka się mnóstwo ludzi. Przez te miesiące, odkąd jestem w Zed, straciłem rachubę twarzy, które obsługiwałem z za baru. Dostałem tę pracę, po tym jak złożyłem wypowiedzenie w szkole językowej. Chciałem się całkowicie odciąć, a tam zbyt wiele rzeczy przypominało mi o Chloe. Kiedy się wyprowadziłem, przez jakiś czas mieszkałem u Calluma, spałem u niego na kanapie, aż znalazłem sobie kawalerkę w Fulham. Małą, ale mam gdzie powiesić plakaty filmowe i przechować płyty. Poza tym to tymczasowe rozwiązanie, póki nie zaoszczędzę tyle, żeby pojechać do Francji. To mój nowy plan, część nowego początku.

Ale nadal jestem tutaj.

Jakoś nigdy nie mogę znaleźć właściwego momentu, żeby wykonać ten ruch. Zawsze jest ten przyszły tydzień, przyszły miesiąc, przyszłe kiedykolwiek. Zresztą w Zed nie jest tak źle. To ekskluzywny lokal, za dnia przyciąga ludzi ze śródmieścia, którzy mogą sobie pozwolić na lunch na koszt firmy. Wieczorne tłumy są nie mniej majątne i doceniają wystrój — wielkie lustra za ladą ze stali nierdzewnej. Siergiej, właściciel, jest w porządku. Razem ze swoim partnerem Kaiem pomagają, kiedy robi się tłoczno. Znam gorsze miejsca pracy.

Poza tym to tymczasowe.

Mężczyzna, który wszedł wcześniej, podchodzi do baru po kolejne piwo. Tym razem sam go obsługuję. Nadal nie potrafię go umiejscowić. Duży facet, ma w sobie coś z twardziela, co różni go od zwykłych klientów Zed. Kiedy nalewam mu piwo, spogląda w stronę drzwi, potem na zegarek.

To wtedy uświadamiam sobie, kto to taki.

Spuszczam głowę, wydając mu resztę. Wraca do stolika. Zajmuję się innymi klientami, ale cały czas go obserwuję. Najwyraźniej kogoś się spodziewa i nie podoba mu się, że musi czekać.

To może być ktokolwiek. Ale ja wiem — z pewnością, która przyprawia o zawrót głowy — kto to będzie.

Właśnie przynoszę z kuchni lód, kiedy nadchodzi Jules. Jest z dwiema krzykliwie atrakcyjnymi dziewczynami. Panny chwieją się po alkoholu, roześmiane idą do stolika Lenny'ego. Na widok tej trójki staję jak skamieniały, potem robię w tył zwrot i wracam do kuchni.

Wpadam na Siergieja.

— Sean, uważaj, do diabła, jak idziesz! — mruczy z niezadowoleniem, próbując nie upuścić tacy, którą niesie.

— Przepraszam. — Pospiesznie odsuwam się na bok. — Hm, słuchaj, mógłbym zrobić sobie przerwę w pracy za barem? Pozmywałbym trochę, albo coś?

— Żartujesz? Może położysz się do góry brzuchem, a ja ci przyniosę kawy? — Nadal pomrukując, otwiera biodrem drzwi i znika w barze.

— Cholera — klnę pod nosem, kiedy wahadłowe drzwi się zamykają.

— Jakiś problem? — Dee podnosi wzrok znad talerzyków, na które nakłada łyżką oliwki.

— Nie, w porządku.

Biorę głęboki wdech i idę z powrotem do sali.

Dochodzę do wniosku, że najlepiej zachowywać się tak, jakby Julesa tu nie było. Przez jakiś czas to działa. W barze jest tłoczno, a co z oczu, to prawie z serca. Znow widzę Lenny'ego przy kontuarze, ale tym razem obsługuje go Dee. Nadal nie zwraca na mnie większej uwagi, więc zaczynam mieć nadzieję, że może dokończą pić i wyjdą, a Jules mnie nie wypatrzy.

Sprawy przyjmują zły obrót, kiedy całe towarzystwo już zbiera się do wyjścia. Zerkam przez lukę w tłumie i widzę, jak we czworo wstają od stolika. I jednocześnie, tak jakbym go zawołał, Jules odwraca się i wyławia mnie wzrokiem.

Szybko zaczynam obsługiwać innego klienta. Próbuję zachowywać się, jak gdyby nigdy nic, ale kiedy zdejmuję szklankę z półki, strącam dwie inne. Rozbijają się na podłodze.

Na odgłos tłuczonego szkła jak zwykle hałas cichnie, potem ludzie znów zaczynają rozmawiać. Siergiej, stojący trochę dalej, rzuca mi rozpaczliwe spojrzenie. Biorę śmietniczkę spod kontuaru i pochylam się, żeby zamieść odłamki, zadowolony z pretekstu, żeby się schować.

Kiedy wstaję, Jules opiera się o bar.

Ignoruję go, wyrzucam stłuczone szkło do kosza na śmieci i dalej podaję drinki. Przez cały czas wiem, że na mnie patrzy. Wkrótce z moich klientów za barem zostaje tylko on. Nie mogę już udawać, że faceta nie ma.

Staję naprzeciwko niego po drugiej stronie blatu ze stali nierdzewnej. Jest wysportowany i opalony, ale kiedy porusza głową, oświetlenie baru ujawnia ciemne kręgi pod oczami, wyglądają jak siniaki. Na twarzy jednak ma ten sam półuśmiech, który zapamiętałem.

— Zrezygnowałeś z uczenia? — Ostentacyjnie się rozgląda. — Fajni ludzie tu są, co? Dobre dają napiwki?

— Czego chcesz?

— Och, mógłbyś się bardziej postarać. Nie powinieneś zapytać, czego bym się napił? Czym mogę służyć, proszę pana? Coś w tym stylu?

Podchodzi jakaś para. Mężczyzna daje znak.

— Kieliszek chablis i...

— On rozmawia ze mną — rzuca Jules, nie odwracając się.

— Ja tylko...

Jules nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Spieprzaj.

Mężczyzna stawia się, ale jakoś tak bez przekonania. Pozwala, żeby kobieta

go odciągnęła.

Jules znowu się do mnie uśmiecha. Jego źrenice są jak główki szpilek. Mówię sobie, że jest dla mnie nikim, niech powie, co ma do powiedzenia, i odejdzie. Ale nie jestem przygotowany na jego następne słowa.

— Przekażę Chloe, że cię spotkałem. — Unosi brwi. — Bo chyba wiesz, że do mnie wróciła, co?

Nie, nie wiem. Nie widziałem się z nią, odkąd się wyprowadziłem. Zastanawiałem się, czy nie zaproponować, że zostanę do czasu, aż usunie ciążę, ale w końcu dałem sobie z tym spokój. To, co robi ze swoim życiem, to nie moja sprawa, dała mi to jasno do zrozumienia. Uznałem, że całkowite zerwanie będzie najlepsze dla nas dwojga.

Ale nie miałem pojęcia, że wróciła do Julesa. Wiedziałem, że aborcja była jej i tylko jej decyzją, i zakładałem, że w takim razie z nim też zerwała. Uczucia musiałem mieć wypisane na twarzy.

— O, znaczy, że pierwsze słyszysz. — Uśmiecha się.

— Jak ona się miewa?

— A co cię to obchodzi? Już się rozstaliście, prawda? Kostki palców aż bieleją mi na szklance, którą trzymam, ale wtedy pojawia się Lenny. Jules jest wysoki, tamten jednak góruje nad nim wzrostem.

— Idziesz?

— Właśnie gawędzę ze starym przyjacielem Chloe. Lenny spogląda na mnie lekceważąco.

— No to kończ już tę gadkę. — To bardziej rozkaz niż prośba.

Jules się czerwieni, a tamten wraca do dwóch pijanych dziewczyn.

— Interesy wzywają. Powiem Chloe, że się z tobą widziałem. Będzie zachwycona.

Kiedy poszedł, stoję jak wryty. Jakiś mężczyzna macha do mnie kartą kredytową.

— Hej, obsługujesz czy tylko się gapisz? Odwracam się i idę do kuchni. Siergiej coś do mnie mówi, ale nie słyszę co. Wychodzę przez drzwi pożarowe na uliczkę na tyłach. Czuć słodki zapach śmieci i moczu.

Drzwi zatrząskują się za mną, opieram głowę o ścianę i zamykam oczy.

# Rozdział 15

**N**ie śpisz, ty tam, na górze?

Te słowa to lina holownicza do świadomości. Otwieram oczy, kiedy mnie wyciąga, nie wiem, kto wołał, nawet nie wiem, czy mi się to nie przyśniło. Dudnienie przekonuje mnie, że nie, ktoś dobija się do zamkniętej kłapy.

— No, budź się, ty leniwy draniu!

Arnaud. Moja pierwsza myśl: Gretchen. Zrywam się i siadam, jakbym był na sprężynie, niemal pewny, że dziewczyna tu została. Dzięki Bogu jestem sam. Komoda nadal stoi na klapie — przesunąłem ją tam wczoraj wieczorem. Może wytoczyłem zbyt ciężkie działo, żeby powstrzymać osiemnastoletnią pannicę, ale wystarcza również na jej ojca. Narasta we mnie panika, jestem prawie przekonany, że ojciec wie o wizycie córki, potem przypominam sobie, że miałem mu pomóc przy pułapkach.

— W porządku — krzyczę. W głowie mnie łupie po mocnym wińsku i koniaku Arnauda, brutalne przebudzenie nie łagodzi tego.

— Najwyższy czas, do cholery! — Słyszę, jak drewniane stopnie trzeszczą pod jego ciężarem. — Pospiesz się i zwlecz swoją dupę na dół!

— Daj mi pięć minut.

— Masz dwie!

Jego kroki ociężale oddalają się od kłapy. Jęczę, zwieszam głowę. Świt wstał pewnie dopiero co. Na strych wsącza się szare wczesne światło. Nie chcę niczego więcej, jak tylko paść z powrotem na materac i przespać jeszcze jedną godzinę, ale wkładam kombinezon i schodzę. Zatrzymuję się przy kranie, żeby ugasić pragnienie i ochlapać wodą twarz i szyję. Kropelki osiadają na mojej brodzie, ich chłód tymczasowo ratuje mnie przed bólem głowy.

Arnaud czeka na zewnątrz z Lulu, płócienna robotnicza torba zwisa mu z ramienia. Pod pachą niesie karabin. Widać po nim bladość kaca, a siwy zarost wygląda jak warstewka szronu na brązowej twarzy. Piorunuje mnie wzrokiem.

— Mówiłem, żebyś wcześniej był gotowy.

— Nie wiedziałem, że to znaczy: bladym świtem. A co ze śniadaniem?

— Jakim śniadaniem?

Już kroczy przez podwórze. Ruszam za nim, Lulu przymila się do mnie jak do dawno niewidzianego przyjaciela. Spodziewam się, że Arnaud pójdzie traktem w

stronę drogi, ale on idzie wzdłuż stajni. Myślałem, że do tej pory zdążyłem dobrze poznać farmę, ale tam widzę ścieżkę, o której istnieniu nie miałem pojęcia. Zaczynam się zastanawiać, co tu jeszcze jest, o czym nie wiem.

Wlokę się za Arnaudem. Słysząc chór ptasich śpiewów, czysty jak dzwon w chłodnym powietrzu, w nisko leżącej mgłę. Żałuję, że nie włożyłem T-shirtu pod kombinezon, pocieram ramiona i wyczuwam zarys plastra. Na chwilę poranek robi się chłodniejszy, kiedy przypominam sobie amnezję Gretchen z ostatniego wieczoru. Na swój sposób to bardziej niepokojące niż fakt, że mnie zaatakowała. To mogła być tylko gra, bo w ogóle nieza z niej komediantka. Ale to nie zdarzyło się pierwszy raz: pamiętam, że jak spaliła zdjęcie, potem nigdy o tym nawet nie wspomniała. Wtedy przypuszczałem, że po prostu stworzyła sobie wygodne wspomnienia i wolała zapomnieć o niezręcznym incydencie.

Teraz zastanawiam się, czy to nie było coś więcej.

Ścieżka wprowadziła nas w głęboki las za domem, bufor między farmą a resztą świata. Próbując wyrzucić Gretchen z myśli, skupiam się na tym, żeby nie potknąć się o korzenie. Przede mną kark Arnauda, sztywny i nieugięty, poryty poziomymi bruzdami. Karabin zawiesił na ramieniu, a mnie za późno świta w głowie pytanie: czy wyprawa z nim do tego odizolowanego lasu to dobry pomysł. Nie wiem, co mogła nagadać Gretchen, ale Arnaud raczej nie z tych, którzy łaskawie rozstrzygają wątpliwości na korzyść kogoś obcego. Wystrzału nikt by nie usłyszał, a ciało mogłoby w nieskończoność spokojnie leżeć między korzeniami.

Otrząsam się z makabrycznych wizji. Arnaud jest prostolinijny: gdyby chciał mi wyrządzić jakąś krzywdę, już bym o tym wiedział. Poza tym tak mnie boli głowa, że tylko ulżyłby mi w cierpieniu.

W lesie panuje spokój, wyostrzona cisza, każdy dźwięk słyhać w niej wyraźniej. Parę metrów obok nas coś szeleści. Lulu najeża się i skacze za tym czymś, ale Arnaud sprowadza ją z powrotem surowym słowem. Pies niechętnie wraca, rzuca za siebie żałosne spojrzenie.

Na zakręcie Arnaud schodzi ze ścieżki i idzie między drzewa. Trawa jest pokryta kroplami rosy, ocieram o nią kombinezonem, który ciemnieje od dołu.

Lulu wysforowała się do przodu, ale Arnaud znowu ją przywołuje, łapie za obrożę i szarpie w tył.

— Nie boisz się, że wpadnie w pułapkę? — pytam.

— Nie puszczam jej blisko nich.

— A jak sama pójdzie w las?



— Wtedy sama będzie sobie winna. — Dokładnie przygląda się ziemi przed sobą. — Tutaj.

W trawie kryje się kanciasty, ostry kształt. Szczęki pułapki są otwarte, pośrodku jest kwadratowa płytką. Arnaud podnosi zeschniętą gałąź i dźga nią w tę płytkę. Żelazne zęby zatraskują się, rozłupując drewno. Ściąga plecak z ramion i wyjmuje coś, co przypomina złożoną na pół, starą wojskową saperkę. W pierwszym odruchu chce się cofnąć, ale Arnaud rozkłada narzędzie i mi podaje.

— Wykop szpilę.

Biorę sprzęt i opieram laskę o drzewo. Czasem zastanawiam się, czy nadal tak bardzo jej potrzebuję, ale bez niej czuję się dość niepewnie. Pułapka przymocowana jest do szpili kawałkiem łańcucha. Jeden koniec narzędzia to szpiczasty szpadel, na drugim znajduje się kilof. Walę kilofem, dopóki nie naruszę powierzchni, potem zawzięcie macham szpadlem, wzbijając prysznice ciemnej ziemi.

Arnaud czeka z workiem. Wrzucam do środka pułapkę i podaję mu narzędzie.

— Możesz je nieść — mówi i zawraca na ścieżkę.

Wykopujemy kolejne dwie pułapki i dopiero wtedy wracamy do znajomej części lasu. Patrzę na krajobraz przed sobą. Obraz farmy, drzew i jeziora wrył mi się w umysł jak zły sen. Arnaud czeka pod drzewem. Obnażone korzenie są głęboko nacięte tam, gdzie wbijałem w nie nóż. Obok leży pusta butelka po wodzie. Pułapka u podstawy drzewa nadal jest zatrzaśnięta, krawędzie zaciśniętych szczęk oblepia czern.

— No? Na co czekasz? — pyta Arnaud.

Odkładam tę niby-saperkę.

— Tym możesz zająć się sam.

W jego oczach pojawia się złośliwa iskierka.

— Budzi złe wspomnienia, co? Spokojnie, teraz nie robi ci krzywdy.

Nie odpowiadam. Arnaud przestaje się uśmiechać. Rzuci torbę i karabin, wrywa mi szpadel-kilof i zaczyna dziabnąć grunt wokół szpili. Wali w ziemię i w korzenie niemal na oślep. To silny mężczyzna, ale szpila tkwi zakopana głęboko, sam się o tym przekonałem. Trzeba ją obluźowywać dłużej niż inne. Arnaud oblewa się potem. Rozpina koszulę, ukazując białą, bezwłosą pierś. Kiedy się schyla, żeby wziąć pułapkę, nagle nieruchomieje i przykłada rękę do krzyża.

— Włóż to do worka — mówi, prostując się, twarz ma szarą. — A może to też jest przeciwko twoim zasadom?

Odchodzi na sztywnych nogach, zostawia mnie, żebym dokończył robotę. Podnoszę pułapkę za szpilę. Tam, gdzie próbowałem ją podważyć, nadal są jasne zadrapania. Powoli kręci się na łańcuchu, obrzydliwy wisior ze splamionego krwią metalu.

Wrzucam ją do worka.

Pułapki są rozsiane po całym lesie. Pełne worki stawiamy przy ścieżce, żeby później je zabrać. Wszystkie pułapki są dobrze schowane, ukryte między korzeniami drzew i kępami trawy, w jednym przypadku nawet w płytkiej dziurze, zręcznie zamaskowanej patykami i gałęziami.

Arnaud jednak bezbłędnie je znajduje, namierza bez wahania. Napełniony do połowy worek obija mi się o nogę, gdy przechodzę do kolejnych metalowych szczęk. Zarosły gęstą trawą, widać tylko łańcuch. Arnaud szuka patyka, żeby je odsłonić.

— Po co to? — pytam.

— Co: po co?

Zwalam worek na ziemię.

— No te pułapki.

— Żeby odstraszyć intruzów, a co myślałeś?

— Wtedy, wieczorem, to nie pomogło.

Arnaudowi napinają się mięśnie w policzkach.

— Mieli szczęście.

— A ty nie miałeś?

— Niby o co ci chodzi?

— Myślisz, że dostałbyś od policji tylko ostrzeżenie, gdyby ktoś w to wdepnął?

— Mam to gdzieś.

— To po co je zbieramy?

— Bo nie chcę dać im satysfakcji, gdyby je znaleźli. Za tydzień, dwa, jak wszystko ucichnie, znowu je zastawię. — Patrzy na mnie dziwnie, z ukosa. — A jak kogoś złapię, to myślisz, że da radę polecieć na policję? — Do końca oczyszcza teren wokół pułapki i wybucha krótkim śmiechem. — Tej nie trzeba rozbrajać.

W zamkniętych szczękach tkwią szczątki królika. Truchło musi tu leżeć od miesięcy. Muchy i czerwie zrobiły już swoje, zostawiły tylko wysuszony kłębek futra i kości.

Arnaud dotyka tego stopą.

— Podnieś to.

Poranny chłód i mgła wyparowały do czasu, kiedy Arnaud wreszcie ogłasza przerwę. Słońce przesącza się między konarami, jeszcze nie jest gorące, ale obwieszcza, że nadejdzie upał. Zatrzymujemy się w miejscu, gdzie nieduża płaska skała przebija się przez ziemię, tworząc naturalne siedzisko. Arnaud opiera o nią karabin i sam rozsiada się na skałce. Ja siadam na ziemi, zadowolony z odpoczynku.

— Ile pułapek jeszcze zostało?

— Znacznie więcej w lesie przy jeziorku. A co? Zmęczony?

— Nie, rozkoszuję się każdą minutą.

Parska śmiechem, ale nie raczy odpowiedzieć. Kiedy staram się nie myśleć, jak długo jeszcze do śniadania, Arnaud szpera w torbie i wyjmuje paczkę zawiniętą w pergamin. I Lulu, i ja patrzymy, jak ją rozwija. W środku są dwie piersi kurczaka na zimno. Ku mojemu zaskoczeniu daje mi jedną.

— Masz.

Biorę, zanim zmieni zdanie. Znowu grzebie w torbie, tym razem wyjmuje plastikową butelkę z wodą i bochenek chleba.

— Wczorajszy — mówi pogardliwie i łamie go na pół.

Wszystko mi jedno. Jemy w milczeniu, dzielimy się wodą z butelki, chociaż zauważam, że obaj ocieramy szyjkę przed piciem. Co jakiś czas rzucam okrawki Lulu, która je pochłania, jakby głodowała. Arnaud nie zwraca na nią uwagi.

Skończył, wyjmuje fajkę i ją nabija. Też bym sobie zapalił, ale tak się spieszyłem, żeby zejść ze strychu, że zostawiłem papierosy.

— Jak twoje plecy? — pytam. To ma być ofiara dziękczynna za jedzenie. Arnaud gryzie ustnik fajki i gapi się przez dym.

— Ani trochę lepiej, żeby kopać.

Milkniemy. Arnaud jest równie nieprzejednany jak ta skała pod nim. W pewnej chwili przyłapuję go na tym, że się we mnie wpatruje, bez słowa odwraca wzrok. Jest w nim jakieś napięcie, które na nowo rozpala moją wcześniejszą paranoję. Podnosi karabin, patrzy wzdłuż lufy.

— To korzystasz ze wspaniałomyślności mojej córki?

O cholera, gorączkowo zastanawiam się, co Gretchen mu powiedziała.

— To znaczy?

Rzuca mi zirytowane spojrzenie. Odstawia broń i bawi się fajką.

— Mathilde. Rozpieszcza cię jak noworodka. Gotuje ci, zmienia bandażę.

— Fakt... Tak, jest... bardzo wspaniałomyślna.

Wyjmuje fajkę z ust, strzepuje niewidzialny pyłek z główki i znów wkłada ją między zęby.

— Co o niej myślisz?

— Nie rozumiem...

— To dość proste pytanie. Co myślisz o Mathilde? Atrakcyjna dziewczyna, nie?

Arnaud potrafi mnie obrażać bez względu na to, co powiem, więc wybieram prawdę.

— No, owszem.

Chyba to chciał usłyszeć. Zaciąga się fajką.

— Miewała ciężko. Prowadzenie domu. Opiekowanie się Gretchen, kiedy matka umarła. Teraz została sama z dzieckiem. Nie jest jej łatwo.

Jakoś nie zauważyłem, żeby on próbował ułatwić jej to życie.

— Mnie też nie było lekko — ciągnie. — Wychować dwie córki. W takim miejscu człowiek potrzebuje syna. Kogoś, kto może z nim pracować i w końcu wszystko przejąć. Zawsze miałem nadzieję, że Marie da mi chłopca, ale nie. Tylko dziewczynki. Mówię ci, dziękowałem Bogu, kiedy urodził się Michel. To nie zabawa, jak wokół są same kobiety. — Wystukuje resztki tytoniu o skałkę, patrzy na fajkę, nie na mnie. — Ale Mathilde ma jeszcze gorzej. Ładna dziewczyna, jeszcze młoda. Potrzebuje mężczyzny. Najlepiej, żeby to był mąż, ale trzeba być realistą. — Ściąga wargi, nadal ogląda fajkę. — Rozumiesz, o co mi chodzi?

Nie przytakuję ani nie zaprzeczam, przechylam głowę.

— Problem w tym, że mężczyźni z okolicy są niewiele warci. Małe mózdzki, tyle mają. Połowa z nich pieprzyłaby się z krową, gdyby potrafili znaleźć odpowiedni stołek, żeby na nim stanąć, ale jeśli chodzi o niezamężną kobietę z dzieckiem innego... — Wzdycha ździebko zbyt teatralnie. — Myślałby człowiek, że okażą się bardziej rozumni i nie pozwolą, żeby zaślepiły ich uprzedzenia. Nie będę żył wiecznie, a Mathilde to moja najstarsza. Michel jest za mały, dużo lat minie, zanim przejmie gospodarstwo, a wtedy już nie dam rady mu pomóc. A tu, pierwszy przyznam, ciężka praca, ale... Hm, niewiele trzeba, żeby zobaczyć potencjał tej farmy. Rozumiesz? — Po raz pierwszy patrzy wprost na mnie.

— Chyba tak — odpowiadam. Po prostu nie mogę uwierzyć, żeby to mówił na poważnie.

Kiwa głową z zadowoleniem.

— Od nikogo bym nie wymagał, żeby z miejsca się zdecydował. Ale

właściwemu człowiekowi warto dać trochę czasu do namysłu, chyba się zgodzisz?

— A według ciebie właściwy człowiek to kto? — pytam neutralnym tonem. Ale najwyraźniej nie tak neutralnym, jak zamierzałem, bo Arnaud wbija we mnie przenikliwe spojrzenie.

— Ktoś, kto potrafi rozpoznać okazję, kiedy ją widzi — odpowiada. A potem mniej cierpkim tonem: — Ktoś, komu mogę zaufać.

— Tak jak zaufałeś Louisowi?

Ogorzała twarz zaciska się jak pułapka. Arnaud wsadza fajkę do kieszeni i wstaje.

— Dalej. Zmarnowaliśmy dość czasu.

Dźwigam się ze zmęczeniem i schylam po worek. Zza pleców dochodzi mnie odgłos repetowanego zamka karabinu. Odwracam się i widzę Arnauda, trzyma lufę nisko, ale wycelowana jest we mnie.

Nie ruszam się. Uświadamiam sobie, że przygląda się Lulu. Spaniel patrzy między drzewa, uszy ma nastawione.

— Co ona...?

— Ćś! — Przegania mnie ruchem ręki na bok.

Pies jest tak spięty, że aż drży. Arnaud przykłada kolbę do ramienia, przygotowuje się.

— Bierz.

Komenda jest zaledwie trochę głośniejsza od szeptu, ale Lulu rusza w las, idzie sztywnym krokiem, w zwolnionym tempie. Kawalek dalej przystaje, przednią łapę zawiesza w górze. Nadal niczego nie widzę. Nagle rzuca się naprzód. W tej samej chwili z trawy przed nią wylatują dwa ptaki, krążą w powietrzu, trzepocząc skrzydłami.

Wystrzał jak grzmot sprawia, że podskakuję. Jeden ptak koziołkuje z góry. Jeszcze jeden huk. Drugi ptak skręca, podlatuje wyżej. Trzeci wystrzał, ale skrzydlaty cel już zniknął wśród gałęzi.

Arnaud klnie pod nosem. Opuszcza broń, mlaska ze złości. Lulu wraca truchtem, łeb niesie wysoko, ptak zwisa jej z pyska. Arnaud odbiera spanielowi zdobycz i czochra go między uszami.

— Dobry piesek.

Mimo rozczarowania polowanie wprawia go w lepszy humor. Wsadza ptaka — chyba kuropatwę — do torby.

— Kiedyś dostałbym oba. Już nie jestem tak szybki jak dawniej. Celuj i

strzelaj instynktownie, do tego to się sprowadza. Musisz dać się prowadzić odruchom. Liczy się pierwszy strzał. — Patrzy na mnie chłodnym wzrokiem. — Zapomnisz o tym, to minie cię okazja.

Postanawiam dosłownie wziąć jego słowa.

— Dlaczego nie używasz śrutówki?

— Śrutówki są dla tych, co nie potrafią strzelać. — Ociera kolbę. — To lebel 6 milimetrów. Mojego dziadka. Był starszy ode mnie i nadal trafiał nabojami 22 milimetry na pięćdziesiąt metrów. Masz. Potrzyмай sobie.

Niechętnie biorę karabin. Jest zaskakująco ciężki. Wytarta od używania drewniana kolba ma połysk ciepłego atłasu, szpeci ją biegnące przez pół długości pęknięcie. Z lufy bije siarczany zapach zużytego fajerwerku.

— Chcesz spróbować? — pyta Arnaud.

— Nie, dziękuję.

Oddaję broń, wściekam się, widząc jego zarozumiały uśmiech.

— Znowu taki wrażliwy czy po prostu boi się huków?

— I jedno, i drugie. — Podnoszę worek. — Możemy już iść?

Kiedy idziemy z powrotem do domu, poranek przechodzi w przedpołudnie. Zebraliśmy do worków kilkanaście pułapek, a nawet nie zaczęliśmy w lesie nad jeziorkiem.

— Zajmiemy się nimi innym razem — oświadcza Arnaud, masując sobie plecy. — Jeśli policja wróci, najpierw będą szukać blisko drogi.

Worki są nieporęczne i ciężkie, więc niesiemy po jednym na farmę. Na podwórzu Arnaud z brzękiem rzuca swój worek, szorstko każe mi przynieść z lasu resztę, a sam wraca do domu. Nic nowego, myślę kwaśno. Żeby przytaszczyć pozostałe worki, muszę zrobić kilka kursów. Dźwigam je na plecach, Święty Mikołaj od złomu. Wszystko mnie boli, ociekam potem. Ssąc otartą kostkę dłoni, staję na podwórzu, żeby złapać oddech. W drzwiach kuchni jakieś poruszenie, wychodzi Mathilde.

— To ostatnie? — pyta, zasłaniając oczy przed słońcem.

— Są stamtąd. Zostały jeszcze te nad jeziorkiem.

Nie potrafię powiedzieć, czy jest zadowolona, czy nie.

— Napijesz się kawy?

— Chętnie.

Wchodzę za nią do środka. Nie licząc Michela w drewnianym kojcu, jesteśmy w kuchni sami. Podchodzę do stołu — w ostatniej chwili przypominam sobie, żeby nie zająć miejsca Arnauda.

— Jak chcesz, siadaj na tym krześle, ojciec poszedł się położyć — mówi Mathilde, widząc, jak je omijam. — Bolał go plecy.

Nie mogę w sobie znaleźć współczucia.

— Gdzie Gretchen?

— Zbiera jajka. Niedługo wróci. — Mathilde sypie łyżeczką zmieloną kawę do maszynki i stawia ją na piecu. — Jak jej idzie z angielskim? — Pierwszy raz o to zapytała.

Próbuję być dyplomata.

— Powiem tak: nie sędzę, żeby była bardzo zainteresowana.

Mathilde nic na to nie mówi, jest zajęta przy zlewie, dopóki maszynka nie zaczyna perkotać, wtedy zdejmuje ją z płyty i leje czarny płyn do czarki.

— A ty się nie napijesz? — pytam, kiedy ją przynosi.

— Nie w tej chwili.

Ale się waha, potem — ku mojemu zaskoczeniu — jednak siada przy stole. Widzę, że jest zmęczona. Upijam łyk bardzo gorącego napoju, usiłuję wymyślić, co by tu powiedzieć.

— Żałujesz, że nie ma pułapek?

To nie najlepsze rozpoczęcie rozmowy, ale Mathilde podchodzi do tego spokojnie.

— Nie. Nigdy nie chciałam, żeby tam były.

— Twój ojciec zdaje się uważa, że farma wymaga ochrony.

Patrzy na mnie, potem odwraca wzrok. Szare oczy są niezgłębione.

— Nikt nie może zupełnie się odciąć.

Nie wiem dlaczego, ale to brzmi jak wyrzut. Oboje wpatrujemy się w Michela w kojcu, jakbyśmy mieli nadzieję, że przełamię milczenie. Nieświadom tego bawi się dalej.

— Czy ty... — zaczynam, ale się powstrzymuję.

— Tak?

— Nie, nic, nic.

Patrzy na dziecko, tak jakby domyślała się, o co chcę zapytać.

— Mów.

— Tylko się zastanawiałem... miałaś jakieś wieści od jego ojca?

Prawie się spodziewam, że się zezłości. Ona jednak tylko kręci głową, nie odrywając oczu od Michela.

— Nie.

— A gdzie on jest?

Prawie niewidoczne wzruszenie ramion.

— Nie wiem.

— Nie chce zobaczyć własnego syna? — Ledwie wypowiadam te słowa, natychmiast tego żałuję. Kto jak kto, ale ja nie mam prawa wypytywać o takie rzeczy.

Mija sekunda, zanim Mathilde odpowiada.

— Michel nie był zaplanowany. A Louis nie lubił odpowiedzialności.

Zapytałem już o więcej, niż powinienem. Ale między nami powstała jakaś zażyłość i jestem pewien, że nie uroiłem sobie tego. Coś w sposobie, w jaki siedzi, sprawia, że chcę jej dotknąć: ale otulam oburącz czarękę z kawą.

— Nie myślałaś kiedyś, żeby stąd odejść? Tylko ty i Michel?

Moja bezceremonialność wystraszyła ją chyba. Tak, to było bezceremonialne, owszem, ale im dłużej patrzę na jej ojca i siostrę — nawet na Georges'a — tym bardziej wydaje mi się, że Mathilde jest jedyną osobą przy zdrowych zmysłach na tej farmie.

— To mój dom — mówi cicho.

— Ludzie opuszczają domy.

— Mój ojciec... — przerywa. Kiedy zaczyna znowu, czuję, że nie to chciała powiedzieć. — Mój ojciec świata nie widzi poza Michelem. Nie mogłabym go zabrać.

— Nadal zostanie mu Gretchen.

Mathilde wygląda przez okno.

— To nie to samo. Zawsze marzył o synu. Córki to... rozczarowanie. Nawet Gretchen. Teraz jest Michel i ojciec chce, żeby mały wychowywał się na farmie.

— To nie znaczy, że ty musisz się do tego zastosować. Masz własne życie.

Jej pierś cicho unosi się i opada. Jedyna oznaka wzburzenia to szybkie pulsowanie na szyi.

— Nie zostawiłabym Gretchen. A ona nie pojechałaby ze mną.

No tak, pewnie nie pojechałaby, myślę, przypominając sobie, co powiedziała o Mathilde. Mimo to godzenie się Mathilde z losem jest irytujące. Chętnie zapytałbym, czy uważa, że siostra zrobiłaby dla niej to samo i czy warto poświęcać życie na każde zawołanie człowieka, który dopiero co próbował ją przehandlować jak uszkodzonych bogów. Ale już powiedziałem więcej, niż powinienem, i właśnie otwierają się drzwi do kuchni. Wchodzi Gretchen.

— Kurze z chorym okiem pogorszyło się — mówi, tuląc do brzucha miskę z jajkami. — Chyba trzeba... — Przerywa, kiedy mnie widzi.



Mathilde zrywa się od stołu i odchodzi. Czuję, że się czerwienię, jakby nas przyłapano.

— Co on tu robi?

— Po prostu mam przerwę. — Wstaję.

Mathilde zaczyna myć maszynkę do kawy.

— Co jest z tą kurą?

Gretchen nie odpowiada, ale jej mina mówi sama za siebie.

— Lepiej wróćę do pracy. — Przechodzę obok niej do drzwi. — Dzięki za kawę.

Mathilde szybko kiwa głową, przyjmując podziękowanie, ale nie patrzy na mnie. Gretchen całkowicie mnie ignoruje, stoi ze wzrokiem utkwionym w plecach siostry. Wychodzę, nie odszedłem daleko, kiedy przez otwarte kuchenne okno docierają do mnie podniesione głosy. Z początku są nie do rozróżnienia, ale potem jeden z nich — Gretchen — staje się coraz wyższy i przybiera na sile, aż słowa stają się zrozumiałe.

— ...że co? Dlaczego zawsze próbujesz wszystko zepsuć?

Nie słyszę odpowiedzi Mathilde, tylko jej uspokajający ton. Głos Gretchen robi się za to coraz ostrzejszy.

— Tak, akurat! Kto dał ci prawo mi rozkazywać? Niedobrze mi się robi, kiedy się zachowujesz jak...!

Rozlega się głośnie plaśnięcie. Chwilę później drzwi otwierają się na oścież i wypada Gretchen. Tuż za nią pojawia się Mathilde.

— Gretchen! — W jej głosie słychać udrękę.

Gretchen odwraca się na pięcie, żeby stanąć oko w oko z Mathilde, na jej policzku czerwienieje podłużny ślad.

— Nienawidzę cię! — Rzuca się pędem przez podwórze.

Mathilde biegnie za nią kilka kroków, ale zatrzymuje się, słysząc płacz Michela. Na jej twarzy jasno widać zmartwienie, potem zauważa mnie. Odwraca się, wraca do środka, do syna.

Wychodzę z ukrycia w stajni, ale najpierw sprawdzam, czy Gretchen już zniknęła z horyzontu. Jakikolwiek ma problemy z Mathilde, nie zamierzam się w nie łądować. Wróciła zwyczajna cisza farmy. Idę do stodoły, nie jestem pewien, co robić. Nie ma sensu mieszać kolejnej porcji zaprawy; pewnie zbliża się pora lunchu, a po tak wczesnym początku dnia nie chce mi się od razu włączyć na rusztowanie. Po kawie czuję się jeszcze bardziej spragniony, więc idę do kranu napić się wody. W stodole jak zwykle jest chłodno, zalatuje starym

drewnem i kwaśnym winem. Odkręcam kurek, wsuwam złożone dłonie pod zimne rozbryzgi. Ponad pluskiem słyszę inny hałas. Zakręcam wodę, wychodzę ze stodoły i wycieram wilgotne ręce w kombinezon. Z lasu nad jeziorkiem dobiegają odgłosy zamieszania. Za daleko, żeby coś konkretnego usłyszeć, ale po kwiku można się domyślić, że kolejna świnia spotyka się ze swoim stwórcą.

Potem rozlega się krzyk.

Gretchen.

Ruszam ścieżką. Idąc, dźgam laską, to biegnę, to skaczę. Im bliżej jestem świńskiej zagrody, tym głośniejsza wrzawa. Wrzaski, ujadanie psa, kwik. Kiedy docieram do polany, widzę Georges'a, Lulu i odyńca w skomplikowanym tańcu. Stary usiłuje zagnać dzika z powrotem do chlewu, tymczasem spaniel atakuje zwierza z wściekłością. Rozjuszony dzik biega w kółko, próbując się dobrać do Lulu, wali w kawałek deski, którą Georges go popycha, i mało nie zbija starego z nóg.

Gretchen stoi niedaleko, zamarta, przyciska dłonie do ust.

— Weź psa! — krzyczy do niej Georges, jednocześnie stara się zatrzymać dzika i kopnąć spaniela. — Złap go!

Dziewczyna się nie rusza. Widzę, że stary opada z sił. Próby utrzymania obu zwierząt z osobna są coraz bardziej ociężałe. Ogląda się przez ramię, kiedy wchodzę na polanę, i Lulu wykorzystuje tę chwilę, żeby przemknąć mu między nogami. Georges potyka się, puszcza deskę, a kiedy pies próbuje uciec, Bayard szarżuje. Słysząc przenikliwy krzyk i wyraźne chrupnięcie — szczęki odyńca zamykają się na tylnej nodze spaniela.

Nie zwalniając, pędzę prosto na dzika, mam nadzieję, że odepchnę go od psa. I nagle czuję, jakbym wpadł na pień drzewa. Siła rozpędu wyrzuca mnie w górę, przelatuję nad dzikiem, powietrze uchodzi ze mnie, kiedy ląduję na ziemi z drugiej strony. Uciekam na czworakach, gorączkowo kopię Bayarda po kłach, kiedy rzuca się na mnie, wtedy Georges wbija między nas dechę.

— Przynieś inną! — wrzeszczy.

Jakaś stoi oparta o płot. Wracam z nią pędem, chwytam laskę, która leży tam, gdzie upadłem. Wpycham deskę obok deski Georges'a i walę laską w szczeciniasty łeb.

— Nie tak mocno! — wywarkuje Georges.

Dzik i tak nic sobie z tego nie robi. Bodzie, uderza w nasze zapory, tymczasem spaniel odczołguje się na brzuchu, ciągnąc za sobą nogę. Wtedy obok pojawia się Arnaud. We trzech pchamy i chłoszczemy świnie, zasłaniamy

jej oczy deskami, aż wreszcie udaje się nam zagnać ją z powrotem do zagrody. Dzik rzuca się na ogrodzenie, ale Arnaud zdążył już zatrzaskać i zabezpieczyć furtkę.

— Jak się wy dostał? — pyta z ponurą miną, ciężko dysząc.

— Furtka była otwarta — stwierdza stanowczo Georges. Z nas trzech jest najmniej zdyszany.

— Boże wszechmogący, nie sprawdziłeś?

Stary patrzy na Arnauda z wyrzutem.

— Sprawdziłem.

— Nie mogła otworzyć się sama!

— Nie mogła — zgadza się Georges.

Arnaud robi zawziętą minę.

— Gdzie Gretchen?

Nigdzie jej nie widać. Ale jest Mathilde, kuca przy spanielu.

Tylna łapa zwisa na strzępach krwawej tkanki. Arnaud patrzy na psa, usta ma zacisnięte.

— Przyniosę karabin.

Mathilde próbuje podnieść Lulu.

— Co robisz? — pyta ojciec.

— Zabieram ją do domu.

— Zostań tutaj, to nie potrwa długo.

Mathilde nie odpowiada. Z trudem wstaje, przytula spaniela do piersi. Pies wyje, kiedy łapa obija się o dziewczynę.

— Nie słyszałaś, co powiedziałem? — warczy Arnaud.

— Słyszałam.

Mathilde robi krok do przodu. Arnaud tarasuje jej drogę.

— Nigdzie nie pójdziesz! Połóż ją i...

— Nie!

Odmowa sprawia, że staje jak wryty. Po raz pierwszy widzę, jak Mathilde mu się sprzeciwia. Ojciec patrzy na nią wściekle, ale ona wytrzymuje jego wzrok, twarz ma białą, on cętkowaną od gniewu.

— Nie pozwolę ci jej zabić.

Tym razem nie podnosi głosu, ale w tym bez wątpienia jest cel. Przez chwilę myślę, że Arnaud ją uderzy. Potem się odsuwa.

— Rób, co chcesz. Tylko nie spodziewaj się, że zapłacę za weterynarza.

Mathilde przechodzi obok niego, wyteęza siły pod ciężarem psa.

— Pozwól — mówię.

— Dam sobie radę.

Ale się nie opiera. Lulu skomle, kiedy mi ją podaje. Czuję, że Arnaud mi się przygląda. Nagle przychodzi mi do głowy: on może myśleć, że pomagam Mathilde ze względu na to, co wcześniej mi powiedział, może wyobrażać sobie, że realizuję swoją część milczącego układu. Ta myśl mnie złości, odwracam się i widzę, że Gretchen stoi za nami.

Twarz ma usmarowaną łzami. Usiłuje nie patrzeć na Lulu, chociaż noga psa cały czas przyciąga jej wzrok.

Arnaud przepycha się obok mnie i chwyta ją za ramię.

— Otworzyłaś furtkę? — Gretchen zwiesza głowę na pierś, więc łapie ją za ramiona i potrząsa. — Odpowiadaj! Otworzyłaś furtkę?

— Nie!

— To jak dzik się wydostał?

— Nie wiem! Puszczaj.

Próbuje się wyrwać, ale ojciec popycha ją w stronę psa.

— Patrz! Patrz, co zrobiłaś!

— Nic nie zrobiłam! Zostaw mnie! — Wyrywa się i ucieka do lasu.

Arnaud jeszcze przez chwilę nie odrywa od niej wzroku, potem odwraca się do nas.

— Idź, jak masz iść! — parska i rusza w stronę chlewów.

Najdelikatniej jak mogę niosę Lulu na podwórze, laskę dałem Mathilde. Stopa, jak na te okoliczności, sprawuje się dobrze. Gdy docieramy do furgonetki, Mathilde kładzie stary pled na fotelu pasażera. Spaniel drży, ale kiedy ją układam, ciągle liże mnie po ręce. Tylne łapa Lulu wygląda tak, jakby ją posiekano. Kawałki białej kości przebijają się przez okrwawione mięśnie i chociaż raz muszę chyba przyznać Arnaudowi rację. Tylko przedłużamy jej cierpienia. Ale to nie mój pies i nie moja decyzja.

Mathilde zamyka drzwi i przechodzi na stronę kierowcy.

— Chcesz, żebym ją zawiózł? — pytam, bo wiem, co myśli o wyprawie do miasta.

— Nie, dziękuję.

— Mam z tobą pojechać?

— Nie. Będzie dobrze.

Robi się jakaś obca. Patrzę, jak jedzie traktem, zwalniając na wybojach. Furgonetka dociera do zakrętu i znika, zostawia po sobie powoli opadającą

smugę kurzu. Kiedy niknie odgłos silnika, znów jest tak, jakby nic się nie stało.

# Londyn

**W** następnym tygodniu Jules znowu przychodzi. Jest wcześniej i w barze panuje spokój. Kai, chłopak Siergieja, przyniósł mi kawę i rozmawia z Dee o najlepszym sposobie przyrządzania tymbalików z ryżu. Trochę słucham, zerkam na wejście. Już mam się napić kawy, kiedy drzwi się otwierają i wchodzi Lenny.

Odstawiam kubek. Jest sam, ale skoro tu przyszedł, istnieje duże prawdopodobieństwo, że pojawi się też Jules. Lenny patrzy na mnie obojętnie, ale daje do zrozumienia, że wie, kim jestem. Idzie tam, gdzie obsługuje Dee.

— Butelkę stelli — mówi do niej, nie zwraca już na mnie uwagi. Kiedy sięga po resztę, widzę złoty zegarek. To rolex albo podróbka, masywna, wysadzana klejnotami. Zauważa, że gapię się na jego nadgarstek. — Co?

— Tylko podziwiam zegarek.

Myślę o tym, jak pytał o godzinę, kiedy z Chloe spotkaliśmy go w ciemnej uliczce. Nie spodziewam się, żeby pamiętał, to było dawno. Albo, żeby mu się to kojarzyło, jeśli pamięta. Nie doceniłem go. Nie spuszcza ze mnie wzroku.

— Ja się do ciebie nie przypieprzam — wypala. — Jeśli masz olej w głowie, to też sobie odpuścisz. — Rzuca mi ostatnie spojrzenie, czy jego słowa do mnie trafiły, i zabiera piwo do stolika.

Podchodzi Dee.

— O co poszło? — pyta.

— Prywatny dowcip.

Ale w tym nie ma nic śmiesznego. Nie wychodzi się poza pewne granice, żeby denerwować ludzi takich jak Lenny. Nawet nie wiem, co takiego zrobiłem.

Potem czekam, zdaję sobie sprawę, że to tylko kwestia czasu. Wypita kawa pali mi żołądek. Wydaje mi się, że jestem przygotowany, ale tętno i tak mi skacze, kiedy próg przekracza Jules. Dostrzegam dziewczynę, która mu towarzyszy, i pierwszym uczuciem jest ulga, że to nie Chloe. Potem wkraczają w krąg światła i uświadamiam sobie swój błąd. To ona; tylko że nie ta, którą znałem. Włosy ma wystylizowane i bardziej blond, nosi krótką czerwoną sukienkę, odsłaniającą nogi na wysokich obcasach. Kiedyś prawie wcale nie robiła sobie makijażu; teraz trudno ją poznać — oczy mocno podkreślone konturówką, usta pomalowane szminką.

Idzie trochę za Julesem, który podchodzi do Lenny'ego. Nie zobaczyła mnie.

Sądząc po jej nieobecny wyrazie twarzy, jestem pewien, że Jules nie powiedział jej, że tu pracuję. Nie uświadamiam sobie, że sterczę oniemiały, dopóki Siergiej nie wyłania się z kuchni z dwoma nieotwartymi absolutami.

— Masz, Sean, włóż je do lodówki. — Wciska mi butelki. Patrzy na moją twarz. — I na litość boską, uśmiechaj się! Wyglądasz, jakbyś chciał kogoś zabić.

Biorę od niego wódkę i człapię do lodówki za barem. Ale nie otwieram jej, bo właśnie nadchodzą Jules i Chloe.

Facet patrzy prosto na mnie, ona jednak nie zauważyła, do kogo ją prowadzi. Kiedy są blisko, obejmuje ją ręką za ramiona. Patrzy na niego z zaskoczeniem, a iskierka wdzięczności w jej twarzy łamie mi serce.

Potem zauważa mnie i staje jak wryta. Jules, nadal się uśmiechając, mocniej ją obejmuje i lekko popycha do przodu.

— Niespodzianka. Patrz, kto tu jest — mówi.

Odstawiam flaszki. Chloe patrzy w dół, na ladę. Porusza ustami, ale nie wychodzi z nich żaden dźwięk. Straciła na wadze; zawsze była szczupła, ale teraz jest chuda jak patyk. Wystarczy mi jedno spojrzenie i wiem, że znowu bierze.

— Nie powiesz „cześć”? — Jules ściska ją za ramiona. — Daj spokój, bądź grzeczną dziewczynką.

Chloe posłusznie podnosi głowę.

— Cześć, Sean. — Mówi cicho, prawie szeptem. Oczy ma zamglone, to znaczy, że ostatnio brała coś więcej niż kokę.

— Hej, Chloe.

Staram się zachować kamienną twarz. Jules patrzy, nic mu nie umyka.

— Ale spotkanie, no nie? Słuchaj, muszę załatwić parę spraw z Lennym, więc może wy dwoje pogadacie sobie? Pewnie macie o czym mówić.

— Jules, nie, ja...

— Och i weźmiemy dwie wódki z lodem. Przynieś mi moją, dobrze? — Mruga do mnie, głaszcze Chloe po ramieniu, pokazując, do kogo dziewczyna należy, i dumnym krokiem odchodzi do Lenny'ego.

Milczenie jest straszne, patrzymy na siebie z Chloe przez bar.

— Co u ciebie? — odzywam się pierwszy.

— Świetnie. Naprawdę dobrze. — Kiwa głową, jakby chciała przekonać sama siebie. — A u ciebie?

— Mistrzostwo świata. — Trudno mi na nią patrzeć. Żałuję, że w barze nie ma tłoku, przynajmniej musiałbym obsłużyć innych klientów, ale jak na złość

panuje spokój. — Jak idzie malowanie?

— Och, ja nie... niby pomagam Julesowi w jego biznesie. Trochę mu brakuje pracowników... W każdym razie mówi, że chciałby, żebym popracowała w jego siłowni, gdyby sprawy... no wiesz...

Chyba nie wiem, ale kiwam głową.

— To wspaniale.

Nadal się uśmiecha, ale w oczach zbierają się jej łzy.

— Jest w porządku, dobrze się miewam. Naprawdę — powtarza. — Ja tylko...

Mrozi mnie, kiedy zaczyna płakać. Odruchowo chcę wziąć ją za rękę. Nic nie robię. Chloe ściera łzy wierzchem dłoni.

— Przepraszam. — Odwraca twarz i szybko idzie do toalety.

Proszę Dee, żeby zaniosiła im drinki, i znikam w kuchni. Kiedy wychodzę, lokal zaczyna się zapełniać. Przez jakiś czas szczęśliwie jestem zajęty. A gdy znowu spoglądam w stronę stolika, przy którym siedzieli Jules i Lenny, widzę już innych gości.

# Rozdział 16

Wkładanie kamieni na miejsce to powolna robota. Ta część domu, przy której teraz zacząłem pracę, jest w jeszcze gorszym stanie, bezpośrednio wystawiona na kaprysy pogody i podmuchy znad jeziora. Musiałem całkowicie usunąć mnóstwo kamieni, oczyścić je ze starej zaprawy i włożyć na miejsce. Są duże i ciężkie, wyciskają mokry cement jak kawową polewę, kiedy wpycham je z powrotem w dziury. Czasem ważą za dużo, więc osiadają za głęboko i nie leżą równo z innymi dookoła. Wtedy je wyjmuję i zaczynam od nowa. Wątpię, czy z dołu w ogóle widać te nierówności, a jeśli tak, to czy ktokolwiek by się tym przejął.

Cóż, ja bym się tym przejął.

Obrzucam zaprawą boki kolejnego kamienia i go podnoszę. Dziura jest na wysokości ramion, muszę wcisnąć kamień na miejsce. Trzymam go na piersi, wkładam i modlę się, żeby tym razem pasował. Cieszę się, bo pasuje. Zeskrobuję naddatek zaprawy i rozciągam obolałe mięśnie ramion. Rano zrobiłem niezłe postępy i kiedy indziej byłbym zadowolony. Nie dzisiaj.

Wiadro jest puste. Znoszę je po drabinie i idę do wilgotnego składziku. Zastaję tam stos pustych plastikowych worków: wykorzystałem piasek do końca.

Trzeba znowu pojechać do miasta.

Klnę i rzucam wiadro. Od wielu dni wiedziałem, że to się zbliża. Ponowne ułożenie kamieni wymaga mnóstwa zaprawy; teraz cementu jest pod dostatkiem, ale cały piasek ze składziku zużyłem. Gdybym przypuszczał, że mi go zabraknie, przywiózłbym go więcej, jak zrobiłem wypad po cement, ale uznałem, że mój poprzednik kupił go dość. Mój błąd.

Kolejna wada Louisa — marny był z niego budowlaniec.

Znajduję Mathilde w ogrodzie warzywnym z tyłu domu. Klęczy przy maleńkiej grządce kwiatów, wrywa chwasty, które wyrosły od ostatniego razu. Podnosi wzrok, kiedy się zbliżam, a ja znów czuje, że jakoś jej zakłócam chwilę prywatności.

— Muszę kupić więcej piasku.

Tym razem w to nie wątpi. Ma zrezygnowaną minę, jakby już nikt nie zdołał zrobić albo powiedzieć czegoś, co by ją zaskoczyło. Tylko kiwa głową i wstaje w milczeniu.



Idę z nią do kuchni, czekam, aż znajdzie portfel. Gretchen siedzi przy stole z Michele. Traktuje mnie zupełnie jak powietrze. Od ucieczki dzika zamknęła się w sobie. Nie tyle chodzi o to, że mnie ignoruje, co o to, że zachowuje się tak, jakby mnie w ogóle nie było.

Szczerze mówiąc, to ulga.

— Tyle wystarczy? — Mathilde wręcza mi parę banknotów. Same małe nominały.

— Chyba tak.

— Kluczyki są w furgonetce. Ten do bramy też.

Wraca do ogródka, a ja ruszam do renault. W kabinie jest gorąco jak w szklarni, ale nie zwlekam z wyjazdem, aż się ochłodzi. Przechodzę zwyczajne korowody z otwieraniem i zamykaniem bramy, staję na chwilę, patrzę na drogę. Od strony miasta przejeżdża samochód i tak bez niczego mnie mijają. Kiedy obserwuję, jak niknie, coś się we mnie rodzi, coś tak mglistego, że z początku nie wiem, co to jest.

Niepokój.

Uczucie narastało od wizyty żandarmów. Już się nie martwię, że wrócą: gdyby mieli znów się zjawić, to do tej pory już by się zjawili. Ale zamęt, który wywołali, pozostał.

Bez entuzjazmu wsiamam z powrotem do furgonetki. Jazda do miasteczka trwa chwilę. Miga przydrożny bar i zaraz jestem na rynku. Gracze w bule już są, chociaż nie potrafię stwierdzić, czy ci sami. Fontanna nadal tryska radośnie w słońcu. Ręce na kierownicy mam lepkie, kiedy staję przed składem materiałów budowlanych. Silnik dygoce i gaśnie. Robię głęboki wdech, wysiamam.

Nigdzie nie widać Jeana-Claude'a.

Pozwalam sobie na odpoczynek, chociaż krótki. Sięgam do furgonetki po laskę, ale się powstrzymuję. Stopa jest prawie wyleczona, szwy można zdejmować i zacząłem wkładać skarpetkę zamiast bandaża. Nadal używam gumowego buta od Mathilde, ale tylko dlatego, że mój ociera rany. Laska to bardziej przyzwyczajenie niż konieczność, wiem, że niedługo będę musiał obejść się bez niej.

Ale jeszcze nie dzisiaj. Biorę ją, opieram się na niej i, kulejąc, idę do przypominającego hangar budynku.

W środku nie rozpoznaję nikogo. Zamawiam piasek i płacę, kierują mnie na tyły, na plac. Są tam szerokie drewniane przegrody wypełnione kamykami, żwirem i piaskiem. W pobliżu nie ma żadnego pracownika, a z piasku i stosu

pustych plastikowych worków wystaje szpadel, więc sam zaczynam nasypywać towar.

Pracuję tyłem do placu, rytmicznie wbijam szpadel w górkę piasku, tłumię impuls, żeby oglądać się za siebie. Kiedy worki są pełne, podjeżdżam furgonetką. Koc, na którym leżała Lulu, poniewiera się z tyłu, plamy krwi zaschły na czarno. Odsuwam go i wrzucam wory na pakę, stawiam je prosto, żeby piasek się nie wysypał. Już prawie kończę, nerwowa energia zaczyna powoli się rozładowywać. Przerywam, żeby otrzeć pot z czoła.

— Pomóc ci?

Jean-Claude stoi przy samochodzie, nosi ten sam fartuch i kombinezon na szelkach co wcześniej. Porusza się cicho jak na tak potężnego mężczyznę.

— Dziękuję, dam sobie radę.

Odwracam się i dalej ładuję. I tak chwytając worek, bez wysiłku przenosi go do furgonetki, potem bierze następny. Ostatnie parę worków zostało załadowane w kilka sekund.

Dziękuję, wstrzemięźliwie kiwając głową, i zamykam drzwi. Oczywiście, nie zamierza tak łatwo dać mi odjechać.

— Ktoś mi mówił, że Mathilde parę dni temu była w mieście. Przywiozła rannego psa do weterynarza. Co się stało?

— Za bardzo zbliżył się do dzika.

— Aha. Myślałem, że może nastąpił na gwóźdź. Jak się miewa?

Postanawiam uznać, że chodzi mu o Lulu.

— Nie najlepiej.

— Litościwiej byłoby go uśpić, żeby nie cierpiał. Mathilde ma miękkie serce, ale to nie zawsze wychodzi na dobre. Przeżyje?

— Jeśli tak, to na trzech nogach. Dzięki za pomoc.

Wsiadam do furgonetki. Jean-Claude przytrzymuje drzwi, żebym ich nie zamknął.

— Chcę z tobą porozmawiać.

Pytanie tylko, czy ja chcę tego słuchać, cokolwiek ma do powiedzenia.

— Muszę wracać.

— To nie potrwa długo. I tak jest pora lunchu. W kafejce niedaleko mają dobre jedzenie. Ja stawiam.

— Nie, dziękuję.

— Przecież chyba coś jadasz, prawda? Zajmę ci zaledwie parę minut. Ale jeśli proszę zbyt wiele...

Zabiera rękę i robi gest w stronę bramy. Bardzo chciałbym zatrzasnąć drzwi i odjechać, ale w końcu jestem jego dłużnikiem. Gdyby nie on, Didier i jego kumple zrobiliby ze mną Bóg wie co.

— Wskakuj — mówię.

W kafejce jest niedużo klientów, ale i tak wybieramy stolik jak najdalej od tych, którzy tu siedzą. Patrzę na małe plastikowe menu, nie widząc go.

— Omlety są dobre — podsuwa mi Jean-Claude.

Może są dobre, ale ostatnio jadłem za dużo jajek. Zamawiam danie dnia i piwo, potrzebuję czegoś, żeby uspokoić nerwy.

— No — ponaglam.

Odstawia kartę oprawioną w plastik.

— Słyszałem, że do Arnauda przyjechała policja.

— Zgadza się.

Jean-Claude odczekuje chwilę, podejmuje wątek dopiero, kiedy nie dodaję nic więcej.

— Jak każdy szanuję prawo człowieka do obrony swojej własności, ale on posuwa się za daleko.

Nie mogę z tym polemizować, wina jednak nie leżała tylko po stronie Arnauda.

— A jak tam Didier? Chyba nie ma żadnych zagadkowych ran postrzałowych, co?

— Didier to dureń. Dostaje kota po paru piwach. Liczę, że z tego wyrośnie.

— Nie zakładałbym się o to.

Te słowa wywołują krzywy uśmiech.

— Nie martw się, już nie będzie z nim problemów. Pogadałem z nim. — Wyraz jego twarzy sugeruje, że to nie była łagodna rozmowa.

Piję piwo, po prostu żeby coś robić. Jean-Claude nadal nie tknął swojego wina. On też wydaje się skrzepowany i mimo woli zaczynam odczuwać ciekawość.

— Co wiesz o moim bracie? — wypala.

Więc o to chodziło.

— Prawie nic. Oni właściwie o nim nie mówią.

— Ale wiesz, że jest ojcem Michela? I że wplątał się w parę... hm, powiedzmy planów biznesowych Arnauda?

— Coś mi się obilo o uszy.

— To już słyszałeś, że Louis zaginął?

Dziwne, ale moje pierwsze odczucie to żal: oczywiście, przyjazd do miasteczka był błędem.

— Nie — odpowiadam.

Sięga do kieszeni po skórzany portfel, wyciąga mocno pogniecione zdjęcie i kładzie je przede mną na blacie. Stoi na nim obok ciemnozielonego pick-upa z młodszym mężczyzną, wyższym i nie tak mocno zbudowanym. Jean-Claude włosy ma przyklepione do głowy, pierś chyba wilgotną. Uśmiecha się z przymusem, kiedy ten drugi, wyszczerzony od ucha do ucha, podnosi pustą szklanekę po piwie, pozując do obiektywu.

— To Louis. Ma większe poczucie humoru niż ja. — Ton Jeana-Claude'a mieści się gdzieś między irytacją a czułością. — Zniknął półtora roku temu. Podobno pojechał w jakichś interesach do Lyonu i przepadł. Odtąd nikt o nim nie słyszał. Ani ja, ani żaden z jego kolegów. Nikt.

W tym drugim mężczyźnie na zdjęciu jest coś znajomego, ale nie potrafię tego sprecyzować. Wreszcie mi się udaje. Ma na sobie czerwony kombinezon, który teraz ja noszę. Odruchowo patrzę w dół, na siebie. Jean-Claude kiwa głową.

— Stary kombinezon, trzymał go u Arnauda. Mówił, że nie chce przynosić do domu świńskiego smrodu.

W innych okolicznościach mógłbym to uznać za obrazę. Przesuwam fotografię z powrotem po stole.

— Po co mi o tym wszystkim opowiadasz?

— Bo chcę się dowiedzieć, co się z nim stało. I podejrzewam, że Arnaud wie więcej, niż mówi.

Przerywa, kiedy przynoszą jedzenie. Zadowolony z okazji, żeby zebrać myśli, dłubię w stojącym przede mną talerzu ze stekiem i frytkami. Jeszcze nie tak dawno byłbym zadowolony z odmiany od wieprzowiny, ale nie dzisiaj.

— Dlaczego uważasz, że Arnaud coś wie? — pytam, choć raczej nie chcę usłyszeć odpowiedzi.

Jean-Claude kawałkiem chleba wyciera oliwę z omleta. Rozmowa o bracie nie odebrała mu apetytu.

— Podróż w interesach wiązała się z jednym z planów, który wydumali sobie z Arnaudem. Nie mam pojęcia, z czym konkretnie, bo Louis nie lubił, jak mu się zagląda w karty, ale jestem pewien, że ogólnie o to chodziło. A historyjka Arnauda jakoś się nie klei. Mówił ci, że mój brat prosił Mathilde o rękę, bo zaszła z nim w ciążę?

Przytakuję, nawet teraz wolę za dużo nie zdradzać.

— Z całym szacunkiem dla Mathilde, bo to dobra dziewczyna. Ale to bzdura. Znam swojego brata, wierz mi, on nie należy do tych, którzy się żenią. W inne rzeczy właściwie mogę uwierzyć, ale że on nagle zachowuje się przyzwoicie i oświadcza się Mathilde? Wykluczone. Louis na pierwszym miejscu stawia Louisa, zawsze taki był. Gdyby miał uciekać z miasta, bo wpędził jakąś pannę w kłopoty, musiałby wyjechać już wiele lat temu.

— Może chodziło mu o farmę... — Powtarzam to, co powiedział mi Arnaud. Za późno przypominam sobie, że powinienem trzymać język za zębami.

Jean-Claude uśmiecha się gorzko.

— Jasne, bo to taka kopalnia złota. Słuchaj, Louisowi zależało tylko na tym, żeby pieprzyć się w kółko i robić pieniądze, im łatwiejsze tym lepiej. Farma go nie interesowała, a już na pewno nie taka, która ledwie zipie i dobijają ją zastawy hipoteczne. Gdyby Arnaud nie był z tych, co to wyżej srają niż dupę mają, wiedziałby, że nikt normalny się na nią nie połasi.

— To dlaczego by kłamał?

— Dobre pytanie, prawda? — Jean-Claude milknie, przeżuwa kawałek omletu. — Może chciał, żeby ludzie widzieli w Louisie większego gnojka, niż nim jest, i wymyślił historyjkę, żeby wyjaśnić, dlaczego chłopak nie wrócił. Nie wiem, a Arnaud nic nie powie.

— Próbowalesz?

— Oczywiście, że próbowałem. Rzucił gromy na Louisa i ostrzegł mnie, żebym więcej ich nie nachodził. — Twarz mu ciemnieje. — Michel to także moja krew, ale Arnaud nawet nie pozwolił mi zobaczyć bratanka. Zagrzebał ich wszystkich na tej farmie, a jakie to życie dla dziecka? Nie wspominając o jego córkach. Zawsze próbował trzymać je na krótkiej smyczy, szczególnie Gretchen. Jeśli o nią chodzi, to mu się nawet nie dziwię. Połowa chłopaków z miasteczka ciągle się za nią ugania. Czasem myślę...

— Co? — pytam, kiedy nie kończy.

Ale on tylko kręci głową.

— Mniejsza o to. Rzecz w tym, że odkąd Louis zniknął, Arnaud całkowicie odciął farmę od miasta. Dlaczego to zrobił, jeśli nie ma niczego do ukrycia?

— Może przez takich ludzi jak Didier?

Nie chcę trzymać strony Arnauda, sprawa jednak nie wydaje mi się tak jednoznaczna, jak przedstawia ją Jean-Claude. Kończy omlet i wyciera usta papierową serwetką.

— Może. Nie bronię Didiera. Ale Arnaud zachowuje się, jakby był obłączony. Zawsze miał pretensje do całego świata, ale żeby rozciągać drut kolczasty i zastawiać pułapki na ludzi? I proszę, nie obrażaj nas obu, udając, że przypadkiem wszedłeś na gwóźdź. — Jean-Claude patrzy na moją stopę. — Wcześniej z zasady nie wierzyłem plotkom o pułapkach, ale na Boga! Dlaczego tam zostałeś po czymś takim?

Wydaje się szczerze zdziwiony, ale tych drzwi przed nim nie otworzę.

— Nadal nie rozumiem, czego ode mnie oczekujesz.

— Jak wspomniałem, Arnaud wie więcej, niż mówi, bo inaczej nie bawiłby się w wymyślanie tej bzdurnej historyjki. Ty mieszkasz na farmie, możesz się porozglądać, popytać. Sprawdzić, czy Georges czegoś nie wie. Zbadaj, co ukrywa Arnaud.

Szpieguj, innymi słowy. Ale coś, co powiedział, zapoczątkowało łańcuch nieprzyjemnych skojarzeń. „Zagrzebał ich wszystkich”. Przed oczami staje mi obraz kruszejącej betonowej łąty w stodole. Odsuwam od siebie i tę myśl, i talerz z prawie nietkniętym jedzeniem.

— Jeśli jesteś taki przekonany, że Arnaud kłamie, dlaczego nie pójdziesz na policję?

— Myślisz, że nie byłem? Próbowałem w miejscowej żandarmerii i w policji państwowej w Lyonie i nic z tego nie wyszło. Bez jakiegokolwiek dowodu nie chcą gadać. Powiedzieli, że Louis jest dorosły i może robić, co mu się żywnie podoba.

Mija chwila, zanim w pełni dociera do mnie sens jego słów. Rolnicze obszary Francji, takie jak ten, są pod jurysdykcją żandarmerii: policja państwowa działa wyłącznie w miastach. Do głowy przychodzi mi tylko jeden powód, dlaczego Jean-Claude zgłosił się i do jednych, i do drugich. Podchwytuję to.

— To mówisz, że gdzie go widziano po raz ostatni?

Waha się. Opuszcza wzrok, obraca kieliszek w obu rękach.

— Przy stacji benzynowej na przedmieściach Lyonu, dwa dni po tym, jak stąd odjechał. Zarejestrowała go kamera ochrony, kiedy zatrzymał się po paliwo. Ale to niczego nie dowodzi.

Myli się. To dowodzi, że jego brat zaginął dopiero po wyjeździe z miasteczka. A ze sposobu, w jaki Jean-Claude o tym opowiadał, wyciągnąłem wniosek, że Louis właściwie nie dotarł do samego Lyonu, że jego zniknięcie musi być bezpośrednio powiązane z Arnaudem i jego farmą. Jeśli ostatni raz widziano chłopaka w mieście daleko stąd, to zupełnie co innego.

Czuję, że ciężar spada mi z ramion.

— A nie pomyślałeś, że policja mogła mieć rację? Może jednak znalazł się jakiś dobry powód, żeby uciec. — Ironia tych słów dochodzi do mnie, ledwie je wypowiedziałem. Wywołuje ukłucie wstydu, na które z rozmysłem nie zwracam uwagi.

Jean-Claude wpatruje się we mnie, jego wielkie ręce spoczywają na stoliku. Odnoszę nieprzyjemne wrażenie, że mnie ocenia, rozważa, co ze mną zrobić.

— Moja żona i ja nie zostaliśmy pobłogosławieni dziećmi — odzywa się po chwili. — Poza nią Louis jest moją najbliższą rodziną. A ja jego. Zawsze jak coś spieprzy, wcześniej czy później przychodzi do mnie, żebym to naprawił. A ja jako brat naprawiam. Tym razem nie przyszedł.

— Słuchaj...

— Louis nie żyje, policja nie musi mnie o tym informować. Gdyby żył, do tej pory dałby mi o sobie znać. A Arnaud maczał w tym palce. Nie obchodzi mnie, gdzie ostatni raz widziano Louisa, ten stary drań coś ukrywa. Więc pytam, czy pomożesz mi odkryć prawdę, co stało się z moim bratem?

— Nadal nie wiem, co mogę zrobić. Nie wiem nawet, jak długo tu jeszcze zostanę. — Nawet dla mnie brzmi to jak wymówka. — Przepraszam.

Jean-Claude wstaje, wyjmuje portfel i rzuca banknot na stół, żeby zapłacić za lunch.

— Nie musisz...

— Mówiłem, że ja stawiam. Dzięki, że poświęciłeś mi czas.

Jego szerokie ramiona na krótko blokują wyjście, kiedy opuszcza knajpkę.

W kabinie furgonetki jest jak w piecu, duszno od zapachu gorącego plastiku i oleju. Wóz sunie ospale, worki piasku na pace wyhamowują go jak kotwica. Dodaję gazu, próbuję wycisnąć trochę szybkości. Odpuszczam dopiero, kiedy samochód zaczyna grzechotać, potem tylko lekko dociskam pedał. Silnik wibruje, stęka, kiedy jadę prawie pustą drogą.

Nie wiem, dlaczego jestem taki zły. Ani na kogo. Pewnie na siebie. Przede wszystkim nie powinienem zgodzić się na rozmowę z Jeanem-Claude'em. Chociaż przynajmniej się dowiedziałem, dlaczego tak nie lubią Arnauda. Współczuję Jeanowi-Claude'owi; to naturalne, że zrzuca się na kogoś winę, kiedy stało się coś złego, a agresywność Arnauda robi z niego wygodny cel.

Ale nie rozumiem, jak można go winić za zniknięcie Louisa. Z tego, co się nasłuchałem, ojciec Michela potrafił nastawić przeciwko sobie wielu ludzi. Albo zdenerwował niewłaściwą osobę, albo postanowił zerwać wszelkie więzy i

zacząć od nowa.

Powodzenia, myślę ponuro.

Nastrój mi się nie poprawia, kiedy zbliżam się do farmy. Poprzednio nie mogłem się doczekać, kiedy tu wrócę: teraz uświadamiam sobie, że zwalniam, gdy pojawia się brama. Zatrzymuję się na poboczu obok niej, siedzę, silnik pracuje. Droga prowadzi w dal, znika tam, skąd jakiś czas temu przyszedłem. Po raz pierwszy, odkąd przybyłem na farmę, łapię się na tym, że na poważnie myślę o perspektywie powrotu.

Powrotu do czego?

Wysiadam, żeby otworzyć bramę, potem przejeżdżam i powtarzam cały proces. Prowadzę furgonetkę po wyboistym trakcie i parkuję na podwórzu. Zaczynam, po jednym na raz, przenosić worki z piaskiem do składziku. Jest ich mnóstwo. Kupiłem tyle, ile mogłem, żeby drugi raz nie wyjeżdżać.

Teraz wygląda na to, że kupiłem za dużo.

Kiedy rozładowuję towar, narasta we mnie niecierpliwość. Z początku nie kojarzę dlaczego, ale potem trochę piasku wysypuje mi się na podłogę i załapuję. To bez sensu niepokoić się rozmową z Jeanem-Claude'em, skoro Louis zniknął w Lyonie.

Nie mogę jednak przestać myśleć o tamtym kawałku materiału w betonowej szparze.

Mathilde wychodzi z domu, gdy prawie już kończę opróżniać furgonetkę. Na biodrze niesie Michela.

— Miałeś jakiś problem?

— Nie, żadnego. — Ostatni worek piasku przyciągam do siebie po podłodze samochodu.

— Długo cię nie było.

— Zatrzymałem się na lunch.

Patrzy, jak podnoszę worek z piaskiem, jakby czekała, że jeszcze coś dodam.

— Ojciec powiedział, że wieczorem możesz zjeść z nami kolację w domu.

— Okej.

Mijam ją objuczony ciężkim workiem. W chłodnym składziku rzucam go na podłogę, już żałuję, że byłem szorstki. Nie czekam z niecierpliwością na to, żeby spędzić kolejny wieczór z Arnaudem, ale nie powinienem wyładowywać na Mathilde swojego złego humoru. Jeśli w tym wszystkim jest jakaś ofiara, to tylko ona.

Wychodzę, chcę przeprosić, ale podwórze jest puste.



Zatrząskuję drzwi furgonetki i patrzę na rusztowanie. Ale tam nie wejść, nie teraz. Nikt się nie kręci w pobliżu, a ja muszę wiedzieć.

Idę szybko do stodoły.

Tuż przy wejściu prawie biegnę. Idę przez przepastne wnętrza do prostokątnego strupa betonu. Ma jakieś półtora metra długości i połowę tego szerokości.

Wystarczy, żeby pomieścić ciało.

Zaczyna mnie ogarniać straszne przeczucie. „Zagrzebany”. To głupie, przekonuję sam siebie. Jeśli mam się poddać paranoi, to lepiej przynajmniej poczekać, aż się ściemni. Ale nie mogę. Szybko spoglądam za siebie, żeby się upewnić, że nikt nie stoi we wrotach, i kucam obok betonowej pokrywy. Już widzę ten strzęp czegoś wystający z pęknięcia. To może być cokolwiek. Kawałek szmaty, cokolwiek.

„Dlaczego nie sprawdzisz?”

Wciskam palce w pęknięcie i łapię za ten skrawek. Jest szorstki i mocno się trzyma. Beton dookoła zaczyna się kruszyć; kiedy poruszam materiałem w tył i w przód, odlatują kawałki wylewki, skrawek się obłuzowuje. Widać go więcej, potem — rozsypując żwir i piasek — uwalnia się.

Z suchymi ustami wstaję i przenoszę zdobycz do światła. Skrawek ma kilkanaście centymetrów długości, jest postrzępiony na brzegach. Tego samego szarego koloru co beton. Kiedy dociera do mnie, co trzymam, śmieję się, z ulgą i zażenowaniem, ze swojej wybujałej wyobraźni.

Oddarty kawałek worka na cement.

Tego popołudnia pracuję dłużej niż zazwyczaj, nadrabiam stracony czas i próbuję pozbyć się napięcia, które jeszcze się utrzymuje. Słońce stoi tuż nad drzewami, wreszcie ogłaszam fajrant. Barki mnie boją, ramiona i nogi mam ociężałe, kiedy schodzę z drabiny. Wlokę się do stodoły, żeby umyć się pod lodowatą wodą z kranu. Rozbieram się do bielizny, przypominam sobie coś jeszcze, co powiedział Jean-Claude, i wacham kombinezon. Brud i pot, ale jeśli jest tam jeszcze zapach świń, nie potrafię go wyłowić.

Może już go nie czuję.

Przebieram się we własne ubranie i idę do domu na kolację. Drzwi są otwarte, więc wchodzę prosto do kuchni. Moje krzesło. Arnaud jak zwykle siedzi u szczytu stołu. Otwiera butelkę wina i w milczeniu przesuwa ją w moją stronę. Gretchen uśmiecha się do mnie, pomagając Mathilde rozkładać talerze, jakby wynurzała się z jakiegoś odległego miejsca, w którym przebywała. Siadają z

nami i zaczynamy jeść.

Zwyczajnie jak normalna rodzina.

## Londyn

Idę na randkę, żeby wyświadczyć przysługę Callumowi.

— No co ty, dlaczego nie? Od wieków próbuję wyciągnąć Ilse na drinka, ale ona chce przyjść z przyjaciółką. Spodoba ci się, Nikki to fantastyczna dziewczyna.

— Więc się z nią spotkałeś? — Stoimy przy barze w lokalu Calluma, zatłoczonym pubie z wielkim telewizorem wyświetlającym różne programy sportowe. To dla niego jest spokojny drink.

— Hm, nie, ale tak twierdzi Ilse — przyznaje. — Nikki pochodzi z Australii. Daj spokój, Sean, to jak z upadkiem z konia. Jeśli będziesz się ociągał i od razu nie włożysz nóg w strzemiona, wkrótce zapomnisz, jak się jeździ. Więc potem, jak wreszcie będziesz w siodle, zlecisz, a tego nie chcemy, prawda?

— O czym ty, do cholery, mówisz? — odpowiadam, ale obaj wybuchamy śmiechem.

— Mówię o randce i o tym, żeby miło spędzić czas. Co masz do stracenia? Możesz nawet, Boże uchroni, dobrze się bawić.

— Bo ja wiem...

Uśmiecha się.

— No to załatwione. Umówię was.

Spotykamy się w barze, w pobliżu Leicester Square. Plan polega na tym, żeby się napić, a potem pójść na wczesny seans ostatniego Tarantino. To według Calluma kompromis, ale nie jestem fanem najnowszych filmów Tarantino i nie wydaje mi się, żeby oglądanie krwi i przemocy było odpowiednią rozrywką na pierwszą randkę. Denerwuję się, kiedy czekam w barze, już żałuję, że się zgodziłem. Kiedy przychodzą obie dziewczyny, jeszcze bardziej przekonuję się, że popełniłem błąd. Nikki jest copywriterką w agencji reklamowej i wkrótce staje się jasne, że tak samo jak ja nie ma ochoty tutaj być. Dziwne, ale to ułatwia sprawę, bo gdy ustalamy, że żadne z nas nie oczekuje niczego od tej drugiej osoby, oboje możemy wyluzować.

Jeden drink przechodzi w dwa drinki, potem w trzy i musimy się spieszyć, żeby zdążyć na film. Callum już kupił bilety. Kiedy przechodzimy przez foyer,

wyjmuję telefon, żeby go wyłączyć. Ledwie wziąłem komórkę do ręki, zaczyna dzwonić.

Identyfikator dzwoniącego pokazuje, że to Chloe.

Gapię się na ekranik. Nie dawała znaku życia, odkąd Jules przyprowadził ją do Zed. Nie wiem, po co miałyby dzwonić teraz.

— Wchodzimy, Sean — pogania mnie Callum.

Mój kciuk wisi między przyciskami „odbierz” i „odrzuć”. Zanim decyduję się na któryś, dzwonięcie nagle się urywa. „Chloe” jarzy się jeszcze przez chwilę na wyświetlaczu, potem znika.

Czuję przyływ winy, kiedy wyłączam i chowam telefon. Ale inni czekają na mnie, a Chloe sama wybrała. Jeśli to coś ważnego, zostawi wiadomość albo odezwie się później.

Nie odzywa się.

# Rozdział 17

Z szwami pożegnałem się późnym rankiem. Odkąd zdjąłem bandażę i rany po metalowych zębach szczęk zasklepiły się i wyleczyły, szwy przestały spełniać swoją funkcję. Drażnią mnie tylko. Pewnie można by je wyciągnąć wcześniej, ale Mathilde nie proponowała tego, a ja nie nalegałem. Z jakichś względów niechętnie podchodzę do wyjęcia szpetnych czarnych wąsów.

Ale kiedy się budzę, swędzą mnie jeszcze bardziej. Łapię się na tym, że drapię je wściekle, szarpię, poluzowuję nici. Zaczynam rozumieć, że dłużej mieć ich nie mogę.

Już czas.

Proszę Mathilde, kiedy zabieram śniadanie z domu. Odsuwa pasemko włosów i po prostu kiwa głową.

— Później ci wyciągnę, jeśli chcesz.

Dziękuję i wracam do stodoły. Po śniadaniu jednak nadal odkładam sprawę. Mieszam porcję zaprawy, żeby zanieść ją na rusztowanie. Straciłem rachubę dni, ale jestem prawie pewien, że dziś niedziela. Nawet Arnaud nie mówił, że mam pracować siedem dni w tygodniu, po prostu weszło mi to w zwyczaj. Wtedy nie odczuwam takiej dużej presji czasu, co ostatnio zdarza się coraz częściej.

Jestem niespokojny i wściekły, kiedy zaczynam kłaść zaprawę w szczeliny. Nie chodzi tylko o wyjęcie szwów. Od lat tak dobrze nie sypiałem. Wysilek fizyczny, porządne jedzenie i słońce są skutecznym lekiem na bezsenność, a przynajmniej były. Od nocnej wizyty Gretchen znowu zacząłem przesuwając komodę na klapę w podłodze, ale nie mogę mieć dziewczynie za złe, że przerwała mi sen.

Wróciły koszmary o myciu rąk w zagajniku.

Układam kolejny kamień, zeszkrobuję, potem wygładzam wilgotną zaprawę, aż ten fragment ściany niczym nie różni się od sąsiednich. Górna część domu jest prawie wykończona. Za kilka dni trzeba będzie przenieść deski na niższy poziom rusztowania i rozpocząć cykl od nowa. Na wielkiej chałupie zostało jeszcze mnóstwo miejsc, które należy skuć i jeszcze raz obłożyć zaprawą, pracy starczy dla mnie na miesiące.

Jeśli tego chcę.

Ocieram strużkę potu z czoła, odruchowo patrzę, która godzina. Zegarek

jest oczywiście nadal w plecaku, gdzie go włożyłem, kiedy zacząłem pracę przy domu. Nie tęskniłem za nim, ale teraz nie daje mi spokoju irracjonalne wrażenie, że z czymś się spóźniam.

Skończyła mi się zaprawa. Pora na przerwę, równie dobra jak każda.

Znoszę po drabinie puste wiadro, stawiam je pod rusztowaniem i idę do domu. Drzwi kuchenne są otwarte, ale kiedy pukam, wychodzi Gretchen.

— Jest tu gdzieś Mathilde? — pytam.

Jej uśmiech znika.

— A co?

— Powiedziała, że dziś rano wyjmie mi szwy. Ale jak jej nie ma, to nie szkodzi.

Już zakrada się uczucie ulgi, że nastąpi zwłoka, Gretchen jednak się odsuwa, żeby mnie wpuścić. Cienka bawełniana sukienka, którą ma na sobie, odsłania jej opalone nogi.

— Jest na górze z Michelelem.

Waham się, w końcu przekraczam próg. Wykładana kamiennymi płytami podłoga, zużyty stół i krzesła nie do pary są kojąco znajome, ale czegoś tu brakuje bez Mathilde. Trup kury leży obok zlewu, oskubany i nagi.

— Przyjdę później. — Odwracam się, żeby wyjść.

— Nie, poczekaj.

To raczej rozkaz niż zachęta. Patrzą przez drzwi na zalane słońcem podwórze, Gretchen podchodzi do kury i bierze ją za żółte łapy. Kładąc martwego ptaka, klapie jego głową o deskę do krojenia. Spostrzegam, że jedno oko kury jest mleczone i ślepe. Staram się nie wzdygnąć, kiedy dziewczyna opuszcza wielki tasak na wyciągniętą szyję.

— Może usiądziesz?

— Nie, dziękuję.

Wyrzuca głowę do zlewu, zręcznie obraca kurę i odcina obie łapy.

— Ostatnio jakoś rzadko cię widuję.

— Wczoraj jedliśmy razem kolację. — Teraz to oczywistość, że będę z nimi jadał co wieczór. Resztą posiłków mogę się rozkoszować w samotności. Zacząłem tęsknić za samotnymi kolacjami przed stodołą. Przyglądanie się, jak Arnaud raczy się swoim kwaśnym winem, a jego drażliwość narasta wraz z osuszaniem butelki, szybko stało się nużące.

Gretchen spogląda na mnie przez ramię.

— Nie o to mi chodziło. Nie unikasz mnie, prawda?

— Nie, oczywiście, że nie.

— To dobrze. Myślałam, że cię czymś rozgniewałam.

Nie muszę na to odpowiadać. Swędzą mnie maleńkie strupki na ramieniu po zębach widelca, właśnie się powstrzymałem, żeby ich nie drapać. Niski sufit kuchni i ciężkie meble nagle zaczynają mnie przytłaczać.

— Możemy dzisiaj razem zjeść lunch — mówi Gretchen, wyciągając coś czerwonego z przełyku ptaka. — Pouczyłbyś mnie dalej angielskiego.

Patrzę w stronę drzwi prowadzących na schody, ale Mathilde nie widać.

— Nie sądziłem, że jesteś zainteresowana.

— Jestem, przysięgam.

— Hm, cóż, ja...

Odwracam się z ulgą, kiedy drzwi na schody się otwierają i do kuchni wkracza Mathilde z Michele. Na nasz widok zatrzymuje się na chwilę, potem idzie dalej.

— Nie słyszałam, jak wchodzisz. — Staje przy wysokim krzeselku.

— Czekaj na wyjęcie szwów — wyjaśnia Gretchen, wkładając kurę pod kran. Krew z rozciętej szyi spływa do zlewu.

— Mogę wrócić później — mówię.

— Nie przeszkadzasz. — Niemowlę kręci się, wyje, kiedy matka próbuje posadzić je na wysokim krzeselku, twarzączkę ma czerwoną i mokrą. Mathilde zwraca się do siostry:

— Gretchen, weźmiesz Michela?

— Nie, jestem zajęta.

— Proszę. Nie uspokoi się w krzeselku, kiedy ząbkuje. To nie potrwa długo. — Mathilde kołysze małego.

— To twój syn, nie rozumiem, dlaczego zawsze muszę go wszędzie ze sobą zabierać — zrzędzi Gretchen, ale wyciera ręce i bierze siostrzeńca.

— Zajmę się twoimi szwami w łazience — oznajmia Mathilde. Odwraca się, więc nie widzi wściekłych spojrzeń, jakie rzuca jej siostra.

Obchodzę stół, żeby nie znaleźć się za blisko Gretchen, kiedy w jej pobliżu jest tasak. Zamykam za nami drzwi i idę za Mathilde na piętro. Siadam na skraju wanny, Mathilde wyjmuje z szafki to, czego jej potrzeba: szczypczyki, spodek, ręcznik. Ściągam skarpetkę, ukazując bladą stopę w całej jej chwale. Rany nadal są miejscami pokryte strupami, ale widać też gojące się różowe żywe ciało, z którego sterczą czarne wąsiki.

Dziewczyna kuca przede mną, myje i zmiękcza zaskorupiałe rany szmatą

zamoczoną w gorącej wodzie. Potem rozkłada ręcznik na kolanach i kładzie na nim moją stopę. Krępująca intymność.

— Nie powinno bardzo boleć.

Czuję ciągnięcie, tylko tyle, kiedy chwyta szczypczykami koniec szwu. Wyciąga go, rzuca do miski i przechodzi do następnego. Ręce ma chłodne i łagodne. Patrzą na nią, jak pracuje całkowicie skoncentrowana na tym, co robi. Zmarszczki skupienia fałdują jej czoło, kiedy wyjmuje uparte włókienko.

— Jak tam Lulu? — pytam.

— Bez zmian. Weterynarz mówi, że kikut jest zainfekowany.

Staram się wymyślić coś, co nie zabrzmiałoby jak komunał, ale mi nie wychodzi. Coraz bardziej skłaniam się ku temu, że Jean-Claude miał rację: sentymentalizm Mathilde żadnemu z nich nie przyniósł nic dobrego. A najmniej psu.

— Natknąłeś się ostatnio na Jeana-Claude'a? — zagaduje, jakby czytała mi w myślach.

— Jeana-Claude'a...?

— Mhm, ostatnio, w miasteczku.

— Och... tak, spotkałem go na placu z materiałami budowlanymi. — Czuję się, jakby mnie przyłapała. — Skąd wiesz?

— Długo cię nie było. Pomyślałam, że to dlatego, że z nim rozmawiałeś.

Na tym kończy. Nie wiem, do czego to prowadzi, ale nie poruszałaby tego tematu, gdyby nie chciała, żebyśmy o tym pogadali.

— Mówił mi, że Louis zaginął — odzywam się po chwili.

Nie sposób odczytać wyrazu twarzy Mathilde. Kiedy wcześniej zapytałem o ojca Michela, stwierdziła tylko, że nie wie, gdzie on jest. Przecież nie mam prawa jej o takie rzeczy wypytywać.

Odsuwa kosmyk włosów.

— Tak.

— Wiesz, jak to się stało?

Jej oddech szepcze przy mojej stopie.

— Louis powiedział, że ma jakiś interes w Lyonie. Wziął trochę pieniędzy od mojego ojca i wyjechał. To było półtora roku temu. Od tamtej pory go nie widziałam i nie słyszałam o nim.

Znów mam wrażenie, że czeka, aż coś powiem.

— Może po prostu postanowił zabrać forszę i odjechać?

— Nie sądzę. Już nie. Gdyby żył, na pewno by się z kimś skontaktował. Nie ze mną, z Jeanem-Claude'em.

Dopiero co usłyszałem to od brata Louisa, ale w jej ustach te słowa mają większą wagę.

— Jean-Claude myśli...

— Wiem, co myśli. — Podnosi głowę, żeby na mnie spojrzeć. Szare oczy są łagodne i smutne. — Mój ojciec nie zabił Louisa. Jeśli można kogoś winić, to tylko mnie. Był niezadowolony, kiedy się dowiedział, że jestem w ciąży, pokłóciliśmy się. Gdyby nie to, sprawy wyglądałyby inaczej.

— Nie możesz winić siebie. Może gdyby twój ojciec porozmawiał z Jeanem-Claude'em...

— Nie. — Kręci głową. — Mój ojciec to dumny człowiek. Nie zmieni zdania.

— No to sama pogadaj z Jeanem-Claude'em?

— To nic nie da. On uważa, że my jesteśmy za to odpowiedzialni. Cokolwiek bym powiedziała, to nic nie zmieni.

Znów skupia się na szwach, jasno daje do zrozumienia, że koniec rozmowy. Wrzuca kolejne włókienko do miski i przesuwa moją stopę. Przez ręcznik czuję ciepło jej ciała.

— Jeszcze tylko jeden.

Czuję lekkie szczypanie, ale nic więcej, kiedy wyciąga ostatni szew. Odkłada szczypczyki na spodek i nakłada antyseptyk na dziury po niciach. Bez szwów stopa wygląda tak, jakby czegoś w niej brakowało, przypomina but bez sznurowadeł.

— I jak teraz? — pyta.

— Nieźle.

Nadal mam nogę na jej kolanach. A Mathilde wciąż trzyma na niej dłoń i nagle zaczynam mocno odczuwać ten kontakt. Dotyk jej palców na mojej nagiej skórze jest jak wyładowanie elektryczne. Sądząc po tym, jak czerwieni się po szyję, też tak to odbiera.

— Mathilde, Mathilde! On ciągle płacze! — Z dołu dobiega głośnie wołanie Gretchen, rozdrażnione, samolubne. Mathilde odsuwa moją stopę, szybko wstaje z krzesła i zrywa kontakt.

— Idę! — krzyczy. W jej oczach widać zmęczenie, kiedy bierze szczypczyki i miskę. — Miejsca po szwach mogą być wrażliwe przez jakieś dwa dni. Jeszcze musisz uważać.

— Dobrze. Dziękuję — mówię. Ale jej już nie ma.

Podnoszę się z brzegu wanny i widzę swoje odbicie w poplamionym lustrze nad umywalką. Twarz mam chudsza, niż zapamiętałem. Jest ogorzała, łuszczy



się, białe zmarszczki rozchodzą się z kącików oczu od mrużenia powiek w słońcu. Przemiany dopełnia broda: już nie wyglądam jak ja.

Odpowiadam temu obcemu spojrzeniem, potem schodzę ze schodów.

Dziwnie się czuję, kiedy znowu wkładam but na zranioną stopę. Plamy krwi na skórzanej cholewce oparły się kilkukrotnemu skrobaniu, po obu stronach widać bliźniacze półkola nakłuć. W końcu będę potrzebował nowych butów, ale na razie wystarczy mi spojrzenie w dół i widok dwóch stóp, mniej więcej symetrycznych.

Uczucie nowości blaknie. Już zaczynam zapominać, że miałem nogę obwiązaną bandażem. Towarzyszy mi dziwne uczucie, że wszystko wraca do tego, co było, zanim nastąpiłem na pułapkę, jakby wątek mojego życia próbował nawiązać do chwili, w której się urwał.

Mimo wszystko nie chcę za bardzo obciążać stopy i kiedy wybieram się na popołudniowy spacer nad jeziorko, znów zabieram laskę. To raczej podpora psychiczna niż fizyczna, ale nie zamierzam tego roztrząsać. Kiedy stopa odzyska całkowitą sprawność, zabraknie mi powodu, żeby tu zostać, czas będzie odejść, a na to nie jestem gotów.

Jeszcze nie.

Jak zwykle idę do swojego miejsca na urwisku i siadam pod kasztanem. Jeziorko jest spokojne, o tej porze dnia nawet kaczki nie mącą powierzchni. Ale różnice są widoczne także tutaj. Nastaje kolejna pora roku, a ja dotąd nawet tego nie zauważyłem. Zieleń liści okolicznych drzew jest ciemniejsza, niż kiedy tu przybyłem, i chociaż nadal panuje upał, światło słoneczne wydaje się trochę ostrzejsze. Zbliża się jesień, a wraz z nią zmiana pogody. Pocieram nadgarstek, na którym nosiłem zegarek, patrzę na ciemny wał chmur na horyzoncie. Jak sięgam pamięcią, po raz pierwszy, odkąd tutaj jestem, niebo ma inny kolor niż czysty błękit.

Wcześniej nie potrafiłem sobie wyobrazić w tej okolicy tchnienia zimy. Teraz potrafię.

Ruszyłem ścieżką z powrotem. Kłęby chmur przetoczyły się bliżej, sunąca przed nimi mgiełka przesłoniła słońce. Kiedy idę przez las, w powietrzu wyczuwa się zapowiedź deszczu. Przynajmniej posągi się nie zmieniły. Pan nadal bryka maniakalnie, a kobieta w welonie wciąż stoi obtłuczona i skruszona. Pod ciemniejącym niebem krwawa plama na jej zużytych piaskowcu odcina się wścieklej niż zazwyczaj.

— Cześć.

Wzdrygam się. Gretchen stoi na oczyszczonym kawałku lasu, gdzie z Arnaudem ścinałem brzozę. Tym razem nie ma z nią Michela ani Lulu: jest sama, spleta wianek z małych białych kwiatków, które dywanem pokrywają zieloną łąkę. Widać, że jest zadowolona, a ja czuję się tak, jakbym znowu wpadł w pułapkę.

— Nie zauważyłem cię. Co tutaj robisz?

— Szukam ciebie. — Wstaje, spleta pasemko kwiatów w kółko. — Obiecałeś, że dziś po południu będziesz mnie uczył angielskiego. Zapomniałeś?

Mglisto przypominam sobie, że coś wspominała o tym w kuchni, ale wiem na pewno, że niczego nie obiecywałem.

— Przepraszam, niech to trochę poczeka. Muszę wracać do pracy.

— Wcale nie musisz, nie tak od razu, prawda? — Idzie w moją stronę, nadal niepokojąco się uśmiecha.

Przez chwilę myślę, że chce założyć mi wianek na szyję i odruchowo robię krok do tyłu. Ale przechodzi obok, tak blisko, że muska mnie jej cienka sukienka. Podnosi ręce i zarzuca splecione kwiaty na szyję kamiennej nimfy.

— O tak. Jak ci się podoba?

— Bardzo ładne. Nieważne, idę brać się do roboty.

Ale łatwiej to powiedzieć, niż zrobić. Gretchen zastępuje mi drogę, a kiedy ją okrążam, przesuwa się w bok, żeby mnie zatrzymać. Uśmiecha się.

— Dokąd to?

— Już ci mówiłem, wracam do pracy.

— Hm, hm. — Kręci głową. — Jesteś mi winien lekcję angielskiego.

— Może jutro.

— A jeśli nie chcę czekać?

Posyła mi kokietyrny uśmiech, jest w tym zawołowana groźba. A może tylko ponosi mnie wyobraźnia. Muszę zwalczyć chęć, żeby znowu się od Gretchen odsunąć.

— Twój ojciec będzie się zastanawiał, gdzie jestem — tłumaczę. Ale tym razem powołanie się na Arnauda nie działa.

— Papa śpi. Nie zauważy, jak się spóźnisz.

— Mathilde zauważy.

Wspomnienie siostry to błąd.

— Dlaczego zawsze tak się przejmujesz tym, co myśli Mathilde?

— Nie przejmuję się — odpowiadam szybko. — Słuchaj, naprawdę muszę wracać.

Przez chwilę patrzy na mnie ponuro i ze złością, potem udaje, że się dąsa.

— Dobrze, ale pod jednym warunkiem. Daj mi ten naszyjnik. — Pokazuje wianek wiszący na posągu.

— Dlaczego?

— Zobaczysz.

Z westchnieniem odwracam się do nimfy i sięgam po kwiaty. Zza pleców dochodzi szelest, spoglądam przez ramię i widzę, jak sukienka Gretchen zsuwa się na ziemię.

Dziewczyna stoi naga.

— I co? — Uśmiecha się. Powietrze w lesie robi się jakby gęstsze. Gretchen podchodzi do mnie. — Mathilde tak nie wygląda, prawda?

— Gretchen... — zaczynam i wtedy słyszę silnik.

Patrząc obok niej, jak stary 2cv Georges'a z rżeniem wtacza się na ścieżkę. Tak mnie zamurowało, że nie mogę się ruszyć, zresztą już za późno. Widzę starego, siedzi za kierownicą jak pomarszczony uczeń, mało prawdopodobne, że nas nie zauważył. Ale jeśli zaskoczył go widok Gretchen stojącej nago pośrodku traktu, nie daje tego po sobie poznać. Kiedy Citroën podjeżdża bliżej, podskakując na wybojach, twarz Georges'a nie zdradza większych emocji, niż kiedy zabijał świnie. Potem samochód skręca tam, gdzie trakt się rozwidla w stronę świńskiej zagrody, i znika wśród drzew.

Warkot silnika cichnie. Gretchen patrzy w ślad za wozem, odwraca się do mnie z szeroko otwartymi oczami.

— Myślisz, że mnie widział?

— Ślepy chyba nie jest. Ubieraj się.

Przygnębiona robi, co powiedziałem. Nie czekam. Zostawiam ją w lesie, wracam na farmę, dźgam laską pobrużdżony koleinami trakt. Zaczyna do mnie docierać to, co przed chwilą się stało. Bóg jeden wie, co zrobi Arnaud, kiedy się dowie. Na pewno nie uwierzy, że nie zachęcałem jego córki do takiego zachowania ani że do niczego między nami nie doszło. Ale gdy idę między winoroślami, uświadamiam sobie, że to nie jego reakcja mnie niepokoi.

Niepokoi mnie reakcja Mathilde.

Od razu, bez zwłoki, chcę wejść do domu. Lepiej jeśli usłyszy to ode mnie niż od Georges'a albo Arnauda. Albo od Gretchen. Boże uchroni: przeraża mnie, jak ta maślana może to przeinaczyć.

Ale zanim dojdę do stodoły, zmieniam zdanie. Jeśli powiem Mathilde, to będzie wyglądało tak, jakbym chciał narobić kłopotów. Poza tym Georges to

jedna wielka zagadka, nie mam pojęcia, co robi. Może nie interesuje go nic poza świniami i w ogóle ani słowem nie wspomni o tej sytuacji w lesie.

Więc mieszam kolejną porcję zaprawy, gniewnie rozrabiam piasek i cement z dodatkiem wiadra wody. Kiedy wchodzę na rusztowanie, wywołany napięciem ból głowy dobiera mi się do karku. Opuścił mnie entuzjazm, nawet wiadro wydaje się cięższe niż zwykle. Ale nie mam niczego innego do roboty, więc czekając na przełomowy moment, mogę wykończyć kawałek ściany.

Nastąpił jednak inny przełom. Kiedy automatycznie wygładzam zaprawę na szparach między kamieniami, czuję mokre plaśnięcie na policzku. Podnoszę wzrok i widzę, że niebo pociemniało do koloru błotnistej szarości. Krople zaczynają bić o rusztowanie z odgłosem spadających pensówek.

Wreszcie przyszło załamanie pogody.

## Londyn

Pewnego popołudnia leżę rozwalony na kanapie w swojej kawalerce i oglądam *Diaboliques* na DVD, kiedy dzwoni moja komórka. Widziałem ten film już wiele razy, ale nudziłem się i nie miałem co robić przed początkiem zmiany w Zed. Powtarzałem sobie, że powinienem wykorzystać wolny czas bardziej konstruktywnie, znów wziąć życie w swoje ręce. Ale wtedy to, tak jak wiele innych rzeczy, wymagało ode mnie zbyt dużego wysiłku.

Zatrzymuję film i odbieram telefon. To Callum.

— Sean, właśnie czytałem o tym w gazecie. Stary, naprawdę mi przykro, nie miałem pojęcia.

Nie widziałem się z Callumem od paru tygodni. Praktycznie od tej podwójnej randki. Mówiliśmy, że trzeba by to powtórzyć, ale nic z tego nie wyszło. Rzecz w tym, że próbowałem przeciąć więzi ze swoim starym życiem, chociaż słowo „przeciąć” sugeruje za dużą aktywność w stosunku do tego, co robiłem. Raczej pozwalałam, aby same z siebie przestawały istnieć. Nadal patrzę w zatrzymany czarno-biały obraz na ekranie telewizora: Simone Signoret nachyla się nad martwym Paulem Meurrisse'em, który w garniturze leży w wannie. Wspaniała scena.

— Co takiego czytałeś? O czym ty mówisz?

Zalega cisza.

— To znaczy, że nie wiesz o Chloe?

Jest o tym w popołudniowym wydaniu „London Evening Standard”. Nie mam

gazety, ale reportaż znajduję na stronie netu. Krótki, bez zdjęcia. Prawdopodobnie uznali, że ta wiadomość nie zasługuje na to, żeby urozmaicić ją zdjęciem, albo może po prostu nie zdążyli go umieścić po tym, jak ciało Chloe zostało wyciągnięte z Tamizy.

„Narkomanka”, tak ją opisano. Samobójstwo albo wypadek, nikt nie wie na pewno. Dwa wieczory wcześniej widziano, jak spada z barierki Waterloo Bridge. Była tak naćpana albo pijana, że żaden ze świadków nie potrafi stwierdzić, czy się potknęła, czy skoczyła. Sprawa nadawała się na newsa tylko dlatego, że ciało, obijające się o filary mola, znalazła grupa uczniów podczas wycieczki statkiem. W reportażu sympatia zarezerwowana jest głównie dla nich, nie dla Chloe.

Była po prostu jeszcze jedną ćpunką.

Kiedy dzwonię do Yasmin, telefon odbiera Jez. Nie rozmawiałem z nim, odkąd odszedłem ze szkoły językowej. Nie mam nic przeciwko niemu, ale fakt, że mieszka z najlepszą przyjaciółką Chloe, krępuje nas obu.

Teraz jest mi to obojętne.

— Tu Sean...

— Sean — powtarza spiętym głosem. — Słyszałeś?

— Właśnie się dowiedziałem. Callum dzwonił.

— Dobrze się czujesz?

Nawet nie odpowiadam.

— Jest Yasmin?

— Tak, ale... chyba nie powinieneś teraz z nią rozmawiać.

Patrzę przez okno na gołębia, który usiadł na parapecie. Przechyliła główkę, żeby spojrzeć na mnie przez szybę.

— Co się stało?

— Niewiele wiem. Tylko tyle że znów zaczęła brać. Yasmin próbowała namówić ją na kurację, ale sam rozumiesz... Wzięła się za jakieś twarde prochy.

— Chwila wahania. — Słyszałeś, że Jules ją rzucił?

Opieram głowę o ścianę.

— Kiedy?

— Parę tygodni temu. Powiedziała Yasmin, że facet ma kłopoty. Mówiłem ci, że prowadził siłownię w Docklands? Cóż, chodziły słuchy, że stare nabrzeże, gdzie się mieściła, będzie zmodernizowane, więc kupił cały budynek. Zadłużył się po uszy, bo spodziewał się zrobić kokosy, a potem zrezygnowano z planów modernizacyjnych. Więc teraz wisi sporo kasy Lenny'emu, temu wielkiemu

facetowi, który zaopatrywał w to głównie jego siłownię, i jeszcze paru ludziom, z którymi Lenny robił interesy. Od takich nie powinno się pożyczać forsy. Nie znam wszystkich szczegółów, ale Chloe... Słuchaj, naprawdę chcesz o tym wiedzieć?

— Mów.

Westchnienie.

— Cóż, Chloe powiedziała, że Jules na poważnie zajął się dilerką, próbował spłacić długi. Chciał, żeby została kurierem Lenny'ego, na przykład w opłaconej podróży do Tajlandii.

— Jezu. — Zamykam oczy.

— Nie zgodziła się. — Jez opowiada coraz szybciej. — Jules się wściekł. Wyrzucił Chloe z mieszkania, nawyzywał ją od pasożytów, i takich tam rzeczy, a potem odciął od prochów. Nie chciał mieć z nią już nic wspólnego. Myślę, że chciał się odpłacić za to, że go ostatnim razem rzuciła. No i Chloe pękła. Yasmin robiła, co mogła, ale...

Po drugiej stronie nagle powstaje jakieś zamieszanie. Słyszę stłumione głosy, jeden z nich zagniewany, potem odzywa się Yasmin:

— Teraz jesteś zadowolony? — krzyczy. Płacze. — Ty cholerny gnojku, dlaczego pozwoliłeś jej odejść do tego sukinsyna?

Pocieram skronie. Czuję się tak, jakbym był zalany.

— Nic jej nie zrobiłem, Yas.

— Zostawiłeś ją, kiedy cię potrzebowała! Myślałeś, że co zrobi?

— Nie prosiłem, żeby się z nim przespała i zaszła w ciążę! — odkrzykuję.

— Mogłeś jej, kurwa, pomóc! To dziecko mogło być twoje, ale ty po prostu odszedłeś i ją zostawiłeś!

— Co? — W głowie mam mętlik. — Nie, Chloe powiedziała mi, że to jego...

— A ty w to uwierzyłeś? Jezu, naprawdę jesteś taki cholernie głupi? Chciała ci ułatwić sprawę, a ty jej pozwoliłeś, prawda? Równie dobrze mogłeś ją sam zepchnąć z mostu, ty samolubny...

Szamotanina, Jez próbuje wyrwać jej telefon. Słucham otępiały, wreszcie znów odzywa się Jez, wyraźnie zdenerwowany.

— Przepraszam, Sean, Yasmin jest... hm, rozumiesz.

— To co powiedziała, czy to...?

— Nic o tym nie wiem — przerywa mi szybko. — Słuchaj, muszę lecieć. Chyba lepiej, żebyś już nie dzwonił. Tylko przez jakiś czas. Przepraszam.

Połączenie się urywa. Słowa Yasmin zapadają we mnie. Nie mogę uwierzyć,

że Chloe kłamała, ale przecież Yas nie wymyśliłaby czegoś takiego. I były najlepszymi przyjaciółkami. Chloe w zaufaniu mówiła jej rzeczy, których nie powiedziałałaby nikomu innemu.

Włączając mnie.

Wiem, że to będzie tylko udręka, ale przeglądam swoje zapisane połączenia. Z relacji Jeza wynika, że Jules zerwał z Chloe mniej więcej w tym czasie, kiedy do mnie ostatnio dzwoniła. A ja nie odebrałem, bo właśnie wchodziłem na film, którego nie chciałem oglądać, z ludźmi, których nie znałem. Jej imię nadal się wyświetla, pod sam koniec. Kiedy je widzę na ekraniku, obłąkańczo kusi mnie, żeby zadzwonić. Nie robię tego, sprawdzam pocztę głosową, na wypadek gdybym przepuścił jakąś wiadomość. Ale oczywiście nic tam nie ma.

Oddycham z trudem. Wybiegam z mieszkania, łudzę się, że spaceruję bez celu, ale nieuchronnie dochodzę do Waterloo Bridge. To funkcjonalne betonowe skrzydło, strumień wozów pędzi obok chodnika. Idę na środek mostu i opieram się o szeroką barierkę, spoglądam w dół, na powoli płynącą rzekę. Zastanawiam się, co człowiek czuje, kiedy wkracza w nicość. Czy była jeszcze przytomna, kiedy uderzyła o wodę. Czy się bała.

Czy myślała o mnie.

Resztę dnia piję. Od czasu do czasu wyjmuję komórkę i gapię się na zapis połączenia od Chloe na małym wyświetlaczu. Parę razy już chcę usunąć numer, ale nie mogę się do tego zmusić. Wieczór jest ciepły i słoneczny, siedzę w bańce izolującej mnie od innych ludzi na tarasie pubu. Nie potrafię powiedzieć, kiedy podejmuję tę decyzję. Wiem, co powinienem zrobić. Siłownia Julesa jest w Docklands. Nie znam adresu, ale nie szkodzi. Znajdę ją.

Znajdę go.

# Rozdział 18

Deszcz bębni o dach, dudnienie przypomina zakłócenia w zepsutym radiu. Na zewnątrz woda spływa z kuchennego okna niekończącą się kaskadą, jest jak zasłona ze szklanych paciorków. Leje tak mocno, że drzwi i wszystkie okna są zamknięte, a w kuchni panuje gorący zaduch. Deszcz ani trochę go nie chłodzi, pozbawione powietrza pomieszczenie wydaje się klaustrofobiczne, gęsto w nim od kuchennych zapachów.

Dziś wieczorem, przygotowując kolację, Mathilde prześcignęła samą siebie, podała doskonałe pierwsze danie, karczochy w maśle.

— Co to za specjalna okazja? — gdera Arnaud. Tłuszcz pokrywa mu usta i podbródek.

— Żadna okazja — odpowiada Mathilde. — Po prostu pomyślałam, że ucieszycie się z odmiany.

Jej ojciec chrząka i wraca do obgryzania karczocha, obscenicznie wsadzając nos w środek rozłożonych liści. Gretchen prawie nie zwraca na mnie uwagi, nadąsana pomaga siostrze podawać jedzenie.

Georges najwyraźniej nie powiedział Arnaudowi, że widział nas dzisiaj w lesie. Przynajmniej na razie. Albo naprawdę troszczy się tylko o świnię, jak twierdzi Gretchen, albo nauczył się nie widzieć niczego, co jego nie dotyczy. Tak czy inaczej, nie powinienem się martwić.

Czuję się niemal rozczarowany.

Przez całe popołudnie miałem dziwny nastrój. Odkąd zaczęło padać, nie było mowy o dalszej pracy. Zaprawa szybko zmieniła się w szlam. A kiedy wiatr też przybrał na sile i trząśł rusztowaniem za każdym smagnięciem, musiałem zejść. Przemoczony do suchej nitki wróciłem do stodoły i zdjąłem mokry kombinezon, potem przyglądałem się burzy przez okno na strychu. Krajobraz się zmienił, znajoma sielankowa sceneria przybrała dziką postać. Pola leżały rozmazane pod szarpanymi wiatrem drzewami, jezioro stało się zaledwie plamą. Kiedy w oddali przetoczył się grzmot, właśnie myślałem, żeby popływać w szatkowanym ulewą jeziorze.

Zostałem jednak na strychu. Słuchałem łomotu deszczu i czekałem na zwiastowaną błyskawicę. Nie zmaterializowała się, a wkrótce burza przestała być fascynującą nowością. Bez przyjemności paliłem jednego z ostatnich



papierosów, próbując przeczytać kolejny rozdział *Madame Bovary*. Z trudem brnąłem przez tekst. Dzień chylił się ku wieczorowi, ulewa nie ustawała, a mnie ogarniał coraz większy niepokój. Pierwszy raz od tygodni założyłem z powrotem zegarek, patrzyłem, jak mijają sekundy do chwili, kiedy będę musiał pójść do domu na kolację. Obawie towarzyszyło jednak dziwne uczucie oczekiwania.

Teraz, kiedy wreszcie jestem tutaj, żadna kulminacja nie następuje. Wszystko toczy się zwykłym rytmem. Mathilde obchodzi stół z rondlem, nakłada nam po kolejnym karczochu. Małe, delikatne mięsiste liście są soczyste i miękkie. Nie dopisuje mi apetyt, ale i tak biorę porcję. Mathilde leje na warzywa trochę roztopionego masła z rondelka. Jak zwykle nic po niej nie można poznać.

Odrywam listek karczocha i wgryzam się w niego, zerkam na zegarek. Wygląda zarazem znajomo i obco na moim nadgarstku, żołądek wywraca mi się do góry nogami, kiedy widzę, że minęło zaledwie kilka minut, odkąd ostatni raz sprawdzałem godzinę. Wskazówki przesuwiają się, jakby były zanurzone w miodzie, jakby farma zwalniała prawa względności, żeby dostosować je do własnego tempa.

— Wybierasz się gdzieś? — pyta Arnaud.

Opuszczam rękę z zegarkiem.

— Po prostu straciłem poczucie czasu.

— Jak to? Nie mów mi, że jesteś zmęczony. — Śmieje się z poświstem, macha w moją stronę obgryzionym karczochem. — Dzisiaj prawie nic nie zrobiłeś. Deszcz dał ci wolne, niby czym miałbyś się tak utrudzić?

W oku migoczą mu błyski. Dociera do mnie, że humor mu dopisuje. W całej kuchni tylko jemu. Gretchen postanowiła przejść samą siebie w dąsach, Mathilde jest cichsza niż zazwyczaj. Zastanawiam się, czy siostra wspomniała jej o tym naszym dzisiejszym spotkaniu, i to odbiera mi chęć do rozmowy.

Arnaud — zbyt pochłonięty zaspokajaniem głodu — nie dostrzega żadnych wiszących w powietrzu podtekstów. Kiedy dziewczyny roznoszą główne danie: cienkie paski wieprzowiny w sosie kaparowym, znów zwraca się do mnie.

— Słyszałem, że zdjęto ci szwy ze stopy.

— Tak.

— Więc nic ci już nie będzie przeszkadzać, co?

— Chyba nie.

— Obaj mamy więc co uczcić. — Sięga po butelkę wina i chce ponownie napełnić mi kieliszek.

— Nie, dziękuję.

— Daj spokój, podziękujesz, jak wypijesz.

Odsuwam kieliszek.

— Więcej nie chcę.

Marszczy czoło, trzyma flaszkę nachyloną, tak że czerwony płyn prawie wylewa się z szyjki.

— Dlaczego? Coś nie tak?

— Po prostu nie mam ochoty.

Zaciska usta, układają się w linię wyrażającą dezaprobatę. Już opróżnił prawie całą butelkę i wątpię, czy to pierwsza tego dnia. Nalewa sobie jeszcze wina, rozchlapuje trochę po stole. Mathilde, przy piecu, wzdryga się, kiedy grube szkło uderza w drewniany blat.

— Co? — pyta.

— Nic.

Patrzy na nią, ale ona nie podnosi wzroku, gdy wraca na swoje miejsce przy stole. Arnaud pociąga łyk, nadziewa kawałek mięsa na widelec i przeżuwając, rozgląda się z wściekłością.

— Co się dzisiaj z wami wszystkimi dzieje?

Nikt nie odpowiada.

— Jakbym jadł w kostnicy! Coś jest nie tak, a ja o tym nie wiem? Co?

Cisza. Czuję na sobie wzrok Gretchen, ale udaję, że tego nie zauważam. Arnaud osusza kieliszek. Jego dobry humor długo nie potrwał. Znowu sięga po butelkę i widzi, że Mathilde mu się przygląda.

— Chcesz coś powiedzieć?

— Nie.

— Na pewno?

— Tak.

Nadal świdruje ją spojrzeniem, szuka czegoś, żeby się przyczepić. Nie znajduje, znów chwyta nóż i widelec i wraca do jedzenia. Wieprzowiny prawie nie trzeba gryźć, sama rozpada się w ustach. Sos jest zaprawiony na pikantnie czosnkiem i kaparami.

— Za mało przypraw — zrzędzi Arnaud.

Komentarz przechodzi bez echa.

— Powiedziałem, że przypraw za mało.

Mathilde bez słowa podsuwa mu sól i pieprz. Arnaud mieli dużo pieprzu do dania, potem zasypuje je solą.

— Ile razy ci powtarzałem, żeby dodawać więcej podczas gotowania. Potem to tylko zabija smak.

— Więc po co to robisz? — Nie zdążyłem się powstrzymać.

Patrzy na mnie jadowicie.

— Bo teraz przynajmniej jakoś smakuje.

— Dla mnie jest bardzo dobre — zwracam się do Mathilde. — Pyszne.

Mathilde rzuca mi nerwowy uśmiech. Jej ojciec mierzy mnie wzrokiem przez stół, powoli przeżuwa. Przełyka, nie spieszy się z odpowiedzią.

— A ty się na tym znasz, co?

— Wiem, co mi smakuje.

— Ach, to tak? Nie miałem pojęcia, że taki z ciebie smakosz. Cały czas myślałem, że jesteś przygłupim autostopowiczem, którego trzymam w stodole. — Arnaud podnosi szklankę w ironicznym pozdrowieniu. — To zaszczyt dla mnie, że zanudzasz mnie swoimi poglądami.

W nagłej ciszy bębnienie deszczu robi się bardzo głośne. Gretchen patrzy na nas szeroko otwartymi oczami. Mathilde zaczyna wstawać.

— W rondlu zostało jeszcze trochę sosu...

— Siadaj.

— Ale to nie problem, mogę...

— Powiedziałem: siadaj!

Talerze podskakują, kiedy dłoń Arnauda uderza w stół. Brzęk jeszcze nie cichnie, kiedy z góry dochodzi płacz Michela. Nikt jednak nie rusza się od stołu.

— Może zostawiłbyś ją w spokoju? — słyszę swoje słowa.

Arnaud powoli odwraca się, żeby na mnie spojrzeć.

Twarz już zaczerwieniona od wina teraz robi się jeszcze ciemniejsza.

— Co?

Jakbym biegł z góry i wiedział, że upadnę, ale nie mógł powstrzymać pędu.

— Może zostawiłbyś ją w spokoju — powtarzam.

— Nie... — zaczyna Mathilde, ale Arnaud ucisza ją podniesioną ręką.

— Słyszałaś? Znalazłaś obrońcę! — Nie odrywa ode mnie oczu, mówi złowieszczo ściszone głośnie. — Siedzisz tutaj, jesz moje żarcie, pijesz moje wino i robisz mi uwagi w moim domu?

Twarz Mathilde pobladła, piękne rysy Gretchen wykrzywiły się obrzydliwie. W każdej innej sytuacji odczytałbym to jako ostrzeżenie, ale jestem zbyt skupiony na Arnaudzie. Ma morderczą minę, żyły gwałtownie pulsują mu na skroniach. Cieszę się, że nigdzie w pobliżu nie leży karabin.

I wtedy, nagle, coś się zmienia. Błysk kalkulacji pojawia mu się w oczach. Wzrusza ramionami, otwiera usta, żeby wymusić na sobie uśmiech.

— E tam, do diabła z tym, nie będę się kłócił o talerz zarcia. Mężczyzna ma prawo do swojego zdania.

Przez sekundę nie potrafię się połapać, potem do mnie dociera. Myśli o rozmowie, którą odbyliśmy w lesie; o swojej sugestii, że powinienem zabrać Mathilde spod jego skrzydeł. Tłumione napięcie, które narastało we mnie przez cały dzień, nagle siada.

Arnaud znów ze smakiem zajmuje się jedzeniem.

— Więc lubisz kuchnię Mathilde, co? Zuch chłopak. Może trochę się uniosłem. Cóż, jest takie powiedzenie: kobieta, która wie, jak gotować dla mężczyzny, wie też, jak go zadowolić pod innymi względami.

Jeżu, wzdycham w duchu. Zerkam przez stół na Mathilde, mam nadzieję, że nie myśli, że uczestniczę w tych knowaniach jej ojca. Odwróciła wzrok. Za to Gretchen gapi się na mnie z wściekłością, skórę na twarzy ma napiętą. Siła tego spojrzenia uderza we mnie jak cios. Potem dziewczyna zwraca się do ojca:

— Papo, chcę ci coś powiedzieć.

Arnaud macha łaskawie widelcem, nie odrywa oczu od talerza.

— Dawaj.

Patrzę na nią, nie wierzę, że to robi. Ale oczywiście robi.

— Dziś po południu widziałam w lesie Georges'a. Nie wspominał o tym?

— Nie, a powinien?

Posyła mi spojrzenie, w policzkach robią się jej dołeczki od mściwego uśmiechu.

— To niech Sean ci powie.

Arnaud opuszcza nóż i widelec, podejrzenie zastępuje wcześniejszą pobłażliwość.

— No, mów. O co chodzi?

— Gretchen, może byś... — próbuje interweniować Mathilde, ale jej ojciec nie daje się zbyć.

— Gadaj wreszcie.

Wszyscy się we mnie wpatrują. Na każdej z trzech twarzy malują się inny emocje: Arnaud jest coraz bardziej wkurzony, Mathilde przerażona, Gretchen niepewna siebie, jakby za późno pożałowała tego, co zaczęła. Dziwne, ale jestem spokojny. Jakbym podświadomie czekał na tę chwilę.

— Odchodzę.

Oświadczenie przyjęto milczeniem. Mathilde wydaje się najbardziej wstrząśnięta, ale to Arnaud odzywa się pierwszy.

— Jak to: odchodzę?

— Po prostu. Mam coś do załatwienia.

Kiedy to z siebie wyrzuciłem, całe moje niezdecydowanie i niepewność zniknęły. Czuję się, jakby ciężar spadł mi z barków.

Arnaud robi gniewną minę.

— Co to takiego pilnego, że nagle trzeba się tym zająć?

— Osobista sprawa. Dawno powinienem to zrobić, ale już nie mogę tego odwlekać.

— Kiedy? — Mathilde wygląda na zszokowaną. Na ten widok robi mi się jej żal, ale nie na tyle, żebym zmienił decyzję.

— Wkrótce. Chciałbym...

— Nie! — wybucha Gretchen. — Nie, nie możesz odejść!

Widać, że jest wściekła, ale to może być złość, że sprawy nie potoczyły się po jej myśli. Jej ojciec odsuwa na bok wszelkie wahanie.

— Ależ może! Chwała Bogu, że się wynosi! Nie potrzebujemy go!

— Słuchajcie, wiem, że to niespodziewane. Jeśli chcecie, zostanę jeszcze parę dni, przynajmniej dokąd...

— O nas się nie martw — ryczy Arnaud. — Jak masz nas porzucić, nie spędzisz następnej nocy pod moim dachem! Jazda, judaszu! Pakuj swoje manatki i wynocha!

— Papo...!

— Nie słyszałeś, ty niewdzięczny draniu? Powiedziałem: jazda stąd!

Odsuwam krzesło i idę do drzwi. Mathilde podbiega, żeby mnie zatrzymać.

— Nie, poczekaj...!

— Niech idzie! — grzmi Arnaud.

— Wstrzymaj się przynajmniej do jutra, żeby o tym porozmawiać! Proszę!

Nie wiem, czy prośba Mathilde jest skierowana do mnie, czy do ojca. Arnaud patrzy na nią wściekle, porusza zuchwą, jakby gryzł kość.

— Proszę! — powtarza, tym razem nie mam wątpliwości, do kogo mówi.

Arnaud podnosi rękę na znak, że to go nie obchodzi. Kończy się na tym, że chwyta butelkę wina.

— Niech robi, co chce, mam to gdzieś. Zostanie czy odejdzie, mnie tam wszystko jedno. — Nalewa wino do kieliszka.

Mathilde łapie mnie za ramię i pospiesznie wyciąga na podwórze. Zanim

zamyka za nami drzwi, widzę jeszcze Gretchen, jej znękaną i poważną twarz.

Na dworze deszcz zelżał. Drobne kropelki nadal wiszą w powietrzu. Jest chłodno i wilgotno, dostaję dreszczy. Mathilde prowadzi mnie po śliskich brukowcach, aż jesteśmy poza zasięgiem słuchu tych, co siedzą w kuchni.

— Przepraszam — mówię.

Kręci głową. Włosy przymgliła jej mżawka.

— Nie musisz odchodzić.

— Owszem, muszę.

— Ojca po prostu poniosło, nie chciał cię wyrzucać. — Zerka w tył, na dom.

Nawet teraz nie potrafię zgadnąć, co myśli. — Nie zmienisz zdania?

— Nie mogę. Przepraszam.

Wzdycha, akceptuje to.

— Dokąd pojedziesz?

— Do Anglii.

— Wrócisz tu?

— Nie wiem — odpowiadam zaskoczony. Żałuję, że nie mogę jej powiedzieć, ale decyzja nie będzie należała do mnie.

Mathilde odzyskuje zimną krew. Zakłada wilgotne od deszczu włosy za ucho.

— Powinieneś zostać przynajmniej do rana. Ojciec się uspokoi, a o tej porze, w nocy, nie złapiesz żadnego samochodu.

— Nie chcę sprawiać więcej problemów.

— Nie będzie problemów. — Stoi blisko mnie, drobinki wilgoci zasnuwają mgiełką jej ubranie. — Obiecujesz, że nie odejdziesz w nocy?

— Oczywiście, że nie odejdę.

Znów spogląda za siebie, zniża głos.

— Zanim pójdziesz... muszę z tobą porozmawiać.

— O czym?

— Nie teraz. — Jej szare oczy wydają się ogromne. — Mogę później przyjść na strych? Po północy?

— Ja... okej. Jasne.

Ręką lekko dotyka mojej piersi.

— Dziękuję.

Patrząc za nią, kiedy spieszenie idzie do zastawionego rusztowaniem domu i znika w środku. Zostaję sam, w ciszy po deszczu. Teraz jest chłodniej. Stary kurek nad stajnią kręci się i skrzypi na wietrze, który niesie szum odległych drzew. Chmury przebiegają po niezbyt jeszcze ciemnym niebie, kapryśnie

przesłaniają wschodzący księżyc. Myśli kłębią mi się w głowie, kiedy idę po mokrym podwórzu do stodoły. Jeszcze parę minut temu wszystko było takie oczywiste. Teraz nie wiem, co o tym sądzić.

Ani czego może chcieć Mathilde.

Nagły przypływ wątpliwości odbiera mi siłę w nogach. Chryste, co ja wyprawiam? Opieram się o stodołę i dopiero wtedy uświadamiam sobie, że zostawiłem laskę w kuchni. Moment paniki szybko mija. Nie będę po nią wracał. Kiedy przyjmuję to do wiadomości, znów się uspokajam. Z ostatnim głębokim wdechem prostuję się i wchodzę na górę, żeby się spakować. Nadal mam wątpliwości, ale wiem, co muszę zrobić.

Czas zmierzyć się z tym, co zrobiłem.

## Londyn

Jest ciemno, kiedy docieram do Docklands. Nie mam pojęcia, która godzina — cyfry na tarczy zegarka wyglądają jak część nieczytelnego kodu — ale już późno. Bary i restauracje, które mijam, są zamknięte, jedyny odgłos to echo moich kroków.

Osiągnąłem stan fałszywej jasności umysłu, jakbym był zupełnie trzeźwy. Jez mówił, że siłownia jest w pobliżu niezabudowanego mola, ale błędząc to tu, to tam, osiągnąłem tylko tyle, że zgubiłem się zupełnie. Okolica to labirynt nieoświetlonych wieżowców, portowych budynków odnowionych na użytek nieco bogatszych ludzi i rozsypujących się magazynów, które czekają na kolejną obiecywaną renowację.

Zaczyna do mnie trafiać, jakie to głupie. Nawet jeśli znajdę Julesa, to niby co zrobię? Wszelka myśl o zemście wygląda teraz na idiotyczną, podlewaną alkoholem fantazję, która ma zagłuszyć wyrzuty sumienia. Kiedy snuję się pustymi ulicami, oskarżenia Yasmin grają mi w głowie jak zapętłona muzyka. Powtarzam sobie w kółko wszystko, co Chloe powiedziała o swojej ciąży, próbuję dogrzebać się do prawdy. Przypuszczenie, że mogła skłamać, wywołuje fizyczny ból pod mostkiem, wir gniewu i smutku. Chociaż bardzo chcę uwierzyć, że Yasmin tylko ostro mnie zaatakowała, wiem, że wina nie leży wyłącznie po stronie Julesa.

W skroniach zaczynają mi dudnić początki kaca. Czuję się zmęczony, chory ze smutku i obrzydzenia do siebie. Teraz chcę tylko wrócić do swojego mieszkania, ale nie mam pojęcia, jak się tam dostać. Wszystkie ulice wyglądają

tak samo; tunele z cegły, chromu i szkła, kończące się zazwyczaj ślepym zaułkiem, ciemną wodą i milczącymi łodziami.

Skręcam za róg i na końcu ulicy widzę światło wydostające się z otwartych drzwi. Nad nim też jest jasno, w oknie, a po drugiej stronie jezdni stoi zaparkowany samochód. Poza tym pusto. Zaczynam iść w tamtą stronę z nadzieją, że znajdę kogoś, kto mi wytłumaczy, jak się stąd wydostać. Zaszedłem daleko od zamożniejszych rejonów Docklands. Nie licząc magazynu z jednym oświetlonym oknem, wszystkie inne budynki dookoła są opuszczone. Za ogrodzonym kawałkiem nieużytków widać czarne lśnienie wody i upiorne zarysy łodzi zacumowanych przy małym pomoście. Ale dopiero kiedy widzę tablicę dewelopera na magazynie, a przez okno na parterze szkielety ram przyrządów do ćwiczeń, zaczynam kojarzyć. Zwalniam, nadal nie bardzo wierzę, że to jest to, o czym myślę, i wtedy ktoś wychodzi z drzwi i przez ulicę idzie do samochodu.

Elektroniczny pisk odblokowywanego zamka wozu niesie się po cichej okolicy. Zatrzymuję się, obserwuję, jak mężczyzna otwiera bagażnik. Na kilka chwil tracę go z oczu, potem kłapa zatraskuje się, a postać podchodzi do miejsca dla kierowcy i wsiada. Stoję bez ruchu, jakieś dwadzieścia, trzydzieści metrów dalej — w świetle wnętrza samochodu rozpoznaję Julesa. Kiedy widzę, jak garbi się nad kierownicą, opuszcza mnie cała odwaga, którą zebrałem przed konfrontacją. Teraz nie ma w nim próżności i arogancji. Wydaje się zmęczony i przybity. W zarośniętej twarzy błyszczą podkrążone oczy.

Nie śmiem się poruszyć, żeby mnie nie zobaczył, czekam, aż odjedzie. Tymczasem on czegoś szuka. Wkrótce to znajduje. Uświadamiam sobie, co robi, dopiero kiedy pochyla głowę, przyciska palec do boku nosa i wdycha coś z grzbietu dłoni. Nagle staje się bardziej zdecydowany, prostuje plecy i włącza silnik. Chwilę później ulicę oświetla jasny snop światła z reflektorów.

I mnie też.

Oślaniam oczy przed blaskiem, mam nadzieję, że Jules może mnie nie dostrzeże. A jeśli jednak dostrzeże, to że nie rozpozna. Przez chwilę nic się nie dzieje. Potem wyłącza silnik i światła. Kiedy mruganiem staram się odpędzić powidok, słyszę, jak otwierają się drzwi samochodu.

— Co tu, kurwa, robisz?

Nadal oślepiiony, patrzę na jego zarys przy wozie, nie wiem, co odpowiedzieć.

— Chloe nie żyje.



Tylko o tym jestem w stanie myśleć. Chwila ciszy. Przez sekundę, dwie mam nadzieję, że odłożymy na bok rywalizację, porozmawiamy. Jules zamyka samochód i przed nim staje.

— No i?

Gniew, który we mnie przygasł, znów zaczyna wzbierać. Wiem, że powinienem się wycofać, ale nie mogę się powstrzymać.

— To wszystko? Tyle masz do powiedzenia?

— A co chcesz, żebym powiedział? Sama to zrobiła, ja jej nie zmuszałem.

— Wyrzuciłeś ją!

— Narobiła bagna. Miała szczęście, że tak długo ją tolerowałem. A kto ty, kurwa, jesteś, żeby mi prawić kazania? Pozbyłeś się jej, to nie wstawiaj mi takich gadek.

— Wiesz, że usunęła ciążę? — Nie odpowiada. Oskarżenia Yasmin wracają do mnie, zachęcają, żebym mówił dalej. — Podobno było twoje.

Wzrusza ramionami.

— No to co? Powinna bardziej uważać.

— Jezu, nic cię to nie obchodzi?

— Niby dlaczego miałoby obchodzić? Była pieprzoną ćpunką!

— A z czyjej winy?

Patrzy na mnie, potem odwraca się przodem do samochodu. Myślę: chce odjechać, ale podchodzi od strony pasażera. Szarpnięciem otwiera drzwi i schyla się po coś.

To kij do baseballu.

— Wybrałeś zły dzień, żeby tu, kurwa, przychodzić. — Zostawia drzwi otwarte i rusza do mnie.

Sytuacja nagle staje się nierealna. Przypuszczam, że Jules blefuje, nie mogę uwierzyć, że naprawdę to zrobi. Cofam się, a on, jak na dany znak, rzuca się na mnie z rykiem. Próbuję się uchylić, dostaję cios kijem. Krzyczę z szoku i bólu. Wali mnie w uniesione ramię. Zataczam się do tyłu, Jules młóci jak wariat, częściej chybia, niż trafia. Rozlega się brzęk szkła, potykam się o skrzynkę pustych butelek. Tracę równowagę. Ledwie zdążam osłonić się ręką, kiedy kij spada mi na głowę. Ześlizguje się po palcach i trze o policzek.

Ostro rozbłyskuje światło, upadam. Łąduję niezgrabnie, butelki toczą się po chodniku. Ogarnięty paniką usiłuję odpełznąć. Jules robi zamach kijem, twarz ma wykrzywioną.

— Co tu się, do cholery, dzieje?

Krzyk dochodzi z drugiej strony jezdni. Potężna postać zasłania światło tych samych drzwi, z których wyszedł Jules. Kiedy staje na ulicy, rozpoznaję szerokie bary Lenny'ego.

— To były Chloe, tej cipy z baru — dyszy Jules. Kij nadal trzyma uniesiony, gotowy do kolejnego ataku, ale to oczywiste, że liczy się z tamtym.

Wielka głowa porusza się, Lenny próbuje dostrzec mnie w ciemności.

— Co on tu robi?

— Nie wiem, chce zrzucić na mnie winę za...

— Do kurwy nędzy — mruczy Lenny i rusza w naszą stronę.

Jest coś przerażającego w jego niespiesznej determinacji. Jules nadal jest rozproszony, chwytam leżącą obok butelkę i rzucam w niego, celując w twarz. Widzi, jak nadlatuje, uchyla się, butelka rozbija się za nim. Wtedy błyskawicznie wstaję i zaczynam uciekać. Potrącam go, rozlega się krzyk, słyszę świst kija przy skroni i czuję podmuch powietrza we włosach. Potem biegnę, najszybciej jak potrafię. Kroki Julesa dudnią tuż za mną, Lenny skręca, żeby odciąć mi drogę. Nie mam dokąd uciekać, ale samochód Julesa jest teraz na wprost mnie, drzwi od strony pasażera są otwarte. Wskakuję na fotel, ciągnę je, żeby zamknąć, ale Jules już wbił rękę do środka. Ryczy, bo przytrząskuję mu ramię. Krwawi, ma zgruchotane kości i chrząstki. Mimo to próbuje mnie złapać, z całej siły szarpię za klamkę, unieruchamiam go. Teraz Lenny jest już prawie przy nas. Nie utrzymam ich obu na zewnątrz, więc kiedy Jules rzuca kij baseballowy i stara się uwolnić, popycham go drzwiami. Potyka się do tyłu. Gdy jego ramię cofa się ze szczeliny, zatrząskuję drzwi.

Naciskam guzik centralnego zamka. Rozlega się zbawienne kliknięcie — trzpienie zaskakuje. Samochód się trzęsie, kiedy Jules szamocze się przy nim.

— Otwórz te pieprzone drzwi! — wydziera się, waląc w szybę. — Nie żyjesz, słyszysz? Nie żyjesz, kurwa!

Leżę na przednich fotelach, ledwie łapię powietrze. Podpieram się, żeby usiąść, dotykam czegoś barkiem. Patrzę na kierownicę i zaczynam rozumieć, dlaczego Jules nie otworzył drzwi pilotem.

Kluczyk nadal tkwi w stacyjce.

Przeczołguję się na miejsce kierowcy, Jules łomocze w szybę od strony pasażera. Z ramienia ścieka mu krew.

— Nawet, gnoju, nie próbuj!

Ręka mi się trzęsie, kiedy przekręcam kluczyk. Wciskam gaz do dechy. Samochód robi skok do przodu i gaśnie. Cholera, cholera! Wzdrygam się na

nagle łomotanie w drzwi od mojej strony. Lenny zamierza wybić szybę łokciem. Samochód kołysze się, bo Jules ciągnie za drzwi; ryczy, kiedy znowu przekręcam kluczyk.

— Nie, czekaj! Nie...!

Silnik zagłusza jego wrzask. Lenny nachyla się i podnosi kij baseballowy z chodnika, ale ja już odjeżdżam. Lenny się odsuwa, ale Jules biegnie z boku, nadal grzmoci pięścią w szybę. Krzyczy do mnie, przyspieszam i on nagle znika. Przychodzi chwila ulgi, potem kierownica omal nie wrywa mi się z rąk, samochód podskakuje i się telepie. Od strony pasażera dochodzi stukot, jakby coś zaczepiło o nadkole. Trzęsienie ustaje. Kiedy hamuję, rzuca mnie do przodu, auto zatrzymuje się z piskiem. Odwracam się, ale w pobliżu nie ma nikogo. W lusterku wstecznym widzę Lenny'ego, stoi na jezdni, dość daleko za mną.

Julesa ani śladu.

Silnik cicho terkocze. Spoglądam na fotel obok. Pas bezpieczeństwa zatrzasnął się w drzwiach, rozwinięty, splątany jak miniaturowa pętla. Kiedy sięgam do drzwi i je otwieram, wije się ospale, ale mechanizm jest uszkodzony i wkrótce pas już się nie wciąga. Gapię się na postrzępiony materiał, myślę o ramieniu Julesa przytrzaśniętym drzwiami. O tym, jak walił w szybę, kiedy przyspieszałem, żeby odjechać.

Zostawiam silnik na chodzie i wysiadam.

Lenny spogląda w dół, na jakiś kształt w rynsztoku. Kształt się nie porusza, w świetle lampy ulicznej widzę nogi — są nienaturalnie wykręcone tyłem do przodu. Coś czarnego i lepkiego zbiera się wokół, błyszczący jak olej. Nawet gdybym miał jakieś wątpliwości, rozwiewa je opanowanie Lenny'ego. Podnosi głowę i wpatruje się we mnie z przerażającym spokojem. Wpadam na drzwi od strony kierowcy, kiedy się cofam, potem gramolę się za kierownicę i wrzucam bieg.

Pędząc ulicą, spoglądam w lusterko wsteczne. Lenny ani drgnie. Po prostu stoi, patrzy za mną, w jednej ręce ściska kij baseballowy.

Nie zwalniam, dopóki nie jestem na tyle daleko, żeby poczuć się bezpiecznie. Dopiero potem zjeżdżam na pobocze. Udaje mi się otworzyć drzwi na czas, żeby nie wymiotować na tapicerkę; rzygam przez próg parzącą żółcią. Kiedy skurcz przechodzi, chwytam za telefon, żeby wezwać karetkę. Julesowi to nie pomoże, ale działam odruchowo, jak pies Pawłowa w skórze dobrego obywatela. Zresztą nie jestem w stanie myśleć o czymkolwiek innym.

Ale komórka nie działa. Wyświetlacz jest potrzaskany, a obudowa prawie

rozpada mi się w ręce. Nie wiem, kiedy to się stało, ale teraz telefon do niczego się nie nadaje. Ruszam, zamierzam po drodze zatrzymać się przy pierwszej budce telefonicznej. Tyle że żadnej nie widzę. Włączam wycieraczki, kiedy nagła ulewa zamazuje szybę, zmieniając świat za nią w impresjonistyczne plamy. Odnoszę wrażenie, że tkwię w pułapce koszmaru, ale stopniowo umysł zaczyna mi pracować. Wkrótce mogę jasno myśleć. Przynajmniej tak mi się wydaje.

Nadal pada, ale pierwsza czerwień świtu rozjaśnia niebo, kiedy zatrzymuję się pod swoim blokiem. Od pośpiechu niemal dostaję gorączki. Wchodzę do mieszkania. Trzęsę się, wszystko mnie boli, ale nie ma mowy, żebym tu został. Lenny wie, kim jestem, to tylko kwestia czasu, żeby mnie znalazł. On albo któryś z jego wspólników. Nie mogę nawet oddać się w ręce policji, bo z tego, co mówił Jez, wynika, że nawet w więzieniu nie będę bezpieczny. Do głowy przychodzi mi tylko jedno.

Wpycham do plecaka ubrania i gotówkę, którą trzymam w mieszkaniu. W ostatniej chwili przypominam sobie o paszporcie. Rzucam ostatnie spojrzenie na małe mieszkanko z płytami na półkach i filmowymi plakatami w ramkach. Jest tam rzadka kopia *Rififi* oraz odbitka *I Bóg stworzył kobietę* Vadima z szokująco biuściastą Bardotką — zakup tych rzeczy doprowadził mnie niemal do bankructwa.

Zamykam drzwi i szybko wracam do samochodu Julesa. To audi, smukłe i drogie. Nie wyglądam na posiadacza luksusowego auta, ale konieczność wyjazdu przerasta wszystko.

Nie mam wątpliwości, dokąd pojedę.

Wrzucam plecak do bagażnika i idę do drzwi kierowcy. Przystaję. Nie chcę widzieć tego, co może być po stronie pasażera, ale nie mogę odjechać, zanim się nie upewnię. Sprawdzam, czy ulica pusta, i zmuszam się, żeby przejść na drugą stronę wozu. Czarny lakier wokół tylnego koła jest podrapany i poobijany. Ale nie tak bardzo, żeby przyciągał uwagę, a deszcz zmył całą krew, jeśli tam była.

Nic nie wskazuje na to, co zrobiłem.

Na poranne korki jeszcze za wcześnie, szybko dojeżdżam do terminalu promu w Dover. Zaczyna docierać do mnie fizyczna reakcja. Mam kaca, jestem obolały po bijatyce. Wszystko wydaje się nierealne, więc dopiero kiedy kupuję bilet dla siebie i na samochód, uświadamiam sobie, że numer rejestracyjny może zapalić światelko alarmu. Zdumiewa mnie własna głupota, że nie pozbyłem się wozu i nie wszedłem na pokład jako pieszy pasażer.

Ale nie ma syren, alarmów. Wjeżdżam samochodem swojej ofiary do

przepastnego metalowego brzucha promu, potem idę na górę, na pokład i patrzę, jak powoli oddalają się białe klify.

Kilka godzin później łapię okazję na nieutwardzonej drodze pod białym słońcem Francji.

# Rozdział 19

Pakowanie nie trwa długo. Parę swoich ubrań i innych rzeczy szybko upycham w plecaku. Mógłbym poczekać do rana, ale nie tyle planuję, co obiecuję sobie, że zrobię to teraz. Tym razem nie zmienię zdania.

Dlatego tak bardzo denerwuję się wizytą Mathilde.

Nie mam już nic do roboty, pozostało mi tylko czekać. Na dworze jest zupełnie ciemno, chociaż dopiero dochodzi dziewiąta. Jeszcze jeden znak, że to prawie koniec lata. Za trzy godziny zjawi się Mathilde. Jej *Madame Bovary* leży obok materaca. To też pozostawiam nieukończone. W świetle lampy rozglądam się po mrocznym strychu. Mimo gratów i pajęczyn zaczynam się w nim czuć jak w domu. Będzie mi smutno, że go opuszczam.

Wyciągnięty na łóżku zapalam kolejnego papierosa, z tych ostatnich. Gaszę płomynek zapalniczki, przypominam sobie, jak zdjęcie z Brighton zwijało się i zamieniało w popiół. Żałuję, że Gretchen je spaliła, ale przecież żałuję wielu rzeczy. Może nie zdołałbym odmienić losu Chloe, ale oskarżenie Yasmin głęboko wbiło swoje kolce. „Zostawiłeś ją, kiedy cię potrzebowała. Chciała ci ułatwić sprawę, a ty jej pozwoliłeś”. Miała rację czy nie, ale jest w tym trochę prawdy. I nikt mnie nie zmuszał, żebym szedł do Docklands tamtego wieczoru. Przez mnie nie żyje człowiek. Nieważne, że to był wypadek ani że tylko próbowałem się ratować; zabiłem.

Od tego nie ma ucieczki.

Wydmuchuję dym pod sufit. Muszę wracać, teraz jestem pewien. Rozważania o tym, co dalej, nadal mnie przerażają, ale dla spokoju umysłu postanowiłem wziąć odpowiedzialność za swój czyn. Tylko że za każdym razem, kiedy myślę o Mathilde i o tym, o co jej może chodzić, moje postanowienie słabnie.

No i jeszcze jedna komplikacja. Plastikowa paczka z samochodu Julesa nadal leży tam, gdzie ją schowałem po wizycie żandarmów. Nie mogę jej tu zostawić, ale na pewno nie zabiorę ze sobą z powrotem do Anglii kilograma kokainy.

Więc co z tym zrobić?

Strych jest mały i wilgotny, za mało w nim powietrza na myślenie. Idę do otwartego okna. Za winoroślami i lasem ledwie widzę jeziorko oświetlone przez księżyc, srebro na tle ciemności. Obiecałem sobie, że popływam w nim, zanim odejdę. Do wizyty Mathilde zostało jeszcze trochę czasu.

To moja ostatnia szansa.

Nie zawracam sobie głowy światłem, kiedy schodzę ze strychu, ufam przyzwyczajeniu, pokonując drewniane stopnie. Blask księżyca wlewa się przez otwarte wrota stodoły, pada szeroką smugą na kruszący się beton, przez który omal nie popadłem w paranoję. Wychodząc, ledwie na niego zerkam.

Mżawka ustała. Noc pachnie niewiarygodnie słodko, świeży wietrzyk porusza liśćmi winorośli. Księżyc jest w pełni, ale poszarpane chmury, przepływając po nim, rzucają cienie, a te pędzą po polu. Kiedy wkraczam w las, słyszę nieustanny szum. Woda kapie z gałęzi, nadając ciemniejszy kolor posągom ukrytym wśród drzew. Białe kwiatki, które Gretchen zawiesiła nimfie na szyi, niemal świecą w srebrzystej łunie, ale bledną, gdy kolejna chmura przesłania księżyc.

Zostawiam za sobą kamienne postacie, docieram do jeziora. Powietrze ma żelazisty posmak, czarna woda drży muskana wietrzykiem. Nagły ruch sprawia, że się wzdrygam, ale to tylko kaczka mierzwi sobie pióra. Księżyc znów się wyłania i widzę więcej kaczek, są rozsiane wzdłuż brzegu jak kamienie. Podchodzę do pasa kamyków i się rozbieram. Moje nagie stopy nie pasują do siebie — jedna jest bez śladów, znajoma, druga chuda i biała, pokreślona gniewnymi pręgami.

Wchodzę do jeziora, zimna woda odbiera mi oddech. Odruchowo staję na palcach, gdy sięga krocza, potem brnę dalej. Zatrzymuję się, bo jeszcze krok i dno nagle się urywa, zbieram siły i się zanurzam.

To jak nurkowanie w lodzie. Chłód dźga mnie w uszy, kiedy woda zamyka mi się nad głową. Zaczynam niezdarnie płynąć kraulem. Próbuję dotrzeć na środek jeziora, pompuję krew do ospałych kończyn. Dyszę, młócę ramionami i się rozglądam. Za mną, na powierzchni zostaje poszarpany ślad. Tutaj wszystko wygląda inaczej, dziwnie i nieruchomo. Woda wydaje się głęboka, bez dna. Poda mną migocze srebro, ryba odbija światło księżyca. Spoglądam w dół, widzę swoje ciało zawieszony w czerni, blade, jakby bezkrwiste.

Boże, ale dobrze. Znowu zaczynam płynąć, tym razem spokojną żabką. Przede mną wznosi się urwisko, na którym spędziłem tyle popołudni. Szerokie konary kasztana rozpościerają się na tle nieba jak skrzydła. Ich widok przypomina mi, że jestem tu po raz ostatni, i to szybko gasi wszelką przyjemność.

Chciałem popływać, no to popływałem. Nie ma sensu zostawać w jezioru dłużej. Zaczynam wracać do brzegu, ale kiedy macham nogami, moja stopa

dotyka czegoś twardego. Gwałtownie odbijam w bok, szybko uświadamiam sobie jednak, że to tylko podwodna skała, którą widziałem z urwiska. Ostrożnie znowu wyciągam stopę.

I natychmiast ją cofam.

Skała jest gładka. Nie, jak należało się spodziewać, od mułu i alg albo wodorostów, ale gładkością twardą i wypolerowaną. Opuszczam stopę, potem drugą, staję na skale. Woda sięga mi podbródka. Pod sobą czuję płaską i lekko wypukłą powierzchnię, usianą maleńkimi pęcherzykami korozji. I bez tego wiem, że to nie skała.

To dach samochodu.

Macam dookoła palcami, określam kształt dachu. Jedna stopa ześlizguje się z krawędzi i nagle pode mną jest tylko woda. Łomoczę rękami, kiedy jezioro całkiem mnie pochłania. Znowu staję na dachu, krztuszę się i kaszlę. Przynajmniej ustaliłem, że to nie auto. Dach za wąski, zbyt ścięty.

To raczej kabina furgonetki.

Drżąc, patrzę na brzegi jeziora. Są zbyt miękkie i muliste, żeby coś tu wjechało. Nie, furgonetka musiałaby spaść z urwiska. Ale w takim razie jest za daleko. Mogła więc przebyć całą tę drogę tylko w jeden sposób — jeśli ktoś celowo, z rozpędu zjechał nią z góry.

Bardzo chcę popłynąć z powrotem i się ubrać. Ale nie mogę tego zrobić, jeszcze nie. Biorę głęboki wdech i nurkuję. Woda wciska mi w uszy lodowate igiełki. Wszystko jest zamazane i ciemne. Nic nie widzę, ale wtedy księżyc wyłania się zza chmury i nagle nieziemskie światło przenika w dół. Pode mną ożywa zanurzone metalowe cielsko. Teraz rozpoznaję, że to pick-up. Otwarta paka za kabiną jest oświetlona i pusta. Nurkuję głębiej, czuję rozsadzający ból w płucach. Za dużo papierosów. Walczę z wypornością swojego ciała, chwytam za klamkę przy drzwiach i omal nie odpływam, gdy otwierają się w zwolnionym tempie.

Serce zaczyna mi bić jak w bęben, kiedy podciągam się bliżej. Wnętrze kabiny jest mętne i pełne cieni. Zaglądam do środka na kolejne trzy uderzenia serca, potem księżyc niknie i znowu zapada ciemność. Puszczam drzwi, odpycham się w stronę powierzchni. Wyskakuję, dysząc. Łykam nocne powietrze głębokimi haustami, walenie w skroniach ustępuje.

Nic.

W ciemnej wodzie trudno o pewność, ale w kabinie niczego nie widziałem: żadnego dużego cienia, żadnego falowania kończyn. Zastanawiam się, czy nie



zajrzeć tam po raz drugi, żeby się upewnić, ale na tę myśl przechodzą mnie ciarki. Nie daję rady się przemóc, żeby znowu zanurkować.

Szczękając zębami, płynę z powrotem. Zmuszam się do utrzymania jednostajnego tempa, zwalczam pokusę, żeby przyspieszyć. Wreszcie dryfujący wodorost albo jakaś gałązka ociera się mi o kostkę, opanowanie pęka. Rzucam się w stronę brzegu, młóczę w płyciznę, aż dopływam do kamyków. Drzę, pocieram ramiona i oglądam się na jeziorko. Małe falki poruszonej przeze mnie wody już zaczynają nikać, lustro znów jest czarne. Ani śladu, że coś jest ukryte pod powierzchnią.

Wkładam koszulę. Nie mam wątpliwości, do kogo należała ciężarówka. Nie rozpoznałem koloru, ale domyślam się, że był ciemnozielony. Taki sam jak na zdjęciu, które pokazał mi Jean-Claude. Ostatni raz widziano Louisa w Lyonie, więc zakładałem, że jeśli coś mu się stało, to właśnie tam. Myliłem się.

Wrócił.

Wyteżam się, żeby naciągnąć dzinsy na wilgotną skórę. Choćbym nie wiem jak się starał, nie znajduję niewinnego wyjaśnienia, dlaczego jego pick-up znalazł się w jeziorku. Jean-Claude próbował mi powiedzieć, że za zniknięcie jego brata odpowiada Arnaud, ale nie słuchałem. Nie chciałem słuchać. Nie wierzę, że Mathilde coś o tym wie, ale nie zamierzam zostawać, żeby to sprawdzić. Arnaud jest na mnie wściekły, a farma ukrywa już co najmniej jedną tajemnicę.

Ani mi się śni stać się drugą.

Buty nie chcą wejść. Las, groźny i czujny, obserwuje mnie, kiedy usiłuję wcisnąć w nie stopy. Cały czas się rozglądam, nie zdziwiłbym się, gdybym nagle zobaczył Arnauda z karabinem. Ale, nie licząc jednej rzeźby, jestem tu sam. Sięgam w dół, żeby naciągnąć but, kiedy dociera do mnie, że tak blisko jeziorka przecież nie ma żadnych posągów. W tej samej chwili kamienna figura wyłania się zza drzew.

W świetle księżyca Gretchen jest biała jak alabaster, skórę ma odbarwioną, jasną jak kamień. Patrzy na mnie, ale się nie zbliża.

— Poszłam na strych. Nie zastałam cię tam.

Odzyskuję głos.

— Tak. Ja... musiałem się trochę przewietrzyć.

— Widziałam twój plecak. Wszystko już spakowane.

Nie wiem, co na to powiedzieć. Dziewczyna spogląda na wodę. Upiorny spokój zastąpił wcześniejszy gniew. Jest jeszcze bardziej niepokojący.

— Wszedłeś do jeziorka.

— Ja, hm, było mi gorąco. Chciałem się ochłodzić.

— Długo nurkowałeś. Co robiłeś pod wodą?

— Po prostu pływałem.

Staram się ocenić, ile wie, bo może nie zdaje sobie sprawy, co tam jest. Ale dygoczę tak mocno, że trudno mi logicznie myśleć.

— Słyszałeś, tutaj nie wolno pływać. Jest niebezpiecznie. — Ciekawe, dla kogo? — Jak powiem papie, będzie zły.

— Nie musisz mu mówić, prawda?

— A dlaczego? Przecież jutro i tak odchodzisz. — Wzrok ma zimny i odległy.

— Nie zależy ci na nas, bo inaczej byś nas nie opuszczał.

— Nikogo nie opuszczam.

— Właśnie że opuszczasz. Niczym nie różnisz się od innych. Zaufaliśmy ci, a teraz nas zdradzasz.

Takich samych słów użyła, kiedy opowiadała o Louisie.

— Słuchaj, przykro mi, jeśli...

— Wcale nie jest ci przykro. Oszukałeś mnie.

Oszukałem ją? Po raz drugi tej nocy coś przerasta moje rozumienie.

— Nieprawda...

— To obiecaj, że zostaniesz.

— Gretchen...

— Musisz obiecać. Bo powiem papie.

Chryste. Patrzę na wodę. Nie wiem, czy dziewczyna ma jakiegokolwiek pojęcie, co tam jest i jakie problemy wywoła, mieszając w to Arnauda. Nie podoba mi się to, ale muszę uciszyć Gretchen, dopóki stąd nie odejdę.

— Okej. Zostanę.

Przenika mnie wzrokiem. Czuję, że jeżą mi się włoski na karku.

— Kłamca.

— Nie, ja...

— Myślałam, że jesteś miły, ale nie jesteś. Już cię nie lubię.

— Gretchen, słuchaj... — zaczynam, ale ona już biegnie ścieżką. Przez sekundę nie reaguję, potem ruszam za nią. Nie wiem, co zrobić, co jej powiedzieć, wiem tylko, że nie mogę tutaj zostać. Straciłem kondycję, buty mam niezasnurowane, telepią mi się na nogach. Jakbym poruszał się w koszmarze sennym. Gretchen pędzi przez las przede mną, pojawia się i znika w świetle księżycy jak zjawy. Piers i nogi mi płoną; kiedy mijam posągi, spada mi jeden but i nagle zaczynam się toczyć po ścieżce. Tracę oddech. Zadyszany podnoszę się,

w samą porę, żeby zobaczyć, jak biała postać Gretchen wyłania się z lasu i gna przez winnicę. Chmura przesłania księżyc, zaciemnia jej sylwetkę, ale to oczywiste, że teraz jej nie dogonię. Przed domem nie zdążę.

Schylam się, zginam w pół, z rżeniem wciągam powietrze. Cholera, cholera! Próbuję zebrać myśli. Może przesadnie reaguję i jest jakieś banalne wyjaśnienie. Może to stara furgonetka, której się pozbyto. Rozpaczliwie chcę w to uwierzyć, ale wspomnienie tego, co znalazłem w jeziorcu, jest zbyt żywe. Nie mogę ryzykować: jeśli to pick-up Louisa, Arnaud nie pozwoli, żeby ktoś się ode mnie tego dowiedział.

Nie da mi odejść z farmy.

Jak na dany znak, jego podniesiony głos niesie się daleko z podwórza, ryczy coś bez sensu. Wydaje mi się, że słyszę także Mathilde, błagalny kontrapunkt, potem trzaskają drzwi i zalega cisza.

Wyruszył.

Rozglądam się za zgubionym butem, ale księżyc nadal jest za chmurami i widzę tylko cienie. Nie ma czasu. Kamienie i gałązki kłują mnie w bosą stopę — tę dopiero co wyleczoną — kiedy zbiegam z ścieżki, żeby schować się między drzewami. Jak Arnaud mnie minie, dojdę do drogi. O plecak będę się martwił później.

Nie uszedłem daleko, kiedy nadeptuję na coś ostrego. Rozlega się nagłe trzaśnięcie, wbija się we mnie kolec paniki. Z walącym sercem odskakuję do tyłu, w napięciu czekam na ból po ukąszeniu przez żelazne szczęki. Nie nadchodzi. To tylko zeszcła gałąź, w panice zapomniałem, że las w tym miejscu nadal jest pełen pułapek Arnauda. Nie odważam się iść, ani do przodu, ani z powrotem, do ścieżki. W gęstej ciemności nie widzę ziemi pod nogami. Może nic tu nie ma, ale jeśli jest...

Między drzewami dostrzegam jakiś ruch. Spoglądam za siebie, w stronę winnicy. Akurat napłynęły chmury i przez chwilę gapię się tylko w mrok. Potem księżyc się wyłania i spomiędzy pni wyławiam wzrokiem wyraźną postać Arnauda — idzie szybko w stronę lasu. Srebrzyste światło błyszczy na czymś metalicznym. Kiedy dociera do mnie, co to jest, niknie wszelka nadzieja, która mi jeszcze została, że porozmawiam z nim racjonalnie.

To karabin.

Księżyc chowa się za inną chmurę, znów przed oczami mam ciemność, jakby zaciągnięto kurtynę. Ale Arnaud jest bliżej, niż się spodziewałem. Za późno, żebym wrócił po własnych śladach i popędził w stronę jeziorca. Jeśli tam nawet

nie leżą pułapki, będzie na tyle blisko, żeby mnie zobaczyć, a na ścieżce stanę się łatwym celem. Zrozpaczony rozglądam się, gdzie by się schować. Jestem niedaleko miejsca, w którym ścinaliśmy brzozę, większość drzew to albo młode sadzonki, albo kikuty. Wystarczy, żeby Arnaud odwrócił głowę i mnie zobaczy... Wtedy jednak fala księżycowego światła przenika między gałęzie i oświetla pobliskie posągi.

Z nadzieją, że Arnaud nie zastawił wokół nich pułapek, biegnę między rzeźby, kiedy krótkotrwała jasność gaśnie. Rzucam się na wilgotną ziemię, kulę się za kamienną szatą mnicha. Brakuje mi tchu, noga bez buta pulsuje gorączką. Robi się lepka: musiałem ją rozplatać na tej suchej gałęzi, a może rany znów się otworzyły. Ale to najmniejszy z moich problemów. Wyglądam zza posągu. Bez księżycy las to wyłącznie różne odcienie czerni. Nic się nie rusza, potem zauważam cień nadciągający ścieżką.

Znów się chowam, przywieram do zimnego kamienia. Niebo nade mną to szachownica chmur i gwiazd, ale tutaj, na dole, panuje ciemność. Patrzę w górę, między koronami kasztanów, modłę się, żeby nie pokazał się księżyc. Chcę spojrzeć jeszcze raz, ale boję się, że Arnaud mnie zobaczy. Więc leżę nieruchomo, nasłuchuję, czy się nie zbliża. Wietrzyk porusza liśćmi i gałęziami, maskuje inne odgłosy. Zamykam oczy, próbuję sobie wyobrazić, gdzie on może być. Mówię sobie, że jak doliczę do trzydziestu, na pewno już przejdzie. Ale kiedy kończę liczenie, nadal się nie ruszam. A jeśli się pomyliłem albo on się zatrzymał? Zaciskam pięści, próbuję podjąć decyzję. Nie mogę tutaj tkwić w nieskończoność: szanse, żeby dostać się do drogi, są największe, kiedy Arnaud nadal jest nadjeziorkiem. Do tej pory musiał tam dojść. Cały spięty przygotowuję się, żeby znów spojrzeć.

Rozlega się stłumiony trzask łamanej gałązki.

Nieruchomieję. Wstrzymuję oddech, nie śmiem zaczerpnąć powietrza. Wyteżam słuch, żeby coś wychwycić ponad szelestem drzew, chcę, żeby chmury zatrzymały się na chwilę. Ale wysoko wiejący wiatr już je rozgania, na ich czarnych konturach pojawiają się obwódki srebrnego blasku. Patrzę bezradnie, jak znów wynurza się księżyc i zalewa świat opalizującym światłem. Wtedy, kilkadziesiąt centymetrów ode mnie, słychać kolejny trzask gałązki.

— Sean? — Przyciszony głos Mathilde.

Ustępujące napięcie odbiera mi siły.

— Tu jestem.

Patrzyła w stronę innych posągów. Odwraca się, słysząc mój szept, i szybko

podchodzi. Ogląda się na ścieżkę między drzewami. Księżyc judasz znów schował twarz, zatapiając las w mroku.

— Musisz odejść — mówi cichutko. Każe mi ukucnąć za kamiennym mnichem. — Mój ojciec myśli, że nadal jesteś nad jeziorkiem. Musisz iść, zanim się zorientuje.

Nawet w takiej chwili miałem nadzieję, że mnie pocieszy, że nie ma się czego obawiać, że to tylko nieporozumienie. Sama teraz wygląda jak cień, w ciemności ledwie widać jej twarz.

— Za chwilę. Jeszcze minuta, niech zniknie z widoku. Masz, włóż. — Coś mi podaje.

Nie widzę, ale po dotyku rozpoznaję, że to mój but.

— Znalazłam go na ścieżce. Dlatego pomyślałam, że tu jesteś.

— Gdzie Gretchen? — pytam, po omacku próbując wcisnąć but. Stopę mam śliską od krwi, ale jest zbyt opuchnięta, żeby się zmieścić.

— Z Michelelem.

— Co powiedziała twojemu ojcu?

— Nieważne. Weź to. — Znów wtyka mi coś w dłoń. Kluczyki i coś, co przypomina mały zwitek pieniędzy. — Niedużo tego, ale to wszystko, co mam. Będzie ci potrzebne.

Potem daje mi jakąś cienką, płaską książeczkę. Dopiero po chwili dociera do mnie, że to paszport.

— Zaglądałaś do plecaka? — Myślę nadal ociężale, ale nie rozumiem, skąd wzięła tyle czasu, żeby pójść po paszport na strych.

— Nie dziś wieczorem. Wyjęłam go, kiedy po raz pierwszy pojechałeś do miasta.

Nie wiem, co bardziej mnie dziwi: że zabrała mój paszport czy że nie zauważyłem jego braku.

— Dlaczego?

— Bo bałam się, że odejdziesz, nie mówiąc mi o tym. Chcę cię poprosić o przysługę, ale teraz musimy iść. Jesteś gotów?

Przysługę?

— Nie mogę włożyć buta — mówię coraz bardziej zmieszany.

— Zrobisz to później. Trzeba się spieszyć.

Wyprawdza mnie z za posągu. Nie mam wyboru, muszę nieść but. Gałązki i kamienie wpijają się w moją bosą stopę.

— Ostrożnie. — Odciąga mnie od plamy cienia.

Z początku nie rozumiem, o co jej chodzi, potem dostrzegam kanciasty kształt ukryty w mroku.

Myliłem się co do tego, że Arnaud nie porozstawiał pułapek przy posągach.

Ale Mathilde chyba wie, którądy iść, kiedy popędza mnie z powrotem na ścieżkę. Kulejąc, idę obok niej, najszybciej jak mogę, stopa sprawia mi ból przy każdym kroku. Chmury pokrywające księżyc są postrzępione, przepuszczają mdłe światło. Odważam się zerknąć w stronę jeziora, ale nie widzę Arnauda.

— Jaką przysługę? — pytam cicho.

Jest za ciemno, żeby zobaczyć, jak znajomym gestem zakłada włosy za ucho. Nie widzę jej twarzy, ale wyczuwam niepokój.

— Chcę, żebyś zabrał ze sobą Gretchen.

— Co takiego?

— Ćś, posłuchaj. — Chwyta mnie za ramię, mówi ściszym, przytłumionym głosem. — Chcę, żeby stąd odeszła, a z tobą pójdzie. Wiem, że proszę o wiele, ale nie oczekuję, że będziesz ją utrzymywał. Wyślę więcej pieniędzy, tyle ile dam radę.

— Jezu, Mathilde...

— Proszę! Mogłam powiedzieć policji o narkotykach w twoim plecaku.

Oczywiście, że wiedziała, myślę, zbyt oszołomiony, żeby odczuć wstrząs. Przez trzy dni leżałem w gorączce — obcy: czy naprawdę spodziewałem się, że nie przeszuka moich rzeczy, żeby sprawdzić, kim się opiekuje? Jedyna niespodzianka, to że mimo wszystko pozwoliła mi zostać.

Chyba że miała własne powody.

Kiedy światło księżyca przebija się przez pokrywę chmur, liście rzucają z góry tańczące cienie na twarz Mathilde. Ścieżka wokół nas ożywa. Za lasem winnica wygląda jak wystylizowana płaskorzeźba; wyraźnie w niej wyryty, pobrużdżony koleinami trakt przypomina linie narysowane węglem drzewnym. Wydaje mi się, że widzę tam jakiś ruch. Mathilde mnie pogania.

— Pospiesz się, nie...

Nagle rozlega się huk wystrzału. Dochodzi spoza nas, od jeziora, oboje wzdrygamy się, kiedy po nim następuje drugi. Mathilde ściąga mnie z traktu.

— Tutaj.

Drzewa łączą się w tunel, Mathilde prowadzi mnie do rozwidlenia, do zagrody świniodzików. Kiedy biegnę za nią, gałęzie ranią mnie niemiłosiernie, szczególnie upodobały sobie moją chorą stopę. Wydostajemy się na śmierdzącą amoniakiem polanę. Księżyc w pełni świeci nad nami jak latarnia morska,

ukazuje świnie rozwalone we śnie jak włochate poduchy. Z nadzieją, że się nie obudzą, kuśtykam za Mathilde. Zakładam, że idzie do lasu po drugiej stronie, ale ona podchodzi do domku z pustaków.

— Do środka — dyszy, otwierając pchnięciem drzwi.

Nie ma czasu na sprzeczkę. Szybko wchodzę, poświata gaśnie, kiedy cicho zatraskują się obie połówki drzwi stajennych. Odór wnętrzości i starej krwi zasklepia się nad nami. Wokół całkowita ciemność, nasze zmęczone oddechy brzmią za głośno w zamkniętej przestrzeni. Nie ma okna, ale gdy wzrok mi się przyzwyczaja, widzę smużki światła sączące się przez otwory w zaprawie. Mathilde przeciska się obok mnie i wygląda przez jeden z nich.

— Jest tutaj? — szepczę.

— Nie wiem. Chyba nie.

Podchodzę, żeby samemu spojrzeć, ocieram się o coś — rozlega się stłumiony brzęk. Wzdrygam się, ale dociera do mnie, że to łańcuch zwisający z kółka. Macam, żeby go przytrzymać, znajduję drogę wokół kamiennej płyty pośrodku domku. Przyciskam twarz do szczeliny w chropawej ścianie, mrugam, bo oddechem wzbiłem brud i piasek. Przez mały otworek niewiele widać, a na polanie znów jest ciemno, kolejna chmura zakryła księżyc. Arnauda jednak ani śladu.

— Gdyby nas zobaczył, już by tu był — szepcze Mathilde. Ściany przynajmniej nie przepuszczają naszych głosów. Arnaud musiałby stać tuż obok, żeby nas usłyszeć. — Pewnie strzelał tylko do cieni.

— To chodźmy. — Już żałuję, że tu przyszliśmy. Ruszam w stronę cienkiej linii światła wokół drzwi, ale Mathilde powstrzymuje mnie, wyciągając rękę.

— Nie. Jeszcze nie.

— Dlaczego? Nie powinniśmy iść, kiedy jest nad jeziorkiem?

— Może już wraca. Wtedy jak wyjdziemy, wpadniemy prosto na niego.

Racja, ale ja nie mam ochoty tutaj zostać. Ściany z pustaków powstrzymają kulę małego kalibru, ale jeśli Arnaud dowie się, że tu jesteśmy, znajdziemy się w pułapce.

— A las po drugiej stronie polany? Możemy pójść tamtędy?

— Za duże ryzyko. Nie ma ścieżki, a ojciec tam też zastawił pułapki.

O Chryste. Próbuję myśleć.

— Więc co teraz?

— Czekamy. Za parę minut wyjdę i sprawdzę, czy jest bezpiecznie.

— A jak nie jest?

— To mu powiem, że się wymknąłeś, kiedy szukał cię nad jeziorkiem. Jak wróci do łóżka, przyjdę po ciebie.

Mathilde jak zwykle mówi spokojnie. Przez chwilę ogarnia mnie nagły strach, że może sprowadzić tutaj ojca, ale oczywiście to śmieszne. Nie robiłaby tego wszystkiego, gdyby chciała mnie skrzywdzić. Muszę jej zaufać.

Mathilde znowu wygląda na dwór. Siadam na podłodze. Liczę na to, że jednak uda mi się włożyć but. Stopę mam zakrwawioną i opuchniętą. Ścieram z niej brud i mimowolnie chwytam głośno powietrze, gdy zawadzam o zranione miejsce.

— Co się stało? — pyta Mathilde.

Kręcę głową, ale uświadamiam sobie, że mnie nie widzi.

— Nic, boli mnie stopa.

— Daj, zobaczę.

Rozlega się szelest, kiedy przykuca. Jej dłonie są chłodne na mojej skórze, w ciemności łagodnie dotyka nogi. Syczę, gdy bada wrażliwe miejsce.

— Otworzyło ci się kilka ran i rozciąłeś sobie podbicie. Masz coś, żeby to przewiązać?

— Nie.

— Nie szkodzi. Pomogę ci nałożyć but.

Zaczyna wciskać mi but na obrzmiałą stopę, jej włosy ocierają się o moje ramię.

— Dlaczego tak bardzo ci zależy, żeby Gretchen stąd odeszła? — pytam, próbując nie myśleć o niezręcznej sytuacji. — Ze względu na to, co jest w jeziorze?

Milczy ułamek sekundy.

— To jedna z przyczyn.

Więc o tym wie. Ta rozmowa wydaje mi się nierealna. Żałuję, że nie widzę Mathilde, jej sylwetka stapia się z cieniami w ciemności.

— Mathilde, co się stało z Louisem?

Nadal zмага się z butem. Przez chwilę wydaje mi się, że nie odpowie. Kiedy zaczyna mówić, głos ma spokojny i zrezygnowany.

— Zorientowałam się, że jestem w ciąży, kiedy wyjechał do Lyonu. Zamierzałam mu powiedzieć, jak wróci. Miałam trochę pieniędzy, więc łudziłam się, że go przekonam, żeby nas gdzieś zabrał. Gretchen też. Ona... lubiła Louisa. Ale powinnam wiedzieć, że wygada ojcu. Wybuchła awantura. Pobili się z Louisem o...



Krzywię się, kiedy but nagle wślizgujesię na miejsce.

— Więc wtedy twój ojciec wjechał pick-upem do jeziora?

— Chciał się pozbyć wszystkiego, co wskazywałoby, że Louis był na farmie.

Wrócił z Lyonu prosto tutaj. W nocy, więc nikt nie widział, że przyjechał.

Potem... po prostu udawaliśmy, że nic się nie stało.

Czuję, że jej ręce puszczają but, jakby umysłem była już gdzie indziej.

Pochyliam się i zaczynam zawiązywać sznurowadła, ona wstaje.

— Co zrobiliście z ciałem? — Kabina była pusta, ale teraz znowu natrętnie wraca do mnie obraz pokruszonej betonowej łąty w stodole.

— Ojciec przyniósł je tutaj.

— Tutaj?

— Dla świniodzików.

Mija chwila, zanim zaczynam rozumieć, o czym mówi. Jezu. Osłupiały z przerażenia rozglądam się w ciemnościach małego domku, przypominam sobie ogłuszoną świnię windowaną z podłogi, odgłos krwi kapiącej do wiadra. Coś, co powiedział Arnaud, nagle nabiera strasznego znaczenia.

Świnie zjedzą wszystko.

— Ile wie Gretchen? — pytam.

— Nie mam pojęcia — odpowiada zmęczonym głosem. — Była oszołomiona, wpadła w histerię i od tamtej pory nigdy już o tym nie wspominała. Zawsze umiała zablokować to, o czym nie chciała myśleć, nawet jak była mała. Jakby to coś nigdy się nie zdarzyło.

Sam to widziałem. Ale wspomnienie dziwacznej amnezji Gretchen zostało zmiecione przebłyskiem czegoś znacznie gorszego. Zakładałem, że to Arnaud zabił Louisa.

Może nie on zabił.

Stopa mnie boli, kiedy wstaję, chociaż nie tak bardzo, żebym nie mógł biec, jeśli będę musiał. Wyglądam przez szparę. Ten kawałek polany, który widzę w trędowatej bieli księżycowego światła, jest pusty.

— Twój ojciec nie zabił Louisa, prawda? — pytam, nadal twarzą przy ścianie.

— Nie.

— Gretchen jest chora, Mathilde. Potrzebuje pomocy.

— Chora?

— Nie możesz jej ciągle chronić. Jeśli nawet nie chciała zabić Louisa, wcześniej czy później zrobi komuś krzywdę. Albo sobie.

— Nie, źle zrozumiałeś — mówi, jakby tłumaczyła dziecku. — Gretchen nie

zabiła Louisa. Ja go zabiłam.

Coś zimnego rozwija mi się w brzuchu.

— Nie wierzę ci.

— Louis bił mojego ojca, robił mu krzywdę. — Głos bezbarwny, pozbawiony wyrazu, jak gdyby wyciekły z niej wszystkie uczucia. — Kiedy Gretchen próbowała go powstrzymać, rąbnął ją pięścią. Mocno, w twarz. Więc wzięłam szpadel i go uderzyłam.

Dlatego Gretchen ma skrzywiony nos, myślę odrętwiały. Odwracam się, żeby w ciemności stanąć naprzeciwko Mathilde. Jest tak blisko, że prawie się dotykamy.

— Jeśli to był nieszczęśliwy wypadek, dlaczego nie zgłosiłaś się na policję?

— Nie mogę iść do więzienia. — Po raz pierwszy, odkąd ją znam, słyszę w jej słowach strach. — To byłoby bardzo trudne dla Michela i nie zostawiłabym tutaj Gretchen samej. Nie z moim ojcem.

— Dlaczego? Znam twoją siostrę, ale...

— Ona nie jest moją siostrą. To moja córka.

Nawet teraz myślę, że musiałem coś źle zrozumieć. Dopiero po chwili dociera do mnie. Arnaud? Śmierdzące powietrze w domku, jakby ścięło się wokół nas.

— Chryste, Mathilde...

— Skoro już tyle wiesz, dowiedz się wszystkiego. — Słysząc cichy ruch, Mathilde ociera sobie twarz. — Miałam trzynaście lat. Ojciec powiedział matce, że to dziecko jakiegoś chłopaka z miasteczka. W szkole nakłamał, że jestem chora, i trzymał mnie w domu, dopóki nie urodziłam Gretchen. Potem każdy uważał, że to ich córka. Bo traktowali ją jak swoją.

— Nie mogłaś komuś powiedzieć? — wykrztuszam z siebie przerażony.

— Komu? Matka na pewno zdawała sobie z tego sprawę, ale była za słaba, żeby mu się przeciwstawić. A kiedy umarła, do kogo miałam się zwrócić o pomoc? Do Georges'a?

— Gretchen wie?

— Nie! — Jej nagły wybuch zaskakuje mnie. — Nie może, nigdy. Nie pozwolę, żeby jej też zniszczył życie. Ostrzegłam, że jeśli ją tknie, zabiję go. Raz spróbował, to tak mocno zepchnęłam go ze schodów, że przez miesiąc leżał przykuty do łóżka.

Mówi to z zimną satysfakcją. Jakby była inną osobą niż ta, którą znam. Albo wydawało mi się, że znam.

— A co z Michelelem? Czy on...?

— Jest Louisa, ale ojciec uważa go za własnego. Zawsze chciał mieć syna, dziedzica, któremu zostawi farmę. Córki to nie to samo, nawet Gretchen. Myślę, że dlatego...

— Co: dlatego? — pytam, kiedy milknie.

Słyszę, jak ciężko wzdycha, jakby wciągała powietrze z daleka.

— Po śmierci matki urodziło się jeszcze jedno dziecko. Dziewczynka. Ojciec nigdy nie pozwolił mi jej zobaczyć. Powiedział, że przyszła na świat martwa, ale mnie... mnie się wydawało, że słyszę, jak ona płacze.

Ta farma to makabryczny zestaw matrioszek, myślę oszołomiony. Za każdym razem, kiedy już sądzę, że dotarłem do ostatniej tajemnicy, pojawia się kolejna, jeszcze obrzydliwsza.

— Na litość boską, jak możesz tu żyć? Dlaczego nie odejdziesz?

— To nie takie proste.

— Owszem, proste! Pakujesz swoje rzeczy i odchodzisz! Nie zatrzyma cię!

— Nie odejdę bez Gretchen.

— Więc zabierz ją z sobą!

— Czy ty nie słuchałeś? — wybucha, znów pokazuje zza fasady cząstkę tamowanych emocji. — A jak myślisz, co robiłam z Louistem? Nie odeszłaby od ojca. W każdym razie nie ze mną.

Więc jesteśmy w punkcie wyjścia. Odwracam się i patrzę przez szczelinę w zaprawie po to, żeby dać sobie czas, ale także, żeby sprawdzić, co się dzieje na zewnątrz. Poszarpane chmury przepływają nad księżycem. Widoczny stąd mały skrawek polany tak jak wcześniej jest spokojny i pusty, drzewa wokół niej tworzą jednak nieprzeniknioną ścianę cieni.

— Teraz rozumiesz, dlaczego muszę odesłać stąd Gretchen — podejmuje Mathilde. — Nieważne jak i dokąd. Wszystko lepsze niż to. Pójdzie z tobą.

Dobrze, że w małym domku panuje kompletna ciemność i nie muszę patrzeć Mathilde w oczy. To oznaka rozpacz, że po tym, co usłyszałem, nadal próbuje mnie przekonać, żebym zabrał jej córkę. A może ma nadzieję, że będę się czuł zobowiązany, skoro mi zaufała. Tak czy inaczej, to bez znaczenia.

— Nie mogę. Przepraszam.

Coś za mną szeleści. Odwracam się, widzę cienkie pasemko światła wokół drzwi, przesłaniane, gdy przechodzi przed nimi Mathilde. Kolejny odgłos. Słaby, niewiele głośniejszy od szeptu: ciche drapanie stali o kamień. I nagle przypominam sobie nóż rzeźnicki, który Georges wziął z kamiennej płyty.

— Przemyślisz to? — pyta z czarnego mroku Mathilde.

Czas zatrzymał się na chwilę, potem na zewnątrz rozlega się hałas. Szybko zostaje stłumiony, ale nie mam wątpliwości.

To płacz dziecka.

Gwałtowny ruch, światło księżycy zalewa domek, kiedy Mathilde szarpnięciem otwiera drzwi. Widzę, że ręce ma puste, wybiega. Ruszam za nią, właściwie spodziewam się, że na zewnątrz zobaczę jej ojca, jak czeka z karabinem.

Ale to nie Arnaud jest na dworze. To Gretchen.

Trzyma przed sobą Michela jak tarczę. Dłonią przyciska dziecku usta, nie pozwala mu się wyrwać. Jedno spojrzenie wystarcza, żeby wiedzieć, że słyszała. Mathilde się chwieje.

— Gretchen...

— To nieprawda. Nie jesteś moją matką.

— Nie, oczywiście, że nie. — Mathilde próbuje się uśmiechnąć.

— Papa tego nie zrobił. Nie wierzę ci, kłamiesz!

— Tak, wymyśliłam to. — Wyciąga ręce. — Robisz krzywdę Michelowi. Daj, pozwól, żebym...

— Nie podchodź! — Gretchen się cofa. Mały wykręca główkę spod jej dłoni i zaczyna zawodzić. Mathilde robi krok w jej stronę.

— Ja chciałam tylko...

— Nie zbliżaj się do mnie!

Nadal trzymając Michela, odwraca się i biegnie. Nie zważając na ból w stopie, wyprzedzam Mathilde, która pędzi za nią, ale Gretchen już dotarła do chlewu świniodzików. Zatrzymuje się przy zagrodzie odyńca, unosi chłopczyka nad płotem.

— Odejdź! Bo go puszczę!

Mathilde zatrzymuje się gwałtownie obok mnie, Gretchen trzyma w górze Michela. Dzika nie widać, ale zawodzenie niemowlęcia zaniepokoiło świnię w sąsiedniej zagrodzie. Pobudzone chrząknięcia zwiększają zamieszanie.

— Uspokój się, Gretchen, nie chcesz go skrzywdzić — mówię.

— Zamknij się! — wrzeszczy, twarz ma poplamioną i mokrą od łez. — Nic cię nie obchodzi, jesteś tak samo zły jak ona!

W zagrodzie za nią coś się porusza. W głębi szopy przypominającej jaskinię widać ryj dzika. Małe złośliwe oczka przyglądają się nam spod ciężkich obwisłych uszu.

— Gretchen, proszę, posłuchaj mnie! — Nawet w świetle księżycy Mathilde jest szara jak popiół. — Przykro mi, jeśli...

— Nie, wcale ci nie jest przykro! Kłamiesz! Papa tego nie zrobił! Moja matka nie żyje, ty nią nie jesteś!

— Straszysz Michela — ciągnie uspokajająco Mathilde. — Daj mi go, a potem...

— Nie! — wrzeszczy Gretchen.

Dzik z kwikiem szarżuje. Wali w ogrodzenie z desek, Gretchen odskakuje, wtedy ja rzucam się naprzód. Ale ona to zauważa i znów zawiesza Michela nad płotem.

— Odejdź!

Cofam się. Rozwścieczony Bayard uderza łbem w deski. Niemowlę zawodzi, kopie powietrze.

— Nie! — Mathilde zasłania dłonią usta. — Proszę, nie! Nie chcesz skrzywdzić Michela, on jest...

— Kim? Moim bratem? — Twarz Gretchen powoli wykrzywia się, kiedy Mathilde nie odpowiada. — Nieprawda! Nie wierzę ci!

Zaczyna szlochać, przyciska do siebie małego. Dzięki Bogu, myślę, wypuszczam oddech. Czuję, jak napięcie opada, Mathilde robi krok do przodu.

— Chodź do domu — prosi łagodnie. — Daj mi Michela i...

Gretchen podrywa głowę.

— Dziwka!

Twarz ma zniekształconą, kiedy znowu podnosi Michela. Drewniane deski wyginają się i trzeszczą pod naporem dzika. O Boże. Spinam się, żeby na nią skoczyć. Wiem, że ani Mathilde, ani ja nie zdążymy na czas.

Mathilde stoi z wyciągniętymi ramionami. Księżyc uwolniony od chmur zalewa scenę światłem.

— Błagam, pozwól mi tylko wyjaśnić...

— Dziwka! Kłamliwa dziwka!

— Gretchen, proszę...

— Zamknij się! Nienawidzę cię, nienawidzę! — Obraca się do zagrody.

Rozlega się odgłos jak smagnięcie biczem. Gretchen, nadal trzymając niemowlę, chwieje się. Pędzę do niej, nogi się pod nią uginają. Mathilde mnie wyprzedza. Podnosi Michela z miejsca, gdzie upadł, po naszej stronie zagrody. Wciska mi go w ramiona, idzie do swojej córki.

Z przodu T-shirta Gretchen powiększa się ciemna plama. Nadal nie

rozumiem, co się stało, dopóki nie słyszę jęku. Spoglądam przez ramię i na skraju lasu widzę Arnauda. Kolbę karabinu wciąż przyciska do ramienia, ale kiedy patrzę, lufa opada i mierzy niegroźnie w ziemię.

Potykając się, zaczyna biec w naszym kierunku. Mathilde klęczy przy Gretchen. Dziewczyna leży na plecach, nogi poruszają się jej konwulsyjnie, mruga, patrząc w niebo.

— Mathilde...? — To cienki głosik dziewczynki, zagubionej i spłoszonej. — Mathilde, ja nie...

— Ciii, już dobrze, nic nie mów. — Bierze ją za rękę.

Podbiega Arnaud, zatrzymuje się, żeby dotknąć Michela, potem pada na kolana po drugiej stronie Gretchen.

— Och, wielki Boże, nie...!

Mój mózg jakby zamiera, stoję bezradnie, niezdarnie trzymam Michela. Wmawiam sobie, że karabin ma za mały kaliber, żeby wyrządzić duże szkody, że śmiercionośny jest tylko dla ptaków i królików. Ale krew nadal nasącza T-shirt Gretchen, która teraz zaczyna kaszleć czarnymi kroplami.

— Nie, nie! — powtarza Mathilde, jakby ją napominała. Dziewczyna patrzy na nią szeroko otwartymi, wystraszonymi oczami. Mathilde wolną ręką przyciska dziurkę w jej piersi. Gretchen próbuje coś powiedzieć, ale wtedy strugi krwi tryskają jej z ust i zaczyna się krztusić. Wygina plecy, stopy spazmatycznie kopią ziemię. Na chwilę sztywnieje, napręża się. Potem całe napięcie opuszcza jej ciało. Koniec.

Zapada cisza, tworzy się bańka spokoju, której nie może rozbić ani płacz Michela, ani kwiczenie dzika. Mathilde ni to siedzi, ni się osuwa, bo jedną nogę ma uwięzioną pod sobą. Nadal trzyma rękę Gretchen. Puszcza ją. Arnaud szlocha, głaszcze Mathilde po głowie.

— Przepraszam. Chciała go wrzucić, musiałem — zawodzi przenikliwie. — O Boże, nie, wybacz.

Mathilde patrzy na ojca nad ciałem Gretchen, potem uderza go dłonią w twarz z trzaskiem głośniejszym niż strzał z karabinu. Arnaud jakby tego nie poczuł, kołysze się w tył i w przód z krwawym śladem na policzku.

Za nimi dzik szaleńczo łomocze w płot, rozjuszony zapachem krwi. Mathilde z trudem wstaje. W roztargnieniu zakłada włosy za ucho, ale znajomy gest jest nieuważny, daje tylko tyle, że zostaje po nim ciemna smuga. Mathilde idzie jak pijana do miejsca, gdzie Arnaud rzucił karabin.

— Mathilde — mówię, a raczej skrzeczę.

Równie dobrze mógłbym w ogóle się nie odezwać. Podnosi broń i wraca, tak samo chwiejnym krokiem. Na rękach ma czerwone rękawiczki po łokcie.

— Mathilde — powtarzam, staram się nie upuścić Michela. Ale teraz jestem tylko widzem. Mathilde staje nad ojcem klęczącym przy Gretchen. Arnaud nie podnosi wzroku, kiedy córka wprowadza kulę do komory i przykłada karabin do ramienia.

Wzdrygam się, gdy pada strzał. Po huku słysząc wrzask dzika. Kiedy znów spoglądam, Arnaud nadal szłocha przy zwłokach. Mathilde mija go i ponownie strzela. Tym razem kula wbija się w odyńca. Zwierzę ryczy, obraca się, znowu szarżuje na płot. Mathilde spokojnie przeładowuje karabin. Podchodzi bliżej, wypala prosto w szczeciasty grzbiet. Każdemu wystrzałowi towarzyszy oszalały kwik, dzik nadal atakuje drewnianą zaporę. Jego ciemnoszarą skórę pokrywa krew, w rozdzierających odgłosach słysząc ból i wściekłość.

Wtedy Mathilde przykłada mu lufę do ucha i pociąga za spust. Kwik gwałtownie się urywa.

Cisza opada na chlewy jak całun. Zakłóca ją tylko ledwie słyszalny szloch Arnauda, ale stopniowo zaczynają się przesączać inne dźwięki. Pokwikiwania wystraszonych świń, płacz Michela, szum drzew. Ziemia wokół nas wraca do życia. Mathilde wypuszcza karabin z rąk. Patrzy w pustkę, jej ojciec klęczy nad ciałem Gretchen, a ja stoję z boku, odsunięty od nich obojga, przekonany, że ta chwila trwać będzie wiecznie.

# Epilog

Mżawka jak mgiełka, za lekka, żeby nazwać ją deszczem, zamazuje różnice między ziemią a niskimi szarymi chmurami. Drzewa na poboczu pokazują swoją kościotrupią naturę, rzadkie liście odsłaniają nagie gałęzie. A tam, gdzie były łany pszenicy, bruzdy gołego ścierniska czekają teraz na orkę.

Ostatnie kilometry do farmy przemierzam na piechotę. Kiedy samochód odjechał, przychodzi mi do głowy, że dziwnym zrządzeniem kilku ostatnich podwozków, przebywam tę samą trasę co wtedy, kiedy po raz pierwszy tu się pojawiłem. Zatrzymuję się przed zwieńczoną drutem kolczastym bramą, patrzę na znajomą ścieżkę niknącą wśród winorośli. Skrzynka pocztowa oznakowana „Arnaud” nadal jest przybita do słupka. Ale białe litery są bardziej wyblakłe, niż zapamiętałem, a zardzewiała kłódka, która broniła wejścia, została zastąpiona surowym zamknięciem z brązu i stali. Pośrodku bramy wisi bardziej subtelne ostrzeżenie — drukowane zawiadomienie, które głosi, że teraz to własność banku.

Pocieram dłonią zwietrzałą ziarnistą fakturę bramy, ale nie próbuję przejść górą. Kiedy już tu doszedłem, nie mam ochoty iść dalej. Czekam, aż przemknie jakieś auto, potem przerzucam plecak na drugą stronę i przełazę przez skorodowany drut kolczasty. Trakt, pokryty kiedyś kurzem, jest pełen kałuż i błota, liście opadły, więc wkrótce między drzewami dostrzegam dom. Niebawem dochodzę do podwórza i widzę zmiany, jakie zaszły w ciągu kilku miesięcy.

Gospodarstwo jest opustoszałe. Kiedy idę po brukowcach, nie przebiegają przede mną kury, furgonetkę i przyczepę zabrano sprzed stajni. Zepsuty zegar nadal wskazuje za dwadzieścia nic; stary traktor został; zbyt zepsuty i zniszczony, żeby wyciągać go z jego dawnego gniazda. Dom, zamknięty na głucho, pod rdzewiejącym rusztowaniem wygląda na jeszcze większą ruinę. Kawalek muru, który naprawiałem, wydaje się mniejszy, niż zapamiętałem, kosmetyczna naprawa nie maskuje ogólnego rozpadu.

Bałem się powrotu. Ale teraz, kiedy jestem tutaj, w ogóle niewiele czuję. Inna pora roku i smutny krajobraz za bardzo różnią się od moich wspomnień, odarły znajomą kiedyś okolicę z jej mocy. Spojrzenie nowym okiem jest surrealistyczne i obce, jakbym ponownie odwiedzał majaczenia w gorączce.

Po tym, jak Arnaud wpakował kulę w serce młodszej córki, mnóstwo razy



opowiedziałem swoją historię francuskiej policji. Wreszcie, kiedy uznali, że powiedziałem im wszystko, co wiem, pozwolili mi wrócić do Anglii. Zapewniłem ich, że wrócę na proces, co było prawdą, jeśli chodzi o moje intencje.

Po prostu nie wspomniałem, że to nie ja o tym zdecyduję.

W porównaniu z polami farmy, Londyn wydawał się szary i brudny. Pod moją nieobecność świat kręcił się dalej: na ulicach panował tłok, samochody pełzły w korkach, Tamiza płynęła nadal. Powrót był ważny tylko dla mnie. Spodziewałem się, że będę ścigany listem gończym, a przynajmniej wystawią nakaz aresztowania. Rzeczywistość okazała się mniej dramatyczna.

Uznawałem za pewnik, że Lenny doniesie na policję, co tamtej nocy zdarzyło się w Docklands. Ale powinienem wiedzieć, że nie zechce ściągać na siebie uwagi, bo to mogłoby się zakończyć stawianiem niewygodnych pytań. Zostawił więc ciało Julesa na ulicy. Leżało tam do rana, aż ktoś je znalazł. Bez dowodów i świadków uznano sprawę za nierozwiązany przypadek ucieczki kierowcy z miejsca zdarzenia i pewnie tak by już zostało. Do chwili, kiedy nie wszedłbym do komisariatu.

Oczywiście stawienie się nie kończyło całej historii. Nadal istniało zagrożenie ze strony Lenny'ego. Wiadomo, co mógłby zrobić, gdyby tylko się dowiedział, że wróciłem. Ale na razie dawny wspólnik Julesa miał własne problemy. Zionący kawą sierżant z wydziału kryminalnego poinformował mnie, że facet siedzi w areszcie po obławie na handlarzy narkotyków. Postawiono mu zarzuty o napaść na funkcjonariuszy policji i czeka go długa odsiadka za dystrybucję twardych narkotyków.

Staralem się zachować neutralną minę, kiedy to usłyszałem.

Spotkała mnie jeszcze jedna niespodzianka. Zakładałem, że sam zostanę zatrzymany w areszcie, przynajmniej do czasu sformułowania oskarżenia. Tymczasem, na koniec przesłuchania, powiedziano mi, że mogę być zwolniony za kaucją.

— Wrócił pan z Francji i zgłosił się na policję. — Śledczy wzruszył ramionami. — Ryzyko, że pan ucieknie, nie wydaje mi się zbyt duże.

Nie miałem do kogo pójść, więc wróciłem do swojego starego mieszkania. Spodziewałem się, że mieszka tam ktoś inny i że moje rzeczy dawno już wyrzucono. Ale klucze nadal pasowały, a kiedy wszedłem, wszystko było tak, jak to zostawiłem. Gdyby nie kurz i sterta listów pod drzwiami, można by pomyśleć, że w ogóle nie wyjeżdżałem. Czynniki, równie obojętne wobec mojej nieobecności jak wszystko inne, automatycznie ściągnano z mojego konta w banku. Zjadał

pieniądze, które oszczędzałem na podróż do Francji. Nie przeoczyłem tej ironii. Ale to znaczyło, że mam gdzie mieszkać do czasu, kiedy moja sprawa trafi do sądu.

Nie miało sensu myśleć o tym, co będzie potem.

I tak znów wszedłem w swoją starą skórę. Po pełnej skruchy rozmowie z Siergiejem dostałem nawet z powrotem pracę w Zed. Potrzebowałem gotówki, ale czułem się przy tym dziwnie, tak jakby w ogóle nic się tego lata nie zdarzyło. Dotarło to do mnie, gdy pewnego dnia wpadłem na Calluma.

— Cześć, Sean. Ostatnio jakoś cię nie widywałem. Co się z tobą działo?

Zaświtało mi, że on nie ma pojęcia, że wyjeżdżałem. Ludzie żyją własnym życiem i próżnością jest sądzić, że odgrywamy w nim jakąś większą rolę.

— Masz bilety na przegląd Nowej Fali w Barbicanie? — zapytał.

Wyglądał na zdziwionego, jak mu powiedziałem, że nawet o tym nie słyszałem. Kiedyś rozgorączkowany pobiegłbym, żeby zamówić bilety, ale teraz ta wiadomość nie poruszyła mnie. Myśląc o tym, uświadomiłem sobie, że od powrotu nie byłem w kinie ani nie oglądałem żadnego filmu.

Chloe doceniłaby to.

Po całym zdenerwowaniu i wszystkich wyobrażeniach proces okazał się rozczarowaniem. Przez jakiś czas mówiono, żeby oskarżyć mnie o nieumyślne spowodowanie śmierci, ale po cichu z tego zrezygnowano. Na moją korzyść przemawiał udział Julesa w handlu narkotykami i przemoc, której się dopuścił, a także sposób, w jaki potraktował Chloe. Nawet fakt, że teoretycznie ukradłem jego samochód, uznano za rzecz niejasną, którą nie warto się zajmować. Przeciwno mnie było to, że uciekłem z kraju. Mój adwokat jednak twierdził, że działałem w obronie własnej i słusznie bałem się o życie. A że dłużej, niż powinienem, nie oddawałem się w ręce sprawiedliwości... Cóż, istniały okoliczności łagodzące.

Uznano mnie za winnego niezgłoszenia wypadku i ucieczki z miejsca zdarzenia. Wyrok brzmiał: pół roku więzienia w zawieszeniu na dwa lata.

Byłem wolny.

Zostałem w Londynie tylko po to, żeby złożyć wymówienie w pracy i pożegnać się z paroma ludźmi. Potem wyjechałem. Nic mnie tu nie zatrzymywało i nadal miałem niezakończone sprawy, którymi musiałem się zająć.

I oto jestem tutaj.

Trochę ślizgając się na mokrych brukowcach, idę do składziku. Kiedy stoję

przed drzwiami, woda kapie na mnie z rusztowania. Nagle ogarnia mnie pewność, że są zamknięte na klucz. Ale nie są: w środku nie ma niczego, co można by ukraść. Wypaczone drzwi otwierają się niechętnie, z trzeszczeniem. Wewnątrz jest ciemniej, niż zwykle bywało, szare światło z podwórza ledwie rozjaśnia pomieszczenie bez okien. Czerwony kombinezon gdzieś zniknął, ale wszystko inne wygląda tak jak w chwili, kiedy stąd odszedłem. Podchodzę do ułożonych w stos worków z piaskiem. Jeden z nich leży trochę z boku, ale nie tak daleko, żeby kto inny mógł na to zwrócić uwagę. Zdejmuję plecak, podwijam rękawy i po łokcie wpycham ręce w wilgotny piasek. Najpierw grzebię powoli, potem szybciej, kiedy nie trafiam na to, czego szukam. Już dochodzę do wniosku, że tam nic nie ma, kiedy moje palce dotykają czegoś twardego. Wyciągam to.

Paczka wygląda identycznie jak wtedy, kiedy ją tu wkładałem, w tamto popołudnie, gdy przyszli żandarmi. Nie wspominałem o niej podczas składania zeznań na policji. Nie jestem szczególnie dumny z tego pominięcia. Ale nawet gdyby uwierzyli, że nie wiedziałem, co wiozłem w bagażniku samochodu Julesa, trudno byłoby mi wytłumaczyć, dlaczego to zatrzymałem.

Właściwie to sam nie wiem.

Wtedy składzik wydawał się dobrą kryjówką, ale nie przypuszczałem, że to potrwa tak długo. Minął zaledwie dzień, odkąd przestałem się niepokoić, że przeszukają albo opróżnią składzik, że to znajdą. Ale nie musiałem się martwić.

Mathilde dochowała mojej tajemnicy, tak jak ja jej.

Informacja o zamordowaniu Louisa i śmierci Gretchen została przyjęta w miasteczku z oburzeniem. Ale chociaż fakty wiążące się z tą tragedią wkrótce stały się powszechnie znane, prawda stojąca za nimi to była inna sprawa. Zanim w noc strzelaniny wyszedłem z farmy, żeby wezwać policję i karetkę, Mathilde błagała mnie, żebym nie zdradził, że jest matką Gretchen.

— Obiecaj mi! — nalegała z twarzą wyrzeźbioną smutkiem. — Obiecaj mi, że im nie powiesz!

Nie chciałem słuchać. Nie potrafiłem pojąć, co da dalsze przemilczanie prawdy, a myśl o obronie Arnauda wydawała mi się odrażająca. Ale Mathilde złapała mnie za ramię, jej szare oczy płonęły.

— To nie dla mnie, to dla Michela. Proszę!

Wtedy zrozumiałem. We wszystkim, co robiła, na pierwszym miejscu stał Michel. I tak trudno mu będzie dorastać z matką i dziadkiem naznaczonymi piętnem morderców, niechby nie musiał cierpieć z powodu jeszcze gorszego stygmatu. Nie mogłem jej winić za to, że chce zaoszczędzić tego synowi. Wtedy

przyszło mi do głowy, że może być także inny powód, dla którego zależy jej na milczeniu. Gdyby prawda o pochodzeniu Gretchen wyszła na jaw, szybko zrodziłyby się podejrzenia co do tego, kto jest ojcem chłopca. Mathilde powiedziała mi, że to syn Louisa, ale chyba wolałaby tego nie udowadniać.

Niektórych rzeczy lepiej nie ruszać.

Więc ja zachowałem milczenie, a Mathilde zachowała moją tajemnicę. Myślałem, że po tym fama nie objawi więcej sekretów, ale się myliłem. Arnaud nie próbował odpierać wniesionych przeciwko niemu oskarżeń, a jego zeznanie dotyczące okoliczności śmierci Louisa w każdym szczególe zgadzało się z relacją Mathilde. Poza jednym.

Powiedział, że to on go zabił.

Według Arnauda Louis zaczął wracać do życia w domku z pustaków, najwyraźniej tylko ogłuszony ciosem zadany przez Mathilde. Więc Arnaud sam dokończył dzieła. Potem poćwiartował ciało i nakarmił nim świniodziki. Kiedy policja zapytała, dlaczego to zrobił, jego odpowiedź była, czego należało się spodziewać, dosadna:

— Wszystkie świnie muszą coś zjeść.

Możliwe, że kłamał, próbował zdjąć winę z Mathilde, żeby ją chronić. Ale mnie jakoś to nie przekonywało. Biorąc pod uwagę to, jakim jest człowiekiem, chciał pewnie, żeby jego córka uwierzyła, że zabił jej kochanka. To związałoby ją z nim jeszcze bardziej, a takie zwykłe okrucieństwo dobrze pasowało do Arnauda, którego znałem. Poza tym, skoro już stracił wszystko, nie miał powodu, żeby się spowiadać.

Mathilde porozmawiała z Jeanem-Claude'em i jego żoną, zadbała o to, żeby adoptowali Michela.

Byłem wstrząśnięty, kiedy o tym usłyszałem, ale potem dostrzegłem w tym pewien sens. Chociaż nie potrafiłem sobie wyobrazić, co musiała dla niej znaczyć strata syna. Nawet gdyby sąd okazał łaskawość, wiedziała, że Michel straciłby z nią kontakt do czasu, gdy ją wypuszczą z więzienia. Więc, jak zwykle, jego interes postawiła wyżej niż własny. Jean-Claude da Michelowi dobry dom i, co równie ważne, nowy początek. A wychowywanie ukochanego wnuka przez brata Louisa zabolii Arnauda bardziej niż jakikolwiek wyrok więzienia.

Zemsta Mathilde była subtelna, jak wszystko, co jej dotyczyło.

Ledwie rozpoznałem starego załamane go człowieka, którego wprowadzono do sali sądowej. Skóra na nim wisiała jak źle dopasowany garnitur, podbródek mu obwisł jak podgardle indyka. Ale głębokość zmiany najbardziej było widać po

oczach. Zniknęło stalowe wejście, zaćmiły je wåtpliwość i poczucie straty.

Tylko raz rozbłysnął wzrok Arnauda, jakiego pamiętałem. Kiedy ogłoszono wyrok, podniósł głowę i rozejrzał się wściekle po sali. Było w tym coś, co przypominało jego dawną pogardę. Potem pochwycił wzrok córki. Odpowiedziała mu spojrzeniem, nieubłaganym i spokojnym, aż zwiesił głowę.

O ile potępienie, jakie spadło na Arnauda, wydawało się nieuniknione, o tyle nie spodziewałem się, że Mathilde zostanie upodlona prawie tak jak jej ojciec. Nawet jeśli nie zadała śmiertelnego ciosu, to pomogła ukryć morderstwo. A bez całego tła zdarzeń — trwającego od dzieciństwa wykorzystywania seksualnego — które dawałoby odpowiedni kontekst, jej udział w zabójstwie Louisa prezentował się w okrutnie ostrym świetle. Gdy ogłoszono wyrok w jej sprawie, na zewnątrz kontrolowała się jak zwykle, chociaż kiedy zakładała włosy za ucho, zauważyłem, że drży jej ręka. Przyglądałem się bezradny, jak wyprowadzają Mathilde. Kiedy doszła do drzwi, przez chwilę patrzyła prosto na mnie.

Potem drzwi się zamknęły i więcej jej nie zobaczyłem.

Ścieram piasek z plastikowej paczki i wychodzę ze składziku. Mżawka przeradza się w deszcz, idę przez podwórze do stodoły. Woda skapuje z wrót, kiedy w środku opieram plecak o ścianę. Ciemne wnętrze jest zimne i wilgotne. Nigdy takie nie było latem. Na tyłach widzę matowy błysk butelek wina na drewnianym stojaku, zbyt kwaśnego, żeby ktoś je chciał. Betonowa łąta na podłodze jest mniejsza niż w moich wspomnieniach, pęknięcia nikt nie zacementował. Chciałem po raz ostatni wejść na strych, ale teraz, jak już tu przyszedłem, nie widzę w tym sensu. Zostawiam więc plecak w suchej stodole i ruszam ścieżką do jeziora.

Ziemia jest błotnista i pełna wertepów, bezlistne winorośle przypominają rzędy splątanego drutu. Nawet po lesie trudno rozpoznać pokryte zielonym dachem miejsce, które zapamiętałem. Kasztany są gołe, pod ociekającymi wodą gałęziami leży dywan martwych liści i kolczastych łupin.

W tym roku nie będzie zbiorów.

Nie zwalniając, mijam rozwidlenie prowadzące do zagrody świniodzików. Nie mam ochoty zachodzić tam ponownie. Zatrzymuję się dopiero przy posągach. Myślałem, że je wywieziono, ale stoją tu nadal. Nie zmieniły się, nikt za nimi nie zatęsknił. Próbuję sobie przypomnieć, co czułem, kiedy pamiętnej nocy ukrywałem się przed Arnaudem, staram się przywołać coś z tamtej niepewności, z tamtego strachu. Nie mogę. W szarym świetle dnia posągi są po prostu przeciętnymi rzeźbami z kamienia. Odwracam się i idę dalej w stronę

jeziorka.

Szara woda drży od wiatru. Na szczycie urwiska ziemia jest pobrużdżona i poryta śladami opon. Stoję pod bezlistnymi konarami starego kasztana, patrzę w dół, na podziobane deszczem jeziorko. Nie widzę niczego pod powierzchnią, ale tam już nic nie ma. Pick-upa Louisa dawno podniesiono i zabrano.

Plastikowa paczka ciąży mi w ręku. Moje uczucia wobec niej są teraz równie dwuznaczne jak wtedy, kiedy znalazłem ją schowaną w bagażniku. Latem miałem mnóstwo okazji, żeby się jej pozbyć, ale nie zrobiłem tego. Mógłbym sobie wmawiać, że to było zwyczajne tchórzostwo, zabezpieczenie, na wypadek gdyby Lenny albo jakiś inny współnik Julesa chciał ją odzyskać, ale to niezupełnie prawda. Jakbym odwracał kamień, żeby zobaczyć, co jest pod spodem, teraz wreszcie przyjmuję do wiadomości prawdziwą przyczynę, dla której przez cały czas to ukrywałem.

Nie zdołałem się zmusić, żeby się tego pozbyć.

Nie mam pojęcia, ile to warte, ale takich pieniędzy nigdy nie trzymałem w ręku. Wystarczy, żeby zacząć nowe życie. A skoro Jules nie żyje, a Lenny siedzi w więzieniu, nikt o to się już nie upomni. W Londynie byłem wystarczająco długo, więc gdyby chcieli, to by mnie znaleźli. Ważę paczkę w dłoni, wyczuwam możliwości kryjące się pod pomarszczonym plastikiem. Potem biorę zamach i rzucam ją do jeziorka tak daleko, jak tylko się da.

Robi łuk na tle ołowianego nieba i wpada do wody z cichym, obojętnym pluskiem.

Wciskam dłonie do kieszeni i patrzę, jak falki się wygładzają, aż nic po nich nie zostaje. Chloe nie dostała drugiej szansy, Gretchen też. Nie chcę zmarnować swojej. Odwracam się i wracam po własnych śladach przez las. Zatrzymuję się w stodole, żeby zabrać plecak, i idę w stronę domu. Zrobiłem to, po co tu przyszedłem, ale chcę jeszcze coś zobaczyć, zanim odejdę.

Ogródek za kuchnią jest nie do poznania. Kóz i kurczaków nie ma, warzywa w równych szeregach albo zwiędły, albo wpadły w szal. Kwiaty na maleńkiej grządce zarosły chwastami i opadły, ale nawet o tak późnej porze roku nadal jest tam kilka plam koloru. Stoję i patrzę na nie, myślę o smutku, który widziałem na twarzy Mathilde, kiedy pielila ten kawałeczek gruntu. Jakby opiekowała się świątynią.

Albo grobem.

Nie powiedziała, co jej ojciec zrobił ze szczątkami martwo urodzonej córki, ale mogę się domyślić, do jakich wniosków doszła. Policja nie dowiedziała się o

żadnym innym przestępstwie poza zamordowaniem Louisa, więc mała grządka kwiatów nie została rozkopana. Ale choćbym nie wiem jak próbował, nie potrafię wyobrazić sobie Arnauda zakopującego dowód swojej zbrodni w miejscu, w którym tak łatwo go znaleźć. Zwłaszcza że znał znacznie prostszy sposób, żeby się pozbyć ciała, co udowodnił na Louisie. Wątpię, żeby czuł coś innego wyłącznie dlatego, że to krew z jego krwi, kość z kości.

Tym bardziej, że to była tylko kolejna córka.

To jedynie domysły, ale jest jeszcze jedno pytanie bez odpowiedzi. Nawet teraz nie wiem, czy to, co słyszałem w ostatnich chwilach w domku, to był naprawdę odgłos noża podnoszonego przez Mathilde z kamiennej płyty. Nie chcę w to uwierzyć, ale potem myślę o wszystkim innym, co zrobiła, żeby chronić swoją rodzinę. Jak już znalazłem pick-upa Louisa w jeziorze, nie pozostało jej nic do stracenia i powiedziała mi całą prawdę, miała nawet nadzieję, że namówi mnie, abym zabrał ze sobą Gretchen. Ale kiedy odmówiłem, czy naprawdę pozwoliłaby mi ot tak odejść?

W bardziej optymistycznym nastroju powtarzam sobie, że pozwoliłaby. Już raz uratowała mi życie, kiedy nastąpiłem na pułapkę. Tylko że wtedy byłem dla niej szansą, nie zagrożeniem. W mroczniejszych chwilach ciągle się zastanawiam, co by się stało, gdyby mi się pogorszyło. Czy zadbałaby o to, żebym dostał odpowiednią opiekę medyczną, tak jak zapewniała? Czy podjęłaby ryzyko, które się z tym wiązało? Czy może skończyłbym jak Louis, jako kolejna porcja żarcia dla świniodzików jej ojca?

Nie wiem. Może tak splugawiły mnie tajemnice farmy, że szukam ich tam, gdzie ich nie ma. Pod wpływem impulsu przykucam i wyrywam chwasty z grządki kwiatów. Nie potrafię wyjaśnić dlaczego, ale widzę w tym coś dobrego. Kiedy grządka zaczyna przypominać tę wcześniejszą, uporządkowaną, wstaję i rozglądam się po raz ostatni. Potem ocieram błotnistą ziemię z rąk, wracam na podwórze i ostro gwizdzę.

— Lulu! Chodź tu, piesku!

Spaniel wybiega susami zza stajni, gdzie coś obwąchiwał. Brak jednej tylnej łapy prawie go nie spowalnia, a jego entuzjazm zmusza mnie do uśmiechu. Nie zamierzałem zabierać suki, ale nikt jej nie chciał, a weterynarz nie mógł jej trzymać w nieskończoność. Nie mogłem pozwolić, żeby ją uśpiono. Poza tym aż dziwne, jak łatwo złapać okazję człowiekowi z psem na trzech łapach, w charakterze towarzysza podróży.

Kiedy przechodzimy obok domu, staje przy drzwiach kuchennych i skomli.

Ale nie zatrzymuje się na długo, wkrótce wychodzi za mną z podwórza na trakt. Przemyka się pod bramą, jak przełazę górą. Nie widać samochodów. Spaniel patrzy na mnie z nastawionymi uszami, chwieje się lekko, czekając, aż wybiorę drogę. Problem z utrzymaniem równowagi ma tylko wtedy, kiedy stoi.

Dopóki idziemy, jest w porządku.



# Podziękowania

*Nawet jak na moje możliwości Rany kamieni powstawały długo. Ludzie, którzy pomagali mi po drodze, to SCF, Ben Steiner, moi agenci Mic Cheetham i Simon Kavanagh i wszyscy z The Marsh Agency, Simon Taylor — mój redaktor z wydawnictwa Transworld i rodzice, Sheila i Frank Beckettowie.*

*Jak zwykle wielkie podziękowania dla mojej żony Hilary, bez której pomocy i wsparcia — nie mówiąc o cierpliwości — nigdy bym tego nie napisał.*

*Simon Beckett, wrzesień 2013*

# Przypisy

<sup>1</sup> Biblia Tysiąclecia, Mt 6, 24-34 (przyp. tłum.).